



MRO CZYNA
SERIA

MARTA
GUZOWSKA
OFIARA
POLIKSENY

Wydawnictwo
ab



Marta Guzowska – archeolog z tytułem doktora, pracownik Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego, współzałożycielka grupy pisarskiej „Zbrodnicze siostrzyczki”; obecnie mieszka w Wiedniu. Specjalizuje się w badaniach ceramiki z II tysiąclecia p.n.e. z rejonów Egei i zachodniej Anatolii. Brała udział w licznych pracach archeologicznych na terenie Grecji i Izraela. Od trzynastu lat jest członkiem ekipy wykopaliskowej w Troi.

Jej powieść **Ofiara Poliksena** to pierwsza część cyklu kryminalnego, którego bohaterem jest Mario Ybl; autorka pracuje nad kolejnym tomem, zatytułowanym **Głowa Niobe**.





MRO CZNA
SERIA

MARTA
GUZOWSKA
OFIARA
POLIKSENY

Wydawnictwo
ab

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2012
Wydanie I
Warszawa 2012

For Kostas who knows them both: love and darkness.

Całą historię można podzielić na dwie części. Pierwszą znają wszyscy, drugą tylko ja. Ta pierwsza, znana wszystkim, jest krótka, jasna i kłamliwa.

Gilbert K. Chesterton, *Złamana szabla*

It is not important how many people I killed. What is important is how I get along with those who are still alive.

Bruce Willis w *The Whole Nine Yards*

Prolog

Mario – spytała nagle – czy mógłbyś zabić człowieka?

Piasek, na którym siedziała, był wilgotny, ale jej to chyba nie przeszkadzało. Palce jej stóp, zanurzone w wodzie, wydawały się nieskazitelnie białe. Jak wyrzeźbione z marmuru.

Zagapiłem się w niebo. Teraz, pod wieczór, mieniło się mieszaniną wściekłych kolorów, których nie powstydziliby się żaden awangardowy malarz, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć jakiegoś konkretnego nazwiska. Na zachodzie upiorny róż poprzecinany był szarozółtymi pasmami, przypominającymi brudną watę wyciągniętą z ucha.

Ignorowała te widoki i patrzyła na mnie.

– Mario – spytała znowu. – Czy ty kiedykolwiek zabiłeś człowieka?

– Myślisz, że będzie padać? – Pokazałem palcem chmury. – Myślisz, że to w ogóle możliwe w tym cholernym klimacie?

Jakiś nadgorliwy komar uciął mnie w łopatkę. Próbowałem go klepnąć, ale spróbujcie sami uderzyć się wysoko w plecy bez wytłamania sobie ręki ze stawu.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam w ogóle o tym mówić. Nie po tym, co się stało.

– Nie ma sprawy – mruknąłem.

Ukąszenie swędziało. Wykręcałem rękę, jak tylko mogłem, żeby się podrapać. Moje palce ślizgały się po mokrej od potu skórze.

– Nie mogę przestać o tym myśleć. Ja... ja nie rozumiem, jak to było możliwe. Dlaczego nikt się nie zorientował?

– Nie pluj sobie w brodę – poradziłem jej. – Ty i tak miałaś z nimi wszystkimi mało do czynienia. A co do tematu „nikt się

nie zorientował”... Tak to jest. „Wysoki Sądzie, skąd mogłem wiedzieć, że mój sąsiad zarządził w swojej piwnicy pięcioro dzieci z sąsiedztwa. Nie wyglądał na takiego, Wysoki Sądzie. To był miły człowiek, raz sam zaproponował, że skosi nam trawę, kiedy zwichnąłem nogę”.

Popluskiała palcami w wodzie. Obok nas przepłynęła rozmoczona gazeta, chyba „Hürriyet”, ale nie zdążyłem zobaczyć.

– Ale przecież musiały być jakieś sygnały.

– Zawsze są – powiedziałem. – Tylko je ignorujemy. Dokonujemy wyboru. Spokojny sen w zamian za spokojne sumienie. Rachunek jest prosty, tak mówili w reklamie, nie pamiętam w jakiej.

Chłapnęła nogą. Coś zaszurało w trzcinach na brzegu cuchnącej rzeki. Spłoszony szczur wodny albo wielka mysz.

– Wiesz co, Mario, czasami cię nie rozumiem. Jesteś tak strasznie cyniczny, że... – Pokręciła głową. – Jakby śmierć... morderstwo można było skwitować po prostu wzruszeniem ramion.

Wzruszyłem ramionami. Przysięgam, że nie zrobiłem tego specjalnie. Pewne gesty wykonuje się odruchowo, jakby ktoś pociągnął za przyczepione tu i ówdzie sznurki.

Amarant na niebie stawał się coraz bardziej pomarańczowy. Z miejsca, w którym siedzieliśmy, nie było widać morza, ale mogłem się założyć o wszystko, co miałem (czyli niewiele), że przybrało już kolor głębokiej czerni i po kawałku połykało światło dnia. Woda w rzece była w tym szczególnym odcieniu ciemnej zieleni, jaki gnijące zwłoki przybierają po kilkunastu dniach w upale. Tylko na drobnych falach na powierzchni załamywały się skrawki pomarańczowego nieba.

Wstałem i otrząpiałem spodnie z piasku. Wilgotne ziarenka przylgnęły mi do nogawek, a na tyłku miałem, czułem to wyraźnie, mokrą plamę.

– Wszystko można skwitować wzruszeniem ramion – powiedziałem. – To się nazywa samoobrona. A ty, zdaje się, przyszedłeś się tylko pożegnać. Jeśli się nie pospieszę, ucieknie mi *dolmuş*.

Popatrzyła na mnie z urazą. Wytrzymałem jej spojrzenie.

Pochyliła się i na moment zanurzyła w wodzie dłonie, potarła nimi stopy, a później podniosła się powoli. Sięgała mi poniżej ramienia, więc nie widziałem dobrze jej oczu.

– Nie chcesz odpowiedzieć. W porządku. Ale to było poważne pytanie. Ja naprawdę chciałabym się dowiedzieć.

Odwróciłem się tyłem do rzeki i do złowrogiego nieba. Piaszczysty brzeg wznosił się stromo. Do wioski był spory kawałek, jeśli miało się do dyspozycji tylko własne nogi, a nie bardzo miałem ochotę machać ręką na traktory zjeżdżające z pól z przyczepami wyładowanymi pomidorami, których sok wyciekał spomiędzy desek i zostawiał ciemne plamy na asfalcie. Jeśli nie chciałem, żeby zastał mnie tu zmrok, musiałem się streszczać.

Ruszyłem pod górę. Szła tuż za mną, chociaż na pewno nie było jej łatwo dotrzymać mi kroku.

– Chciałabym to zrozumieć, Mario. – Lekko dyszała. – Chciałabym wiedzieć, czy człowiek, który żyje normalnie: je, śpi, kocha, pracuje, chodzi na piwo i tak dalej, może zabić drugiego człowieka. Nie w wypadku samochodowym, nie w wyniku jakiegoś potwornego błędu. Z zimną krwią, tak po prostu. Czy normalny człowiek może popełnić morderstwo? Czy żeby kogoś zabić, trzeba być potworem? Czy każdy z nas to potrafi?

– Czy myślisz, że ja jestem jakimś pieprzonym psychiatrą? – Zatrzymałem się gwałtownie i odwróciłem do niej. W gasnącym świetle na jej szyi błyszczały strugi potu. – Dlaczego właśnie mnie o to pytasz?

Spuściła głowę.

– Nie mam, kurwa, pojęcia – mówiłem. – To są poważne pytania, które trzeba zadawać mądrym ludziom, a nie komuś takiemu jak ja. Pijakowi. Błaznowi. Cynikowi.

Milczała.

– Pytałaś, czy potrafiłbym zabić człowieka. Nie wiem. Pytałaś, czy zabiłem człowieka. Nie. Coś cię jeszcze interesuje?

Odwróciłem się i poszedłem polną drogą w stronę wsi. To miła dziewczyna i było mi przykro ją oszukiwać. Ale tak szczerze: czy wy nigdy nikogo nie okłamaliście?

Rozdział 1

Na początek rada: nie dzwoń do Poli, jeśli naprawdę nie musisz. Z tego, co mi wiadomo, autorzy poradników dla młodych dżentelmenów przeoczyli ten niezwykle ważny punkt, który powinni byli umieścić między zdaniami: „Nigdy nie jadaj w knajpie, która nazywa się U Mamy” oraz „Nigdy nie graj w karty z facetem o imieniu Doc”.

Wróć: sprostowanie. Nie dzwoń do Poli nawet wówczas, kiedy musisz. Najlepiej nie dzwoń do niej w ogóle.

Gdybym dostawał butelkę piwa za każdym razem, kiedy widziałem, jak jej najnowszy, bajerancki model komórki rzeził rozpaczliwie wśród kłębków kurzu pod kanapą, błogi uśmiech nie zszedłby mi z twarzy już do końca życia. Ale gdybym dostawał butelkę piwa za każdy razem, kiedy Poli zechciało się ruszyć tyłek i wcisnąć mały zielony guziczek... No, mniejsza z tym. Nie widziałem tego ani razu.

Są tylko dwa miesiące w roku, kiedy Pola reaguje na każdy dzwonek jak pies Pawłowa. Ale dzwonienie do niej w tym czasie, nawet służbowo, nawet w bardzo ważnej sprawie, to też nie jest najlepszy pomysł.

– Co? Powiedziałaś przecież, że nie! Nie ma takiej możliwości. Dziękuję panu za telefon i tak dalej oraz żegnam.

Pola klęczała w piasku pośrodku wykopu. Do ucha przyciskała aparat, który według zapewnień producenta, miał wytrzymać wszystko poza wybuchem jądrowym. Mam nadzieję, że producent się nie mylił, bo telefon był szary i lepki od brudu. Podobnie jak ucho Poli. Strużki potu torowały sobie drogę w warstwie ciemnego pyłu na jej szyi i karku. Dżinsy, z których słońce i detergenty wyssały resztki barwy, były czarne

na pupie i nad cholewkami ciężkich roboczych butów. Nie było jeszcze dziesiątej, a Pola wyglądała, jakby tarzała się w ziemi od wschodu słońca.

Wszyscy to robiliśmy. Mniej więcej. Od szóstej do wpół do trzeciej, a potem jeszcze dwie, trzy godziny po południu, sześć dni w tygodniu, przez dwa miesiące w roku. W małej wiosce w zachodniej Turcji, gdzie piwo miało smak kocich szczyn z drożdżami, ale za każdą flaszkę innego trunku trzeba było płacić tyle, że już po jednym sezonie oszczędzania mógłbym odłożyć przyzwoitą emeryturę na starość.

Ośloniłem ręką oczy i poprzez oślepiające promienie słońca spróbowałem jeszcze raz spojrzeć na Polę. Mimo wszystko wyglądała całkiem nieźle. Miała najpiękniejszą na świecie czaszkę, proporcjonalną, gracylną, o delikatnej morfologii, wysokich oczodołach, lekko wystających kościach jarzmowych, z pięknie zaznaczonym prognatyzmem zębodołowym. Jakby tego jeszcze było mało, jej faliste włosy, nawet zmierzwione, pokryte kurzem i schowane pod wystrzępionym na brzegu kapeluszem, zachowały miodowe połyski, podkrążone oczy lśniły złotymi iskierkami, a cieniutka kreszczka znamienia nad górną wargą nadawała jej wygląd dziecka, które właśnie skończyło jeść lody czekoladowe i niedokładnie wytarło buzię. Zazwyczaj niewielu facetów jest w stanie oprzeć się temu cudowi. Przynajmniej dopóki Pola się nie zezłości. Czyli przez pięć, góra dziesięć sekund, nie dłużej.

– Kilka godzin? – warknęła do słuchawki. – Kilka godzin to ja będę miała, jak skończę wykopaliska, zamknę teren, zapłacę robotnikom, wyprawię do domu studentów, napiszę raport i rozliczę grant. A, i jeszcze poleżę w kąpieli z pianą i porządnie się wyspię. Czyli za jakieś dwa, trzy miesiące. Wytrzyma pan tyle, prawda?

Zamarła na chwilę ze słuchawką przy uchu.

– Nie, nie pomylił się pan.

Posłuchała chwilę.

– Tak, to ja jestem Pola Mor.

Posłuchała.

– Tak, Pola Mor. Mam panu przeliterować?

Posłuchała.

– Tak, do cholery!

Posłuchała.

– No to musi pan też wiedzieć, że właśnie jestem na wykopaliskach. Wie pan, co to są wykopaliska? To takie dziury w ziemi, z których wyciąga się różne stare rzeczy... Tak, tak, dokładnie. Proszę sobie sprawdzić w jakiejś encyklopedii i do usłyszenia za dwa miesiące.

Jeśli wtedy będzie miał jeszcze ochotę rozmawiać.

– Chce pan tu przyjechać? Tutaj?

W głosie Poli zabrzmiała groźba. To, że facet nie pożegnał się jeszcze najgrzeczniej, jak potrafił, świadczyło o braku wyobraźni. Ale chyba jestem niesprawiedliwy. Może po prostu połączenie było słabe.

– No, to było naprawdę dowcipne. Naprawdę, naprawdę bardzo dowcipne.

Słuchała chwilę.

– Nie żartuje pan? Ja też nie. Nie wpuszczę pana na teren wykopalisk. Nieupoważnione osoby nie mogą...

Posłuchała.

– Co pan mówi? No to proszę pozdrowić ode mnie kłamkę, jak będzie pan ją całował!

Potrząsnęła głową i walnęła w przycisk „rozłącz” z taką siłą, że w obudowie zatrzęszczało. Wilgotne od potu pasma włosów oderwały się od jej szyi i opadły z powrotem z cichym młasknięciem. Wcisnęła telefon do kieszeni dżinsów, wytarła spocone ręce o pupę i podniosła się z ziemi. Z cichym jękiem wyprostowała plecy i odwróciła się w moim kierunku.

– Jezu! Mario, kurwa mać! Dostanę przez ciebie zawału! Co ty tu robisz?

Pokazałem podbródkiem aparat i uniosłem brwi w dwa znaki zapytania.

– Kto to był?

– Jakiś dupek.

Upchnęła pod kapeluszem zakurzone pasmo włosów.

– A czego chciał?

– A co cię to obchodzi? – Wyciągnęła z kieszeni zegarek. – Jak już podsłuchałeś moją prywatną rozmowę, to teraz spieprzaj stąd. Nie masz nic do roboty?

– Mała przerwa w pracy. Każdy potrzebuje czasem odetchnąć, książniczko.

Wykonałem ręką ruch, który miał imitować dworski gest. Nie wyszło to najlepiej.

– Mario, ostrzegam cię po raz ostatni: nie nazywaj mnie książniczką. Ani także ślicznotką, słoneczkiem i skarbem. Nigdy! I spadaj do roboty. Wystarczy, że cię nie będzie na wykopie przez pięć minut, i z kolejnego szkieletu zostanie tylko czaszka. Jak dobrze pójdzie!

– Już ci tłumaczyłem, książniczko, że szczątki ludzkie, które spoczywają w ziemi przez kilka tysięcy lat, rzadko kiedy zachowują się w nienaruszonym stanie. Drobne kości ulegają przemieszczeniu podczas ulewnych deszczów, trzęsień ziemi i temu podobnych. Poza tym aktywność zwierząt ryjących...

Pola łypnęła na mnie spođe łba.

– Wiesz co, Mario? Ja już mam dosyć na dzisiaj i bez aktywności zwierząt ryjących. Od świtu stoję w tym wściekłym upale, zgięta nad rysownicą i rysuję skorupę po skorupie. Skorupy mają dziesięć na dziesięć centymetrów, a wykop cztery na dwa metry. Audiotele: kiedy skończę? a) gdy pęknie mi kręgosłup; b) gdy padnę trupem; c) gdy kogoś zagryzę i policja zawiezie mnie do domu wariatów. Uwaga: można wybrać więcej niż jedną odpowiedź.

– Łączę się z tobą w bólu.

– Idź już sobie, dobrze?

No to sobie poszedłem.

– Mario.

Zatrzymałem się.

– Po co tu właściwie przylazłeś?

Ośloniłem ręką oczy.

– To ja ci nic nie powiedziałem? Przepraszam. Trochę nudno było dzisiaj tam, na górze, więc pomyślałem sobie, że zejść i trochę pogapię się na twój śliczny tyłeczek.

– Mario!

– Ale teraz to już naprawdę muszę iść, księżniczko.

Popatrzyłem na stok wzgórza. Wysoko, cholera. Mój wykop był na samym szczycie.

– Mario, do diabła!

– Wybacz, moja droga, ale nie mogę się gapić na twój tyłek, kiedy stoisz pod światło. Albo bądź taka miła i przesun się trochę w bok, albo pozwól, że już sobie pójdę.

Za plecami usłyszałem, jak gramoli się z wykopu. Podeszła i złapała mnie za ramię.

– Po co tu przyszedłeś?

– Przecież już powiedziałem. Pogapić się trochę...

Puściła mnie i odsunęła się do tyłu.

– Śmierdzisz.

Skrzywiłem się.

– Co chcesz, księżniczko? Wykopaliska to nie hodowla róż.

– Śmierdzisz piwem.

– Jedno małe piwko, a ty od razu robisz aferę.

– Jedno małe piwko? Jedno? Mówiłam ci setki razy, żebyś nie pił na wykopie.

– Ej. – Nadałem się z godnością. – Nie mogłaś mi mówić setki razy. Jesteśmy tu dopiero od dwóch tygodni. Poza tym wczoraj wieczorem trochę z Robertem za dużo... W tym upale nie da się bez klina.

– Gównu mnie obchodzi, co robicie z Robertem po pracy! Wymagam od ciebie tylko, żebyś przychodził tu rano pracować bez kaca. I żebyś wytrzymywał w tym stanie do piątej trzydziści. Codziennie!

Zbliżyłem się do niej i ująłem ją pod brodę.

– Księżniczko, przecież ja to wszystko robię tylko dla ciebie.
Żeby lepiej pracować...

Odtrąciła moją rękę.

– Hej, uważaj trochę. – Pomasowałem sobie demonstracyjnie nadgarstek. – To boli.

– Nie wiem – powiedziała. Nie patrzyła na mnie.

– Zapewniam cię – zapewniłem ją. – Boli jak cholera.

– Naprawdę nie wiem, po co cię tutaj wzięłam.

– Bo jestem najlepszym antropologiem, jakiego znasz, i o nie-
bo lepszym od wielu, których nie znasz.

Zdjęła kapelusz i przeczesła dłońmi matowe od kurzu włosy.

– Jeszcze miesiąc temu wydawało mi się to nawet dobrym argu-
mentem. Ale teraz naprawdę nie wiem.

– To zostawię cię, żebyś to sobie jeszcze raz przemyślała. Daj
mi znać, jak dojdiesz do jakichś wniosków.

– Mario!

Zamknąłem się.

– Ja cię dobrze znam i wiem, że nawet gdybym obiecała ci
striptiz i taniec na rurze, nie zaryzykowałbyś włożenia po raz
drugi pod górę, zwłaszcza w tej piekielnej temperaturze. Gdy-
byś nie musiał. Więc powiedz mi już do cholery, o co chodzi.

Wziąłem głęboki oddech.

– No gadaj!

Wypuściłem powietrze.

– Chwileczkę. Muszę się tylko uporać z tą kuszącą wizją, któ-
rą właśnie przede mną roztoczyłaś. No dobra. Już. Chcę, żebyś
poszła ze mną na górę.

– Teraz?

– Teraz.

– Nie ma mowy. – Pokręciła głową. – Przed południem nie
dam rady. Nawet nie mam czasu podrapać się w tyłek.

– To się nie drap. Tylko chodź.

– A nie mogę później?

– Możesz.

Popatrzyłem na szczyt wzgórza. Jezu, ale to będzie długa droga.

– Ale chcesz, żebym przyszła teraz.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak uważasz.

Uklękła na brzegu wykopu i nachyliła się do jakiegoś Mustafy czy innego Şerafetina, tego małego, z wąsami, który palił sobie spokojnie papierosa oparty o łopatę.

Popatrzyłem na jej tyłek, ale nadal stała pod słońce. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zająć lepszego punktu obserwacyjnego, ale Pola wyprostowała się i otrzepała kolana.

– No, to chodźmy – powiedziała.

– Chwileczkę.

– Jezu, co znowu? Mario, ja nie mam całego dnia, żeby...

– Chciałem cię tylko poprosić, żebyś się uszczypnęła w swoją śliczną pupkę.

– Słuchaj, jeśli myślisz sobie, że możesz...

– To poważna sprawa. Uszczypnij się, no już. Sam bym to zrobił, ale się boję.

Całkowicie nieruchomo patrzyła mi w oczy.

– Mówię poważnie. Uszczypnij się. Tylko mocno. Bo za chwilę spełni się największe marzenie twojego życia i będziesz chciała mieć pewność, że nie śnisz.

Jeśli ktoś wam powie, że archeologia jest pasjonująca, możecie go od razu wyśmiać. Ciekawe to są filmy z Indianą Jonesem i Larą Croft. Te ostatnie nawet ciekawsze, ze względu na walory estetyczne Angeliny Jolie w krótkich spodenkach. Archeologia jest nudna, aż się flaki przewracają.

Myślicie sobie pewnie, że to takie romantyczne: archeolog w fajnych ciuchach stoi nad wykopem i patrzy, jak kolejne uderzenia kilofa odsłaniają ruiny zaginionych cywilizacji. Przykro mi, jeśli was rozczauję, ale to głównie prawda. Po pierwsze: możecie od razu zapomnieć o kilofie. Większość pracy wykonuje się małą szpachelką i pędzelkiem. Wiecie, ile w takich warunkach trwa odsłonięcie, nie żadnej tam cywilizacji, tylko głupiego stłuczonego garnka? Nie wiecie? To się domyślcie.

Po drugie: panie i panowie, zaginione cywilizacje nie istnieją. Wszystkie zostały już dawno znalezione, skatalogowane i mają doczepione metryczki. Archeologia jest mniej więcej tak samo romantyczna jak księgowość. A praca wygląda podobnie: polega głównie na zapisywaniu setek, tysięcy numerków. Numery warstw, numery obiektów, numery skorup, numery kurwa-nie-wiem-czego-jeszcze. Potem się te numery wprowadza do bazy danych, grupuje, analizuje i pisze raport, który ma w sobie tyle romantyzmu, co kwartalne sprawozdanie finansowe kiosku Ruchu.

Poza tym normalnemu człowiekowi ciężko jest wytrzymać dzień pracy, który zaczyna się pobudką o piątej, przed wschodem słońca, a kończy po północy ostrą bibką i wypełniony jest niezliczonymi godzinami w upale, który powinien być zakazany konwencją genewską. Powiem tylko tyle: gdyby jakikolwiek więzień, polityczny czy nawet zwykły kryminalista, był zmusza-

ny do pracy w takich warunkach jak my, Amnesty International już dawno by interweniowało.

Dzisiaj było tak samo jak wczoraj, przedwczoraj i każdego z czternastu, pieprzonych ostatnich dni. Słońce paliło jak stos atomowy, a niebo, o barwie i ciężarze płynnego ołowiu, wisiało dwa centymetry nad moją biedną głową. Ziemia grzała w stopy przez grube podeszwy. Nawet wiatr nie przynosił ulgi, tylko parzył skórę i zasypywał gardło kurzem.

Drzewa już dawno zamieniły się w szeleszczące szkielety, rzeka w błotniste koryto, a morze – w cuchnącą wodorostami breję. Za zasłoną drgającego powietrza białe statki przesuwaly się jak widma przez gardło cieśniny Dardanelskiej. Z miejsca, gdzie się zatrzymałem, żeby złapać oddech, nie było dobrze widać, czy płyną, czy maszerują po rozpalonych polach. Wilgotny opar zasłaniał Bozcaadę i Wyspy Zajęcze. Tylko wieczorami zachodzące słońce szczyrzyło ociekające purpurą kły i kontury wysp ożywały, jak szablony z wielbłądziej skóry na jedwabnym ekranie w tureckim teatrze cieni. A o świcie, kiedy powietrze nie drgało jeszcze w agonii, ze szczytu pagórka można było zobaczyć potężne niegdyś mury trojańskiej twierdzy. Z daleka wyglądała jak wyschnięta ptasia kupa.

Niektórzy, nawet po dwóch tygodniach tych męczarni, nie mogli przestać się popisywać, zupełnie jakby czytali codziennie do poduszki słownik synonimów. Co za skwar, żar, spiekota. I słownik turecki: *sıcak*, kiwali głowami w stronę robotników, *çok sıcak*. Ale znacznie gorsi byli ci, którym zbierało się na wspominki. Pamiętacie zeszły lipiec? Raz nawet padało, a do dziesiątej nie dało się zdjąć polara, tak było zimno. Jeśli o mnie chodzi, w zeszłym roku mógł tu być potop, mróz, a nawet koniec świata. Ja próbowałem tylko przeżyć do wieczora.

Wieśniacy z Yeniköy, Tevfikiye, Kumkale i Kalafat znali się na sztuce przetrwania o wiele lepiej niż my. Kobiety prostowały plecy znad krzaków pomidorów i utykały pod brodą końce kolorowych chust, tkanych cienko, jak pieluszki. Przykucały koło

pędów młodych ogórków, zbierały fałdy szarawarów z kwiecistej bawełny i ładowały na przyczepy pękające od soku arbuzy, sprawdzając wolną ręką, czy nie rozchyliły im się na piersiach wilgotne od potu bluzki. Mężczyźni stali obok traktorów, palili i podciągali wyżej paski luźnych roboczych spodni. Potem starannie wdeptywali pety w piasek, zdejmowali cyklistówki i przejeżdżali połamanymi, przeżartymi ziemią paznokciami po tłustych, kędzierzawych włosach. Po południu, kiedy wyładowane arbusami i kobietami traktory z przyczepami mijały nas w drodze do wsi, unosili ręce na powitanie, ale powściągliwie, żeby gwałtowny ruch nie wzburzył gotującej się krwi.

Pracowali cały dzień, tak jak my, ale w ciszy. U nas narzekali wszyscy. Użalali się nad sobą, zrywając się o świcie z przepoczonej pościeli, i nie przestawali się użalać, kiedy wieczorem przysuwali łóżka do bielonych wapnem ścian w nadziei na odrobinę kamiennego chłodu. Ale to było tylko takie gadanie. Codziennie wariowali ze szczęścia, że mają grant i pozwolenie na wykopaliska. Dwa klucze do kariery, która w przeciwieństwie do innych karier świata doczesnego, nie niosła ze sobą żadnych korzyści.

Żeby tego nie słuchać, wsiadałem do rozpalonej do czerwoności starej łady, podkręcałem do oporu dmuchawę i pławiłem się w oceanie stęchłego powietrza. Po południu, rozedrganą, asfaltową drogą jeździłem do Çanakkale i w szumie wentylatorów, międlących upał w małych sklepikach, ściągałem z półek pokryte szarym pyłem tuby kremów z filtrem i miejscowe podróbki okularów słonecznych. Wracałem, kiedy było już ciemno, a powietrze przypominało konsystencją i zapachem zupę rybną. W kuchni, najciszej jak się dało, upychałem grzechoczące złośliwie butelki piwa w zamrażalniku lodówki, żeby rano móc sączyć krople spływające po zamrożniętych soplach. Tak, zdarzały się miłe chwile. Ale niebo nad głową tylko czekało, gotowe mnie zmiażdżyć przy pierwszej lepszej okazji.

Kiedy Pola zadzwoniła do mnie pół roku temu, nad ranem, oczywiście spałem.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała. – A właściwie, to która jest godzina?

– Mmmm.

Spróbowałem spojrzeć na budzik. Uchyliłem powiekę i oślepiło mnie światło lampki nocnej.

– Nieważne, musisz tego posłuchać. To jest cmentarzysko. Buldożery zaczęły kopać fundamenty pod jakieś dache i wkoपाły się prosto w grób. Nie koło samej Troi, dziesięć kilometrów dalej, nad morzem. Wiesz, co to znaczy?

Zachęcająco zawiesiła głos.

– Eee...

Zrezygnowałem z kolejnej próby otwarcia oczu i macałem na ślepo po szafce nocnej w poszukiwaniu szklanki z wodą.

– Nie mów mi, że nie wiesz! To znaczy, że to może być cmentarzysko Achajów!

– Aha – mruknąłem.

– Pierwszy grób, jaki rozwalił ten buldożer, to była urna. Pochówek ciepłopalny. Zdjęcia są trochę niewyraźne, ale wszystko wskazuje na to, że...

Urwała.

– Wiesz, o czym mówię, prawda?

– Nie.

– Jesteś niedouczoney.

– Pola – wychrypiałem. – Dzwonisz do mnie w środku nocy, żeby mnie obrażać? Nie możesz poczekać do dziesiątej?

– Mogę. Achajowie przybyli pod Troję, żeby odbić piękną Helenę. Wojna trojańska, może to ci coś mówi?

– Cholera jasna!

Szklanka z wodą zrobiła to, co robią wszystkie szklanki, kiedy ich się szuka po omacku: spadła na podłogę i roztrzaskała się w drobny mak.

– No właśnie! – W głosie Poli brzmiała satysfakcja. – Frank ma licencję i obiecał mi kierownictwo na całym odcinku cmentarzyska. Całym, rozumiesz?

– Jasne.

– I wiesz, o co mi chodzi?

– Oczywiście.

– I wiesz, jaki Frank?

– Oczywiście.

Chwila ciszy w słuchawce.

– Nie masz pojęcia, prawda? I niespecjalnie cię to interesuje. Mylę się?

– Nie.

Chwila ciszy.

– Będę potrzebowała antropologa.

Z zaciśniętymi mocno powiekami usiadłem na łóżku i spuściłem nogi na zimną podłogę. Od okien strasznie wiało, a ja nie potrafiłem zebrać się do kupy, żeby je uszczelnić. Potarłem dłońmi szczecinę na twarzy i odchrząknąłem kilka razy.

– A co to ma wspólnego za mną?

– W lipcu. Albo na początku sierpnia. I chciałabym, żebyś zabrał przynajmniej dwójkę studentów.

– Pola...

– Szczerze mówiąc, wołałabym kogoś ze starszych lat albo doktorantów, żebyś nie musiał nad nimi cały czas stać...

– Pola...

Udało mi się w końcu otworzyć jedno oko i zerknąć na budzik. Czerwony dwukropek między dwójką a trzydziestką pulsował w hipnotycznym sennym rytmie.

– Pola, jest wpół do trzeciej. Nad ranem. Siódmy stycznia.

Zamilkła na chwilę, a potem powiedziała cicho.

– Pomyślałam, że się ucieszysz.

No to się ucieszyłem. Miałem inne wyjście?

Pola, poczekaj – poprosiłem.

Zatrzymała się.

– Wolniej już nie możesz?

– Mógłbym – wysapałem. Zdjąłem czapkę i przejechałem dłonią po lepkich od potu włosach. – Mógłbym, ale boję się, że umrzesz z ciekawości.

Burknęła pod nosem coś, co bardzo przypominało „pieprz się”, i ruszyła dalej ścieżką wydeptaną w zeschniętej trawie. Minęliśmy jeden wykop, już pusty, i cztery inne, w których kucali studenci: brudni, spoceni, zmęczeni i – sądząc po tym, jak co chwila spoglądali na zegarki – głodni. Krzewy od strony morza dawały akurat tyle cienia, że mogła się w nim schronić mała koza, ale zdecydowanie za mało, żeby człowiek słusznych rozmiarów mógł sobie spokojnie odpocząć po trudach nocy. Dwaj tureccy robotnicy palili papierosy w pełnym słońcu, jeden co chwila ocierał kark czerwoną płócienną chustką. Podniosłem z wysiłkiem rękę, starszy odpowiedział tym samym gestem, z papierosem między sękatymi palcami.

Studenci znowu włączyli magnetofon na cały regulator. Chciałem krzyknąć, żeby ściszyli, ale struny głosowe odmówiły mi posłuszeństwa.

Pola zatrzymała się na szczycie pagórka i spojrzała na mnie przez ramię. Skinąłem głową. Podeszła powoli do wykopu i prześlizgnęła się pod wyjąca na wietrze taśmą.

– O, kurwa – westchnęła.

– Dobrze powiedziane, księżniczko – wydyszałem ciężko za jej plecami. – Dobrze powiedziane.

Rozdział 3

Szkielet leżał na wznak, rozciągnięty na dnie wykopu, niczym na stole w prosektorium. Ayça, na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami, pochylała się nad miejscem, gdzie powinna być klatka piersiowa i mostek. Marilles klęczała obok w klasycznej pozycji płaczki. Kołnierzyk koszuli z długimi rękawami miała podniesiony tak, że sięgał jej uszu. Z tylnych kieszeni szortów wystawały jej pędzle różnych rozmiarów, a ze spodni majtki. Na nasz widok zerwała się, strzepnęła grudki ziemi przyklejone do brudnych, zaczerwienionych kolan i podeszła szybko do krawędzi wykopu.

– Mario – powiedziała.

Większość kości przykrywała jeszcze ziemia, twarda, zbita i wysuszona na popiół. Nie było mnie dobre pół godziny, a one przez cały ten czas zdołały tylko omieść luźne grudki z okolicy mandibuli i *Articulatio sternoclavicularis*. Zanotowałem sobie w myśli, żeby je opieprzyć, kiedy zrobi się trochę chłodniej.

– Mario...

Podniosłem rękę do góry.

– Muszę ci coś...

– Chwileczkę. Z wami mam do pomówienia, jak już szefowa sobie pójdzie.

– Ale posłuchaj...

– Czy możesz się już zamknąć? – poprosiłem ją uprzejmie. – Boli mnie głowa. I przesun się trochę, bo zasłaniasz.

Popatrzyła na mnie urażona, ale posłusznie odsunęła się pod ścianę wykopu i przykucnęła koło Ayçy. Obie miały takie same chusty okręcone wokół głów i obie patrzyły na mnie wyczekująco. Na wąskiej nasadzie nosa Ayçy zebrały się kropelki potu.

Zmrużyłem oczy. W słońcu kości świeciły własnym, oślepiającym światłem i chińskie podróbki markowych okularów słonecznych nie wystarczały, żeby stłumić mordercze promieniowanie. Ale bardziej ranił oczy blask złota. Ze dwudziestu, tak na oko, cienkich jak płatki papieru, okrągłych złotych blaszek, błyskających spod grudek ziemi tam, gdzie powinny znajdować się żebra i obręcz kończyny dolnej.

Pola wciągnęła z sykiem powietrze. Okrążyła wykop i zeszła na dół po ustawionym w narożniku, odwróconym do góry dnem wiadrze. Różowy, wypłowiwały od słońca plastik zatrzęszczał nieprzyjemnie pod jej ciężarem.

Stała nad szkieletem dłuższą chwilę, nieruchomo. Kiedy zacząłem się już zastanawiać, czy nie dostała jakiegoś udaru, odwróciła gwałtownie głowę w moją stronę i osłoniła sobie ręką oczy.

– Co to jest?

– Szkielet.

– Dzięki, Mario. W życiu bym się nie domyśliła.

Podrapałem się w spalony słońcem kark. Skóra mnie zapiekła, jak przypalana żywym ogniem.

– Dlaczego szkielet?

– O rany. No, nie wiem, jak ci to wytłumaczyć w prostych słowach. Tkanki miękkie rozkładają się z upływem czasu. Dokładny okres rozkładu zależy oczywiście od wielu czynników, między innymi właściwości fizykochemicznych gleby, ale tak czy inaczej na koniec pozostaje sam szkielet. To takie rusztowanie podtrzymujące cały układ mięśniowy i wszystkie organy. U ssaków wykształcił się...

– Mario, przestań pieprzyć! Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Szkielet, a nie skremowane kości w urnie, jak we wszystkich innych grobach, które odsłoniliśmy do tej pory? I to złoto? Dlaczego?

– Miałem nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz, moja miła. To ty jesteś tu szefową, a ja tylko prostym antropologiem.

– Och, zamknij się już wreszcie!

Pola uklęknęła i delikatnie dotknęła jednej ze złotych blaszek. Marilles poruszyła się w kącie wykopu.

– Mario... – zaczęła.

Uniosłem rękę do góry.

– Jeszcze nie.

– Ale posłuchaj...

– Nie teraz.

Marilles zgarbiła się.

Przesunąłem się bardziej w lewo, żeby mieć słońce za plecami.

Pola gładziła odsłoniętą *os temporale* opuszkami palców.

Chrząknąłem.

– Nie chcę zakłócać ci tej podniosłej chwili, ale skoro już zobaczyłaś to чудо, to możesz sobie iść. Bo nam tu jest strasznie gorąco. Chcielibyśmy się już zabrać do roboty.

Pola nie odrywała wzroku od rozciągniętych na ziemi kości.

– Nie zrozum mnie źle. Ale im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy i będziemy mogli pojechać do domu, żeby legalnie napić się zimnego piwa. Bo to, które wzięłem na wykop, tak się nagrzało, że śmierdzi jak uryna nieboszczyka.

Rzuciła mi krótkie spojrzenie, ale nic nie powiedziała.

Przeszedłem na drugą stronę wykopu i ostrożnie zlazłem na dół. W środku było jeszcze gorzej niż na górze. Jeśli by ktoś nie wiedział, to tlen w tej dziurze skończył się już kilka godzin temu.

– Bardzo ładne te kości. – Pochyliłem się nad Polą. Poczułem zapach jej rozgrzanej skóry. – Cieszę się, że tobie też się podobają.

– Dlaczego szkielet? Dlaczego inhumacja w samym środku ciepłego cmentarzyska?

Wytarłem podkoszulkiem twarz.

– Bo to kobieta.

– Co?

Pola podniosła głowę i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Co ty powiedziałeś?

– Powiedziałem: bo to kobieta. To stosunkowo proste zdanie. Mogę ci to też powiedzieć w dwóch innych językach albo narysować za pomocą symboli graficznych.

Wyciągnąłem z kieszeni szpachelkę, przykucnąłem i zacząłem kreślić na dnie wykopu.

Pola zerwała się na równe nogi. Kopnęła ze złością moje arcydzieło.

– Jaka kobieta?

– No... starożytna? Chyba. To ty powinnaś lepiej wiedzieć, z jakiego okresu jest ten szkielet.

Podniosłem się. Spojrzała na mnie groźnie, ale ja tam się nie przestraszyłem. Trudno się przestraszyć, jak ktoś sięga ci czubkiem głowy do ramienia.

– To jest szkielet kobiety?

– A co, nie widać?

Pola odwróciła się do mnie plecami i podeszła do Marilles.

– Proszę cię, opowiedz mi wszystko, co wiesz. Bo z tym głupkiem się dzisiaj nie dogadam.

– Halo! – krzyknąłem. – Nie podważać autorytetu profesora przy studentach.

Marilles pokręciła głową.

– To jest szkielet kobiety – powiedziała. – Ma delikatnie urzeźbione kości czaszki, słabo uwypukloną okolicę nadoczodołową i ostrą górną krawędź oczodołu. – Pochyliła się i pokazała palcem. – Mały wyrostek sutkowaty, delikatny trzon żuchwy i słabo zaznaczone kresy karkowe na kości potylicznej. Tyle wiadać na razie. Więcej się dowiemy, kiedy odsłonimy miednicę i spojenie łonowe. Ale nie ma wątpliwości. To była kobieta.

Popatrzyła na mnie.

– Mario, chciałam ci jeszcze...

– No i co? Zadowolona jesteś? – spytałem. – Pomyślałem, że się ucieszysz.

– Kobieta. Pochówek szkieletowy. Na samym środku cmentarzyska ciałopalnego. Cmentarzyska, na którym do tej pory znajdowaliśmy samych mężczyzn.

Polą obróciła się w moją stronę.

– Szkielet kobiety obsypany złotem. Dlaczego?

– Już ci mówiłem, że nie mam pojęcia. A wy tu czego? Nie macie nic do roboty?

Na brzegu wykopu ustawiła się gromadka gapiów, którzy odcięli zupełnie dopływ powietrza, ale przy okazji miłosiernie stłumili swoimi ciałami wyjąca muzykę. Jason z przyklejoną do jego ramienia Evą przysunął się tak blisko krawędzi, że jeszcze krok, a poleciałby w dół. Vasif stał obok niego i gapił się na Ayçę. Ja też nie mogłem oderwać od niej oczu. Dłonie miała ciemnobrunatne od słońca, ale jej stopy, wystające z nogawek spodni znaczonych ciemnymi plamami potu, były śnieżnobiałe, jakby całe życie spędziła na biegunie, a nie w małej wiosce dziesięć kilometrów stąd.

– Tu nie ma nic do oglądania. Do roboty. Sio!

Machnąłem ręką i odgoniłem muchę. Nienawidzę much.

– Idźcie już – powtórzyłem z wysiłkiem.

– Chcemy się cz-czegoś n-nauczyć – zaprotestował Vasif.

– No! – poparła go Eva. – Powiedz nam, o co chodzi. Jesteś przecież naszym profesorem.

– Nie ma nic do opowiadania. – Chrząknąłem i odkleiłem język od podniebienia. – Wszystko widać. Szkielet. Kobieta, typ kaukaski, prawdopodobnie. Odślonięte *os frontale*, *os temporale* i *os parietale*. Z lewej strony. Z prawej jeszcze nie, bo czaszka leży bokiem na ziemi. Widoczna mandibula. – Pochyliłem się z wysiłkiem. – Na oko wszystkie zęby są. *Os nasale* trochę ułamana, ale to się zdarza. Poza tym czaszka w świetnym stanie. Tu są obojczyki, tutaj kręgi szyjne, a tutaj nasady bliższe kości ramieniowych. Reszta jeszcze nieodkopana, bo musimy najpierw pozdejmować te cholerne blaszki.

Vasif pomacał zatkniętego za ucho papierosa.

– M-mogę zobaczyć z b-b-b... – zaczerpnął tchu – z bliska?

– Skoro musisz. – Wzruszyłem ramionami.

Ześlizgnął się do wykopu. Pochylony nad szkieletem, nie przestawał międlić papierosa za uchem.

– T-to naprawdę k-k-kobieta.

– Tak, Einsteinie – westchnąłem. – To naprawdę kobieta.

– Co ona tu robi? – Eva odkleiła się od ramienia Jasona. W ten upał nie przyszło jej to łatwo.

Przewróciłem oczami.

– Jeśli będziecie zadawać więcej takich inteligentnych pytań, to nigdy się nie dowiemy. Może to była dupa jednego z nich.

– Mario, wyrażaj się, do kurwy nędzy – syknęła Pola.

– A jak ja się wyrażam? – zdziwiłem się. – Mówię, jak jest.

– Używaj terminów fachowych.

– No dobra, konkubina. Może to była jakaś konkubina. Ludzie, idźcie już do roboty i dajcie nam popracować w spokoju.

Nikt się nie ruszył.

– No dobra – powiedziałem. – Znaleźliśmy pochówek szkieletowy młodej dziewczyny. Przykrytej złotymi blaszkami z... zaraz...

Schyliłem się powolutku i podniosłem jedną z nich.

– Z jakimś wzorkiem.

Pola drgnęła.

– Z wzorkiem?

– Ojej, nie czeplaj się każdego słowa. Z motywem. Z wytłaczanym motywem. Jakiegoś robaka.

Pola wyrwała mi blaszkę z ręki. Przyjrzała się jej uważnie, ustawiając ją pod rozmaitymi kątami do światła. Od rozbłysków rozbolały mnie oczy.

– Motyla. – Podniosła głowę. – To jest motyl.

– To cudownie – burknąłem. – Mamy tutaj kilkanaście ślicznych, złotych motylków, które musimy sfotografować, zaznaczyć na planie, skatalogować i zabrać stąd przed zachodem słońca, bo jeśli zostaną tu na noc, to możemy już teraz się z nimi pożegnać. Więc, jeśli pozwolisz...

– Muszę zadzwonić do Franka. – Wsunęła palce do kieszeni przylegającej ściśle do biodra i próbowała wyłuskać stamtąd komórkę. – Jest szefem. Powinien się o tym jak najszybciej dowiedzieć.

– Poczekaj – powiedziałam. – Powiemy mu razem, wieczorem. Zawsze to przyjemniej zobaczyć na własne oczy, jak go trafia szlag.

– Co?

– Szlag. Za to, że przydzielił ten odcinek tobie, zamiast kopać tu samemu.

Polą pokręciła z niesmakiem głową.

– Jesteś idiotą – stwierdziła. Przyłożyła komórkę do ucha i zmarszczyła w skupieniu brwi.

– Ma-mario.

Marilles. Też się zaczęła jąkać, do cholery?

Obróciłem się. Znowu klęczała na piasku, pochylona nad szkieletem.

– Mario, ja muszę ci coś powiedzieć! Proszę cię!

– Dobra – westchnąłem. – Gadaj.

– Popatrz tutaj.

Pomachała pędzelkiem na wysokości kręgów szyjnych.

Żeby zobaczyć, o co jej chodzi, musiałbym się schylić. Albo nawet uklęknąć.

– A nie możesz mi powiedzieć własnymi słowami?

Marilles zaczerpnęła tchu.

– Kiedy poszedłeś po Polę, to sobie pomyślałam, że...

Odchrząknęła.

– Pomyślałam sobie, że trochę go omiotę i sprawdzę, czy nie ma też takich blaszek pod spodem. No bo jeśli ona miała, ta kobieta znaczy, suknię naszywaną złotymi blaszkami z przodu, to może z tyłu też... Tak sobie w każdym razie pomyślałam.

Spojrzałem na Polę. Właśnie pluła sobie w brodę, że nie wpadła na to pierwsza.

Odwróciłem się do Marilles.

– I dlatego nic nie zrobiłaś, kiedy mnie nie było?

– Zrobiłam! Odgarnęłam ziemię tu z boku, przy obojczykach i przy kręgach szyjnych. Bo dolna część szkieletu jest jeszcze prawie w całości pod ziemią, a tutaj już jest odsłonięta, i pomyślałam, że tak będzie łatwiej sprawdzić...

– Streszczaj się. No i co?

– No i sam zobacz. – Marilles odsunęła się o krok.

Opadłem na kolana. Sięgnąłem po porzucony przez Marilles pędzelek i delikatnie omiotłem kręgi szyjne. Pola nachyliła się nade mną. Studenci przykucnęli na brzegu wykopu i nachylili się nad naszą trójką.

Poczułem, że zaraz trafi mnie szlag.

A potem też to zobaczyłem.

– No, no – powiedziałem. Podniosłem głowę i uśmiechnąłem się z wysiłkiem do Marilles. – No, no. Całkiem niezłe. Gratuluję.

– Co tam jest? – Pola uklękła obok mnie i wyciągnęła do przodu szyję. – Ja nic nie widzę.

Wykonałem jeszcze kilka ruchów pędzelkiem.

– Tutaj – pokazałem. – To są kręgi szyjne, widzisz? Siedem, jak u wszystkich ssaków z wyjątkiem leniwca trójpalczastego.

– To fantastycznie – syknęła Pola. – Konkrety?

– Siedem kręgów – kontynuowałem niezrażony. Nagle zachciało mi się śmiać. Zapraгнаłem pojechać do Çanakkale i posiedzieć w barze długo w noc, napić się ohydneho piwa i patrzeć, jak światła statków przesuwają się w ciemnej cieśninie.

– Nie widzisz pierwszego kręgu, bo czaszka w tej pozycji go zasłania – powiedziałem. – To jest drugi krąg – pokazałem palcem – a to trzeci.

– No i?

– No i normalnie u człowieka one tak nie wyglądają.

Dźwignąłem się na nogi, bo mimo katolickiego wychowania kolana miałem nieprzyzwyczajone i bolały mnie od klęczenia.

Pola spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Jak to nie wyglądają? Masz na myśli, że to jakiś cholerny mutant?

– Oj, księżniczko – westchnąłem. – Naoglądałaś się *Archiwum X*, co? Mam na myśli, że u większości ludzi nie ma na kręgach takich rowków.

Pokazałem palcem.

– To są ślady po nożu – oznajmiłem tryumfalnie.

– Po nożu? – Pola nie zrozumiała.

– Albo po sztylcie. Albo po mieczu. Powiem ci dokładnie, gdy wyjmiesz cały szkielet i obejrzą sobie te nacięcia pod mikroskopem. A jeśli dobrze pójdzie, to powiem ci nawet, czy morderca był prawo- czy leworęczny. Słowo skauta!

Pola powoli odchyliła się do tyłu i usiadła na piętach.

– Tej panience ktoś poderżnął gardło – kontynuowałem radosnym tonem. – Tak mocno, że o mało nie odciął jej głowy.

Pola patrzyła na szkielet w milczeniu. Potem podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Wiesz, co to jest? – zapytała.

– Wiem. Szkielet młodej kobiety, prawdopodobnie z końca epoki brązu, pochowanej tuż obok achajskich wojowników. Z poderżniętym gardłem. I obsypanej złotymi blaszkami. No to chyba macie wreszcie swoje sensacyjne odkrycie, nie? Więc jak, dzwoniemy po telewizję?

Wyszczrzyłem do Poli zęby.

– Mario, czy ty wiesz, kto to jest?

Wargi jej zbieleły, a szczęki miała tak zaciśnięte, że z trudem rozumiałem wypowiedane przez nią słowa.

– Wiesz, kto to jest? – powtórzyła. – To jest Poliksena.

Po czwartej poczułem się trochę lepiej. Może pomogło nagrzane piwo, które udało mi się dyskretnie wysączyć w czasie lunchu. Może dobrze mi zrobiła godzinna przerwa. Albo po prostu słońce trochę się zlitowało. Ale cały czas żar lał się z nieba jak... sam nie wiem. Było kurewsko gorąco.

– Dobra, ten profil już jest – powiedziała Marilles.

Wyciągnąłem z wysiłkiem rękę i podałem jej podkładkę z kartami obiektów. Zanotowała numer, obok napisała datę i sygnaturę, przewróciła kilka stron i wpisała te dane do dziennika. Odczepiłem jej rysunek od deski, popatrzyłem na niego pod światło, złożyłem go na pół i wsunąłem między inne papiery.

– Hej, uważaj! – krzyknęła. – Narysowanie tego zajęło mi całe popołudnie.

– Nie martw się – powiedziałem. – Ten profil i tak został spierprzony przez buldożer, więc wątpię, żeby twój rysunek komuś się na coś przydał.

Popatrzyła na mnie przeciągle.

– To po co kazałeś mi go zrobić?

– Żeby był.

Wzruszyła ramionami, a potem wyciągnęła z plecaka aparat.

– Przesuń się – rozkazała. – Nie mogę robić zdjęć, bo mi zasłaniaasz.

Odsunąłem się pod jedyną ścianę wykopu, która dawała trochę cienia. Rozgrzana ziemia była nieprzyjemna w dotyku. Marilles pochyliła się nad szkieletem z cichym jękiem i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Sprawdziła numer na liczniku aparatu i na karcie zabytku.

– Zgadza się – powiedziała po raz kolejny tego dnia.

– Głowa do góry, skarbie. Jeszcze tylko kilka blaszek. Do północy skończymy.

Marilles skrzywiła się, pomasaowała sobie okolice krzyża i klapnęła ciężko na ziemię. Była mokra, jakby przed chwilą wylała na siebie wiadro wody.

– Co za cholerny upał. Jakby mi ktoś wcześniej powiedział, że tu będzie taki cholerny skwar...

– Masz kłopoty z pamięcią? Pracujesz w Turcji od trzech lat – przypomniałem jej.

– Nie, nie mam kłopotów z pamięcią. Po prostu mam nadzieję. Spróbuj kiedyś. To może odmienić twoje życie.

– Dzięki – podziękowałem. – Dla mnie to brzmi głupio.

Rzuciła mi krótkie spojrzenie.

– A najgorsze ze wszystkiego są te cholerne muchy. Zaraz mnie zeżrą żywcem.

– To nie rozdrapuj tego strupa na kolanie. Muchy plujki najchętniej składają jaja w otwartych ranach.

Marilles przewróciła oczami, ale cofnęła rękę z kolana.

– Nie mam pojęcia, dlaczego musimy rysować godzinami każdy pieprzony profil, skoro stratygrafia i tak jest zaburzona. I dlaczego musimy oddzielnie fotografować każdą pieprzoną blaszkę, nadawać jej numer i robić dla każdej oddzielną kartę zabytku. Przecież one są wszystkie takie same.

Powachlowała się wilgotną koszulą. Przy każdym ruchu tkanina odklejała się od jej ciała z cichym cmoknięciem.

– Uważaj, jak się wyrażasz – powiedziałem.

– Ty mi zwracasz uwagę, Mario? Ty?

– Mnie to nie przeszkadza, ślicznotko, ale szefowej pewnie tak.

– Przecież jej tu... – Marilles zerwała się i wystawiła głowę z wykopu. – Cholera, idzie – szepnęła. – Skąd wiedziałeś?

– Moja miła, nasza piękna szefowa jest jedyną osobą w tym gronie, która uważa, że warto marnować perfumy po pięćdziesiąt euro za butelkę, żeby mieć lepsze samopoczucie w pracy. A my siedzimy z wiatrem.

Wystawiłem głowę z wykopu. Pola wspinała się w naszym kierunku, kopiąc po drodze kamyk. Za nią sapał jeden z robotników, ten z archimorficzną czaszką. Najwyraźniej plastikowa skrzynka, którą trzymał w ramionach niczym ukochane niemowlę, strasznie mu ciążyła. Teren wykopalisk już opustoszał. W podnóże pagórka wykopaliskowa łąda wietrzyła się ze wszystkimi drzwiami otwartymi na oścież, włączonym silnikiem i przekręconą do oporu starożytną klimatyzacją. Eva odparzała sobie tyłek na skajowej tapicerce z tyłu, a Jason ładował do bagażnika ostatnie skrzynki z narzędziami. Vasif opierał się łokciem o metalową ramę okna od strony kierowcy, a jego *squama frontalis* lśniła od potu. Na moje oko metal musiał mieć ze sto stopni. Jason trzasnął z całej siły klapą, odwrócił się i pomachał w naszym kierunku. Odpowiedziałem mu tym samym. Vasif wcisnął pedał gazu i łąda potoczyła się pylistą drogą.

– A teraz zagadka – mruknąłem. – Będziemy tu dzisiaj siedzieć do północy czy skończymy przed wschodem księżyca?

– Co mówisz, szefie? – spytała Marilles.

– Nic. A wracając do twojego pytania... o ile to w ogóle było pytanie. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego musimy tracić czas na idiotyczne i kompletnie bezużyteczne fotografowanie każdej pieprzonej blaszki. Niech no pomyślę. Może dlatego, że to polecenie szefowej?

Przeciagnałem się i rozprostowałem nogi. Kilka grudek ziemi oderwało się od ściany wykopu i poleciało mi za kołnierz. Chciałem je wytrząsnąć, ale udało mi się je tylko rozmazać na mokrych od potu plecach.

– Ty nie wiesz, dlaczego? – spytała Marilles.

– Ja tego nie muszę wiedzieć. Wy tak. Przynajmniej, dopóki nie zaliczycie wszystkich egzaminów i nie posadzicie waszych ślicznych pupek na ciepłych uniwersyteckich posadach. Wtedy będziecie mieć studentów od pamiętania takich rzeczy.

– Musimy mieć pełną dokumentację – wtrąciła Pola. Podeszła do krawędzi wykopu i całkowicie niezgodnie z zasa-

mi sztuki, usiadła na samym brzegu, spuszczając do środka nogi.

– Oczywiście, cholera. Patrzcie no państwo, zapomniałam – powiedziała z goryczą Marilles. Zgięta w pół na różowym wiaderku delikatnie podważała kolejną blaszkę krawędzią drewnianej łopatkii, takiej samej, jakiej większa część ludzkości, używa do gotowania.

Sięgnąłem po butelkę wody opartą o ścianę wykopu i z obrzydzeniem zarejestrowałem przeciągły syk, który wydobył się z szyjki po odkręceniu zakrętki, chociaż woda była bez gazu. Zajrzałem do środka, zakręciłem i odstawiłem.

– Nie czytasz kryminałów? – spytałem. – Nie wiesz, że trzeba wszystko zadokumentować, zanim się zabierze trupa?

– Ten trup ma trzy tysiące lat. Co najmniej. I leży w wykopie, który został już wcześniej rozjechany przez buldożer.

Podniosłem ręce do góry.

– Powiedz to szefowej. Ja tu tylko jestem od oglądania kości i pilnowania studentów, żeby po nocnych imprezach nie zasypiali w wykopie.

Marilles wytarła rogiem podkoszulka twarz.

– Ciekawe – powiedziała. – I tylko dlatego Pola cię tu ściągnęła?

– Coś w tym rodzaju. – Pola kiwnęła głową w kierunku robotnika, który postawił skrzynkę w pyle u jej stóp. – Mario, spójrz jeszcze na te kości, jeśli łaska. To z urny w A28/35.

– Nie mogę później? – Skrzywiłem się. – W domu?

Nie raczyła mi odpowiedzieć.

Pogrzebałem w skrzynce i wyciągnąłem z niej na chybił trafił trzy kawałki kości, żaden nie większy od pudełka zapalek.

– Dobra, ale pamiętaj księżniczko, że robię to tylko dla ciebie. Masz tu fragment górnej krawędzi lewego oczodołu z kawałkiem glabelli, część skalistą kości skroniowej i fragment kości potylicznej z guzowatością potyliczną zewnętrzną. Mówiąc językiem, który i ty możesz zrozumieć, moja śliczna, ten facet był

krępej budowy i miał masywną czaszkę, a kark jak byk. Taki starożytny paker, sama rozumiesz.

– Jesteś pewien? – Zabrała mi z ręki kości i włożyła je z powrotem do skrzynki.

– Absolutnie. Możesz dać to do publikacji. W tej właśnie formie.

Wydęła wargi, ale widać upał jej też odebrał ochotę do kłótni.

– Gdzie moja cola? – spytałem.

– Vasif już jedzie.

– Mam nadzieję, że tym razem uda mu się nie zgubić na tych polach. Jak na człowieka, który urodził się dwie wsie stąd ma naprawdę kiepską orientację w terenie.

Strasznie mnie swędziało między łopatkami. Podniosłem z ziemi szpatułkę, której Marilles używała do podważania blaszek, i podrapałem się po plecach. Zaszczypało jeszcze bardziej.

– A powiedziałaś mu, żeby wyciągnął puszki z głębi lodówki, a nie z brzegu?

– Nie. Ale zatrudniamy tu samych bystrych młodych ludzi. Powinien sobie poradzić.

Pola przysunęła zakurzoną plastikową skrzynkę, w której ustawione szeregiem, prężyły się papierowe torebki z zarejestrowanymi, sfotografowanymi i narysowanymi blaszkami. Wyciągnęła kawałek złota i położyła sobie na dłoni.

Podszedłem bliżej i stanąłem z boku.

– Ładna, nie?

Pola podniosła oczy.

– Ładna? – spytała.

– No, ładna – powtórzyłem. – A co? Nie podoba ci się?

– Wiesz co, Mario? To chyba największy banał, jaki słyszałam w tym roku. Ale nie ustawaj w wysiłkach. Mamy przecież dopiero lipiec.

– Cha, cha. – Obraziłem się.

– Dla ciebie ta blaszka jest po prostu ładna? Ładna?!

Problem z Polą polega na tym, że kiedy się nakręci, to nie może przestać.

– Przecież to sensacja. Najbardziej sensacyjne odkrycie archeologiczne roku, i to nie tylko na terenie Turcji, ale może i na całym świecie.

– No to trafisz na pierwsze strony gazet – burknąłem. – A mamy przecież dopiero lipiec.

Pola spojrzała na mnie z góry.

– Odpieprz się, dobrze?

– Do usług, madame. Ja zresztą i tak jestem tu tylko wyrobnikiem. Antropologiem. To taki facet od badania kości, wiesz? Który po robocie wraca do domu, bije żonę, żłopie piwsko i ściąga z internetu pornosy.

– A ty wiesz – westchnęła Pola – że czasami potrafisz być strasznie prymitywny?

– Taki już mój męski urok.

Marilles za naszymi plecami wstała i odrzuciła głowę do tyłu. W jej karku coś trzasnęło, jak zeschła gałąź.

Pola popatrzyła na nią, jakby dopiero teraz zauważyła jej obecność.

– Gdzie jest Ayça? – spytała.

Wyjąłem z jej ręki blaszkę, wsunąłem do torebki i starannie umieściłem we właściwym miejscu w pudełku.

– Mario! – Pola szturchnęła mnie w bok. – Czy ty jesteś głuchy? Pytałam, gdzie jest Ayça.

– Nie wiem – powiedziałem.

– Jak to nie wiesz?

– Normalnie. Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nie jestem jej ojcem. Zresztą może on też nie wie.

Przesunąłem skrzynki trochę dalej od krawędzi wykopu.

Pola złapała mnie za rękę.

– Ayça jest pod twoją opieką.

– Nie przesadzaj. Ona ma co najmniej dwadzieścia jeden lat.

Pola przesunęła dłonią po włosach.

– Mario do cholery, gadaj ze mną normalnie, bo zaraz zwariuję. Ayça jest twoją asystentką, pracuje z tobą od początku w tym wykopie. Dzisiaj rano tu była. Co się stało?

– Nie wiem – stwierdziłem. – Dzisiaj rano tu była. Teraz jej nie ma.

– Kurwa, nie dogadamy się! Sama się dowiem.

Pola wyszarpnęła komórkę z kieszeni obcisłych džinsów.

– Cholera, znów nie ma zasięgu.

Podniosła się.

Marilles ciężko usiadła na ziemi. Podniosła głowę i popatrzyła na Polę.

– Poczekaj – powiedziała. – Nie dzwoń do niej.

– A to dlaczego? – zdziwiła się Pola.

– Ona nie będzie z tobą rozmawiać.

Pola powoli przykucnęła na krawędzi wykopu i pochyliła się nad Marilles.

– Możesz mi powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Marilles wstała i otrzepała siedzenie spodni.

– Ona... Ayça już tu nie będzie pracować. Rodzice jej zabronili.

– Jak to: zabronili? Nagle? Przez dwa tygodnie jej pozwalali i właśnie teraz zabronili? Dzisiaj, w czasie przerwy obiadowej?

Marilles pokręciła głową.

– Oni nie wiedzieli, że Ayça tutaj pracuje. Myśleli, że znalazła sobie jakieś zajęcie na lato w Çanakale.

– Ale dlaczego ona im nic nie powiedziała?

Marilles spuściła wzrok.

– A możesz mi chociaż powiedzieć, dlaczego nie pozwalają jej tu pracować?

– Sama się zastanów – wtrąciłem się. – Szczątki ludzkie. Odkopujemy je, rysujemy, pakujemy do pudełek, wysyłamy do muzeum. Elementarny brak szacunku.

– Brak szacunku? Przecież nie karmimy nimi psów, do cholery!

– Nie drzyj się tak, bo za chwilę zwieją jeszcze robotnicy i zostaniemy tu sami. Dla tradycyjnej rodziny muzułmańskiej to brak szacunku. Dla ciebie to badania archeologiczne. Inny światopogląd, rozumiesz? Jesteś naukowcem, sama sobie wyciągnij wnioski.

– Dobra. Rozumiem. – Pola opuściła ręce. – Ayça nie musi odkopywać szkieletów. Może katalogować drobne znaleziska.

Podniosła do ucha telefon.

– Na tym cholernym wykopie nie ma zasięgu.

– Allaaaaaaaaa! – rozdarł się nagle muezin. Nawet z odległości ponad kilometra słyszał go było, jakby stał tuż obok. Głośnik na minarecie w Yeniköy strasznie chrząkał. Powinni się szarpnąć na nowy.

Popatrzyłem na kłęb kurzu zbliżający się połą drogą.

– Wraca Vasif.

Pola podniosła głowę.

– Tak szybko? To znaczy, że jednak się zgubił...

Urwała. Muezin nagle ucichł i słyszał było tylko szum wiatru.

– To nie jest Vasif – powiedziałem po chwili. – Vasif zazwyczaj nie jeździ...

Gołębioszara limuzyna była długa, obła i bardzo czysta. Zatrzymała się u podnóża pagórka. Kurz powoli opadł. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem z limuzyny wyskoczył kierowca, obiegł pojazd dokoła i otworzył drzwi od strony pasażera.

Wypuściłem powietrze z płuc. Żeby nie było nieporozumień: zdarzyło mi się już parę razy w życiu widzieć luksusowe auto. Ale raczej w mieście, jeszcze nigdy na takim zadupiu.

Facet, który wysiadł z limuzyny, miał na sobie doskonale skrojony letni garnitur. Cenę samego krawata szacowałem na jakieś trzy czwarte moich rocznych dochodów. Jego buty lśniły radośnie w promieniach palącego słońca.

Staliśmy tak i gapiliśmy się, a facet w garniturze, za który mogłbym kupić całkiem przyzwoity, choć używany samochód,

zaczął się wspinać na szczyt pagórka. Przysięgam, że nie widziałem na jego twarzy nawet jednej kropli potu.

– To cyborg – szepnęła za moimi plecami Marilles.

– No. – Kiwnąłem głową. – Jak Arnold w *Terminatorze*.

– Nie, raczej jak Rutger Hauer w *Łowcy robotów*. Też miał jasne włosy i taką kwadratową szczękę...

– No, albo Data ze *Star Treka*. Też miał taką nieruchomą gębę.

– Cicho! Idzie tu!

But Poli znajdował się dokładnie na wysokości moich nerek i tam właśnie wylądował. Więc się zamknąłem.

– Nie chcę, żeby zobaczył...

Zerwała się z ziemi, otrzepała zakurzone dżinsy i zrobiła kilka kroków w kierunku Przybysza z Obcych Stron. Wygramoliłem się z wykopu i poszedłem za nią.

– Doktor Mor, Profesorze Jebl. – Alien wyciągnął rękę. Z trudem pohamowałem odruch wytarcia mojej najpierw w spodnie. – Jestem Howard Griffin.

Jego czaszka była prawie idealnie symetryczna, zjawisko, które właściwie w przyrodzie nie występuje. Miał wszystkie cechy diagnostyczne dla płci męskiej. Innymi słowy: tak przystojnego faceta jeszcze wcześniej na żywo nie widziałem. Zawsze myślałem, że do stworzenia czegoś takiego potrzeba nie zygoty, tylko photoshopa.

– Witamy, panie Griffin. – Pola robiła wszystko, żeby zachować powagę, i nawet nieźle jej to wychodziło. – Co pana do nas sprowadza?

– Marzyłem, żeby panią poznać, doktor Mor. I pana oczywiście też, profesorze Jebl.

– Ybl – poprawiłem go.

Nawet na mnie nie spojrział. Oczy o barwie i z pewnością także właściwościach technicznych diamentów świdrowały Polę.

Pola posłała mu swój najbardziej czarujący uśmiech. Uciekaj, pomyślałem. Po co ci to, kolego? Wsiadaj do swojej limuzyny i spieprzaj, nie oglądając się za siebie. Póki jeszcze możesz.

– Cieszę się, że pana marzenie się spełniło. A teraz, o ile nie ma pan innych marzeń, pozwoli pan, że się pożegnamy. Mamy sporo pracy.

Pola wyciągnęła do niego rękę, która Griffin niespodziewanie podniósł do ust i pocałował. Na twarzy Poli odmalowała się rozterka, czy ma go wałnąć lewym prostym w żołądek, czy zacząć uroczo chichotać.

– Doktor Mor. – Griffin podniósł głowę i znowu zatopił wzrok w oczach Poli. – Naprawdę cieszę się, że mogłem tu przyjechać. To niezwykle widok, państwo przy pracy, dokonujący w mozole wiekopomnych odkryć, które niewątpliwie zapiszą się na kartach światowej nauki. To, w jaki sposób każdym ruchem łopaty odsłanianie przeszłość i nasze wspólne kulturowe dziedzictwo...

– Panie Griffin – powiedziała Pola wolno – zostawmy może ten temat.

– Dlaczego? Wiem, że to dla państwa chleb codzienny, ale dla mnie...

– Ponieważ nie ma pan o tym zielonego pojęcia i to, co pan mówi, brzmi strasznie głupio.

Opuściłem głowę i przyjrzałem się badawczo swoim brudnym butom.

Griffin spoważniał.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział. – Ponieważ była pani zbyt zajęta, żeby rozmawiać przez telefon, jestem tu osobiście.

– A – zajarzyłem. – Więc to pan jest tym palan... tym facetem, który dzwonił dzisiaj rano.

Skinął lekko głową w moją stronę.

– Rano dzwonił pan z Ameryki, a po południu jest pan na zachodnim wybrzeżu Turcji. No, no. To chyba cud, nie? O ile mi wiadomo, concordy już nie latają.

Chociaż nie dam głowy, czy facet nie ma jednego w prywatnym garażu.

– Dzwoniłem z samolotu.

– Z samolotu?

– Tak, profesorze Jebl. Skorzystałem z urządzenia, które nazywa się telefon satelitarny. Może kiedyś miał pan okazję zetknąć się z czymś takim.

Zlekceważyłem gejzer jego dowcipu.

– Ybl. A jakim cudem dostał się pan tu tak szybko z Istambułu? To sześć godzin jazdy.

– Wylądowałem w Çanakkale. To tylko pół godziny jazdy.

– Ale w Çanakkale nie lądują samoloty międzynarodowych linii.

– Mój tak.

Hmmm.

– No dobrze – ustąpiła Pola – niech będzie. Przyleciał pan aż z Ameryki prywatnym samolotem, żeby zawracać mi głowę na wykopaliskach. Mam nadzieję, że ma pan naprawdę ważny powód.

– Mam. Przekona się pani.

Pola rozejrzała się dokoła. Podążyłem za jej wzrokiem. Marilles wróciła do pracy przy szkielecie, ale byłem gotów założyć się o równowartość skarpetek Griffina, że nastawia uszy, jak najczulsze anteny programu SETI.

– Mam nadzieję – powiedziała Pola. – W porządku. Usiądę z panem na pół godziny.

– Pola! – Pociągnąłem ją za łokieć. – Już prawie szósta, a mamy jeszcze...

– Doktor Mor – przerwał mi Griffin. – Chciałbym otrzymać więcej pani uwagi, niż może mi pani poświęcić tutaj, w tej temperaturze i w tych warunkach.

Obrzucił krótkim, ale wiele mówiącym spojrzeniem plastikowe kontenerki po coca-coli, robiące za taborety nad brzegiem wykopu.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – stwierdziła Pola tonem, od którego temperatura spadła nagle o kilkanaście stopni, zupełnie jak na tym filmie, kiedy piloci zamarzają w powietrzu i spadają z helikopterem, i...

– ...w hotelu Tusan w Güzelyalı. Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani przyjąć dzisiaj moje zaproszenie na kolację.

– Dziś wieczorem jestem zajęta.

– Wobec tego jutro. Będzie mi miło, jeśli zechce pan do nas dołączyć, profesorze Jebl.

– Ybl.

– Jutro też – powiedziała Pola. – Podobnie jak pojutrze, pojutrze oraz do końca całego sezonu wykopaliskowego.

– Czy jutro o wpół do ósmej będzie pani odpowiadać? Przyślę po panią samochód.

– A jakiej marki jest pana limuzyna? – nie wytrzymałem i zapytałem.

Pola rzuciła mi groźne spojrzenie.

– Maybach – odpowiedział spokojnie Griffin. – Model 62. Trzeba na niego czekać kilka miesięcy, ale warto. Gdyby był pan zainteresowany kupnem, proszę dać mi znać, mógłbym szepnąć słówko dyrektorowi koncernu.

– Och, naprawdę? – Ucieszyłem się. – Panie Griffin, nie wiem, jak mam panu dziękować.

Pola kopnęła mnie boleśnie swoim ciężkim buciorem w kostkę.

– Panie Griffin.

Uniosła głowę, skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała mu prosto w oczy. Na szyi miała czarne pasy kurzu, a na nosie kropelki potu.

– Panie Griffin – powtórzyła Pola. – Jesteśmy tu wszyscy bardzo zajęci i nie możemy poświęcić panu czasu, o który pan prosi. Po krótkim zastanowieniu dochodzę do wniosku, że w ogóle nie mogę poświęcić panu czasu. Nawet pięciu minut. Więc proszę się pożegnać i zniknąć. Teraz.

Bardzo chciałem zobaczyć, jak facet, dla którego nawet lotnisko w Çanakkale nagina swoje przepisy, reaguje na niegrzeczną odmowę. Ale nic nie zobaczyłem. Howard Griffin tylko się uśmiechnął.

– Doktor Mor. – Zrobił krok naprzód i ujął Polę za rękę. – Myślę, że nie chce się pani ze mną spotkać, ponieważ nie wie pani, co mam do powiedzenia. Wierzę, że zmieni pani stanowisko, kiedy pozwoli mi pani wyjaśnić, o co chodzi.

– Wątpię – powiedziała lodowato Pola.

– A ja, ani przez chwilę.

– Jeśli ma pan kłopoty ze słuchem, Pola chętnie powtórzy jeszcze raz – wtrąciłem. – Wystarczy ładnie poprosić.

Na twarzy cyborga nie drgnął żaden mięsień. Griffin wsunął dłoń za klapę swojego nieskazitelnego garnituru i wyjął wizytówkę. Na marynarce nie pojawiło się żadne wybrzuszenie. Poprosiłbym go o adres krawca, gdybym się nie obawiał, że będę musiał wystąpić o grant komisji europejskiej, żeby móc zamówić sobie chociażby parę takiej jakości kałesonów.

– Proszę na to spojrzeć.

Pola nie zareagowała i stała nadal z rękami założonymi na piersiach. Griffin odwrócił się i popatrzył na mnie, ale ja wzruszyłem tylko ramionami. Niech sobie radzi sam.

Griffin pozwolił cieniowi irytacji przemknąć po swojej twarzy, ale trwało to tylko ułamek sekundy.

– Dostałem pani numer od profesora... – Zerknął na kartonik. – Profesora Hubera.

Pola wzięła głęboki wdech i oblizała wargi.

– Bardzo się cieszę. I co z tego?

– Sugerował, że zajmie się pani mną w odpowiedni sposób. Może na początek mogłaby mnie pani oprowadzić po wykopaliskach. Państwa praca jest taka fascynująca.

Rozłożył ramiona. Może liczył na to, że rzucimy mu się w objęcia.

Pola spojrzała w niebo, potem w ziemię. Nie doczekała się odpowiedzi, więc zerknęła na mnie. Udałem, że oglądam limuzynę Griffina.

– Panie Griffin, z całym szacunkiem...

Jej głos był zmęczony.

– Cieszę się, że profesor Huber wspomniał panu o mnie. Ale...

– Myślę, że powinieneś stąd już spadać, kolego – powiedziałem.

Pola odwróciła głowę w moją stronę. Otworzyła szeroko oczy. I usta. Za to Griffin nawet nie drgnął.

– Widzisz, że dziewczyna jest zmęczona. Wszyscy mamy za sobą ciężki dzień. Wypadałoby okazać trochę szacunku.

– Mario!

– Ludzie tu pracują. W pocie czoła. Bez klimatyzacji, limuzyn i jak sam pan widzi, także bez eleganckich garniturów. Za to od rana do nocy. Nie można tak wpadać bez uprzedzenia i przeszkadzać. To nieładnie.

– Mario, do cholery!

Pola złapała Griffina za ramię i odciągnęła na bok.

– Proszę wybaczyć, ale pożegnam się już z panem. Miło było mi pana poznać.

Wyciągnęła z wahaniem rękę.

– Czy to znaczy, że nie mogę liczyć na pani czas?

Pola wzruszyła ramionami.

– Do widzenia, panie Griffin.

Ucałował jeszcze raz dłoń Poli, nadał twarzy wyraz smutnego spaniela i obrócił się na pięcie.

– Strzałka! – zawołałem za nim. Nie chciałem być niegrzeczny. Nawet nie spojrzał w moją stronę.

Rozdział 5

Wiesz, w której wynajmowaliśmy dom, była mała i śmierdziała końskim łajnem. Trudno powiedzieć, czy istniał tu jakiś plan zabudowy, bo domy odwracały się tyłem od głównej drogi wiodącej prosto do szlabanu i budki strażnika, które strzegły wjazdu do Troi. Od tej strony, za małym placikiem, gdzie podczas najbardziej upalnych godzin rozkładali swoje stragany sprzedawcy pamiątek, przy drodze przycupnęły dwa hoteliki wraz z knajpami. Z pewnością miały jakieś nazwy, ale nikt nie wiedział jakie, i oba przybytki funkcjonowały pod imionami ich właścicieli: Urana i Mustafy. Dla mnie stanowiły przede wszystkim źródło lodowatego piwa, chociaż ceny były obliczone raczej dla turystów, nie na kieszeń naukowych szaraczków.

Od placyku z pamiątkami odchodziła mniej więcej prostopadle kolejna ulica, która kilkadziesiąt metrów dalej rozszerzała się nagle na ostrym zakręcie, służąc za wiejskie centrum, z obowiązkowym *çayhane* w budynku, który wyglądał jak opuszczona szkoła lub zakład karny. Dalej droga biegła prosto do meczetu, mijając mały sklepik i nasz dom. I to było już właściwie wszystko. Od głównej arterii odbijały jeszcze dwie czy trzy boczne uliczki, ale większość z nich prowadziła do zagród z kozami. Miejscowa architektura była silnie zdominowana przez szare, betonowe pustaki, kanciaste słupy i sterzące z dachów druty, chociaż tu i ówdzie zdarzały się komórki kryte strzechą. Tylko meczet i *çayhane* wyglądały, jakby je co roku odnawiano, za każdym razem w cukierkowych kolorach, których widok przyprawiał o ból zębów. Nawet gdybym się starał, nie zdołałbym znaleźć kwatery w bardziej przygnębiającym miejscu.

Byłem prawdziwym dżentelmenem. Najpierw otworzyłem przed nią drzwiczki samochodu. Później przepuściłem ją w drzwiach przesłoniętych poobrywanymi paskami we wszystkich kolorach tęczy. Szedłem za nią wąskimi schodami, pnącymi się między filarami z nieotynkowanych pustaków, które utrzymywały ciężar pierwszego piętra wbrew prawom fizyki. Na górze jeszcze raz pokazałem się od najlepszej strony i nacisnąłem przed Polą klamkę plastikowych drzwi. Ze stertą dokumentów, które musiała przytrzymywać brodą, i torbą z narzędziami przyciśniętą do podołka, prześlizgnęła się między mną a framugą.

Poszedłem prosto do mojej klitki i zwałem plecak na podłogę. Wyciągnąłem spod łóżka walizkę, która służyła mi za szafę, a z niej podkoszulek. Obejrzałem go pod światło. Nie był za czysty, ale lepszego nie miałem. Rzuciłem go na niezaścielone łóżko, uchyliłem drzwi i ostrożnie wystawiłem głowę na korytarz.

W swoim pokoju Pola szurała krzesłem po podłodze i trzaskała szufladami. Zostawiłem brudne łachy na kamiennej posadzce i owinąłem się ręcznikiem. Wyszedłem na korytarz, prześlizgnąłem się koło haftowanego gobelinu z upiornym pawiem, który w słabym świetle już parę razy przyprawił mnie o stan przedzawałowy, i zakradłem się do łazienki. Jej ściany pokrywały błyszczące płytki w różowe flamingi, o niespotykanych chyba u przedstawicieli tego gatunku czarnych, przenikliwych oczach. Wystrój uzupełniała ręcznie dziergana szydełkiem, utrzymana w tej samej tonacji narzutka na klapę do sedesu i dywanik pod wanną, do kompletu. Nawet skrzypiąca przy otwieraniu szafka z lustrem i wieszak na papier toaletowy zostały dobrane kolorystycznie pod flamingi. Całkiem jak w domu.

Wszedłem pod prysznic, odkręciłem do oporu pokryty wapienym osadem kran, i bez najmniejszych wyrzutów sumienia wyłałem na siebie resztkę ciepłej wody. Stałem bez ruchu, aż strumienie biczące moją skórę zrobiły się lodowate. Wyszedłem, zacisnąłem kurek najmocniej, jak się dało, krople nadal ryły w dnie brodzika rdzawą smugę, której koniec znikał w odpływie.

Owinałem się ręcznikiem, strząsałem palcami wodę z włosów i przejrzałem się w zaparowanym lustrze, pod bacznym spojrzeniem flamingów. To, co zobaczyłem, niezbyt mi się spodobało, więc dałem sobie spokój, i, starając się nie plaskać o podłogę mokrymi stopami, poszedłem do kuchni. Stoczyłem krótką walkę z przymarznąętą klapą zamrażalnika i wyszedłem z niej zwycięsko unosząc tryumfalnie mój oszroniony łup.

Drzwi od pokoju Poli otworzyły się, kiedy byłem w połowie korytarza. Pola popatrzyła na mój ręcznik, ślady bosych stop na posadzce i krople skapujące z butelki.

– Już po pracy – powiedziałem, podnosząc ręce do góry.

Natychmiast je opuściłem. Ręcznik mi opadał.

– Po pracy. A poza tym to tylko jedno piwo.

Pola cofnęła się do swojego pokoju i zatrasnęła drzwi.

Poszedłem do siebie. Rzuciłem się na łóżko i nie podnosząc głowy, wyciągnąłem szufladę rozpadającej się szafki nocnej. Namacałem w niej scyzoryk. Otworzyłem piwo i dopiero wtedy zdecydowałem się na wysiłek uniesienia się na łokciu, żeby nie rozlać cennych kropli na poduszkę.

Poleżałem trochę, a później skończyło się piwo i uznałem, że czas się zbierać.

Usiadłem ciężko na łóżku i wrzuciłem scyzoryk do szuflady. Spróbowałem ją zamknąć jedną ręką, ale się zacięła. Dźwignąłem się z łóżka. Na prześcieradle odbił się wilgotny ślad ręcznika. Naciągnąłem podkoszulek, zdjąłem spodnie z gwoździa na drzwiach i zacząłem szukać skarpetek. Znalazłem jedną parę pod łóżkiem. Otrzeptałem je z kurzu i uznałem, że mogą być.

Założyłem buty i wyszedłem na korytarz. Drzwi Poli były zamknięte. Podeszedłem cicho i nachyliłem się nad klamką. Usłyszałem tylko wyszeptane przez zasmarkany nos „kurwa”. Oddaliłem się równie cicho, jak przyszedłem. Wślizgnąłem się do kuchni, wyciągnąłem z lodówki kolejne piwo, usiadłem na taborecie pod oknem i czekałem. Musiałem się upić, zanim zajdzie słońce.

Rozdział 6

Wspominałem już, że archeologia jest nudna? Ale archeolodzy, to są dopiero nudziarze. I nie mają poczucia humoru.

Od razu przy drzwiach potknąłem się o krzesło. Jego nogi zazgrzytały na kamiennej posadzce. Ktoś syknął. Ruszyłem dalej, lecz na drodze wyrosło kolejne krzesło, a później jeszcze jedno. Po co im tyle tych krzesel, do kurwy nędzy!

Sykających było już dwóch albo trzech, ale nie mogłem ich dojrzeć, bo jedynym oświetleniem pomieszczenia był blask z ekranu laptopa. Dałem sobie spokój z przepychaniem się, usiadłem na brzegu jednego z tych cholernych krzesel i spróbowałem się skupić. Trochę mi przeszkadzały szkielety węży zawieszane na rozciągniętym między filarami sznurku, w tym świetle wyglądały, jak blade, smętne kondomy.

– Poliksena? Chyba żartujesz.

W ciemności zaskrzypiał stary fotel. Wydał taki odgłos, że ktokolwiek na nim siedział, nie powinien wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Ja też nie powinienem, bo chciało mi się rzygać. Powoli podniosłem rękę i otarłem spocony kark.

W sinym blasku ekranu, stare, metalowe regały, wyładowane segregatorami pochodzącymi jeszcze sprzed epoki digitalizacji danych i otulone postrzępioną na brzegach płachtą folii, wyglądały jak zwłoki owinięte całunem. Pod ścianami czały się zsunięte razem na okoliczność seminarium wielkie drewniane biurka. Na stole między filarami połyskiwały błękitną bielą leżące bezładnie czaszki zwierząt, na oko głównie drobnych gryzoni, pozostałość po archeozoologach, którzy zrobili swoje i wyjechali. Szczęściarze. Z cienia po drugiej stronie pomieszczenia przyglądał mi się Schliemann w surducie o wiele za ciepłym na

tę pogodę. W brzuchu miał okrągłą dziurę, jakby ktoś próbował przebić jego portret kołkiem na wampiry.

Wieczór, jeśli to w ogóle możliwe, był jeszcze gorszy niż dzień. Po zachodzie słońca zdechł palący wiatr i przez okna wpadały tylko ćmy. Powietrze w pokoju było nieruchome i gęste. Wszyscy wyglądali, jakby już do tego przywykli. Pocili się w milczeniu, nikt nie wzdychał, nikt nie wachlował się notesem, nikt nie wyciągał z kieszeni małych wiatraczków na baterie ze sklepów z chińską tandetą w Çanakkale. Wszyscy słuchali uważnie, tylko Vasif pod oknem siedział z rękami założonymi na piersiach i pochyloną głową. Wyglądał, jakby drzemał, i pewnie tak właśnie było.

A ja miałem w lodówce jeszcze pięć butelek. Pięć z dziesięciu, tyle mi zostało, żeby dokończyć tak przyjemnie rozpoczęty wieczór. Pięć lodowatych, oszronionych flaszek. Czekwały tam na mnie, a ja tęskniłem za nimi jak głupi i miałem nadzieję, że nasza rozłąka nie potrwa długo.

– No, to jest oczywiście tylko wstępna hipoteza.

Pola przestąpiła z nogi na nogę i zgarnęła w nierówny stos leżące przed nią na stole kartki. Jej szyję otaczał granatowy owal opalenizny, na rękach ciemna skóra zaczynała się trochę nad łokciem, ale ramiona, przecięte tylko paskami połyskującej neonowo sukienki, były w tym świetle jasnoblękitne. Przypomniałem sobie, jakie to ładne ramiona, kiedy nic na nich nie ma.

– Dopiero dzisiaj ją znaleźliśmy. Potrzebujemy jeszcze sporo czasu na badania. Ale musicie przyznać, że to bardzo atrakcyjna hipoteza.

Uśmiechnęła się. Jej zęby zajarzyły się niebiesko.

Za moimi plecami, ciężkie, metalowe, drzwi znowu uchyliły się ze zgrzytem. Miło wiedzieć, że nie byłem jedynym spóźnialskim. Pochyliłem się do przodu i oparłem czołem o obudowę archaicznego komputera z wczesnych lat dziewięćdziesiątych.

Fotel zaskrzypiał znowu.

– Czy możesz cofnąć jeden slajd? Ten ze zbliżeniem na blaszki?

Pola pochyliła się nad komputerem.

– Ten?

– Tak, dziękuję.

Z fotela podniósł się Frank Huber.

Zogniskowałem na nim wzrok, z trudem.

Włosi w Piemencie mają takie powiedzenie: *ma gavte la nata*, wyciągnij korek. W domyśle: z tyłka. Nie jestem aż takim światowcem, znalazłem to w jednej z książek Umberta Eco, a wspominał tutaj tylko po to, żeby się pochwalić, jaki jestem czytany. W piemonckim wydaniu to powiedzonko odnosi się podobno do nadętych bufonów, ale Frank potraktował je dosłownie. Skóra na jego twarzoczaszce zwisała z *os zygomaticum*, tworząc wory pod oczami i policzki buldoga. Luźne fałdy u nasady szyi ginęły pod kołnierzykiem błękitnej, zapiętej na wszystkie guziki i – przysięgam! – wyprasowanej koszuli. Frank wyglądał, jakby ktoś wsadził go w skórę o trzy numery za dużą. W świetle padającym z ekranu przypominał nieboszczyka wyłowionego po tygodniu z wody.

Nasunął na nos okulary i pochylił się do przodu.

– To motyl? – spytał.

– Tak mi się wydaje. – Pola podniosła głowę. – Jak wszyscy doskonale wiecie, w epoce brązu motyl był uważany za symbol duszy. Ten motyw pojawia się w wielu regionach: w Egipcie, w Egei. Fakt, że w ten sposób ozdobiono przypuszczalnie szatę zmarłej, wydaje się naturalny i pasuje do mojej interpretacji, a zatem...

– Poliksena to mit – przerwał jej Frank. Zakaszał. Zdjął okulary i trzymał je w dwóch palcach na wysokości nosa.

– Oczywiście, zgadzam się z tobą całkowicie – powiedziała Pola. – Jasne, że Poliksena to mit. Wojna trojańska to mit. Porwanie Heleny ze Sparty to też mit. Ale ty jesteś kierownikiem wykopalisk w Troi i sam powinieneś chyba wiedzieć najlepiej,

że są elementy tego mitu, które można archeologicznie potwierdzić. Przecież jeszcze sto lat temu wszyscy uważali, że Troja to też mit.

Frank dotknął guzików przy mankietach, jakby chciał sprawdzić, czy na pewno są zapięte. Były.

– Nie możesz w ten sposób argumentować – orzekł. – To jest interpretacja na skróty.

– No dobrze. – Pola potrząsnęła głową. – Może i na skróty. Powiedziałam przecież, że to hipoteza robocza. Ale powiedz mi szczerze, Frank, znasz jakąś inną postać historyczną, która lepiej by tutaj pasowała?

– Poliksena to nie jest postać historyczna.

Frank wykonał kilka wielkich kroków. Unosząc do góry kolaną jak bocian na łące, przecisnął się między krzesłami i stanął koło Poli.

– Poliksena to postać mityczna. Najmłodsza córka mitycznego króla Priama, branka mitycznego wodza Achillesa, złożona w ofierze na jego grobie przez równie mitycznego Neoptolemosa. Nie możesz traktować mitów dosłownie. To niewybaczalny błąd naukowy.

– Nie przesadzajmy – wtrąciła Marilles.

Siedziała bokiem, a światło z ekranu odbijało się w małym brylanciku w jej nosie. Przesunęła się na krzesło i odgarnęła ufarbowane na fioletowo dredy na jedno ramię. Spod ramiączek podkoszulka widać było tatuaż na łopatce. Chyba węża i jabłko, z tej odległości nie byłam pewny.

– A ja myślę, że Pola wcale nie traktuje mitu dosłownie. Sama przecież powiedziała, że to robocza hipoteza.

Mervyn pochylił się szepnął jej coś do ucha. Potrząsnął głową i dwa zajączki odbite od szkła jego okularów zaczęły się gonić po ścianie.

– To jest niezgodne z metodologią – upierał się Frank.

– Myślę, że nie zaszkodziłoby nam trochę odstąpić od tej twojej metodologii – powiedziała Pola. – Przecież to tylko hipo-

teza. Taka atrakcyjna teoryjka, która w oczach szerszej publiczności może trochę ubarwić nudne naukowe odkrycia. I która może pomóc nam zdobyć fundusze na te wykopaliska. Nie sądzisz?

Frank sapnął. Bardzo przypominało to dźwięk, jaki wydaje buldog, zanim odgryzie komuś rękę.

– W zeszłym roku musieliśmy wstrzymać badania, bo komisja nie chciała przyznać nam grantu. W tym roku projekt przeszedł, ale z wielkim trudem – mówiła dalej Pola. – Nie wiadomo, co będzie dalej. Gdyby udało nam się trochę nagłośnić to odkrycie i nawiązać zgrabnie do mitologii, zainteresowałyby się nami media. O wiele łatwiej jest znaleźć sponsorów, kiedy...

– Zrobiłaś to? Zadzwoiłaś już do prasy? – Melinda zerwała się na równe nogi, a jej włosy, brązowe i miękkie jak płynna czekolada w reklamach telewizyjnych, opływające krótkogłową czaszkę, opadły na jedno ramię. Melinda należała do tych kobiet, na które chyba mówi się „lalunia”. Skrzyżowała ręce na gorsie sukienki w małe, różowe kwiatuszki.

– Nie, ja tylko...

Pola potarła oczy. W błękitnym świetle widać było wokół nich ciemne cienie.

– Co „ty tylko”? Co „tylko”? Frank jest wybitnym naukowcem. Wybitnym, jasne? Takim, o którym już teraz piszą w podręcznikach archeologii. A w zeszłym roku były cięcia budżetowe, wiesz o tym doskonale. Za to w tym roku Frank był pierwszy na liście. I tylko dzięki niemu znowu tu jesteśmy. Ty też.

Melinda powiodła wzrokiem po spoconych twarzach.

– Nie możesz przyjąć kilku słów krytyki od profesora, który sam nauczył cię wszystkiego, co umiesz, bo ci się wydaje, że pozjadałaś wszystkie rozumy, co?

– Kotek, nie tak ostro – Robert pociągnął ją za spódnicę.

– W porządku – powiedziała Pola zmęczonym głosem.

– W porządku? Co w porządku? – Nastroszyła się czekoladowa lalunia. – Istnieją pewne zasady pracy naukowej. Mam ci przypomnieć? Staranna dokumentacja faktów, hipotezy formułowane z zastosowaniem ogólnie przyjętej metodyki. I dla twojej wiadomości, to nie jest „ta Franka metodologia”. To są ogólnie przyjęte...

Frank przypominał buldoga, ale Melinda była jak pinczerek. Taki mały piesek, podobny do szczura, co jak raz złapie, to nie puści, chyba że mu się da porządnego kopa.

– Kotek, siadaj.

Nigdy nie przestało mnie zadziwiać, w jaki sposób luksusowa lalunia, z tymi swoimi sukieneczkami, tymi swoimi pantofelkami, z których zawsze wyglądały starannie pomalowane paznokcie, i z tymi swoimi humorami, może być żoną faceta o wyglądzie wiejskiego głupka. Robert, od kiedy go znam, a będzie już ładnych parę lat, starannie ten wygląd pielęgnował. Włosy koloru słomy strzygł na pazia, kąty zuchwy zawsze miał niedogolone, i raz za razem podciągał pasek przykrótkich spodni na coraz większym, w miarę upływu lat, brzuchu. Robert w ogóle miał dużo uciechy z nabierania ludzi. Jaką uciechę miała z tego Melinda, trudno powiedzieć, ale Boże uchowaj, żebym miał zgłębiać tajniki jej duszy, kryjącej się pod kwiecistymi sukienkami, czy gdziekolwiek ją miała.

Melinda sapnęła cicho i wyszarpnęła fałdy sukienki z ręki Roberta.

– Metodologia pracy naukowej, a nie szukanie sensacji za wszelką cenę. Archeolog powinien publikować swoje odkrycia w naukowych czasopismach, a nie w brukowcach.

Wygladziła materiał na udach, z rozmachem usiadła na krześle i schyliła się po luźne kartki, które wysunęły się z segregatora. Podniosła go i próbowała wcisnąć między inne, upchnięte na półce.

– Uważam, że powinnaś przeprosić Franka.

– Chętnie, jeśli mi tylko powiesz, za co. Nic się nie stało.

– Jednak się stało.

– Uspokójcie się – powiedziała Marilles. Poprawiła na sobie podkoszulek, zasłaniając pół jabłka i całego węża. O ile to był wąż. A nie, na przykład, robak w jabłku.

Robert wstał i przytrzymał żonie wyslizgujące się foldery.

– Melinda. – Frank odchrząknął. – Już dobrze. W porządku. Naprawdę nic się nie stało.

– Możesz zapalić światło, Peter. – Pola kiwnęła głową do chudzielca w czarnym podkoszulku, który siedział tuż przy drzwiach.

Peter wyciągnął rękę i pstryknął włącznikiem. Oślepiły mnie dwie setki zawieszone na gołych drutach.

– Gratuluję, Mario.

Robert Wasener opadł z rozmachem na krzesło obok i wałnął mnie w plecy tak, że omal nie zleciałem na podłogę. Kątem oka zobaczyłem, że szykuje się do kolejnego ciosu, więc uchyliłem się i przytrzymałem oparcia przede mną.

– Zajebista robota. Całkiem, jak za tych cholernych, starych, dobrych czasów, co? Zawsze się zastanawiałem, czy nie tęsknisz czasem za...

– Nie – odpowiedziałem. Zakaszałem i lekko beknąłem.

– *Brava! Brava*, doktor Mor! Świetne wystąpienie! *Bravissima!* Jakiś palant za nami zaczął klaskać. Ostrożnie pochyliłem się trochę do przodu i obróciłem głowę.

To był Griffin.

Siedział sobie jakby nigdy nic, z nogą na nodze, a między skarpetką a idealnie zaprasowanym kaniem spodni od letniego garnituru nie wystawał mu nawet najmniejszy kawałek włoskiej skóry. Poklaskał jeszcze trochę, a potem podniósł rękę i dał znak, żebyśmy sobie nie przeszkadzali.

Pola spojrzała na niego i otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo Frank runął do przodu, przepychając się.

– Panie Griffin! – zawołał. – Tak się cieszę, że udało się panu do nas dołączyć.

Dotarł do Griffina i zaczął energicznie potrząsać jego dłonią. Griffin znosił to jak prawdziwy mężczyzna.

– Moi drodzy – Frank podniósł głos – mamy gościa. Chciałbym wam przedstawić...

Odchyliłem się do tyłu. Bolały mnie mięśnie karku. Griffin energicznie obciągnął marynarkę i zdecydowanym ruchem poprawił krawat. Wyglądał tak ślicznie, że można go było schrupać.

– Proszę mi pozwolić, profesorze Huber. – Obdarzył nas uśmiechem. Jego dentysta z pewnością umieścił co najmniej piątkę swoich dzieci na prywatnych uczelniach. – Proszę państwa, nazywam się Howard Griffin. Jestem biznesmenem i wielkim pasjonatem archeologii. I ogromnie się cieszę, że jestem tu dzisiaj z państwem.

Oderwałem wzrok od jego krawata i popatrzyłem na Polę. Stała za biurkiem i wpatrywała się w drewniany blat, z którego oblażyła ciemnozielona farba. Kłykcie jej palców, zaciśniętych na krawędzi stołu, były białe.

– Przede wszystkim chciałem podziękować za tę możliwość – mówił Griffin. – To dla mnie wielki zaszczyt, że zaprosiliście mnie do swojego grona. Pragnę wyrazić moje uznanie. Oraz zazdrość. Wasza pasja jest porywająca, a osiągnięcia znane w całym naukowym świecie. Oczywiście, ja nie należę do tego grona, ale już po dzisiejszej krótkiej wizycie jestem pod wielkim wrażeniem waszej wiedzy i fachowości.

Pola zamrugwała. Ja chrząknąłem. Griffin nie zaszczycił spojrzeniem żadnego z nas.

Robert pochylił się do mnie.

– Kto go zaprosił? – wyszeptał.

Wzruszyłem ramionami.

Griffin mówił dalej.

– Muszę wyznać, że chociaż zawodowo zajmuję się czym zupełnie innym, w dzieciństwie chciałem zostać archeologiem.

– Jak każdy – mruknąłem.

– Od lat staram się, w miarę moich skromnych możliwości, śledzić na bieżąco odkrycia z tej dziedziny, prenumeruję także kilka pism. Oczywiście mówię to po to, żeby się przed państwem pochwalić.

Uśmiechnął się tak uroczo, że omal tego nie odwzajemniłem.

– Osobiście uważam to za skandal, żeby tak dobrze prowadzone i tak ważne naukowo wykopaliska nie miały odpowiedniego zaplecza. Ale rozumiem ograniczenia finansowe uniwersytetów. I dlatego tu jestem, gotów przyjąć z wszelką możliwą pomocą.

Przerwał i spojrzał na Polę. Robert wiercił się na krześle, jakby dokuczały mu owsiki.

Frank odchrząknął.

– Pan Griffin skontaktował się ze mną i zaofiarował wsparcie finansowe dla naszych wykopalisk. Nie omówiliśmy jeszcze szczegółów, ale chciałbym już teraz wyrazić ogromną wdzięczność w imieniu nas wszystkich.

Griffin podniósł rękę w uniwersalnym, międzynarodowym geście „ależ to doprawdy drobiazg”.

– Panie Griffin, może pozwoli pan, że przedstawię teraz członków naszej ekipy.

Pociągnął go za sobą do przodu, w stronę stołu, przy którym stała Pola. Musiałem przechylić się w bok, bo widok zasłaniał mi ohydny ceramiczny wazon, w który ktoś, nie wiadomo po co, wsadził dwie plastikowe róże, białą i czerwoną, kilka zeschniętych tataraków i garść cienkich kolorowych patyków.

– Panie Griffin, przedstawiam panu doktor Polę Mor. Doktor Mor kieruje badaniami na całym odcinku nadmorskiego cmentarzyska. Miał pan okazję zapoznać się z jej komunikatem na temat nowego odkrycia. Muszę od razu powiedzieć, że chociaż nie zawsze zgadzam się z doktor Mor na temat interpretacji znalezisk, ogromnie cenię jej wiedzę i zawodowe kompetencje.

– Trudno mi się z panem nie zgodzić, profesorze Huber. – Griffin podszedł bliżej i wyciągnął rękę do Poli. Ujęła ją z wahaniem. – Pani wystąpienie było porywające. Ogromnie się

cieszę, że mamy okazję ponownie się spotkać. Być może tym razem uda mi się zaprosić panią na kolację.

Wysunąłem się jeszcze trochę do przodu.

Pola nadal wpatrywała się w blat biurka. Griffin trzymał jej dłoń.

– Nie wiedziałem, że państwo się znają – zdziwił się Frank.

Pola spojrzała na niego.

– Doktor Mor – powiedział Griffin. – Czy możemy się umówić, że to będzie nasza tajemnica? Naturalnie chyba nie ma pan nic przeciwko temu, profesorze Huber, że mamy tutaj takie małe sekrety.

– Nie, nie. – Frank machnął ręką. – Skądże znowu. Jestem tylko dzi...

Pochyliłem się do przodu. Nogi krzesła zaczepiły się o przyklejony taśmą do podłogi kabel przedłużacza i wałęsałem z hukiem na ziemię. Wszyscy odwrócili głowy. Pozbierałem się, robiąc wszystko, żeby wyglądać godnie i dostojnie.

Robert przesiadł się dwa miejsca dalej i niedbałym gestem zarzucił rękę na oparcie krzesła niezdrowo opalonej długowłosej brunetki.

– Będę szczęśliwy, jeśli znajdzie pani dla mnie czas jutro wieczorem. – Griffin cały czas patrzył na Polę. – Zgoda?

Pola słabo pokiwała głową.

– Świetnie – ucieszył się Griffin. – Czy dziewięta pani odpowiada? Tak? To doskonale. Każę kierowcy przyjechać po panią o tej godzinie.

Puścił wreszcie jej rękę.

– Czy przedstawi mi pan resztę swojej ekipy? – Odwrócił się do Franka.

– Oczywiście, oczywiście.

Frank przesunął palcami pod kołnierzykiem.

– To jest Marilles Mendehlson, jedna z naszych doktorantek. – Wyciągnął rękę w kierunku siedzącej w pierwszym rzędzie Marilles. – Pracuje razem z doktor Mor na odcinku nad mo-

rzem. – Skinął w stronę okna. – I z Vasifem Cingiauroğlu, który również pisze u nas doktorat na temat...

– W-wyposażenia gro-obowego w p-p-późnej epoce b-brązu w p-północno-zachodniej A-anatolii – Vasif otworzył oczy, uniósł się i lekko skłonił. – Miło mi p-p-pana p-poznać, p-p-panie Griffin.

– Profesor Robert Wasener – mówił dalej Frank – jest specjalistą od architektury obronnej epoki brązu. Prowadzi od kilku lat projekt kompletnej dokumentacji murów Troi. Może czytał pan jego raport w ostatnim numerze „Studia Troica”.

– Naturalnie, bardzo interesujący.

Robert wstał ze swojego miejsca, pomachał Griffinowi i usiadł.

– Yasmin Kempinsky pracuje z profesorem Wasenerem przy dokumentowaniu murów.

Wielbicielka długich godzin na słońcu bez kremów z filtrem posłała Griffinowi olśniewający uśmiech.

– Doktor Melinda Wasener, prywatnie żona profesora Wasenera, kieruje naszymi badaniami ceramologicznymi. Każda skorupa, którą wykopujemy, musi przejść przez jej ręce. Sama jest jedną z najlepszych na świecie specjalistek od ceramiki szarominijskiej.

– Och, Frank! – Melinda obciągnęła fałdki sukienki w różyczki. – Jak zwykle przesadzasz. Ale to strasznie miłe, co mówisz.

Przeciśnieła się do biurka. Wyciągnęła rękę do Griffina.

– Ogromnie miło mi pana poznać, panie Griffin. Ogromnie. Bardzo się cieszę, że jest pan tutaj z nami. Planuje pan dłuższy pobyt? Mamy bardzo ciekawe...

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Najchętniej zostałbym aż do końca sezonu, ale może się okazać, że obowiązki zawezwą mnie do domu.

Zawezwą. Ostatni raz słyszałem to słowo w podstawówce, kiedy wyznaczeni przez dyrektorkę nieszczęśnicy recytowali na akademii patriotyczne wiersze sprzed dwóch stuleci. Zawezwą. Ciekawe.

Frank kontynuował prezentację.

– Doktor Mervyn Minski pracuje razem z Melindą... doktor Wasener.

– Nie szkodzi, Frank. – Melinda uśmiechnęła się słodko. – Będzie mi bardzo przyjemnie, jeśli zechce mi pan mówić po imieniu, panie Griffin.

– Howard. Mnie też będzie bardzo miło.

Uścisknęli sobie ręce. Wstrzymałem oddech, bo miałem nadzieję, że Melinda zrobi jeszcze dla niego striptiz, ale najwyraźniej przełożyła to na dogodniejszy moment.

– Peter Owietzka jest naszym fotografem...

Peter przecisnął się do biurka, krótko uścisknął Griffiniowi rękę i mruknął coś pod nosem.

– Nadia... – Frank wskazał niebrzydka, ale zdecydowanie za grubą blondynkę zatopioną w szeptach z niskim facetem, którego też słabo kojarzyłem. – Nadia zajmuje się inwentaryzacją naszych znalezisk i pilnuje, żeby nie padły nam komputery. Bo ja sam, na przykład – chrząknął – niezbyt dobrze sobie radzę z nowymi technologiami.

– I Jan Dijeke. – To ten konus obok grubej blondyny. Wstał, energicznie podszedł do Griffina i zaczął potrząsać jego dłonią, jakby chciał ją urwać i zatrzymać sobie jako pamiątkę z wykopalisk. – Jan jest nowym członkiem naszej ekipy, dołączył do nas dopiero w tym roku. Jeszcze nie zdecydowaliśmy, czym się zajmie. Na razie pracuje razem z Nadią. Inwentaryzacja zabytków pochłania ogromnie dużo czasu... – Urwał na moment. – I to już właściwie... W przyszłym tygodniu przybędzie nam jeszcze konserwator, mamy już bardzo dużo znalezisk, które wymagają starannej opieki...

Frank rozejrzał się po sali. Myślałem, że przypomniał sobie o mnie, ale go przeceniłem.

– Pola, dlaczego twoi studenci nie przyszli? Mówiłem im przecież wyraźnie, że udział w naszych wewnętrznych seminariach jest ogromnie ważny.

– Nie wiem. – Pola rozłożyła ręce. – Sama im to powtarzam przy każdej okazji. Naprawdę nie rozumiem...

– Na pewno chcieli wykorzystać chwilę samotności, żeby się pobzykać – powiedziałem. Wstałem, zachwiałem się lekko i przepchnąłem się aż do biurka. – Trzeba im to wybaczyć. Przecież to jeszcze dzieci.

Pola popatrzyła na mnie przeciągle.

Griffin podszedł z wyciągniętą prawicą.

– Profesorze Jebł. Cieszę się, że znowu pana widzę. Tak właśnie wymawia się pana nazwisko, prawda?

– Nie. Ale proszę się nie przejmować. Jeśli wymówi je pan źle, nie będę musiał reagować.

Frank poczerwieniał. Robert, który podsłuchiwał na swoim krześle, próbował odkasznąć coś, co utkwiło mu głęboko w gardle.

– Profesor Ybl jest antropologiem – powiedziała Pola.

– Podobno jest pan znakomitością w swojej dziedzinie. – Griffin obdarzył mnie łaskawym spojrzeniem.

– Podobno.

– Czytałem pana artykuł na temat *hesitation marks*, wielokrotnych śladach nacięć świadczących o wahaniu, zaobserwowanych przy samobójstwach popełnianych za pomocą noża. Chyba w „Journal of Forensic Sciences”, jeśli mnie pamięć nie myli. Niezwykle interesujący.

– Cieszę się, że się panu podobał. Napisała go moja asystentka... Ja tylko podpisałem.

– Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że tak wybitny antropolog sądowy, jak pan, bawi się w wykopaliska.

– Nie mogłem odmówić. Doktor Mor posiada nie tylko piękny tyłeczek, ale także niezwykle siłą perswazji.

– Panie Griffin. – Pola stanęła między mną a Griffinem, tyłem do mnie, rzecz jasna. – Jeśli pan pozwoli, przedstawię panu studentów przy następnej okazji. Bo rozumiem, że zamierza pan nas jutro również odwiedzić na wykopie.

– Nie tylko odwiedzić, doktor Mor. Bardzo chciałbym móc osobiście uczestniczyć w państwa pracach.

– Do tego trzeba mieć kwalifikacje – ostrzegłem go.

– Jestem pewien, że naukowiec tej klasy, co pan, potrafi mi wszystko klarownie wytłumaczyć w ciągu kilku minut.

– To zależy. Od tego, jakie ma pan IQ.

– Mario! – Pola szarpnęła mnie za rękę.

– Słucham cię, najdroższa.

– Pozwól ze mną na chwilę. Przepraszam, panie Griffin.

Złapała mnie mocno i pociągnęła w stronę zlewu. Poszedłem za nią i nie powiedziałem ani słowa, chociaż po drodze wałnąłem się w kolano o kant jakiegoś cholernego krzesła. Na kamiennym blacie stały brudne kubki po kawie i słoik ze skorpionem w spirytusie.

Płyn był już całkiem żółty, a skorpion zmiękł i stracił ostre kontury.

– Mario! – W moim imieniu nie ma żadnych spółgłosek syzających, ale przysięgam, że udało jej się zasyczeć. – Mario, do kurwy nędzy! Znowu jesteś pijany!

– Oj, księżniczko, jak ty strasznie przesadzasz. Wcale nie...

– O co ci właściwie chodzi? Facet chce nam pomóc. Masz coś przeciwko temu?

– Ja? Nie. Skąd. Coś ty...

– To zamknij się i spadaj do domu.

– Nie mogę.

– A to dlaczego?

– Bo to za daleko, za ciemno i ty masz kluczyki.

Popatrzyła na mnie z wściekłością, a potem odwróciła się na pięcie i podeszła do Griffina. Przysiadłem na brzegu krzesła. Troszkę się zmęczyłem.

– Moi mili – powiedział głośno Frank. Szepty urwały się i wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku. – Ponieważ jest z nami pan Griffin, może zrobimy teraz krótkie podsumowanie ostatnich dwóch tygodni wykopalisk.

Zabrzmiało to trochę jak pytanie, ale nikt nie dał się nabrać.
– Panie Griffin, proszę spocząć. Pokażę kilka slajdów.

Podszedł do stołu i zaczął manipulować przy komputerze. Na ekranie ukazał się obraz pulpitu, później wyświetliła się zawartość kilkunastu katalogów, a później zdjęcie Franka w kąpielówkach.

Frank poczerwieniał i zasłonił sobą ekran.

– Nadia, moja droga, pomożesz mi?

Nadia westchnęła i podniosła się ciężko.

– Rozpoczęliśmy prace równolegle na dwóch odcinkach. – Frank obrócił się i popatrzył na ekran, na którym w międzyczasie pojawił się slajd z planem topograficznym okolicy. – Na kierowanym przez Polę cmentarzysku nad morzem, w pobliżu zatoki Beşik, które zostało odkryte w grudniu ubiegłego roku podczas prac budowlanych. Jak wiecie, władze Çanakkale zdecydowały o wybudowaniu w tym miejscu jednej z tych ohydnych wakacyjnych wiosek, *tatıl köyü*. Nasze wykopaliska w tym miejscu mają więc w zasadzie charakter ratunkowy i mieliśmy zakończyć eksplorację do września. Ale oczywiście w tej sytuacji, wobec tak niezwykłego znaleziska, być może uda mi się przekonać mera, żeby wstrzymał inwestycję. Zobaczymy, jestem dobrej myśli.

Zawiesił głos i rozejrzał się po sali.

Kilka osób pokiwało głowami, automatycznie, jak pieski w tylnych szybach samochodów.

– Niezależnie od tego niezwykłego pochówku szkieletowego ekipa kierowana przez Polę odnalazła dotychczas siedem pochówków ciałopalnych. – Stuknął kłykciami palców w blat biurka i na ekranie pojawił się nowy slajd. – Wszystkie szczątki zostały po kremacji pochowane w urnach, w obstawie naczyń ceramicznych i drobnych elementów biżuterii, takich jak paciorki. Mamy, zdaje się, też jednego skarabeusza, prawda, Polu?

Przytaknęła.

Griffin siedział obok i obdzielał swoją uwagę po równo jej profil i ekran na ścianie.

– Profesor Ybl, który zidentyfikował i opisał szczątki kostne, twierdzi, że mamy do czynienia wyłącznie z osobnikami płci męskiej. Jak wiecie, mieliśmy taką roboczą hipotezę, że trafiliśmy na cmentarzysko Achajów. Zatoka Beşik uważana jest za miejsce, do którego mogły przybić do brzegu ich okręty.

– Słuchaj, ja się na tym nie znam. – Pochyliłem się do Roberta. – Ale czy on sam nie gada teraz o mitologii?

– Cicho – syknął Robert.

– Dotychczas tej hipotezy nie potwierdziły znaleziska w grobach. Z wyjątkiem skarabeusza mam do czynienia wyłącznie z produktami lokalnymi. No, ale... – Pomachał w powietrzu dłonią, w której ciągle trzymał okulary. – Tak czy inaczej, badania są w toku.

Powiódł po nas wzrokiem.

– O pochówku szkieletowym, który nasza droga Pola upiera się nazywać grobem Polikseny, nie będę już więcej mówił. Wobec tego jeszcze kilka słów o kierowanym przeze mnie odcinku na terenie Dolnego Miasta.

Wziąłem głęboki wdech. Coraz bardziej chciało mi się rzygać, a krzesło wydawało mi się nieźnośnie twarde.

– Chcesz coś dodać, Mario? – Frank pochylił się w moją stronę.

– Skąd! – Wykonałem beładny ruch ręką. – Kontynuuj, proszę.

– Dwa lata temu otworzyliśmy dwa wykopy w kwadracie K/LI6/I7. Wykopaliska przerwaliśmy wtedy już po zdjęciu warstwy hellenistycznej, więc w tym roku, od początku sezonu, możemy badać epokę brązu. Dotychczas nie natrafiliśmy na ślady architektury, ale mamy oczywiście wielką ilość znalezisk ceramicznych...

– Jezu. – Robert przeciągnął się na krześle, aż zatrzeszczało. Nachylił się i wyszeptał mi prosto do ucha: – Jak ten Frank strasznie nudzi. Słyszałem to już kilkaset razy.

– Nie mogłeś kilkaset – odszepnąłem mu. – Najwyżej kilkaście.

– I tak o wiele za dużo – mruknął Robert. – Ale coś ci powiem, Frank ma straszne szczęście w tym roku.

– Tak? – zdziwiłem się. – A to dlaczego?

– No jak to dlaczego? Gdyby nie Griffin, to już byłby koniec wykopalisk. Komisja uniwersytecka w życiu nie przyznałaby mu następnego grantu.

– A ja myślałem, że Frank jest wybitnym naukowcem i prowadzi wykopaliska na najśłynniejszym stanowisku archeologicznym świata. Jak dla mnie, to powinno mieć proste przełożenie na kasę.

– Oj, Mario, Mario. – Robert pokiwał głową. – W jakim ty świecie żyjesz?

– Czy mogę prosić o ciszę? – Frank podniósł głos. – Wiem, że nie wszystkich to interesuje, ale to są ważne informacje naukowe. Zresztą... już skończyłem.

Robert zaczął bić brawo, ale Melinda szarpnęła go za rękę. Frank odwrócił się w stronę Griffina i popatrzył na niego wy-czekująco. Griffin zareagował jak dobrze wyszkolony pies.

– Fascynujące, profesorze Huber. Naprawdę fascynujące. Jestem pod wielkim wrażeniem. – Wyglądał, jakby miał ziewnąć, ale zamiast tego wziął głęboki wdech. – Nie mogę się doczekać chwili, kiedy oprowadzi mnie pan po wykopach.

– Hm, no... to z oczywistych przyczyn będzie możliwe dopiero jutro, ale możemy się umówić z samego rana. Nie wiem tylko, czy ma pan ochotę zrywać się z łóżka tak wcześnie, jak my...

– Im wcześniej, tym lepiej – powiedział energicznie Griffin. – Nie mogę się już doczekać. Ósma będzie doskonała.

– My... zasadniczo zaczynamy pracę o szóstej... Ale oczywiście godzina ósma jest po prostu idealna.

Dalej było już tylko nudniej. Zacząłem dla rozrywki obserwować Nadię, tę grubą w spodniach, której najwyraźniej bardzo się gdzieś spieszyło. Kręciła się na samym brzeжку krzesła. Nie słuchała tego, co mówił Frank, tylko rzucała przeciągłe spojrzenia w kierunku Dijeka, który robił wszystko, żeby tego nie zauwa-

żyć. W końcu nie wytrzymała, wyrwała kartkę z notesu i szybko coś na niej napisała. Podała ją Dijeke, ten rzucił na papier okiem i zmiął go. Wydawało mi się, że oczach Nadii pojawiły się łzy, ale może to była wina kiepskiego oświetlenia. Dijeke uparcie wpatrywał się we Franka.

Zebranie chyba się już zakończyło. Marilles podeszła do Petera i coś mu szepnęła. Peter skinął głową. Marilles krzyknęła: „dobranoc wszystkim”, i zaczęli przepychać się przez zasieki krzesel w kierunku wyjścia. Mervyn przycupnął przy komputerze koło okna i wpatrywał się w okienko internetowej wyszukiwarki. Opuszczony podbródek i okulary, połyskujące w rytm ruchu palców na klawiaturze, całkowicie upodobiły go do żaby.

Nadia podeszła bliżej i oparła się o stół, zavalony wypłowiałymi mi kserokopiami planów, obgryzionymi ołówkami, długopisami bez skuwek, butelkami z filtrem przeciwsłonecznym i kablami do komputera, splątanymi razem z myszą w wielki kłęb. Pośrodku tego śmietnika królował laptop troskliwie otulony starym bawełnianym podkoszulkiem. Nadia odepchnęła na bok tacę z pełnymi skorup, ceramicznymi pudełkami oznaczonymi szyfrem 27C, 28 oraz 27A i B, i przysiadła na stole. Całkiem zablokowała mi dostęp powietrza tłustym dupskiem w białych spodniach. Jakby mnie ktoś pytał, to nie jest najlepsza kombinacja: duży tyłek i białe opięte spodnie, ale może ja się nie znam na modzie.

– Frank, znajdziesz dla mnie chwilę?

Frank podniósł do oczu przegub z zegarkiem.

– Nadia, wybaczone, moja droga, ale wołałbym nie teraz. Możemy odłożyć to do jutra?

– Frank, proszę. Żeby zaktualizować te dane, muszę mieć dostęp do wszystkich zabytków. Sama to załatwię w muzeum. Potrzebne mi tylko twoje pozwolenie, nic więcej.

Frank westchnął. Zabrzmiało to, jakby się wysmarkał.

– Nadia, proszę, nie teraz. Mamy gościa. Jestem zajęty.

– Profesorze Huber. – Griffin podniósł się. – Nie będę dłużej pana absorbował, widzę, że pracuje pan do późna, jak każdy prawdziwy naukowiec. – Zaśmiał się krótko i sympatycznie. – Pozwoli pan, że pożegnam się. Jesteśmy umówieni jutro o ósmej.

– Tak, tak. Oczywiście – przytaknął Frank z zapalem. – O ósmej. Będę na pana czekał tutaj, w domu wykopaliskowym.

– Doskonale. – Griffin skłonił się elegancko. – A zatem...

Pochylił się nad dłonią Poli. Czekałem na jej reakcję, ale się nie doczekałem.

– Jutro o dziewiątej wieczorem, doktor Mor. Jestem zaszczycony.

Wyprostował się i ruszył do drzwi. Poczułem, jak ogarnia mnie znużenie.

– Frank – Nadia nie dawała za wygraną – proszę, zgódź się. Powiedz tylko: tak. Ja się zajmę całą resztą.

Frank rozejrzał się dokoła. Nikt nie przybiegł go ratować. Pola podeszła do stołu i w milczeniu upychała kable laptopa w plecaku. Melinda dopadła Griffina w drodze do drzwi i życzyła mu dobrej nocy. Robert kiwał się sennie na swoim krześle i żuł gumę.

– Muszę się zastanowić.

– Mówiłeś to już tysiąc razy.

Frank zacisnął wargi i pokręcił głową.

– To nie jest możliwe, Nadia. Nie w tym roku.

– Powiedziałeś, że musisz się zastanowić.

– Już się zastanowiłem. Proszę, nie wracajmy już do tego tematu. Wszyscy mamy teraz bardzo dużo pracy.

Machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętną muchę, a potem schylił się ciężko i wyciągnął spod biurka teczkę. Ustawił ją przed moim nosem i ładował do środka jakieś papiery.

Nadia patrzyła w czarne okno. Nawijała na palec fałd luźnego, spłowiałego podkoszulka i odwijiała go z powrotem. Nawijała i odwijiała.

– Możesz się trochę przesunąć? – poprosiłem. – Nie mam czym oddychać.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Może też nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywam. Obejrzała się jeszcze raz na Dijeke, ale ten siedział wpatrzony w okno. Zerwała się i wybiegła z sali. Dijeke wyraźnie się rozluźnił. Rozprostował jeszcze raz kawałek papieru, który wcisnęła mu Nadia, ale nie znalazł w nim widocznie nic ciekawszego niż wcześniej, bo zmiął go z powrotem.

Podniosłem się, ziewnąłem, przeciągnąłem i zaczępiłem ręką o teczkę Franka. Wylądowała na podłodze, a jej zawartość rozsypała się efektownym wachlarzem na lastrykowych płytach. Złapałem karcące spojrzenie Melindy. Pochyliłem się najostrożniej jak mogłem, starając się nie wyrzygać, zacząłem zbierać papiery i upychać je z powrotem.

– Zostaw. – Frank uklęknął obok mnie i zgarniał kartki obie rękami. – Lepiej ja to zrobię.

– O – powiedziałem, podnosząc do światła plik kserokopii poznaczonych żółtym markerem. – Masz raport pedologiczny. Mogę sobie pożyczyć? Bardzo by mi się przydał przy ocenie stanu zachowania kości.

– Teraz jest mi potrzebny – burknął Frank. – Jak chcesz, to ci zrobię kopię, jak będę w Çanakkale.

– Super, dzięki.

Wstałem i, lawirując między krzesłami, wycofałem się w parną noc. Stałem w plamie światła padającego przez otwarte drzwi i oparłem się o framugę, bo musiałem poczekać na Połę. Pierwszy wyszedł Dijeke, mruknął coś zbliżonego do „dobranoc”, wyrzucił zgnieciony papier do zardzewiałej beczki po oleju na trawniku obok drzwi, która robiła za wielki kosz na śmieci, i zniknął w mroku. Za nim pojawił się Mervyn, pod pachą targał jakieś papiery i ocierał pot z karku. Robert stał obok Yasmin i coś jej tłumaczył, wzmacniając swoje argumenty bogatą gestykulacją.

Zajrzałem do środka i machnąłem do Poli, żeby już się zbierała.

– Daj kluczyki – powiedziałem.

Spojrzała na mnie z ukosa.

– No co? Jestem trzeźwy jak świnia.

Nawet nie odpowiedziała. Ruszyła w ciemność, więc poszedłem za nią, starając się trzymać jak najbliżej. Co mi tam. Każdy krok jest krokiem w stronę lodówki.

Nyktofobia to taka choroba. Polega, najogólniej rzecz biorąc, na tym, że człowiek boi się siedzieć sam po ciemku.

Jesteśmy zwierzętami dziennymi. Każda istota myśląca czuje lęk przed ciemnością. Niektórzy się do tego nie przyznają i popychają swoją fobię w przyjemniejszych kierunkach, jak bicie żony, uzależnienie od używek i nerwice wegetatywne. Inni płacą horrendalne rachunki za elektryczność.

Mówi się, że na nyktofobię cierpią głównie dzieci, ale zapewniam was, że podczas tych dwóch wizyt w poradni, na które namówiła mnie Pola, widziałem kilku dorosłych facetów, którzy udawali, że wcale ich tam nie ma. Lęk przed ciemnością zajmuje trzecie miejsce na liście przebojów najbardziej popularnych fobii, zaraz po lęku wysokości i klaustrofobii.

Nie wiadomo, skąd się bierze. Kiedy próbowałem jeszcze coś z tym zrobić, naczytałem się artykułów, których autorzy byli przekonani, że winę ponoszą sadystyczni rodzice zamykający dzieci w ciemnych pokojach albo głupawe rodzeństwo ze swoimi historiami o duchach, opowydwanymi pod kołdrą. Bzdura. Nikt mnie nigdzie nie zamykał, a rodzeństwa nie mam. Moim zdaniem nyktofobik to ktoś, kto ma po prostu odwagę przestać udawać, że noc jest taka jak dzień, tyle że bez światła.

Przebieg ataku nyktofobii jest prosty jak budowa cepa. Mózg produkuje scenariusze tego, co może się wydarzyć w ciemności. Ciało reaguje fizjologią typową dla stanów lękowych. Pierś ścisła stalowa obręcz, nie sposób złapać tchu, tętno przyspiesza, następują mdłości, zawroty głowy, utrata równowagi i zaburzenia widzenia. Ręce i nogi swędzą od adrenaliny, pojawiają się uderzenia gorąca i zimna, pocenie, drgawki i dreszcze. Walące

gwałtownie serce pompuje nadmiar krwi do najbardziej odległych rejonów ciała. Właśnie wtedy dzieci najczęściej przeraźliwie krzyczą. Dorośli kamienieją obezwładnieni przez lęk.

U niektórych choroba przebiega łagodniej, mogą przetrwać w ciemności z walącym sercem tych kilka sekund potrzebnych na wymanewerowanie kontaktu w ścianie. Większość nie wytrzymuje nawet tyle. Adrian J. Williams opisał w „American Journal of Clinical Hypnosis” przypadek młodej kobiety imieniem Sally, która zawsze miała przy sobie dwie latarki, sześć paczek zapalek i dwie zapalniczki. Ja zadowolam się jednym mag-litem, niezniszczalną latarką, ale nie ruszam z domu bez zapasowych baterii. Jak to mówią? Jeśli się sam o siebie nie zatroszczysz, nikt tego za ciebie nie zrobi.

Nyktofobię się leczy, a w każdym razie próbuje. Metody są podobne jak w wypadku innych fobii: hipnoza, sugestia. Ostatni krzyk mody to terapia kognitywno-behawioralna. Żadnych prochów, za to dużo pozytywnego myślenia i przerabianie nieracjonalnych lęków na racjonalne myśli. Zamiast wdawać się w szczegóły, powiem od razu: to nie działa.

Wielu psychiatrów stosuje desensytyzację *in vivo*. Brzmi prawie jak wiwisekcja i ma z nią sporo wspólnego. Lekarze nazywają to ekspozycją pacjenta na czynnik fobiogeny. Ja nazywam to sadyzmem. Terapeuta gasi światło i mówi, żebyś się zrelaksował. Niektórzy lekarze preferują stopniowe wyciemnianie pomieszczenia i przetrzymywanie w nim pacjenta przez dwie czy trzy, trwające całą wieczność, minuty. Inni są zdania, że tylko całkowite i pełne zanurzenie się w ciemności może zapewnić poprawę. Podczas pierwszej takiej sesji rozbiłem krzesło o drzwi. Drugiej już nie było.

Owszem, alkohol pomaga. Po trzech piwach można już bez lęku wpatrywać się w mrok za oknem, a po faszce *raki* to ho, ho, nawet wyjść przed dom. Ale z ręką na sercu: ile razy można się nawalać tylko dlatego, że zmierzcha? Robert strasznie się uśmieł, kiedy to usłyszał i powiedział, że zna gorsze preteksty.

Noc na równinie trojańskiej należy do duchów. W czasie nowiu jest tak ciemno, że nie widać wyciągniętej przed sobą ręki. Dwa tygodnie temu, zaraz po przyjeździe, spędzałem wszystkie wieczory w pokoju, ze szczelnie pozamykanymi oknami i drzwiami, i zapalonymi wszystkimi lampami, zużywając pewnie więcej energii niż cała wioska Tevfikiye. Teraz jest pełnia, chroni mnie blask księżyca. Ale nie do końca.

Starałem się trzymać jak najbliżej Poli, chociaż szła szybkim krokiem, a mnie się trochę plątały nogi. Latarnia przed domem wykopaliskowym oświetlała żwirową ścieżkę tylko do połowy. Wielki, drewniany koń, atrakcja dla turystów, rzucał długi cień na połamane szczątki kolumn. W świetle dnia stanowiły cieszącą oko dekorację, ale teraz przypominały cmentarz. Przyspieszyłem kroku tak, że deptałem Poli po piętach. Na skraju wybetonowanego parkingu budka telefoniczna, świecąca latarnia morska, przyciągała robactwo. Przez brudną szybę widziałem tłukące się wewnątrz ćmy i gęstą chmurę komarów. Po wytartej tarczy telefonu dostojnie spacerował tłusty pająk.

– Dziwię ci się – wydyszałem do pleców Poli.

– Cholera jasna!

Pola upuściła kluczyki do samochodu i macała rękami dokoła, po wciąż rozgrzanym asfalcie.

– Przesuń się trochę. Zasłaniasz mi.

– Naprawdę ci się dziwię.

Oparłem się o samochód i próbowałem uspokoić oddech. Czułem pot spływający po karku i wsiąkający w podkoszulek.

Podniosła głowę.

– O co ci chodzi?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie chcę się wtrącać.

– I tak się ciągle wtrącasz.

Rozejrzałem się po parkingu. Był pusty, dziury w asfalcie ziały czernią, jak oczodoły z których ktoś wydrapał oczy.

– Powiesz mi wreszcie czy nie?

Spojrzałem na Polę.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie, do cholery. Nie chcę. Ale nienawidzę, jak zaczynasz zdanie i go nie kończysz. Pomóż mi znaleźć te pieprzone kluczyki.

– Tam, przy kole.

Pokazałem palcem.

Polą pochyliła się, plik papierów wyslizgnął się jej spod pachy i rozsypał.

– O kurwa! Nie stój tak, Mario!

Przykucnąłem i zacząłem po omacku zgarniać kartki. Asfalt śmierdział smarem i benzyną.

Polą wyciągnęła kluczyki spod koła. Drzwiczki łady zazgrzytały.

– A teraz powiedz mi, o co ci chodzi.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy lubisz, kiedy twoi koledzy traktują cię jak gówniarę? Oczywiście to czysto akademickie zainteresowanie. Pytam ze zwykłego wścibstwa.

– Co ty mówisz?

– Nieważne. Jedziemy już? Bo strasznie chce mi się pić.

– Nikt mnie nie traktuje jak gówniary.

– Musiałem się pomylić. Wybacz. Odmienna percepcja zjawisk społecznych.

– Co ty pieprzysz, Mario?

Popatrzyłem na nią. Pod oczami miała czarne cienie, których nie było po południu.

Milczałem.

– Znowu nic nie rozumiesz, a się mądrzysz.

– Okej, jak chcesz. Mówiłem, że pytam ze zwykłego wścibstwa.

– Czy ty w ogóle wiesz, kim jest Frank?

– Oświeć mnie.

– Frank to chodząca legenda. To człowiek, który ma na swoim koncie więcej prac naukowych, niż... niż... niż ty w ogóle możesz

mieć pojęcie. Wiesz, jaki to zaszczyt, że ja, jakaś tam Pola Mor, mam szansę z nim współpracować? Mogę mu codziennie opowiedzieć o mojej pracy, posłuchać jego rad...

– Posłuchać, jak robi z ciebie idiotkę. A ty pracujesz na jego sukces.

Pola wsiadła do samochodu. Torbę i papiery rzuciła na tylne siedzenie.

– Nie oszukujmy się, książniczko. Może to wielki zaszczyt, że Frank wyznaczył właśnie ciebie na szefową odcinka cmentarzyska, ale prawda jest taka, że to on, a nie ty, zgarnie za to odkrycie wszystkie pochwały, laury, ordera oraz przyszłe granty.

Pochyliłem się nad nią i oparłem czoło o dach. Był jeszcze ciepły.

– Z kimś mnie pomyliłeś, Mario. Ja nie pracuję dla pochwał. Nauka...

– Nauka, moja ślicznotko, ma strasznie mało kalorii i wyżywić się nią nie da. W nauce też trzeba walczyć o pozycję i uznanie, chociażby po to, żeby dostawać pieniądze na dalsze badania. Chętnych jest dużo, a złób mały. Nie wiem, po co ci to tłumaczę, bo sama o tym doskonale wiesz.

Milczała.

– Pamiętasz, jak tu przyjechaliśmy? To było zaledwie dwa tygodnie temu. Skakałaś z radości od rana do wieczora, jak po amfie. A teraz? Nie sypiasz po nocach, zamykasz się w pokoju, chodzisz z opuszczoną głową. Ledwie powłóczysz nogami. Dwa tygodnie.

– Jestem po prostu zmęczona. Wykopaliska to ciężka praca fizyczna.

– Jesteś przygnębiona.

Złapała za klamkę i pociągnęła drzwi do siebie.

– Wsiadasz – powiedziała – albo zasuwasz na piechotę. To niedaleko, ale po drodze nie ma żadnych latarni.

Obszedłem samochód i wsunąłem się na śmierzdzący rozgrzanym skajem fotel.

Pola wepchnęła kluczyk do stacyjki, zwolniła ręczny hamulec i nagle odchyliła się na oparcie fotela. Odwróciła głowę w moim kierunku. Popatrzyła na mnie uważnie, ale nic nie zobaczyła, bo w srebrnym blasku księżycza rzeczy wyglądają inaczej.

– Jak mocno trzeba wbić nóż w gardło, żeby zostawić ślad na kręgach szyjnych? – spytała.

Wzruszyłem ramionami.

– Mocno.

Oparła dłonie na kierownicy. Skóra na jej naprężonych ramionach pachniała słońcem.

– Widziałeś kiedyś wazę Malarza Timiadesa? W British Museum?

– Oczywiście. – Rozłożyłem ręce. – Codziennie jadam w niej śniadanie z odrobiną świeżej cykorii. Lepiej uważaj i nie spuszczaaj nogi z hamulca, bo walniemy w tę budkę.

– To najbardziej znane przedstawienie mitu Polikseny.

– Oczywiście, księżniczko.

– Trzyma ją trzech wojowników. – Nie zwracała na mnie uwagi. – Trzech wielkich facetów, na czarno, w hełmach, pancierzach i nagolenicach, trzyma drobną dziewczynę jak worek kartofli. Amfiloch ściska Poliksenę za piersi, Antifates maca ją po tyłku, a Ajas zadowala się krępowaniem jej nóg. Jeśli jej nie zgwałcili przed śmiercią, to pewnie tylko dlatego, że musieli złożyć w ofierze dziewicę. Ale i tego nie byłabym taka pewna. Może zrobili to po kryjomu, w krzakach. Czwarty, Neoptolemos, podrzyna jej gardło. Przyjrzałeś się kiedyś uważnie temu przedstawieniu? Widziałeś twarz Polikseny? Neoptolemos ciągnie ją za włosy, a ona wyje z bólu. Krew sika na ołtarz. A obok tańczą wojownicy. Pewnie się cieszą, że zarżnięcie dziewczyny poszło im tak łatwo i teraz żaden duch Achillesa nie będzie im utrudniał powrotu do domu, gdzie mogą gwałcić swoje żony, a w wolnych chwilach chłopki we własnych posiadłościach.

Uderzyła otwartą dłonią w kierownicę.

– Kopiemy w miejscu zbrodni, Mario. Zbrodni sprzed ponad trzech tysięcy lat, ale jednak zbrodni. Ta kobieta została zamordowana. I bez względu na to, co mówi Frank, dla mnie to jest Poliksena.

Nie bardzo wiedziałem, co mam na to powiedzieć.

– I coś jeszcze.

Pochyliła się do przodu. Zaciśnęła obie dłonie na kierownicy i wbiła wzrok w srebrne szczyty topoli na skraju asfaltu. Wyglądała, jakby brała udział w wyścigu Formuły 1 i jednocześnie bardzo jej się chciało siku.

– Jeżeli jeszcze raz pojawisz się na wykopie skacowany, uchlasz się w czasie pracy albo urządzisz wieczorem pijacką burdę... – ...Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. – Jeden, jedyny raz. To koniec. Naszej współpracy.

Spróbowałem złapać jej spojrzenie, ale topole skupiły jej niepodzielną uwagę.

– Jeden raz!

Rozluźniła chwyt na kierownicy. Przekręciła kluczyk w stacyjce i wrzuciła jedynkę. Samochód stoczył się z parkingu, koła zachrzęściły na żwirowej drodze. I silnik zgąśł.

Przekręciła kluczyk jeszcze raz, potem drugi. Nawet nie zarzęził.

– Napęłniłeś bak?

– Co?

– Pytam czy zatankowałeś. Wczoraj. Kiedy cię prosiłam.

– A jak myślisz?

Odchyliła się na siedzeniu.

– Ciekawe, skąd wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

Zgarnęła plecak i papiery, a potem otworzyła drzwi.

– Co robisz?

– Idę na piechotę.

Wyciągnęła kluczyk ze stacyjki, wysiadła i walnęła drzwiami, aż mi zadzwoniło w uszach. Zacząłem gmerać przy klamce z mojej strony. Nie mogłem jej namacać.

– Pola! Zaczekaj!

Usłyszałem jej kroki na żwirze, a potem już nic, kiedy weszła na asfalt i zniknęła w ciemnościach.

– Pola, ty cholerna idiotko! Nie zostawiaj mnie tu!

Znalazłem klamkę, ale drzwi się zacięły. Napałem na nie całym ciałem tak mocno, że zaszumiało mi w skroniach. W końcu ustąpiły, a ja wypadłem na asfalt.

Zerwałem się na równe nogi. Całe prawe przedramię, aż do łokcia, miałem otarte, ale nie zwróciłem na to uwagi. Krew dudniła mi w głowie, a serce łomotało, jakby miało zamiar za chwilę wyrwać się z piersi i pójść na samotny spacer.

Na miękkich nogach podbiegłem do latarni i oparłem się czołem o słup. Metal był cieplejszy niż moja skóra. Czulem, że wystarczy jeden zbędny ruch i wyrzycam wszystkie piwa i resztki kolacji.

Zamknąłem oczy i próbowałem uspokoić oddech. Kiedy już mi się to mniej więcej udało, wyprostowałem się powoli i ostrożnie rozejrzałem się.

Latarnia tworzyła wyspę światła w morzu ciemności. To kiczowate porównanie było jedynym, jakie przyszło mi do głowy, a nie miałem czasu ani ochoty szukać bardziej oryginalnej metafory. Zacząłem się zastanawiać, jak mogę się stąd wydostać.

Kilkanaście kroków dalej budka telefoniczna nadal świeciła ostrym światłem. Przez gałęzie drzew prześwitywały trzy żółte prostokąty okien w domu wykopaliskowym. Jeśli jeszcze ktoś tam był, istniała szansa, że przyjdzie i mnie stąd zabierze. Że będę mógł się do niego dołączyć i bezpiecznie przejść ten kilometr potwornej, czarnej drogi, która dzieliła mnie od pełnej latarni wsi, domu, który tam wynajmowaliśmy, i mojego łóżka.

Lekki, obrzydliwie ciepły podmuch poruszył gałęziami drzew. Usiadłem na żwirze pod latarnią i zagapiłem się na osrebrzony księżycem bok konia trojańskiego, odtworzonego w drewnie w skali jeden do jednego, a w każdym razie na tyle dużej, żeby turyści mogli wejść do środka i trzasnąć sobie fotki.

Popatrzyłem na księżyc. Przegrywał konkurencję z blaskiem latarni, ale jeszcze się trzymał.

– No i co? – spytałem.

Księżyc milczał. Jak zawsze. Już zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

Noc była upalna i duszna, a pod latarnią było mi cholernie niewygodnie. Najpierw siedziałem ze skrzyżowanymi nogami, ale później mi ścierpły i musiałem je wyprostować. Oparłem plecy o słup, metalowe kanty wbijały mi się w kręgosłup. Próbowałem położyć się na boku, na żwirze, ale wytrzymałem w tej pozycji tylko parę minut.

Wstałem. Popatrzyłem na migocące pośród gałęzi drzew światła w oknach i oceniłem odległość dzielącą parking od domu wykopaliskowego. Wziąłem kilka głębokich wdechów i zrobiłem energiczny krok w ciemność. Nogi się podę mną ugięły, serce zaczęło walić, a na klatce piersiowej poczułem straszny ciężar, który wycisnął z płuc resztki powietrza i uniemożliwił nabranie świeżego. Cofnąłem się, ukucnąłem obok latarni i długo drżałem.

W końcu dałem za wygraną. Usiadłem, podciągnąłem kolana, opasałem je ramionami i oparłem na nich głowę. W tej pozycji musiałem się zdrzemnąć.

Kiedy się ocknąłem, księżyc był kawałek dalej na niebie. Spojrzałem w kierunku domu. Światła w oknach jeszcze się paliły. Wyciągnąłem zdrętwiałe nogi, trochę nimi poruszałem, żeby przywrócić krążenie, pomasaowałem przedramiona, a później skuliłem się znowu i zapadłem w płytki sen.

Jakiś czas później zarejestrowałem kroki na asfalcie. Zgarbione, oddalające się plecy należały do kogoś, kogo znałem, ale w tamtej chwili nie mogłem skojarzyć, kto to. Musiał przejść koło mnie. Otworzyłem usta, żeby go zawołać, ale rozmyśliłem się. Podciągnąłem kolana bliżej do klatki piersiowej i podłożyłem pod głowę ramię.

Zasypiałem i budziłem się. Wiatr ucichł i w kompletnej ciszy słyszałem bzyczenie owadów. Komary brzęczały nad moją głową, a później przestały.

Na nogawce wylądował wielki żuk i wczepił się w materiał kolczastymi łapkami. Strąciłem go na ziemię. Miał twardy pancerz, którym stuknął o asfalt. Przez chwilę gmerał w powietrzu odnóżami, a potem przewrócił się na brzuch. Rozłożył skrzydła i odleciał. Zostałem sam.

I to już wszystko. Poza tym nic więcej nie wydarzyło się tamtej nocy.

Rozdział 9

O świcie osiada rosa. Kondensacja wilgoci zawartej w powietrzu na skutek zetknięcia z chłodną powierzchnią. Krople wody powlekają zeschłe trawy, dachy samochodów, skapując na ziemię tworzą ciemne plamy. Ten moment trwa krótko. Słońce podnosi się trochę wyżej i zaczyna morderczy wyścig po niebie. Umierająca z pragnienia ziemia wciąga wilgoć jednym haustem. Po godzinie nie zostaje ani jedna kropla wody.

Kiedy się obudziłem, niebo za moimi plecami przybrało odcień nadgniętej pomarańczy. Latarnia nadal świeciła, bezsensownie, do niczego niepotrzebna.

Całe ciało miałem zeszywniałe, a wzdłuż barku czułem ból przy każdym ruchu, jakby ktoś wbijał mi tam zęby. Podniosłem się powoli. Przez chwilę stałem w miejscu, oparty o latarnię, i delikatnie zginałem i prostowałem palce w butach. W końcu udało mi się przywrócić krążenie we wszystkich czterech kończynach i mogłem oderwać się od metalowego słupa. Przeciągnąłem się, ziewnąłem, kilka razy otwarłem i zamknąłem dłoń, zmierzwiłem palcami włosy. Potarłem twarz i poczułem, jak zarost drapie mi palce.

Śmierdziałem. Podkoszulek i spodnie miałem wilgotne i pokryte ciemnymi plamami. Chciało mi się pić, a żołądek wysyłał słabe protesty pod hasłem: za dużo piwa, za mało jedzenia.

Odszedłem na bok, pod pokręconą jabłonkę, i z ulgą się wysikałem.

Zapiąłem spodnie i ruszyłem w kierunku terenu wykopalisk drogą pokrytą pyłem drobnym jak puder. Każdy mój krok wzbił mały obłoczek kurzu.

Powinienem pójść do domu i się wykąpać. Powinienem odwrócić się i powlec do wioski po dziurawym asfalcie, z dwoma pasami ruchu przedzielonymi krzakami oszłamiająco pachnących róż. Wziąć długi prysznic, zobaczyć, czy w lodówce zostało coś z kolacji, i przepłukać zaschnięte gardło kilkoma upojnymi łykami zimnego piwa. Zamiast tego szedłem w przeciwną stronę i kopałem po drodze wszystkie kamienie, jakie znajdowały się w zasięgu mojego prawego buta.

Przecisnąłem się obok niskiego drewnianego płotu i wszedłem między ruiny. „Teraz są pola uprawne tam, gdzie niegdyś była Troja”, czy jakoś tak, był chyba taki wiersz zmurszałego poety. Kamienie na drodze miały barwę różu, a mój cień był delikatny, prawie bez konturów. Minąłem bastion z koroną oświetloną już słońcem, u jego podnóża kryły się jeszcze cienie. Przeszedłem koło stosu kamieni, który archeolodzy upierali się nazywać buleuterionem, i wzdłuż splechotka wyschniętej trawy, na którym w równych rzędach leżały potrzaskane marmurowe bloki. Droga biegła w dół. Do buta wpadł mi ostry kamyk, ale nie chciało mi się go wytrząsnąć.

Minąłem pagórek porośnięty zeschłą trawą i zszedłem jeszcze niżej. Tu nie było już kamieni, tylko drobny pył, który unosił się wokół moich nóg jak mgła.

Zatrzymałem się. Miałem stąd widok na równinę trojańską. Pola były szare, jeszcze nie nabrały charakterystycznej płowej barwy wypalonych słońcem chwastów. Pompy terkotały miarowo. Z miejsca, gdzie stałem, widziałem tylko jednolicie zamglony horyzont, nie można było odróżnić granicy między ziemią a morzem.

Nogi same mnie poniosły (chyba tak się mówi) w dół. Po prawej stronie drogi ziała świeża, ciemna dziura w miejscu, gdzie Frank założył wkopy. Ziemia usypana obok na hałdzie nie była jeszcze wyschnięta na proch, zachowała trochę wilgoci.

Od początku wykopalisk starałem się, jak mogłem, unikać dodatkowej wiedzy i tylko robić swoje, czyli kursować w linii

prostej między wykopami nad morzem, lodówką w Tevfikiye i knajpą u Urana, ale kilka dni temu Robert zaciągnął mnie tu prawie siłą. „Nie możesz się tak migać”, zionął mi prosto w ucho wonią skwaśniałego piwa, „tu są ruiny całej, kurwa, europejskiej cywilizacji”. Pot zalewał mi oczy i nie chciało mi się nawet potakująco kiwać głową, ale Robert nie przestawał gadać o ołtarzu z epoki archaicznej czy innej hellenistycznej, i o murze, który osłaniał składane ofiary przed oczami niewtajemniczonych w misteria. Niewiele z tego zrozumiałem, skupiony na tym, żeby stawiać jedną stopę za drugą i jakoś się wydostać z tego gorącego piekła.

Podszedłem bliżej do płataniny pozarastanych chaszczami murków, biegnących gdzieś bez sensu i urywających się nagle, nie wiadomo dlaczego. Obtłuczony w połowie wysokości gliniany pitos, tak wielki, że swobodnie mogłem się zmieścić w jego wnętrzu, sterczał spośród kęp suchej trawy, oblepiony gipsem jak ortopedycznym kołnierzem. Pośrodku wznosił się postument z jasnego kamienia, wyższy ode mnie. Obok, lekko skośnie, stał drugi postument, z szarego porowatego kamienia, niższy i mniejszy, sięgający mi nieco powyżej kolan.

Gdzieś z tyłu rozległy się głosy. Za chwilę będzie tu pełno robotników. Przyjdzie Frank w swojej nienagannie wyprasowanej koszuli i w kapeluszu, w którym próbował wyglądać jak Indiana Jones, chociaż nie bardzo mu to wychodziło. Zacznie się mądrzyć na temat etyki pracy i stracę ostatnią tego dnia szansę na odrobinę ciszy i spokoju. Za chwilę słońce podniesie się wyżej i jak wampir wysysie z powietrza ostatnią wilgoć, aż cały świat zapłonie żywym ogniem.

Na postumencie coś leżało.

Potarłem oczy. Piekły, chociaż nie zerwał się jeszcze wiatr niosący tumany parzącego kurzu.

Zszedłem po stromym stoku pagórka. Musiałem uważać, żeby nie poślizgnąć się na śliskim pyłe. Kamyk w bucie boleśnie wgniótł mi się w duży palec. Spóźniony komar ugryzł mnie

w ramię. Klepnałem go i spostrzegłem, że mam gęsią skórę, chociaż temperatura powietrza wynosiła ze trzydzieści stopni, z tendencją wzrostową. Włoski porastające moje przedramiona były najeżone. Jakbym zobaczył ducha.

Ciało leżało na wznak. Postument był za krótki i głowa zwisała, bezwładnie odchylona do tyłu. Poniżej otwartych ust widniała szeroka szczelina rozciętego gardła. Rozciętego głęboko, aż do kości.

Zrobiłem jeszcze jeden krok. Nie czułem ziemi pod stopami. Miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu, a kształty przede mną są rozmazane. Kiedy słońce podniesie się wyżej, zjawy rozwięją się jak dym.

Sklejone krwią włosy były jasne. Grube nogi, rozrzucone szeroko na kamiennych płytach, opinały białe spodnie, brudne na kolanach i u dołu nogawek.

Za moimi plecami zgromadzili się robotnicy. Podchodzili jeden po drugim i zastygali w bezruchu, z kilofami i łopatami w dłoniach. Widziałem ich ruchy w zwolnionym tempie. Jeden prowadził taczkę. Ten, który stał najbliżej mnie, dźwigał naręcze plastikowych wiader, powsadzanych jedno w drugie. Postawił je na ziemi, ściągnął czapkę i wytarł pot z czoła.

Ktoś palił papierosa. Zaciągnąłem się łapczywie śmierdzącym dymem.

Wczoraj wieczorem ten trup był Nadią. Teraz na jej rozwarłych ustach, po szeroko otwartych oczach i poderżniętym gardle spacerowały tłuste czarne muchy.

Poczułem krople potu spływające po karku. Słońce stało wysoko. Dzień zapowiadał się upalny.

Nie mogę sobie przypomnieć jasno tego, co wydarzyło się później. Mózg podsuwa mi rozmaite obrazy, ale nie jestem w stanie ustawić ich w żadnej sensownej kolejności.

Pamiętam jaszczurkę, która przemykała po kamieniach między moimi nogami. Pamiętam policjanta, który wyszedł z radiowozu i próbował odsunąć dalej robotników, szurających stopami w pyłe jak stado krów. Pamiętam, że pochylałem się nad ciałem. Zaostrzona *protuberantia mentalis* zasłaniała mi pozostałe kości twarzoczaszki. Krwi było zdumiewająco mało i już zaschła. Kiedy na chwilę udało mi się odgonić muchy, w rozcięciu na szyi zobaczyłem biały fragment jednego z kręgów szyjnych.

Policjant podszedł i szarpnął mnie za ramię. Pamiętam odór starego potu i smażeniny, który bił od jego munduru. Wyrwałem mu się. Szarpnął mnie ponownie i obaj skutecznie zdeptaliśmy wszystkie ślady, jakie mógł w pyłe pozostawić morderca. Ale policjanci nie zwrócili na to uwagi. Kolega tego, który mnie odciągnął, zajęty był tłumaczeniem czegoś słuchawce telefonu. Ten pierwszy puścił mnie zaraz, kiedy znaleźliśmy się obok radiowozu, i natychmiast zapomniał o moim istnieniu.

Słońce podniosło się wyżej. Zerwał się wiatr, z początku lekki, ale szybko przybierał na sile. W Troi zawsze wieje. Ktoś powiedział, że w ten sposób najlepiej oczyszcza się powietrze i atmosfera.

Później siedzieliśmy wszyscy w jadalni. Zapamiętałem zielonkawą odcień twarzy Franka i jego trzęsące się ręce. Marilles zrobiła kawę i rozlała ją do kubków, które nietknięte parowały powoli. Muchy bzyczały na siatkach w oknach albo dogorywały

na spiralach lepów zwieszających się z lamp. Pola siedziała na przeciwko mnie za stołem przykrytym ceratą. Włosy miała rozczochrane, a usta zaciśnięte w białą kreskę. Drżała, chociaż stońce zdążyło już nagrzać ściany blaszanego baraku i w środku było gorąco i duszno. Vasif ściągnął z półki jakiś zatęchły, od lat nie używany koc i podał jej. Próbowata się uśmiechnąć w podziękowaniu. Później oparła łokcie o stół i ukryła twarz w dłoniach. Mnie też było zimno, jakbym zamiast ciała miał sople.

Policjanci przyszli, spisali nasze dane, powiedzieli coś, co zrozumiał tylko Frank, i poszli. W jadalni było cicho. W kącie Marilles szeptała z Peterem, zaplatając palce tak mocno, że jej kłykcie były całkiem białe. Jason siedział nieruchomo i patrzył na swoje dłonie ułożone równo na blacie stołu. Eva wtuliła się w jego bok i położyła mu rękę na udzie, ale nie odwzajemnił jej uścisku. Podniosłem głowę i rozejrzałem się dokoła. Byli wszyscy, siedzieli przy stole albo pod ścianą i każdy próbował znaleźć sobie jakiś punkt, na którym mógłby zawiesić wzrok, nie patrząc w oczy innym.

Koło dziewiątej uznałem, że już dłużej nie wytrzymam plastikowego oparcia wrzynającego mi się w plecy. Wypiłem duszkiem zimną kawę i wyszedłem rozprostować nogi. Pod drzewem, na zdezelowanej sofie obitej czerwonym aksamitem w esy-floresy, wylegiwała się chuda, ruda kotka. Na mój widok podniosła głowę i zmrużyła oczy, ale nie ruszyła się, bo u jej sutków wisiał wianuszek kociąt, naciskających miarowo łapkami zmierzwiłone futro brzucha. Dalej, za domem, nie było już żadnego cienia. Połatany asfalt na parkingu był miękki jak psia kupa i podobnie cuchnął. W oddali na drodze prowadzącej do Tevfikiye widziałem pełne spoconych turystów autobusy, podjeżdżające z młaskaniem opon pod zamknięty szlaban i zawracające przy wtórze narzekań i akompaniamencie głośnych okrzyków biletera, który chwilowo bezrobotny, oglądał telewizję w białej, odrapanej budce. Niektórzy turyści decydowali się wysiąść; w szortach i z paskami kosztownych kamer wrzynającymi się w czerwone

od słońca karki, zamiatając ziemię połami kwiecistych spódnic, wycierając czoła pod słomkowymi rondami kapeluszy, rozpełzali się po okolicy w poszukiwaniu rzeczy, które można by wyjąć, zjeść lub kupić.

Postałem tak dłuższą chwilę i pogapiłem się na ludzi, którzy nie mają poważnych problemów, a przynajmniej nie takie, o których ja bym wiedział. Kiedy nie mogłem już oddychać z gorąca, a przed oczami zaczęły mi latać ciemne plamy, wróciłem do jadalni. Siatkowe drzwi stuknęły głośno o framugę. Frank spojrział na mnie znad okularów i kontynuował swoje przemówienie.

– ...nie wiem, jaki teren policja będzie chciała odgrodzić dla potrzeb śledztwa. Podejrzewam, że całe sanktuarium, pewnie razem z częścią murów Troi Sześć. To głównie uderza w ciebie, prawda Robercie? Czy myślisz, że możesz przez najbliższych kilka dni skoncentrować się na pracach przy innym odcinku? Bo nikt poza tobą nie powinien chyba mieć żadnych problemów.

Robert pokręcił się niespokojnie na krześle.

– Nie sądzisz, Frank, że powinniśmy poczekać dzień lub dwa, zanim wznowimy prace? Bez urazy, chłopie, rozumiem twój punkt widzenia, ale tak byłoby chyba najlepiej. Policja może szukać śladów na całym stanowisku, nie powinniśmy im przeszkadzać. Poza tym... – urwał i potarł dłońmi nieogolone policzki. Wilgotna grzywka przykleiła mu się do czoła. – Nie wiem jak ty, ale ja... Robotnikom też przydałoby się kilka dni przerwy. Przecież oni to wszystko widzieli.

– Robert ma rację – powiedział Peter. Podniósł głowę. – A poza tym... powinniśmy chyba zawiadomić rodzinę Nadii. Czy ktoś ma jej adres?

– Ja mam. – Marilles schyliła się pod stół i podniosła z podłogi sfatygowany plecak. – Gdzieś w notesie, zaraz znajdę.

– Ale to chyba tylko jej adres – wtrąciła Pola. – To znaczy mieszkania, w którym ona mieszkała. Nie miała męża ani dzieci, ale czy ktoś z was wie, czy mieszkała z rodzicami? A jeśli

nie, to gdzie ich szukać? A może miała jakieś rodzeństwo albo dalszych krewnych?

Frank podszedł do okna, uchylił żaluzję i wyjrzał na zewnątrz.

– Poczekać chwilę – zarządził. – To przecież policja powinna zawiadomić rodzinę Nadii.

– To było pytanie? – mruknął Mervyn. – Ciekawe jak. U Nadii w domu pewnie wszyscy płynnie mówią po turecku.

Frank udawał, że tego nie usłyszał. Obciągnął mankiety koszuli.

– Nie zgadzam się z tobą, Robercie – zaoponował. – Moim zdaniem powinniśmy kontynuować pracę. Nie możemy sobie pozwolić na ich przerwanie właśnie teraz, kiedy mamy wreszcie... Ja sam uzgodnię z policjantami, od jakiego terenu powinniśmy trzymać się z daleka, ale przecież nie będą prowadzić śledztwa na całym stanowisku. Zresztą to byłoby niemożliwe. Sami widzicie, sucha trawa po pas, nic się nie da w niej znaleźć.

– Naogłądałeś się kryminałów? – spytałem. – Czy zrobiłeś ostatnio dyplom detektywa, tylko nic nam o tym nie powiedziałeś?

Frank popatrzył na mnie w milczeniu. Podszedł do Melindy i położył jej dłoń na ramieniu. Melinda podskoczyła, jakby dotknął ją upiór.

– Mam nadzieję, że przynajmniej ty się ze mną zgadzasz, moja droga. Nie sądzisz, że powinniśmy kontynuować pracę?

– Nie wiem. – Melinda nerwowo załamała palce na krawędzi stołu. Jeden z jej wypielęgnowanych, pociągniętych różowym lakierem paznokci pękł z trzaskiem. Z małej rany zaczęła sączyć się krew. Melinda wsadziła palec do ust.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała, krzywiąc się z bólu. – Musimy oczywiście dotrzymać terminów... A poza tym Griffin... Ale w tej sytuacji... Przepraszam cię, Frank, ja naprawdę nie wiem, co mam powiedzieć.

Frank puścił ramię Melindy i wrócił na swoje miejsce przy stole i pochylił się lekko. Jego twarz lśniła od potu, ale nie próbował go wycierać.

– Oczywiście, nie mogę was do niczego zmuszać. Sami jesteście swoim sumieniem...– urwał. – Ale ja jestem szefem tych wykopalisk i muszę myśleć o projekcie jako o całości. Jeśli ktoś z was chce, może odpocząć przez kilka dni, albo nawet całkiem zrezygnować z pracy i wrócić do domu. To wasz wybór.

Wstał i pochylił się jeszcze bardziej nad stołem.

– Ale pamiętajcie o jednym. Zaofiarowano nam dużą sumę pieniędzy na te wykopaliska, a chyba nie muszę nikomu przypominać, że jeszcze do przedwczoraj nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. To wielka szansa, która się nie powtórzy. Nie powinniśmy jej zmarnować. Nie sądzę, żeby Nadia tego chciała. Sami wiecie, jak bardzo była zaangażowana we wszystko.

– Czy ktoś już mu powiedział? – przerwałem mu.

– Komu? Co? – Frank nie zrozumiał.

– Griffinowi. Czy ktoś mu już powiedział o morderstwie?

Frank przestąpił z nogi na nogę i chrząknął.

– Ja się tym zajmę, oczywiście. Jako szef wykopalisk.

– Tylko zrób to jakoś ostrożnie – poradziłem. – Bo się przestraszy i zwieje. To przecież Amerykanin. Oni są wrażliwi na takie rzeczy, bo oglądają dużo przemocy w telewizji. A może już zwiął. – Obejrzałem się na drzwi. – Bo go nie ma, a przecież wczoraj aż przebierał nogami, żeby poczuć się jak prawdziwy archeolog.

Frank poczerwieniał. Wsunął dwa palce za kołnierzyk i odebrał go od wilgotnej szyi.

– Do tej pory tolerowałem twoje błazeństwa, Mario, bo jesteś wybitnym fachowcem. Ale zaczynam mieć tego dosyć. Ostrzegam cię, jeśli w jakikolwiek sposób spowodujesz, że stracimy te pieniądze, to...

– To wylejesz mnie z roboty. Rozumiem. – Pokiwałem głową. – Będę już cicho, obiecuję. Nigdy w życiu nie zaryzykowałbym

utruty tak wspaniałej pracy. Poważnie. – Potoczyłem wzrokiem dokoła. – Wybacz Frank, nie miałem nic złego na myśli.

– W porządku – sapnął Frank.

– Chciałem tylko się dowiedzieć, co porabia nasz Pan Sponsor.

– Ostrzegam po raz kolejny, Mario. – Kropla potu spłynęła Frankowi po policzku. – Twoje głupie dowcipy źle się dla ciebie kończą.

– Dobrze, już dobrze. – Podniosłem rękę do góry. – Ta pyśkówka zaczyna się robić nudna. Proszę, nie przeszkadzaj sobie. Na czym to skończyłeś? Że dostaliśmy kupę szmalu?

– Mario? – Melinda podniosła głowę. – Co ty tam w ogóle robiłeś? W ruinach. O tej porze.

Wszyscy spojrzeli w moją stronę.

Wzruszyłem ramionami.

– Co ja tam robiłem? Dobre pytanie. Poszedłem się odlać. I podziwiać piękno krajobrazu. Zresztą to długa historia. Zapytajcie Polę.

Frank opadł na krzesło.

– O Boże – powiedział. – To straszne, to naprawdę straszne.

Nagle Dijeke zerwał się i walnął w stół otwartą dłonią.

– Nie rozumiem! – wybuchnął. – Po co ta idiotka łąziła tam sama po nocy? Kurwa!

Usiadł równie gwałtownie, jak wstał.

– Zamknij się! – pisk Melindy zabrzmiał o oktawę wyżej niż zazwyczaj. – Zamknij się!

Yasmin zaczęła płakać.

– Uspokójcie się. – Frank mówił jak automat. – Turcja to przecież bezpieczny kraj.

– Właśnie widzę – zaszlochała Melinda. – Cholernie bezpieczny.

– No, no, kotek. – Robert pogłodził ją po plecach.

Melinda pociągnęła głośno nosem.

– Kiedy pomyślę, że to ja – mówił dalej Frank – widziałem ją ostatni żywą. Wczoraj wieczorem długo rozmawialiśmy. A po-

tem poprosiłem, żeby zamknęła dom wykopaliskowy. Chciała jeszcze trochę zostać, coś sprawdzić. Gdybym tylko...

– Chcesz powiedzieć, że to ty ją zamordowałeś? – spytałem. – To miło z twojej strony, że tak szybko się do tego przyznałeś. To powinno ułatwić pracę policji.

– Co? – Frank zachłysnął się oburzeniem.

– Żywą Nadię ostatni widział jej morderca. – Rozłożyłem ręce. – To chyba oczywiste. Ale jeśli twierdzisz, że to ty...

Frank posapał trochę, ale zdecydował, że łatwiej mu będzie po prostu mnie zignorować. Wciągnął powietrze w płuca.

Siatkowe drzwi stuknęły ponownie.

Kobiety w pewnym wieku można podzielić na dwie grupy: te, które chcą i mogą, oraz te, które bardzo chcą, ale nie mają już odwagi. Robert twierdzi, że to kretynizm, że wszystkie mają odwagę, ale niektórym się już nie chce. Ja osobiście nigdy takiej nie spotkałem, ale może Robert wie coś, czego ja nie wiem.

Gülsün Ozalan nie należała do żadnej z tych kategorii. Musiała też zawrzeć pakt z tureckim diabłem, bo nie byłem w stanie ocenić, ile ma lat. Miała ich zapewne wystarczająco dużo, żeby przebić się przez labirynt państwowych posad i zostać szefową służby archeologicznej regionu Çanakkale. Ale podejrzewam, że tak wyglądała przed dwudziestu laty i zapewne będzie wyglądała dokładnie tak samo za kolejnych dwadzieścia. Jej długie czarne włosy lśniły tak, że nasuwały tandetne skojarzenie z gwiazdzistą nocą. Do tego miała wielkie, ciemne, taksujące oczy, owoidalną w profilu mózgowcaszkę, wilgotne usta i – z ręką na sercu – najlepsze nogi, jakie widziałem w całym moim życiu. Szkoda tylko, że to największa zdzira, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia.

Gülsün nie ma zwyczaju pojawiać się na terenie wykopalisk, mimo że teoretycznie należy to do jej służbowych obowiązków. Trudno ją za to potępiać: kurz nie służy eleganckim sandałkom. Nie ma też zwyczaju wychodzić w środku upalnego dnia

z klimatyzowanego biura, po prostu niektóre kosztowne tkaniny źle reagują na plamy potu. Dlatego trochę się zdziwiłem, widząc ją w porze największego upału w naszej zakurzonej i wypełnionej stęchłym powietrzem jadalni. Z drugiej strony Gülsün słynie z tego, że jest nieprzewidywalna. Podobno poprawia to morale jej pracowników oraz członków obcych misji archeologicznych, którzy nie znają dnia ani godziny, ale wątpię, żeby sama Gülsün potrafiła znaleźć tak logiczne usprawiedliwienie dla chaosu, jaki wprowadza w życie wszystkich dokoła.

Minęła Franka stojącego u szczytu stołu, podeszła do pierwszego wolnego krzesła i opadła na nie z wdziękiem. Założyła nogę na nogę, poszperała w torebce, wyciągnęła z niej paczkę papierosów, włożyła jednego w usta i rozejrzała się. Niewiele to dało, bo czasy, kiedy mężczyźni na widok damy czekającej na podanie ognia reagowali charakterystycznym poklepaniem się po kieszeniach, minęły bezpowrotnie. W końcu Vasif podniósł się wolno i wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Gülsün wciągnęła głęboko dym w płuca i przesunęła wielkie, czarne i z pewnością markowe okulary na czubek głowy.

– Tu nie wolno palić – zwróciła jej uwagę Melinda, ssąc palec. – Nie widzisz, że wszędzie jest sucha trawa? Mamy zagrożenie pożarowe.

Gülsün wydmuchnęła dym i pomachała sobie ręką przed nosem.

– No to macie problem – powiedziała.

– Nie, to nie jest wielki problem. – Frank pokiwał głową. – Po prostu proszę cię, żebyś bardzo uważała, gdzie strzepujesz popiół.

– Mówię o morderstwie.

Wreszcie osiągnęła to, o co jej chodziło od początku: całkowitą ciszę w jadalni i maksymalną uwagę zebranych skupioną na jej osobie.

Oparła się wygodnie i zmieniła ułożenie nóg na jeszcze bardziej wdzięczne.

Wyciągnąłem z kieszeni zegarek na zerwanym skórzanym pasku.
– Jeszcze nie ma dziesiątej – zauważyłem. – A ty już wiesz o morderstwie.

Odwróciła się i dmuchnęła mi dymem w twarz.

– Znamy się dobrze z komendantem policji.

– No to wobec tego: witaj Gülsün. – Skinąłem lekko głową. – Miło cię zobaczyć o poranku.

Zignorowała mnie i odwróciła się, demonstrując mi tył nienagannie ułożonej fryzury.

– Podobno znaleźliście wczoraj coś ciekawego – stwierdziła.

Frank poderwał się.

– Vasif. – Wsadził rękę do kieszeni spodni. – Masz tu klucze. Idź do magazynu i przynieś to pudełko z blaszkami dla pani Ozalan.

Vasif wziął klucze bez słowa i wyszedł.

– Przepraszam Gülsün, że cię nie powiadomiłem wcześniej – powiedział Frank. – Próbowaliśmy do ciebie wczoraj zadzwonić, ale nie mogłem cię nigdzie złapać. A dzisiaj z samego rana...

– Następnym razem zostaw wiadomość. – Gülsün przypatrywała mu się uważnie zza chmury dymu.

– Ja... zostawiłem. Oczywiście, zostawiłem. Na automatycznej sekretarce.

Usiadł i wyciągnął z teczki spłowiwały skorowidz.

– Proszę – powiedział. – Wiem, że teraz trudno jest ci pewnie skupić się na pracy, ale po prostu chcę, żebyś wiedziała, co wczoraj znaleźliśmy. To jest z Beşik, z jednego z najwyższych wykopów. Tu masz kartę obiektu z wydrukowanymi zdjęciami. Tutaj jest ksero z rysunkami profili. A tutaj – dotknął płaskiego plastikowego pudełka – dysk ze wszystkimi fotografiami, skanami profili i całą dokumentacją z wczoraj. Później Pola to jeszcze uzupełni i podrzuci ci do biura komplet kart zabytków.

Gülsün otworzyła teczkę i przyjrzała się bez zainteresowania zdjęciom przedstawiającym różne ujęcia szkieletu razem z dziewiątnastoma złotymi blaszkami.

– Nie mam tu dostępu do pełnej literatury – Pola podniosła nagle głowę, jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że ktoś mówi o jej znalezisku – ale zebrałam wstępnie kilka analogii i bibliografię. Wszystko masz na dysku. Jak już skończymy kopać...

Gülsün odchyliła się na krześle. Pasek lakierowanego sandałka na wysokim obcasie zsunął jej się z pięty. Kiwała stopą w rytm słów Poli.

– Gülsün? – zapytałam. – Po co tu przyszłaś? Bo przecież nie poplotkować o morderstwie ani o ostatnich znaleziskach.

Gülsün zaciągnęła się ostatnim papierosem, rzuciła niedopałek na podłogę i przydeptała obcasem. Melinda skrzywiła się z odrazą.

– Dobra, zabieram to. – Przesunęła teczkę po stole. – Raport i plany możecie mi podrzucić jutro do muzeum. Raport końcowy może być po niedzieli, ale nie później.

Frank drgnął.

– Jaki raport końcowy?

Gülsün rozejrzała się dokoła. Wyglądała jak ktoś, kto zadaje sobie pytanie, co właściwie tutaj robi. Westchnęła i przeniosła wzrok na Franka.

– Wasze pozwolenie zostało odwołane. Przyszedł faks z Ankary.

– Nasze pozwolenie? – Frank zerwał się na równe nogi. Krzesło, na którym siedział, zachwiało się i z hukiem upadło na podłogę. Pochylił się, żeby je podnieść. Kiedy się wyprostował, był czerwony na twarzy. – Jak to nasze pozwolenie?? O czym ty mówisz?

Gülsün znowu się rozejrzała. Jakby czegoś szukała. Albo na kogoś czekała.

Nikt się nie odezwał.

– Och, Frank, nie rób z tego takiej wielkiej sprawy. Przywieźcie mi potem wszystkie papiery. – Stuknęła obcasem w linoleum. – Długo jeszcze mam czekać na te zabytki?

– Chwileczkę. – Frank potarł ręką czoło. – Gülsün, proszę cię, wyjaśnijmy to sobie wszystko na spokojnie. Jakie pozwolenie? O jakim fakcie z Ankary mówisz?

Gülsün znów westchnęła.

– Tracisz mój czas. Ale dobrze, powiem to jeszcze raz, bo lubię cię i znamy się od dawna. Ankara, ministerstwo, cofnęło wasze pozwolenie na prowadzenie prac archeologicznych w Troi z powodu morderstwa, którego dokonano wczoraj w nocy na terenie wykopalisk, oraz toczącego się obecnie policyjnego śledztwa.

– Ale przecież... – Frank wyglądał, jak ktoś, kto śni koszmarny sen i nie może się obudzić. – Gülsün, chwileczkę.

Wyciągnął z kieszeni równo złożoną, śnieżnobiałą chustkę i otarł kark z potu.

– Rozumiem, że musicie zamknąć teren wykopalisk dla turystów. My też oczywiście wstrzymamy się z pracami na kilka dni. Właśnie o tym dyskutowaliśmy. Zrobimy wszystko, żeby pomóc policji. A przynajmniej nie przeszkadzać w śledztwie.

– Wykopy Poli są nad morzem – zauważyłem. – W zatoce Beşik. W linii prostej to będzie stąd jakieś dziesięć kilometrów. Je też chcesz zamknąć?

Gülsün wzruszyła ramionami.

– To co my teraz mamy zrobić? – zapytał Frank.

– Nie wiem. – Gülsün odgoniła muchę, która przysiadła jej na skroni. – Zadzwoń do ministra. Jechać do domu. To nie moja sprawa. Ja tylko wykonuję polecenia.

– Zaraz – powiedziałem. – Coś tu się nie zgadza. Znalazłem zwłoki Nadii – zerknąłem na zegarek – niecałe pięć godzin temu. Chcesz powiedzieć, że przez pięć godzin, licząc od wpół do szóstej rano, ktokolwiek w ministerstwie zdołał nie tylko dowiedzieć się o morderstwie, ale też przygotować dokumenty i nawet przesłać ci je faksem? Przez pięć godzin? W Turcji? Chyba żartujesz.

– Zamknij się, Mario – warknęła Pola ostrzegawczo.

Nie posłuchałem jej. Nachyliłem się w stronę Gülsün.

– Możesz to jakoś wytłumaczyć?

– Oczywiście. – Przełożyła nogi z jednej na drugą i wygodniej usadowiła się na krześle. – Policja zawiadomiła ministerstwo, ministerstwo zawiadomiło mnie. Wytłumaczyć ci coś jeszcze? – Uśmiechnęła się do mnie. – Ja wszystko mogę wytłumaczyć.

– Jestem przekonany, że to jakieś nieporozumienie – jęknął Frank. Siedział na krześle i ciężko oddychał. – Jestem pewny, że to się da jakoś odkręcić. Przecież nie mogą zamknąć całych wykopalisk. Może tylko jeden odcinek. Ale przecież nie mogą zamknąć Beşik. Zaraz zadzwonię do ministra.

Gülsün wzruszyła ramionami.

– Rób, co chcesz. Ja tylko was informuję, że macie zakaz prowadzenia dalszych prac wykopaliskowych oraz obowiązek zdania całej dokumentacji w terminie... – Spojrzała na zegarek z datownikiem. – Powiedzmy do dwudziestego pierwszego.

Vasif stanął w drzwiach. Przynagliła go machnięciem ręki. Podał jej tekturowe pudełko, a Gülsün zdjęła pokrywkę i upuściła ją na podłogę. Nawet na nią nie spojrzała. Vasif schylił się i podniósł wieczko.

Gülsün zajrzała do środka i wyjęła papierową torebkę. Wysunęła złotą blaszkę na otwartą dłoń.

– No, no, całkiem ładne.

– Nam wszystkim też się podobają – zapewniłem ją.

Pola wstała.

– Gülsün – powiedziała. – My nie możemy przecież tak zostawić stanowiska. Widziałas, co znaleźliśmy. Musimy przynajmniej wydobyć szkielet i zabezpieczyć wykopy. Daj nam jeszcze dwa dni. Przynajmniej jeden.

Podeszła krok bliżej. Poczzerwieniała. Wbiła ręce głęboko w kieszenie spodni.

– Gülsün, proszę cię. To jest ważne odkrycie. Nie możesz nas tak po prostu zamknąć.

– Chcesz się założyć? – Gülsün powachlowała się pokrywką. – A tak całkiem poważnie, Frank, powinieneś się zastanowić nad

założeniem tutaj klimatyzacji. Mogę ci znaleźć jakiegoś przyzwoitego wykonawcę.

Nasadziła pokrywkę na pudełko.

– Zaniesiesz mi to do samochodu, Vasif.

Pola obejrzała się za siebie. Wszyscy w jadalni siedzieli bez ruchu. Nikt nie powiedział ani słowa.

– Słuchaj, Gülsün...

– Nie musisz się martwić o zabezpieczenie terenu. Zrobimy to za was.

Gülsün zerknęła na srebrny zegarek na szczupłym nadgarstku. Zasłoniła oczy okularami i przewiesiła torebkę przez ramię.

– Ciekawy jestem – zastanawiałem się głośno – ile za to wzięła. Ile za to wzięłaś, Gülsün?

Odwróciła się do mnie. Okulary były bardzo ciemne. Nie widziałem jej oczu.

– Słucham? – spytała.

– Ile? – powtórzyłem. – Ciekawy jestem, ile za to wzięłaś. Chociaż nie oczekuję, że nagle zgłupiejesz na tyle, żeby mi zdradzić wysokość łapówki.

– Mario – powiedział Frank. – Zamknij się.

– O co ci chodzi, Mario? – Gülsün wstała i podeszła do mnie. Musiałem podnieść głowę do góry, ale nie za bardzo, bo nawet kiedy siedziałem, a ona stała na wysokich obcasach, była ode mnie niewiele wyższa.

– Masz fajne perfumy. – Odgoniłem muchę. – Ja tylko dodaję dwa do dwóch. I cały czas wychodzi mi pięć. Piękny nadmorski teren, niestety podlegający ochronie konserwatorskiej, bo jacyś kretyni przed trzema tysiącami lat założyli tam sobie cmentarzysko, a inny kretyn, pracujący przed kilkoma miesiącami na koparce, zdecydował się zgłosić znalezisko, zamiast umówić się z kumplami od buldożera i po cichu je rozjechać. Moda na domki czasowe w zachodniej Turcji. Dwie rywalizujące ze sobą firmy budowlane w Çanakkale. I pewna piękna szefowa służby starożytności, od której zależy, kto dostanie pozwolenie na

wykopaliska. A kto na budowę. Oczywiście teoretycznie decyduje Ankara, ale Ankara jest osiemset kilometrów stąd. Skąd ci biedni urzędnicy w ministerstwie mają wiedzieć, jaką decyzję podjąć?

– No i co? – spytała Gülsün. – Czy ty coś insynuujesz?

– Skądże znowu. Ja tylko spekuluję. I tylko na temat wysokości sumy, jaka trafiła ostatnio na twoje konto.

– Mario – wycedził Frank. – Mario, odpuść sobie. Proszę.

– Dobra, dobra, już nic nie mówię. – Podniosłem ręce do góry w obronnym geście. – Przecież Gülsün nie jest taka głupia, żeby kazać sobie przelewać te pieniądze na konto. Nie bez powodu to się nazywa łapówka. I chciałem tylko jeszcze zauważyć, że wszystko się świetnie złożyło. Z tym morderstwem. Perfekcyjne zgranie w czasie.

Robert, który w milczeniu śledził całą scenę, opierając głowę na ręce, i od czasu do czasu drapiąc się w czoło, popatrzył na mnie poważnie i wstał. Podeszedł do Gülsün, dotknął lekko jej ramienia.

– Przepraszam za niego – powiedział. – To idiota.

– Jestem pewien, że to jakieś nieporozumienie. – Frank zerwał się na równe nogi. – Gülsün, odprowadzę cię do samochodu, dobrze? Porozmawiamy spokojnie. – Odwrócił się do nas. – Zaczekajcie tu chwilę, na pewno wszystko się wyjaśni.

– Lubię cię, Gülsün – oznajmiłem. – Naprawdę cię lubię. Podoba mi się twój styl załatwiania spraw.

Gülsün ruszyła szybkim krokiem do wyjścia. Frank chwycił pod pachę pudełko ze złotymi blaszkami i pobiegł za nią. Nie zdążyli nawet dojść do drzwi.

– Witam, witam! – Głos Griffina był tak samo gładki, jak poły jego marynarki w stylu safari. – Widzę, że wszyscy są tutaj. Byłem już na stanowisku, ale nikogo nie zastałem. Myślałem, że coś się stało.

– I miałeś rację, o Nieomylny – powiedziałem.

– Panie Griffin, dzień dobry. – Frank ustawił się tak, żeby zasłonić mnie Griffinowi. Albo odwrotnie. – Udało się panu wypocząć? Pozwoli pan, że przedstawię naszą nieocenioną współpracowniczkę, szefową służby archeologicznej w Çanakkale, panią Gülsün Ozalan.

Griffin pochylił się nisko nad ręką Gülsün i wymamrotał konwencjonalne powitanie. Żeby to zobaczyć, musiałem przesunąć się pod samą ścianę.

– Miło mi – warknęła Gülsün. – A kim jest ten pan? I czy on wie o tym, że musi mieć pozwolenie na wstęp na teren wykopalisk?

– Gülsün, to jest pan Howard Griffin. Odwiedził nas wczoraj, żeby...

Frank się zawahał.

– Zaofiarowałem swoją pomoc finansową w prowadzeniu wykopalisk. – Griffin skłonił się lekko przed Gülsün. Zastanawiałem się, czy strzeli też obcasami, ale znowu mnie rozczarował.

Gülsün przesunęła okulary na czubek głowy i z uwagą obejrziała sobie Griffina od stóp do głów.

– Spóźnił się pan – powiedziała krótko.

Poczułem, że zaczynam ją lubić jeszcze bardziej.

– Ależ Gülsün, pozwól mi wszystko wytłumaczyć. Proszę cię, zostaw to mnie. – Frank był spocony, nawet jego nieskazitelny zazwyczaj kołnierzyk wyglądał na lekko wymięty.

Gülsün wzruszyła ramionami.

– Czy coś się stało? – W głosie Griffina czuć było autentyczną, nieudawaną troskę.

– Wszystko panu wytłumaczę, panie Griffin. – Frank ujął go lekko za ramię i zaczął nim manewrować w stronę drzwi. – Mamy... nieoczekiwane utrudnienia. Ale to tylko drobiazg, zaraz wszystko się wyjaśni. Szedłem właśnie wykonać kilka telefonów.

– Nie wiem, czy słowo „drobiazg” tu pasuje – wtrąciłem. Pokiwałem Griffinowi ręką.

– Cześć Howard, jak leci? Dobrze się spało?

Odpowiedział mi tym samym gestem, automatycznie, zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi.

– Może zechce mi pan towarzyszyć. – Uścisk Franka na ramieniu Griffina przybrał na sile. – Przy okazji pokażę panu naszą pracownię konserwatorską. Pola, chodź proszę z nami. Mamy dzisiaj niewielkie opóźnienie, panie Griffin, ale pomyślałem sobie, że na pewno chętnie zobaczyłby pan też muzeum w Çanakkale. Doktor Mor będzie panu towarzyszyć, oprowadzi pana po kolekcji zabytków z wcześniejszych wykopalisk. Pola, chodź, proszę.

Pola zawahała się przez chwilę, ale podeszła do nich. Griffin się uśmiechnął. Frank przepuścił Polę i wyciągnął Griffina na zewnątrz, ani na chwilę nie puszczając jego ramienia. Jego głos przycichł. Gülsün spojrzała na nas, ale ponieważ nikt nie kwapił się otworzyć przed nią drzwi, musiała zrobić to sama. Wstałem i wyjrzałem przez okno. Zmrużyłem oczy, żeby popatrzeć na jej sylwetkę przesuwającą się na tle oślepiającego słońca. Cienkie obcasy Gülsün lekko się wykrzywiały na żwirowej ścieżce, ale starała się iść z wdziękiem. Jak prawdziwa dama.

Rozdział 11

Srebrne światło księżyca korzystnie wpływa na wygląd wsi. Zardzewiałe balustrady tarasów wyglądają, jakby ktoś znalazł wreszcie czas, żeby je pomalować, ściany z obłazącymi płatami tynku mają interesującą fakturę, a połatany asfalt drogi przypomina... Sam nie wiem, co przypomina, ale nie rzuca się tak bardzo w oczy. Nawet kupa zardzewiałego złomu przed domem wygląda całkiem jak pierwsze próby Giacomettiego. Te nieudane.

Siedziałem w kuchni, w bezpiecznej odległości od okna. W podziwianiu księżycowego krajobrazu trochę mi przeszkadzały dwie jarzeniówki pod sufitem i jedna nad zlewem. Siedziałem i obracałem w myślach słowa Roberta. To, co powiedział rano po wyjściu Gülsün i Franka wczepionego w ramię Griffina, w dusznej jadalni, nad ceratowym obrusem poznaczonym ciemnymi krążkami po kubkach z kawą.

– Moim zdaniem Frank niepotrzebnie się boi – szepnął do mnie konspiracyjnym szeptem. – Griffin tu zostanie, gwarantuję ci to.

– Co ty powiedziałeś? – Patrzyłem w okno. Na zewnątrz szumił wiatr, gorętszy niż ogień piekielny.

– Stary, nie mów mi tylko, że nie wiesz, o co chodzi. Frank trzęsie gaciami, że Griffin powie mu: dziękuję za mile spędzony wieczór, to do zobaczenia.

Wiatr szarpał sznurem do bielizny, do którego ktoś przypiął klamerkami kilka zszarzałych szmatek i czarny foliowy worek na śmieci. Worek wydymał się jak balon i miałem wrażenie, że za chwilę odleci z całym sznurem i szmatkami na koniec świata.

– Te wykopaliska mają rzeczywiście strasznego pecha – mówił dalej Robert. – Przez całe lata ledwo ciągnęliśmy, bo nie było kasy. A jak już się znalazł sponsor, i to taki, który gotowy jest sypnąć hojnie groszem, to wszystko zaczyna się walić.

Odwróciłem głowę w jego kierunku.

– Masz ciekawe określenie na morderstwo – powiedziałem.

– Daj spokój! – Robert machnął ręką. – Jak zwał, tak zwał. Prawda jest taka, że mamy pecha. Ale moim zdaniem Frank nie powinien się obawiać. Nie sądzę, żeby Griffin dał nogę. W każdym razie nie tak od razu.

– Tak? – zdziwiłem się. – A skąd masz takie sensacyjne informacje? Sam ci to powiedział?

– Nie, coś ty. Ale wystarczy popatrzeć, jak on się ślini na widok Poli. Moim zdaniem facet, który tak się ślini, nie zamierza zniknąć.

Odwróciłem się do okna.

– Zastanów się. – Robert nie przestawał gadać. – Po co gość chce finansować wykopaliska?

Wzruszyłem ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć? Bo go interesuje archeologia? Ma za dużo forsy i nie wie, co z nią zrobić?

Robert nachylił się do mojego ucha.

– Po to, żeby poderwać laskę.

– Coś ty – zaprzeczyłem. – Żeby poderwać laskę, facet sponсорuje mecze bokserskie. Albo coś w tym stylu. Wykopaliska finansuje, żeby pokazać, jaki z niego intelektualista.

– A po co ma pokazywać, jaki z niego intelektualista? No po co? Żeby poderwać laskę! – triumfował Robert.

Spowaźniał.

– Nie jesteś zazdrosny?

– Nie.

– Ani trochę? Wy dopiero niedawno... Nie czujesz...

– Nie. – Przysiadłem na krawędzi stołu. – Nie masz nic do roboty?

– A! Więc jednak jesteś zazdrosny!

Westchnąłem.

– Nie jestem zazdrosny. Nie wiem, ile razy będę ci to jeszcze musiał tłumaczyć. Nic nas już nie łączy.

– Tak się tylko mówi – powiedział Robert. – Ale jak przychodzi co do czego... Ale wiesz, co ja myślę? Jakbyś się trochę postarał, to mógłbyś jeszcze... no wiesz. Ona cię ciągle bardzo lubi, mimo że zachowujesz się jak ostatni krety. Myślę, że...

– Nie jestem ciekaw tego, co myślisz. A teraz wybacz. Nie spałem całą noc.

Wstałem i zatrzasnąłem za sobą siatkowe drzwi. Poszedłem prosto do knajpy Urana, zjadłem wielką porcję *köfte* i popiłem lodowatym piwem. A później wróciłem do domu i wsunąłem się między ciepłe, śmierzące potem prześcieradła.

A teraz siedziałem sam w kuchni i przyglądałem się, jak księżyc odwała swoją robotę.

Pola weszła w momencie, kiedy przerwałem podziwianie krajobrazu i zająłem się, dla odmiany, kontemplacją tego cichutkiego, rozkosznego pssst, jakie wydała czwarta butelka piwa po zdjęciu kapsla. Pola omiotła spojrzeniem stół poznaczony wilgotnymi kółkami i puste flaszki ustawione karnym rzędkiem koło moich nóg.

– Fajnie było w muzeum? – zapytałem.

Okręciła się na pięcie do wyjścia.

– Hej, księżniczko!

Nie spojrzała na mnie.

– Pola! Zaczekaj.

Zatrzymała się. Odwróciła głowę.

– Taki jesteś nagle spragniony mojego towarzystwa?

Co jej miałem, powiedzieć? Że boję się siedzieć tu sam?

– Chciałem porozmawiać.

– A mamy jeszcze o czym rozmawiać?

Pokazała brodą butelki.

– No i co z tego? – Wzruszyłem ramionami. – Nie mów mi tylko, że wylejesz mnie z roboty. Ktoś już to zrobił za ciebie, ślicznotko.

– Odpieprz się, Mario.

Podniosłem ostatnią pełną flaszkę, zdjąłem z niej kapsel i pomachałem Poli przed oczami.

– Lepiej napij się ze mną.

Zawahała się.

Potem wyszarpnęła mi piwo z ręki i powąchała.

– Co to za świństwo?

– Efes. Chluba miejscowego browarnictwa.

Pociągnęła łyk.

– Smakuje jak rzygi.

– No. Będziesz tak pić na stojąco?

Powoli podeszła do stołu i odsunęła drugie krzesło. Odchyliła się ostrożnie i podkurczyła stopy pod siebie. Włosy spływały jej na stary podkoszulek, opalone łydki były podrapane, w jednym miejscu do krwi, a na bosych stopach odcinały się upiornie blade paski po sandałach. Była najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu.

– Chciałeś porozmawiać o czymś konkretnym?

– Hm, bo ja wiem? Może o zastosowaniu techniki różnych źródeł światła w obrazach Gainsborougha. Chyba że wolisz o najnowszych plotkach z Hollywood. Podobno Angelina i Brad będą mieli jeszcze jedno dziecko.

Pola odgoniła komara.

– Nie – powiedziała po chwili milczenia.

Przed oknem przebiegł duży, chudy pies. Nie zauważyłem, jakiej był maści. Równie dobrze mógł to być wilkołak.

– Dobra, nie to nie. Chciałem się dowiedzieć, czy Frank coś wskórał.

Pola patrzyła za okno.

– Na razie nie. Spędził pół dnia na rozmowach telefonicznych z ministerstwem, ale o ile wiem, nie dotarł jeszcze do osoby

odpowiedzialnej za wydanie nakazu. Jutro ma znowu próbować, od rana.

– A Griffin?

– Co Griffin?

– No, co on na to? Przyjechał sponsorować wykopaliska, a wykopalisk nie ma.

– Nie wiem. – Pola wyglądała na zmęczoną. Przyłożyła sobie wilgotną butelkę do skroni.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

– Przez chwilę.

– No i co powiedział? Muszę z ciebie wszystko wyciągać, słowo po słowie?

Pola pociągnęła łyk i znowu się skrzywiła.

– Nic nie powiedział. W każdym razie nic konkretnego. Przyjął zapewnienia Franka, że to nieporozumienie, i powiedział, że chętnie spędzi trochę czasu na zwiedzaniu okolicy.

– I pewnie poprosił cię, żebyś mu towarzyszyła – mruknąłem.

– Co? Owszem. Poprosił. Ale to chyba nie twoja sprawa.

Nie odpowiedziałem. Zagapiłem się w ścianę przeciwnego domu, zbudowaną z cementowych pustaków i nieotynkowaną.

– I co teraz zrobimy? – spytałem w końcu.

– Mamy jeszcze coś do roboty?

Zamyśliłem się.

– Mario. – Pola odstawiła flaszkę na stół. – Może ja ci coś uświadomię, bo wygląda na to, że nie chwytasz pewnych faktów. To już koniec. Zamknęli nam wykopaliska. W połowie sezonu. Nie mamy materiałów, nie napiszemy raportu, nie będzie publikacji. Nie dostaniemy kolejnego pozwolenia i nie rozliczymy grantu. Nowego grantu nikt nam nie da, jeśli nie rozliczymy starego. I Griffin nic tu nie pomoże. Koło się zamknęło. Koniec, rozumiesz? Koniec.

– Ale Frank twierdzi...

– Daj spokój. Wiesz równie dobrze jak ja, że Frank nic nie załatwi.

Sięgnęła po butelkę, pociągnęła duży łyk.

– I na dodatek ktoś zamordował twoją koleżankę. Zapomniałaś dodać.

Pola skrzywiła się.

– Nadia nie była moją koleżanką. Ale masz rację. Zapomniałam dodać.

Przyjrzałam się jej uważnie.

– To do ciebie niepodobne – powiedziałem. – Taki luz. Nie mów mi, że bardziej cię interesuje fakt, że Gülsün zamknęła wam wykopaliska, niż to, że ktoś z ekipy stracił życie. W brutalny, przypominam, sposób.

Pola patrzyła w okno.

– Wiesz, co jest najgorsze? – spytała i zawiesiła głos.

Nie odpowiedziałem. Czekałam.

– Najgorsze jest to, że ja jej nigdy nie lubiłam. Uważałam, że jest... że była taka...

Nie mogła znaleźć słowa. Podrapała się po kolanie, na którym widniał bąbel po ukąszeniu.

– Taka oślizgła. Sama nie wiem. – Pokręciła głową. – Nie potrafię tego opisać. Wydawało mi się, że ona tylko czeka, żeby dorwać się do jakiegoś sensacyjnego materiału.

Spojrzała na mnie.

– Nie wiem, czy to rozumiesz. Nie interesowała jej praca, badania naukowe. Chciała tylko szybko coś opublikować, coś ważnego, chciała stać się sławna. Teraz, natychmiast. I najchętniej na cudzych plecach, żeby inni odwalili za nią czarną robotę.

Urwała.

– Nie powinnam tego chyba teraz mówić – dodała po chwili. – Nie powinno się źle mówić o zmarłych, ale...

– Ale dla niej to już naprawdę nie ma znaczenia, tak?

Pola opuściła głowę.

– To co w takim razie robiła w ekipie Franka? Wydawało mi się, że on starannie dobiera sobie ludzi.

– Nie wiem. Frank często na nią narzekał, nie rozumiem, dlaczego ją tu trzymał. A teraz już wszystko jedno.

Topole za oknem szumiały. Gdzieś w ciemności coś zameczało. Niski, zgarbiony mężczyzna przeszedł pod oknem i zniknął w sąsiedniej uliczce. Słyszałem odgłos kroków na asfalcie jeszcze kilka chwil po tym, jak mężczyznę pochłonęła ciemność.

Pokręciłem głową. Mdlilo mnie. Na przedramieniu przysiadł mi komar. Szukał świeżej krwi. Pacnąłem go otwartą dłonią.

– No tak.

Pola dźwignęła się. Nogi krzesła zazgrzytały na kamiennej posadzce, aż ścierpły mi zęby.

– I na tym, jeśli pozwolisz, zakończymy naszą miłą rozmowę.

Obróciła butelkę do góry nogami i wylała piwo do zlewu. Jęknąłem.

– Mam jeszcze sporo pracy. Dzięki za to świństwo. Dobranoc.

– Poczekaj chwilę.

– Dobranoc, Mario.

– Pola!

Uniosłem się i złapałem ją za ramię. Wyszarpnęła rękę.

– Nie dotykaj mnie – zasyczała.

– Dobrze, już dobrze. – Odsunąłem się. – Trzymam łapy z daleka. Ale zostań jeszcze.

Znowu ruszyła w stronę drzwi.

– Chciałem z tobą pogadać o Poliksenie. No wiesz, o tym szkielecie.

Zatrzymała się. Przez dłuższą chwilę słyszać było tylko te cholerne szumiące topole.

Czekaliśmy oboje w milczeniu. Komar zapikował koło mojego ucha. Machnąłem ręką, ale go nie trafiłem.

– Chcesz ją tak zostawić? – zapytałem cicho.

– A co to ma do Nadii?

– Nadii? – zdziwiłem się. – To nie ma nic do Nadii. Myślałem, że już zamknęliśmy ten temat. Chciałem cię teraz zapytać, czy

jesteś gotowa tak łatwo zrezygnować z największego odkrycia w całym twoim, cholernym życiu.

Brak odpowiedzi.

– Gülsün w najlepszym razie zorganizuje naprędce jakąś ekipę, wyciągną szybko kości i bez sprawdzania, co to jest, wrzucą na półkę w muzeum. A w najgorszym... – Zamyśliłem się. – W najgorszym, po Poliksenie przejadą się spychacze i nikt nie będzie płakał, że kilka starych kości zostało rozgniecionych w pył i wymieszanych z cementem pod fundamenty nowych daczy.

– Dlaczego ciągle nazywasz ten szkielet Polikseną?

– To ty zaczęłaś. Ładnie brzmi. I pasuje. Chcesz, żeby Polikseną utonąła w zaprawie?

– Dzięki, Mario, że mi to wszystko mówisz. Bez ciebie nie wiedziałabym, co tracę.

Usiadłem, odchyliłem się na krzesło i położyłem nogi na blacie stołu.

Pola podeszła do drzwi.

– To dobran...

– Powinnaś ją wykopać.

Zatrzymała się z ręką opartą o framugę.

– Co powiedziałeś?

– Gülsün się nie zorientuje. A jeśli nawet, to co z tego? I tak nie może ci już nic zrobić.

Pola powoli pokiwała głową. Oparła się o framugę całym ciężarem. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Nic gorszego, w każdym razie – dodałem. – Niż to, co już zrobiła.

– Oczywiście, Mario. Oczywiście. Wszystko, co zechcesz.

Nagle spojrzała na mnie ostro.

– Namawiasz mnie do nielegalnych wykopalisk?

Zastanowiłem się.

– Chyba tak.

Wzięła głęboki wdech. Zatrzymała powietrze w płucach, a potem wypuściła je ze świstem.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Wiesz, co to znaczy? To byłby koniec mojej kariery. Koniec nas wszystkich. Gdyby coś takiego wyszło na jaw, Frank już nigdy nie dostałby pozwolenia.. Nikt z nas nie dostałby pozwolenia na pracę w Turcji. Na żadnym stanowisku. Nigdy. Co ja gadam: w Turcji. Nigdzie! Nigdzie, rozumiesz?

Napiłem się piwa.

– Nie podniecaj się tak, księżniczko. Nie musisz na mnie wrzeszczeć.

– Masz rację. – Pola wyprostowała się. – Nie muszę. W ogóle nie muszę z tobą rozmawiać. Dobranoc, Mario.

– Gülsün nic ci nie udowodni. Przecież nie obfotografowała stanowiska, jak z niego schodziliśmy, żeby zadokumentować, w jakim stanie je zostawiliśmy. Nawet nie widziała tego szkieletu.

– Ona nie będzie musiała nic udowadniać – uświadomiła mnie Pola. – To ja będę musiała udowodnić, że niczego nie tknęłam palcem, po tym, jak nas stamtąd wyrzuciła.

Podeszła do stołu, oparła się o blat i pochyliła nade mną. Odsunąłem się jeszcze bardziej.

– To miło, że się o mnie troszczysz, Mario – powiedziała. – Ale ja się potrafię zatroszczyć sama o siebie. Nie potrzebuję twojej pomocy.

Straciłem nagle równowagę. Chwyciłem krawędź blatu i podciągnąłem się. Poleciałem do przodu. Włosy Poli musnęły mi twarz.

Wciągnąłem głęboko ich zapach, a potem wstałem. Odmówiłem w duchu szybki dziękczynny paciorek za to, że udało mi się nie zatoczyć. Wziąłem ją za rękę. Palce miała drobne i lepkie od potu.

– Pola.

Wyprostowała się.

– Jesteś idiotką.

Milczała.

– Przecież to są najważniejsze wykopaliska w twoim życiu. Wyrwała dłoń.

– Może i to są najważniejsze wykopaliska w moim życiu. Ale nie chcę, żeby były ostatnie. Są jeszcze inne stanowiska.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Cała masa. A na każdym czeka na ciebie sensacyjne odkrycie, które odmieni nie tylko twoją karierę naukową, ale całe twoje życie. Tylko jeśli tak jest, to dlaczego do tej pory nic takiego nie znalazłaś? Kopiesz już od ponad dziesięciu lat. Dlaczego, powiedz mi to, moja miła, tak mało ludzi znajduje cokolwiek poza kilkoma nikomu niepotrzebnymi skorupami?

– To są badania naukowe. My nie szukamy „czegoś”. Liczy się całokształt, wszystko, co odkryjemy. Każda, jak to nazwałeś, niepotrzebna skorupa wnosi coś do naszej wiedzy o życiu ludzi w starożytności.

– Niewątpliwie – przytaknałem. – Tylko że niewiele wnosi do twojego własnego życia, prawda? Możesz do emerytury katalogować skorupy albo kości. Możesz nawet w ten sposób dostać gdzieś jakąś ciepłą profesorską posadkę, na jakimś drugorzędnym uniwersytecie, któremu nie będzie zależało, żeby ściągnąć do siebie prawdziwe gwiazdy. Możesz co roku jeździć na konferencje naukowe, gdzie nikt, poza gronem najbliższych znajomych, nie będzie pamiętał, jak się nazywasz. Czy na pewno o to ci chodzi?

Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Mierzyliśmy się spojrzeniem w świetle jarzeniówek.

– Po co mi to wszystko mówisz? – spytała.

Była naprawdę zła.

– Zostaw mnie w spokoju, Mario. Przestań się bawić w mój wyrzut sumienia. Myślisz, że ja tego wszystkiego nie wiem?

Walnęła otwartą dłonią w stół.

– Myślisz, że mi nie jest ciężko? Właśnie straciłam największą życiową szansę! Po co mi o tym przypominasz?

Walnęła w stół jeszcze raz. Potem złość nagle ją opuściła. Zgarbiła ramiona. Po jej policzkach potoczyły się łzy.

– Po co mi to robisz, Mario? – wyszłochała.

– Weź się w garść – poleciłem.

Sięgnąłem po rolkę papierowego ręcznika stojącą koło zlewu. Pola urwała kawałek i wysmarkała nos.

– Jeszcze tej szansy nie straciłaś. Możesz wykopać ten szkielet, opublikować raport i koniecznie zrobić sobie manicure, zanim dziennikarze i grantodawcy zaczną walić do ciebie drzwiami i oknami.

Pola odruchowo zerknęła na swoje paznokcie.

– Dobrze wiesz, – mówiłem dalej – że Gülsün nie zainteresuje się tym szkieletem. Dla niej to takie same kości jak każde inne.

– A złote blaszki? – Pola wciągnęła gluty nosem.

– No dobrze – przyznałem. – Może nawet Gülsün zorientuje się, że to jest ważne znalezisko. Ale to wy mieliście licencję na wykopaliska, nie ona. Ona nie może tego ogłosić.

– Może.

– No dobra, może i może. Ale nie zdąży. Bo posiedzisz kilka tygodni w bibliotece, napiszesz artykuł, który powali na kolana wszystkich twoich kolegów, i zaproponujesz jej współautorstwo.

– Co? Chyba oszalałeś. Ona się na to nigdy nie zgodzi.

– Zgodzi się. Po mniej więcej dziesięciu minutach rozmowy, góra jedenastu. Gülsün nigdy w życiu nie przepuści okazji błysnięcia w świecie naukowym, i to przy zerowym wysiłku. Zgodzi się natychmiast po tym, jak udzieli ci ostrzeżenia na temat niewykonywania jej poleceń. I postara się bardzo, żeby to ostrzeżenie nie było za długie, bo wtedy ryzykuje, że w trakcie się rozmyślisz i sobie pójdziesz. Nie, dziesięć minut to za długo. Gülsün wie, że z ciebie straszna cholera, i do tego w gorącej wodzie kąpana. Daję jej najwyżej pięć.

Pola potarła ręką czoło i przysiadła na stołku. Oparłem się plecami o lodówkę.

– No i co, księżniczko? Podziękuj wujkowi Mariowi, że tak się o ciebie troszczy.

– Zamknij się i daj mi pomyśleć.

Podniosłem ręce do góry na znak zgody, ale Pola na mnie nie patrzyła. Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Poszedłem do pokoju, przyniosłem stamtąd laptopa i włączyłem sobie pasjansa.

– A jeśli Gülsün się zorientuje, że wykopaliliśmy szkielet, zanim zdążę jej zaproponować współpracę? – spytała nagle stłumionym głosem.

Podniosłem wzrok znad ekranu. Nadal siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie bądź śmieszna – powiedziałem. – Prawie na pewno zorientuje się wcześniej. W końcu jest tylko leniwa, a nie głupia. Wtedy zaproponujesz jej współpracę, zanim będziesz miała gotowy artykuł.

Pola znowu pograżyła się w myślach.

Rozkładałem karty. Nie było to szczególnie pasjonujące zajęcie, ale nie miałem w komputerze innych gier.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Gwarantuję ci, że się zgodzi. Po pięciu minutach. Chcesz się założyć?

– Nie, nie chcę.

Dalej milczała.

Pierwsze rozdanie mi nie wyszło, więc znowu rozłożyłem karty. Miałem już trzy asy, ale czwarty zablokował mi się pod dziesiątką i nie mogłem wykombinować, jak go wyciągnąć.

– A Frank?

– A co ma Frank do tego?

– Jest szefem wykopalisk, zapomniałeś?

– W takim razie jemu też proponujesz współautorstwo. Na pewno się ucieszy.

Znowu pograżyła się w myślach. Rozpocząłem trzecie rozdanie, ale tym razem nie mogłem wyciągnąć żadnego asa.

– Dobrze.

Podniosła się, obciągnęła podkoszulek i wydmuchała głośno nos.

– Przekonałeś mnie.

– To super. – Nie odrywałem wzroku od ekranu. Gdyby tylko udało mi się odłonić dziewiątkę kier. Ale żeby to zrobić, musiałem najpierw znaleźć jakąś czerwoną czwórkę, a najwyraźniej była na nie posucha.

– No to się zbieraj.

– Ja? – Zdziwiłem się.

– Ty – potwierdziła Pola.

Przebiegła palcami po włosach i uśmiechnęła się do mnie złośliwie.

– Jeśli mam wykopać Poliksenę, to teraz, od razu, bo jutro rano na pewno będą tam już spychacze. Ktoś mi musi pomóc. Sama nie dam sobie rady. Wypadło na ciebie.

– Chyba żartujesz! Przecież wiesz, że ja...

Urwałem.

– Że się boisz wychodzić po ciemku?

– Że cierpię na nyktofobię – odparłem z największą godnością, na jaką było mnie stać, bo musiałem się powstrzymywać, żeby głośno nie beknąć.

– Jakoś się przełamiesz. Dam ci latarkę. Poza tym dzisiaj jest pełnia i wcale nie jest ciemno. Sam zobacz.

Podeszła do okna.

– Nie ma mowy – stwierdziłem, gapiąc się w ekran komputera. – Nigdzie nie idę. Weź Vasifa. On jest silny jak byk i na pewno ucieszy się z perspektywy spędzenia z tobą kilku godzin sam na sam, w świetle księżyca. Nawet na nielegalnych wykopaliskach.

Pola podeszła tak blisko, że dotykała kolanem mojej nogi. Pochyliła się nade mną i odgarnęła włosy z twarzy.

– Wiesz dobrze, że nie mogę wziąć Vasifa ani nikogo innego – powiedziała. – Nie będę narażać młodych ludzi na oskarżenie o udział w nielegalnych pracach wykopaliskowych. Zostajesz tylko ty.

– A mnie możesz narażać? – spytałem żałośnie.

– Oczywiście. – Pola uśmiechnęła się beztrząsco. – Ciebie narażę z największą przyjemnością. A teraz zbieraj się, tchórze. Za pięć minut przy samochodzie. I wsadź najpierw głowę pod kran z zimną wodą, bo ty prowadzisz.

Odwróciła się i podeszła do drzwi. Przy wyjściu położyła rękę na wyłączniku.

– Ruszasz się czy mam zgasić światło? – spytała.

Ruszyłem się. Miała argument nie do odparcia.

Za ostro wszedłem w zakręt na polnej drodze i Pola uczepliła się uchwytu nad drzwiami, żeby nie wałnąć głową w sufit. Szarpnąłem kierownicą. W prowadzeniu przeszkadzały mi zapalone światła w podsufitce, ale uparłem się, żeby ich nie gasić. Podwozie samochodu szorowało o pas zeschnięj trawy między dwiema wąskimi koleinami. Reflektory wydobywały z mroku chaszcze, które chwilę później zanurzały się w czarnej nocy i przestawały istnieć. Całkiem jak w życiu. Widać tylko tyle, ile mieści się w kręgu światła, a nam się wydaje, że to cały świat.

Chętnie bym gdzieś zapisał tę głęboką myśl, ale musiałem ścisnąć obiema rękami kierownicę, żeby nas nie zniosło do rowu. Serce mi waliło od mieszanki strachu, adrenaliny i największej chyba dawki kofeiny, jaką pochłonąłem w życiu. Miałem tylko nadzieję, że nie dostanę zawału. I że Pola zna zasady pierwszej pomocy.

Zjechałem z piaszczystego pagórka prosto nad nurt Skamandra i zaciągnąłem ręczny hamulec. Przyjrzałem się z powątpiewaniem ciemnej wodzie rzeki, która, donikąd się nie spiesząc, niosła, żdźbła zeschnięj trawy, plastikowe torebki i rozmoczone papiery.

– Nie wiem, czy przejedziemy – powiedziałem.

– Damy radę. – Pola puściła uchwyt pod sufitem i pochyliła się trochę. – No, jedź.

– A co będzie, jak ugrzęźniemy?

– Nie ugrzęźniemy. Przy tych upałach nurt ma najwyżej dwieście centymetrów głębokości. Wszyscy korzystają z tego brodu. No, jedź.

– A jeśli ma więcej? Tutaj jeżdżą tylko traktory, a one są wysokie.

– Mario. – Cmoknęła ze zniecierpliwieniem. – Jedź już.

Zwolniłem delikatnie hamulec, wrzuciłem jedynkę i dodałem gazu. Koła zabuksowały w drobnym pyłe, ale wyrwały się i wjechaliśmy do rzeki. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, coś o tym, że będziemy tu siedzieć uwięzieni do wschodu słońca albo do czasu, kiedy wyczerpią się akumulatory, a ja dostanę ataku paniki, ale poczułem, jak przednie koła łady unoszą się lekko i wjechaliśmy na przeciwległy brzeg.

Otarłem pot z czoła i obejrzałem się za siebie. Za rzeką była tylko ciemność.

Zatrzymałem się pod wzgórzem i wyłączyłem silnik. Tykał jeszcze przez chwilę wśród nocnej ciszy, a potem przestał.

Położyłem rękę na klamce i zaraz cofnąłem.

– Dasz sobie radę sama, prawda?

Spojrzała na mnie zniecierpliwiona.

– Wyłaż – powiedziała.

Z ociąganiem nachyliłem się do schowka i namacałem dwie masywne latarki. Poklepałem się po kieszeni spodni, żeby sprawdzić, czy zapasowe baterie na pewno są na miejscu. Pociągnąłem za klamkę i powoli wystawiłem z samochodu najpierw jedną nogę, później drugą.

– Trzymaj! – Pola wepchnęła mi w ramiona skrzynkę z narzędziami. Przysiadłem pod jej ciężarem i omal nie upuściłem latarki.

Pola grzebała jeszcze przez chwilę w bagażniku, a później zatrzasnęła z łoskotem klapę.

Pierwszy zwabiony światłem komar zaczął krążyć mi koło ucha. Odgoniłem go i omal nie wyrznięłem jak długi, kiedy zahaczyłem stopą o wystający z ziemi murek.

– Ale będziesz blisko przez cały czas? – zapytałem.

– Oczywiście.

Ruszyła do przodu. Starałem się dotrzymać jej kroku, ale ciężka skrzynka utrudniała mi ruchy, a stopy ślizgały się na piachu.

Trafiłem nogą w jakiś płytki dołek i wylądowałem na ziemi. Walnąłem czołem w kant skrzynki. Latarka wypadła mi z rąk i potoczyła się w pyle.

Pola była coraz dalej. W poświacie księżycza widziałem tylko jej jasną bluzkę.

– Pola! Poczekaj chwilę!

Bluzka oddalała się ode mnie metr nad ziemią, jak duch.

Na kolanach popęzłem do miejsca, gdzie leżała latarka. Na szczęście nic jej się nie stało, nawet nie zgasła. Poświeciłem na swoje kolana i w dziurze rozerwanych spodni zobaczyłem zakrwawioną nogę. Poderwałem się, złapałem skrzynkę i zacząłem kuśtykać.

– Nie tak szybko! Zaczekaj na mnie!!

Pola znikła. Kuśtykałem najszybciej jak mogłem pylistą ścieżką. Pot zalewał mi oczy. W ciemności między trawą i wyschniętymi badyłami widziałem paszcze wykopów, wyszczerzone jak świeże groby. Oklapła, biało-pomarańczowa taśma, drżąca leciutko między drewnianymi palikami, zapraszała, żeby wstąpić w otchłań. Ścieżka zrobiła się wąska i po obu jej stronach kolczaste chwasty chwytaly mnie za nogawki. Przytrzymałem skrzynkę na biodrze i wetknąłem sobie latarkę między zęby. Krąg światła tańczył kilka centymetrów przed moimi stopami.

Serce waliło mi coraz szybciej. Dłonie miałem tak spocone, że skrzynka omal nie wyslizgnęła mi się w krzaki.

– Pola!

Cisza.

Odchrząknąłem. Nie mogłem zaczerpnąć tchu. Zatrzymałem się.

Nagle wydało mi się, że coś uderzyło mnie w brzuch. Coś bardzo ciężkiego.

– Pola! – Spróbowałem jeszcze raz.

Oszalały świerszcz ukryty w kikutach krzaków trzeszczał tak, że prawie nie słyszałem własnego walącego serca.

Poczułem, że ktoś za mną idzie. Obróciłem się szybko. Nogi mi się rozjechały, ale w ostatniej chwili złapałem równowagę. Rozejrzałem się. Nikogo nie było.

– Pola, do cholery!

Ruszyłem dalej, krok po kroku, siłą zmuszając się, żeby nie biec i stawiać równo stopy w kręgu światła. Patrzyłem na ziemię i liczyłem, starając się nadać rytm walącemu sercu. Przy „czterdzieści dwa” wpadłem na coś i zatrzymałem się.

– Zwariowałeś?

Zanim podniosłem oczy, żeby ją zobaczyć, usłyszałem jej oddech. Postawiłem skrzynkę na ziemi i ostrożnie się wyprostowałem.

Było bezwietrznie. Blask walił z nieba, księżyc był jak lampa nad stołem w prosektorium, a nieruchome morze wyglądało jak stalowy stół do sekcji. Drzewa i kamienie rzucały dziwne, szare cienie. Miałem wrażenie, że drgały.

Pola wskoczyła do wykopu i zaczęła odrzucać kamienie z grubej plastikowej folii przykrywającej szkielet. Przyglądałem jej się przez chwilę, a potem sam zeskoczyłem w dół, zaciskając kurczowo rękę na latarce. Bez słowa wskazała mi brzeg folii. Skinąłem głową. Ostrożnie chwyciliśmy płachtę z dwóch stron i unieśliśmy ją do góry. Deszcz drobnych kropelek skondensowanej wilgoci spadł na kości i poznał je ciemnymi plamkami. W świetle latarki wyglądały jak dziury wypalone kwasem. Spod spodu buchnął zapach ziemi.

Pochyliłem się.

– Świeć na moje stopy – poleciłem.

Pola posłusznie ustawiła latarkę. Wyjąłem z kieszeni grubą pędzel i odgarnąłem kilka grudek piasku. Poliksena leżała przed nami naga. Podniosłem wzrok i próbowałem spojrzeć Poli w twarz. Księżyc świecił tak jasno, że musiałem zmrużyć oczy. Wyłączyłem latarkę. Wstałem i odsunąłem się krok do tyłu, a razem ze mną mój cień. Kości połyskiwały, jakby zostały odlane z czystego srebra.

– Ona była piękna, wiesz?

Pola drgnęła.

– Popatrz tutaj.

Przykucnąłem tak, żeby nie rzucać cienia na białą czaszkę. Pola pochyliła się nad moim ramieniem.

– Lekko wystające łuki kości jarzmowych... jej przodkowie mogli mieć coś wspólnego z azjatyckimi stepami, każe Marilles sprawdzić to w jakiejś publikacji. Wielkie oczy, sądząc po rozmiarze i kształcie oczodołów. Nos... – Przesunąłem się nieco w bok i spojrzałem na czaszkę z ukosa. – Nos prosty, chyba ciut za długi, z wysoką i wąską nasadą, ale to akurat mogło do niej pasować. A tutaj – dotknąłem lekko palcem kości czołowej – zobacz sama. Wąskie skronie. Wysoko wysklepiona łuska kości czołowej. Królewska uroda.

Wyprostowałem się i popatrzyłem z góry na Poliksenę. W oczach, zamiast światła, miała suchą ziemię.

– No i co, księżniczko? – Odwróciłem się i spojrzałem na Polę. – Naprawdę byłaś gotowa tak ją zostawić?

Pola otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, i nagle rozkaszała się. Chciałem ją walnąć w plecy, ale zamachała rękami, żeby nie. Kasłała jeszcze przez chwilę, a potem z wysiłkiem przełknęła ślinę. Podniosła na mnie załzawione oczy.

– Jezu Chryste... – powiedziała zdławionym głosem.

Kaslnęła jeszcze raz.

– Powiedz mi jedną rzecz, Mario. Dlaczego tak ci na tym zależy?

Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego tak bardzo nie chcesz jej tutaj zostawić? To tylko stare kości, zawsze to mówiłeś.

Odgoniłem komara. Potem wzruszyłem ramionami jeszcze raz.

– To prawda. Nie zależy mi na kilku starych kościach. Zależy mi na...

Urwałem. Odchrząknąłem. Świerszcz wrzeszczał w ciemnościach.

– No to chcesz ją wyciągnąć, czy nie? Bo nie ukrywam, że wolałbym być teraz we własnym łóżku, w oświetlonym...

Pola podniosła głowę. W srebrnym blasku księżyca jej oczy były czarne jak oczodoły kościotrupa. Chciałbym móc powiedzieć, że zobaczyłem w nich jakiś błysk, ale czerń była tak głęboka, że nic poza nią nie dostrzegłem.

– To przestań gadać – powiedziała cicho – i bierzmy się do roboty.

Podczas wykopalisk w ogóle nie dotyka się kości metalowymi narzędziami. Nie można ryzykować, że powstaną jakieś rysy albo zadrapania, które mogłyby zatrzeć starożytne ślady. Do wydłubywania z ziemi szkieletów najlepiej nadaje się miękka łyżeczka z silikonu, która nie uszkodziłaby nawet buzi niemowlaka. Tylko że po pierwsze: nie wziąłem ze sobą mojego ekwipunku, a po drugie: silikonową łyżeczką nie wygrzebalibyśmy tego szkieletu do świtu.

Stałem nad Polikseną z łopatą w ręku i myślałem. Najlepiej byłoby wydobyć ją w jednym kawałku, w bryle ziemi otaczającej kości, i później w pracowni oczyścić. Ale to akurat nie wchodziło w rachubę, taka bryła ważyłaby pewnie ze sto kilo. We dwójkę nie mieliśmy szans wyciągnąć jej z wykopu, a co dopiero dotaszczyć do samochodu. A zresztą i tak podczas jazdy po wertepach wszystko rozpirzyłoby się w drobny mak.

Podniosłem głowę, rękawem podkoszulka wytarłem czoło i wbiłem łopatę w ziemię. Starłem się trochę poruszyć zbitą, wyschniętą warstwę, żeby Pola mogła wybierać kości rękami i zaznaczać ich położenie na rysunku, który szybko naszkicowałem na odwrocie jakiegoś starego planu, znalezionej w samochodzie. W tych warunkach nie potrafiłem wymyślić nic, co by lepiej odpowiadało naukowym procedurom.

Pola skończyła wyjmować piszczele i klęła cicho, bo w świetle latarki trudno było zlokalizować wszystkie paliczki palców u nóg. Najdelikatniej jak umiałem wbiłem łopatę głęboko i ukośnie pod klatkę piersiową. Chciałem przynajmniej spróbować wyciągnąć wszystkie żebra w jednym kawałku.

Ostrożnie pociągnąłem palcami kość obojczyka i odsłoniłem dwa dolne kręgi szyjne. Położyłem je na płachcie, którą rozciągnęliśmy nad brzegiem wykopu. Nachyliłem się znowu i spróbowałem dźwignąć z ziemi bryłę ziemi i żeber.

Była za ciężka. Zaczęła pękać i grudki ziemi przesypywały mi się przez palce. Poszperałem w kieszeniach, wyjąłem scyzoryk i odciąłem spory kawał foliowej płachty. Ułożyłem folię obok klatki piersiowej i zatrzymałem się, żeby pomyśleć, w jaki sposób najlepiej przetoczyć na plastik wymieszane z ziemią kości.

Pol siedziała skulona przy nogach szkieletu i liczyła kości palców. Nie podnosiła głowy. Spróbowałem podważyć bryłę z jednej strony. Była cholernie ciężka.

– Może byś mi tak pomogła? – spytałem z pretensją.

– Zaraz – mruknęła. – Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy.

– Po dwudziestu trzech jest dwadzieścia cztery. Nie musisz się tak męczyć, zapytaj mnie, to ci powiem. A teraz pospiesz się, bo to wypuszczę.

– Cholera! Pomyliłam się przez ciebie!

Wyprostowała się.

– Nie gadaj, tylko pomóż mi. Szybciej!

Podniosła się z ziemi i podeszła do mnie.

– Trzymaj tu z tej strony. Nie tutaj! Tu, mówię.

– Czekaj, to jest strasznie ciężkie.

– A co ty myślałaś? To nie scenografia horroru klasy B.

Wsunąłem płachtę jak najgłębiej do wykopanego pod bryłą dołka. Popchnąłem mocno i cała klatka piersiowa znalazła się na plastiku. Odciągnąłem ją trochę na bok, tam, gdzie było płasko.

– Dobra, jest.

Pol wyprostowała się i pomasaowała sobie okolice krzyża.

– Teraz musimy to wytaszczyć z wykopu.

– Ciekawe jak? – Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– Zaraz ci powiem.

Podrapałem się w spocone czoło. Nie miałem czasu odganiać komarów, co one skwapliwie wykorzystywały.

– Ja wyjdę na górę i się schylę, a ty podasz mi rogi płachty i będziesz pilnować, żeby wszystko się nie wysypało z drugiej strony. Potem tylko trochę uniesiesz i ja to wyciągnę.

Popatrzyła na bryłę ziemi.

– Nie dam rady tego podnieść tak wysoko.

– To wiesz co... – Rozejrzałem się. – Poczekaj.

Wygramoliłem się z wykopu i podniosłem dwa plastikowe kontenery po coca-coli. Rzuciłem je na dół.

– Ustaw je jeden na drugim i stań na tym. Dwoma nogami, do cholery! Prosto. O tak. Teraz będzie ci łatwiej dźwignąć.

Pola wlaźła na skrzynki i spojrzała na mnie z ukosa.

– Już wiem, co ci kupię na następne urodziny. Psa. Takiego, którego trzeba tresować.

– Dzięki z góry. A teraz skup się odrobinę, księżniczko. Wypnij swój tyłeczek i pociągnij płachtę za te rogi. O tak. Powoli. Do góry.

– Może nawet dwa psy – mruknęła Pola.

Pochyliła się nad folią i pociągnęła z całej siły.

– Nie dam rady – stęknęła.

– Dasz, dasz. No... iii... siup! Jeszcze kawałek. Jeszcze, jeszcze troszkę. No i super. Widzisz? Udało się.

– Jesteś pieprzonym sadystą. – Pola masowała sobie krzyż. – I zboczeńcem. I hieną cmentarną.

– Tak, tak. Ja też cię kocham, księżniczko.

Pochyliłem się, żeby odciągnąć płachtę dalej od krawędzi wykopu. Chwyciłem ją mocno, a potem zaczępiłem nogą o korzeń i wywaliłem się jak długi, prosto w sam środek kości.

Pola oparła się o krawędź wykopu i podciągnęła lekko do góry.

– Po to mi kazałeś zrywać sobie kręgosłup? Żeby rozwalić to teraz w kawałki? Nie mogłeś zrobić tego na dole? Byłoby o wiele łatwiej.

– Dzięki – burknąłem. – Nie martw się tak bardzo, nic mi się nie stało.

Spróbowałem się podnieść. Nacisnąłem dłońią na coś ostrego, co od razu przebiło mi skórę. Podparłem się kolanem i obejrzałem sobie rękę. Ranka była płytka, ale cała zapaprana ziemią. Wyssałem krew.

– Masz jakąś chusteczkę? – spytałem.

– Nie. – Pola pomacała się po kieszeniach. – Mam poszukać w samochodzie?

– Nie, zostań tutaj.

Roztarłem nadgarstek. Mogłem nim ruszać, ale bolał jak cholera.

Pola podciągnęła się wyżej i oparła kolanem o brzeg wykopu.

– Musisz trochę uważać – strofowała mnie, gramoląc się do góry. – Bo zaraz się okaże, że niepotrzebnie się tu fatygowaliśmy.

– Nie troszcz się o mnie tak bardzo. To małe skaleczenie, nie długo się zagoi.

Coś w stercie kości zmieszanych z grudami ziemi przykuło mój wzrok. Ukucnąłem, odsunąłem delikatnie kilka bryłek i wziąłem w dwa palce mały przedmiot. Położyłem go sobie na otwartej dłoni i przyjrzałem mu się uważnie.

– Co tam masz? – spytała Pola.

– Guzik.

– Naprawdę? – Przykucnęła obok i spróbowała zajrzeć mi przez ramię. – Prawdziwy starożytny guzik? Z kości słoniowej? A jesteś pewien, że to nie paciorek od naszyj...

– Nowożytny guzik – oznajmiłem bezbarwnym głosem. – Biały. Z plastiku.

Powoli wyciągnąłem w jej kierunku otwartą dłoń.

Guzik. Zwykły biały guzik od męskiej koszuli. Zwykły mały, biały lekko przezroczysty guzik. Z plastiku. *Made in 20th century*. Naszej ery.

– To było... – Pola głośno przełknęła ślinę.

W milczeniu wskazałem palcem rozsypane na plastikowej płachcie kości.

– Jesteś pewien?

– W stu procentach.

– A może leżał tu sobie po prostu obok na ziemi i zaczepiłeś ręką?

– Na pewno nie.

– Albo przyczepił ci się do buta.

– Nie.

– A może...

– Pola – przerwałem jej. – Nie zaczepiłem ręką i nie przyczepił mi się do buta. Ani do nogawki spodni, nie przykleił mi się do ręki, nie wypadł mi z majtek i nie zaplątał mi się we włosy. Był tutaj, w tej grudzie ziemi.

– A może był wcześniej na folii, tylko nie zauważyliśmy.

– Daj spokój. Przecież rozłożyłem tę folię na ziemi przed półgodziną. Przedtem dokładnie ją wytrzepaliśmy. Żaden guzik na pewno się do niej nie przykleił. On leżał między grudkami ziemi, na samym środku folii, o tutaj.

Pola delikatnie wyjęła guzik z mojej dłoni. Zapaliła latarkę i obracała go w strumieniu światła we wszystkich kierunkach.

– Guzik – powiedziała cicho.

– No dobra – powiedziałem. – Pokazuj, co masz na sobie.

Pola westchnęła.

– T-shirt. Bez guzików. Szorty. Jeden guzik w pasie, duży, brązowy, jest na miejscu. Wysokie buty za kostkę, wiązane na sznurówki. Skarpety. Koniec. Żadnych małych, białych guzików.

Popatrzyłem na siebie. Ciągle miałem na sobie jasny podkoszulek i wymięte spodnie, w które przebrałem się po południu. Guzik, sztuk jeden, zupełnie innej wielkości i koloru, tkwił mocno przy pasku.

– A może miałas w kieszeni?

– Myślisz, że noszę po kieszeniach zestaw pasmanteryjny?

Zademonstrowała wywinięte na lewą stronę kieszenie szortów. Nie było w nich nic, oprócz kłębu upranej w pralce razem ze spodniami chusteczki do nosa.

– W ogóle nie przywiozłam do Turcji żadnej białej koszuli z małymi guzikami. – Wepchnęła podszewkę do kieszeni. – Ty też nie, bo gdybyś taką miał, już dawno byś się w nią wystroił.

Argument nie do obalenia.

– A może...

– Nikt z naszej ekipy nie ma białej koszuli. Żaden z robotników nigdy nie był na wykopie w białej koszuli. Zresztą żaden z robotników nie pracował przy grobie Polikseny. Od początku zajmowałeś się nią tylko ty i Marilles. I Ayça.

– No to może Marilles. Albo Ayça.

– Widziałeś którąś z nich kiedyś w białej koszuli? Żartujesz? Zresztą coś ci powiem. Jakby ten guzik odpadł komuś od koszuli podczas wykopalisk, to leżałby na powierzchni i ty albo Marilles znaleźlibyście go podczas zdejmowania złotych blaszek.

– Skąd ta pewność?

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Nie wiesz? Proszę cię, nie mów mi, że nie znasz zasad stratygrafii.

– Nie znam. Nie jestem archeologiem, księżniczko.

– Wiem. Jesteś ignorantem.

– Jestem najlepszym na tej półkuli antropologiem.

– Na pewno nie najskromniejszym. – Popatrzyła na mnie krzywo. – No dobra. Powiem ci. Lektura dla studentów pierwszego roku. W archeologii wszystko opiera się na stratygrafii. To, co jest starsze, znajduje się pod tym, co młodsze. Starsze na dole, młodsze na górze. W ten sposób określa się wiek różnych znalezisk. A w każdym razie ich chronologię względną, czyli po prostu: co jest starsze od czego. Gdyby ten guzik pochodził z koszul któregośkolwiek z nas, musiałby leżeć na blaszkach, bo blaszki są z dwunastego wieku przed naszą erą, a guzik... – Przyjrzała mu

się. – Ma góra dziesięć lat. Pewnie mniej. Zobacz, jest zupełnie nowy, plastik nie jest nawet starty.

Podstawiła mi rękę z guzikiem pod nos. Odsunąłem ją.

– Zobacz sam.

– Wierzę ci na słowo.

– To tyle, jeśli idzie o teorię stratygrafii. W praktyce bywa różnie. Jeśli stratygrafia jest zaburzona, to kolejność „stare na dole, młodsze na górze” może być zamieniona. Ale w tym wypadku to niemożliwe.

– A spychacz? Nie mogły zaburzyć tej twojej stratygrafii? Przecież częściowo zniszczyły to cmentarzysko...

– Spychacz nie naruszył szkieletu – weszła mi w słowo. – Nad blaszkami było co najmniej pięć centymetrów ziemi.

– To prawda. – Rozdrapałem ukąszenie komara na łokciu. – To prawda.

– Ten guzik nie leżał na blaszkach, bo od razu byście go zauważyli. Nie leżał pod blaszkami. Był w środku. W tej grudzie ziemi. Pod żebrami. Rozumiesz Mario? Pod. Żebrami.

Rozumiałem. Rozumiałem aż za dobrze. Istniał tylko jeden sposób, w jaki guzik mógł dostać się do wnętrza klatki piersiowej. Razem z zapadającym się, rozkładającym się ciałem kobiety, którą uparłem się nazywać Polikseną. Tylko teraz byłem już pewny, że nie tak brzmiało jej prawdziwe imię.

Pola usiadła ciężko na brzegu wykopu i zagapiła się na ciemną masę szumiącego cicho morza. Ukłękłem obok i położyłem guzik z powrotem na kopczyku ziemi na środku plastikowej folii oblanej srebrną poświatą. Może miałem nadzieję, że jeśli się odwrócę i zajmę czymś innym, guzik zniknie tak nagle, jak się pojawił, i nie będzie sprawy. Usiadłem obok Poli, włączyłem latarkę i poświeciłem sobie na buty. Nad naszymi głowami przeleciał, głośno skrzecząc, wielki ptak. Pompy wodne terkotały w głębi pola. Silnik jednej z nich był chyba trochę uszkodzony, bo terkot podnosił się i opadał, a od czasu do czasu pompa kaszłała i pluła.

Było parno i duszno. Nawet tak blisko morza nie było czym oddychać.

– Ale się wpieprzyłaś.

Spojrzała na mnie ostro.

– O ile pamiętam, jak się załatwia te sprawy w filmach kryminalnych, powinnaś chyba zawiadomić teraz policję – powiedziałem.

– Oszalałeś?

Pola odwróciła się gwałtownie w moją stronę.

– Chyba jeszcze nie. Chociaż nie czuję się najlepiej, to prawda.

– Mario, to jest jedyna rzecz, której w tej chwili nie możemy zrobić.

– Której ty nie możesz zrobić.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Oczywiście że nie możesz zawiadomić policji po tym, jak dopiero co przeprowadziłaś nielegalne wykopaliska w środku

nocy. „Właśnie nielegalnie wyciągaliśmy szkielet, panie władzo, kiedy natknęliśmy się na niepodważalne dowody zbrodni”? Sam też bym się chwilę zastanowił przed złożeniem takiego zeznania.

– No to już wiesz, dlaczego nie mogę zawiadomić policji – burknęła.

– No to nie zawiadamiaj.

Zgarbiła się.

– Mario, czy ty nie rozumiesz? Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz?

– Być może – zgodziłem się. – Ale czego?

– Że to może być ten sam... ten sam morderca. Ten sam, który zabił Nadię.

– No, może – przytaknąłem. – *Modus operandi* nawet by się zgadzał. Poderżnięcie gardła silnym pociągnięciem ostrego narzędzia, prawdopodobnie noża, z uszkodzeniem trzonu trzeciego kręgu szyjnego.

– I co, nie robi to na tobie żadnego wrażenia?

Klapnąłem się w kolano. Zabiłem komara, pozostał po nim tylko czerwony placek.

– Nic mi nie odpowiesz?

– Nie. Bo nie wiem, co chcesz usłyszeć.

Przesunąłem się kawałek w bok, bo jakiś korzeń uwierał mnie w tyłek. Poła wstała. Automatycznym gestem otrzepała szorty na pupie i przykucnęła na wprost mnie.

– Mario – powiedziała. – Nadia została zamordowana. Ten ktoś, kto ją zabił, zabił już kogoś wcześniej, rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziałem. – Nawet średnio inteligentny uczeń szkoły podstawowej by zrozumiał. To nie jest skomplikowane.

– Wiem, że powinnam zgłosić się na policję. Ale nie mogę. Wiesz, jakie są w tym kraju kary za nielegalne prowadzenie wykopalisk? Słyszałeś kiedyś jakąś historię o tureckim więzieniu?

Słyszałem. Nawet kilka. Żadna nie nadawała się do opowiadania przy stole.

– Poza tym – zawahała się – na pewno nam nie uwierzą.

– W co? Że nielegalnie po nocy prowadziliśmy wykopaliska?

– Nie, w to uwierzą chętnie, zapewniam cię. Ale nie uwierzą, że to nowożytnie zwłoki.

– A dlaczego? Nie uwierzą, że jakiś świr zamordował panienkę i zakopał w polu? Idź na pierwszą z brzegu komendę policji, to opowiedzą ci dwadzieścia takich historii, wszystkie z ostatniego roku.

– Jasne – mruknęła Pola. – I we wszystkich dwudziestu wypadkach ofiary zostały pochowane na starożytnych cmentarzyskach i obłożone złotymi płatkami. Przecież mamy tylko jeden guzik. Jeden mały, pieprzony guzik.

– No tak – pokiwałem głową. – Wątpię, czy w Çanakkale dostępne są kursy szkoleniowe z najnowszych technik śledczych, takich jak typologia guzików.

– Nie uwierzą nam – mówiła dalej Pola. – I natychmiast nas wsadzą za nielegalne wykopaliska.

– Ciebie wsadzą – powiedziałem. – To ty jesteś szefową tego odcinka. Ewentualnie wsadzą Franka. Mnie raczej nie. Zawsze mogę zeznać, że mnie zmusiłaś.

Pola wstała. Zebrała dłońmi włosy i skręciła je w kok. Potrzymała je chwilę w górze, a później cofnęła dłonie i pozwoliła długim, ciemnym pasmom rozsypać się na ramionach.

– Powiedz mi, co mam zrobić, Mario.

– Pojęcia nie mam – zapewniłem ją.

Uniosłem się trochę i pomasaowałem sobie pośladki. Księżyc przesunął się po niebie i rzucane przez nas cienie wydłużyły się. Poczułem, jak na mojej piersi znowu zaczyna się zaciskać dobrze znajoma obręcz.

– Słuchaj, jeśli nie chcesz już dalej prowadzić nielegalnych wykopalisk, to może byśmy sobie stąd poszli? Strasznie tu niewygodnie i nie ma czym oddychać.

Wstałem. Podeszedłem do niej trochę bliżej.

– A te kości możemy po prostu wrzucić do dołu i przysypać ziemią. Jutro i tak zasypie je spychacz.

– Mario. – Pola podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy – czy tobie naprawdę jest wszystko jedno?

Odgoniłem komara. Wzięłem głęboki wdech, najgłębszy jak umiałem. Obręcz na piersiach zacisnęła się odrobinę mocniej.

– Wyczuwam niedowierzanie w twoim głosie – powiedziałem na głębokim wydechu. – Więc może wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Zaprosiłaś mnie na te wykopaliska, żebym opracował kości. Starożytne kości ze starożytnego cmentarzyska. Nie było mowy o bawieniu się w detektywa i tropieniu mordercy. Ja swoją robotę wykonałem. Napiszę ci pełen raport i tak dalej. Ale nie oczekuj ode mnie niczego więcej. I nie musisz mnie tak hipnotyzować wzrokiem.

Odsunęła się.

– Mam taką zasadę, że nie wtrącam się w cudze sprawy. Jak to się mówi, pilnuję własnego nosa. Bardzo zdrowa polityka. Spróbuj kiedyś, to się przekonasz.

Rzuciła mi urażone spojrzenie.

– Strasznie jesteś cyniczny. Kiedyś taki nie byłeś.

– Byłem – pokiwałem głową. – Byłem. Tylko ty tego nie widziałaś, bo byłaś we mnie zakochana. A jak ci już przeszło, to natychmiast zobaczyłaś, jaki jestem naprawdę, i od razu dałaś nogę.

Pola oparła dłonie na kolanach i pochyliła się, jej włosy prawie dotykały ziemi. Potem wyprostowała się i odgięła plecy do tyłu, trzymając ręce oparte o biodra.

– Dobrze, jak chcesz. – Ton jej głosu stał się suchy jak ziemia pod naszymi stopami. – Po prostu pomóż mi wyciągnąć resztę kości i zabrać je do samochodu. Dobrze?

– Po co? – Ja też spróbowałem się przeciągnąć, ale obręcz w piersiach ścisnęła mnie za mocno. – Po prostu wrzucmy je do dołu i tyle.

– Nie mam ochoty na dalsze dyskusje z tobą, Mario. O tym ani o czymkolwiek innym. Po prostu mi pomóż. O to jedno cię proszę.

– Ależ madame, oczywiście. Do usług.

Rzuciła mi krótkie spojrzenie i wskoczyła do wykopu. Usiadłem na krawędzi i przyglądałem się, jak klęka nad szkieletem i delikatnie wyjmuje z piasku czaszkę.

Poczułem straszny głód. Taki potworny, jakbym nic nie jadł od tygodnia. Żołądek skręcił mi się z bólu. Skrzywiłem się.

– Nie masz jakiejś kanapki?

Polą obracała czaszkę w dłoniach i przyglądała się jej uważnie.

– Albo chociaż jabłka? Cukierka? Marsa? Twiksa?

Odłożyła czaszkę na bok i jeden po drugim zaczęła ostrożnie podważać kręgi szyjne. Nagle zerwała się na równe nogi i szybko podeszła do ściany wykopu.

– Jezu, jaka ja jestem głupia – powiedziała.

Przesunęła snopem latarki po ziemi, kamieniach i wystających z profilu korzeniach.

Pochyliłem się, żeby lepiej widzieć, co robi.

– Może masz jakieś jabłko w samochodzie?

– Poświeć mi z boku, o tutaj – powiedziała, nie patrząc na mnie.

Skierowałem światło latarki na odcinek, który pokazała mi palcem. Przysunęła twarz jeszcze bliżej, przyjrzała się ścianie wykopu z odległości kilku centymetrów, a później szybko cofnęła się o dwa kroki.

– Co ty robisz? – spytałem.

– Sprawdzam stratyografię jamy grobowej.

Westchnąłem.

– Poświeć jeszcze bardziej z boku. Trochę bardziej pod kątem.

Ustawiłem ukośnie promień latarki. Polą wodziła delikatnie palcem po ścianie.

– Widzisz coś?

Wyprostowała się.

– Nic z tego.

Mocno potarła dłońmi twarz.

– To znaczy?

– To znaczy... sam zobacz. – powiedziała przez palce.

Zeskoczyłem na dół i stanąłem koło niej.

– Zasada stratygrafii. Myślałam, że uda się ustalić, kiedy ten grób został wykopany. Na ścianie na profilu powinno być widać, z jakiego poziomu zaczyna się wkop. Jeśli ktoś wykopał grób niedawno, jama musi się zaczynać na samej górze, w najmłodszych warstwach. Rozumiesz? Jeśli jego początek jest blisko współczesnych warstw ziemi, to...

– To grób też jest współczesny.

– Co za domysłność – pokręciła głową. – Ale niestety nic z tego.

Pokazała palcem.

– Tutaj przejechał się spychacz – domyśliłem się.

– Dokładnie. I zgarnął górną warstwę ziemi. – Wyprostowała się. – Nie zniszczył kości, ale zniszczył zarys jamy grobowej. Teraz już nie ma sposobu, żeby zobaczyć, kiedy ten grób został wykopany.

Zamyśliłem się. Coś mi nie dawało spokoju. Coś, co widziałem i czego nie umiałem nazwać.

Próbowałem uchwycić to wrażenie, ale im bardziej myślałem, tym bardziej oddalało się ode mnie. W końcu dałem spokój. Zaburczało mi w brzuchu.

– Na pewno nie masz nic do jedzenia?

Odwróciła się do mnie plecami i znowu zajęła się szkieletem. Wylazłem z wykopu, odszedłem kilka kroków dalej i położyłem się w zeschłej trawie. Dopiero kiedy już leżałem, przypomniało mi się, że nie sprawdziłem, czy nie ma tam jakiegoś węża. Zagapiłem się w księżyc. Niebo nie było czarne, tylko stalowoszare. Pompy terkotały, a gdzieś w krzakach hałasował świerszcz. Zaczepnąłem głęboko powietrza. Ucisk w piersiach trochę zelżał. Od ziemi promieniowało ciepło.

Czekałem tak chyba z pół godziny, a może godzinę. Było mi wszystko jedno. Nie chciało mi się spać. Pod świecącym jasno księżycem czułem się bezpiecznie. Na tyle, na ile to w ogóle możliwe.

W końcu przyszła. Usiadła obok mnie. Objęła ramionami kolana.

– Powiedz mi, Mario – zaczęła. – Dlaczego morderca chowa zwłoki na starożytnym cmentarzysku?

Przekręciłem się na bok i podparłem głowę łokciem.

– Dlaczego akurat mnie o to pytasz? Nie wiem. Nie jestem psychologiem.

– Ale jesteś antropologiem i patologiem. Coś tam przecież widziałeś.

– Coś tam widziałem – przyznałem.

Ziemia uwierała mnie w bok. Dźwignąłem się i usiadłem koło Poli.

– Po pierwsze: nie wiadomo, czy morderca zakopał zwłoki na cmentarzysku.

Jak to? powiedziało jej spojrzenie, ale Pola się nie odezwała. Czekwała.

– Może to zwykły przypadek. Facet zgwałcił dziewczynę, poderznął jej gardło i zakopał ją gdzieś na uboczu. Skąd miał wiedzieć, że akurat tutaj jest starożytne cmentarzysko

– I zupełnie przypadkiem obłożył jej zwłoki złotymi blaszkami?

– Dobra – obraziłem się. – Jak masz lepsze pomysły, to zamieniam się w słuch.

Zamyśliła się przez chwilę.

– Wiedział, na pewno. Zrobił to specjalnie, bo był pewny, że ktoś kiedyś odkopie ten szkielet.

Zamyśliłem się.

– Załóżmy, że masz rację. Taka robocza hipoteza. Wiesz, jak to napisał Chesterton... „Gdzie mądry człowiek ukryje liść? W leśie”. Nie ma lepszego miejsca na ukrycie zwłok niż cmentarz.

– A nie łatwiej byłoby ukryć ciało na jakimś bardziej współczesnym cmentarzu? – W głosie Poli słyszałem powątpiewanie. – Niedaleko Tevfikiye jest mały cmentarz, chyba z dziewiętnastego wieku...

– Jak to sobie wyobrażasz? Nie mógł przecież zakopać zwłok tuż przy wiosce tak, żeby go nikt nie zauważył. Żartujesz? Nie w Tevfikiye, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

– Chcesz powiedzieć...

– „Jeśli nie ma w pobliżu lasu, zasadzi las. Jeżeli jednak będzie chciał schować uschnięty, martwy liść, najbardziej odpowiadałby mu las uschnięty, martwy”. Chesterton to był jednak geniusz.

Wyciągnąłem się znowu na ciepłej ziemi. Pola siedziała obok, oparła głowę na kolanach. Nic nie mówiliśmy, ale żadne nie wstało, by dać znak do powrotu. Konik polny wskoczył na mój brzuch, posiedział sobie trochę i zeskoczył. Komary zniknęły. Może już im się znudziło. Księżyc znowu przesunął się na zachód.

– Śpisz? – zapytała Pola po dłuższym czasie.

– Nie.

– Wracamy do domu?

– Jasne.

Nie ruszyłem się. Ona też nie.

– Wiesz o czym myślę?

– No?

Pola odwróciła się do mnie.

– Polikse... Ta dziewczyna. To na pewno nie przypadek, że ona została tutaj pochowana.

Urwała. Czekałem na ciąg dalszy.

– Właśnie w tym miejscu, obok cmentarzyska Achajów. Ktoś jej poderżnął gardło i pochował w grobie godnym księżniczki, ze złotymi blaszkami. Morderca chciał, żebyśmy ją uznali za Poliksenę, brankę Achillesa zamordowaną na jego grobie. On to zrobił specjalnie, rozumiesz? Chciał, żebyśmy ją powiązali właśnie z tym miejscem i ze starożytnym mitem.

– I co z tego wynika?

– Nie wiem. Po prostu uważam, że to nie jest przypadek.

Podniosłem się.

– Może tak, może nie. Ja już mam dosyć. Marzę o tym, żeby się wyciągnąć we własnym łóżku.

– Dobra. – Pola wstała i pochyliła się nad wykopem. – Pomóż mi przenieść szkielet do samochodu.

Zawinąłem rogi folii tak, żeby kości nie wypadły, i dźwignęliśmy płachtę. Była cholernie ciężka, ale tym razem mieliśmy z górki.

Kiedy dotarliśmy wreszcie do łądy, opuściłem płachtę na ziemię i otworzyłem bagażnik w poszukiwaniu tekturowych pudeł i starych gazet, które Pola zawsze wozi do pakowania zabytków. Wyjąłem pięć pudełek i ustawiłem je rzędkiem koło zderzaka. Do pierwszego wsadziłem czaszkę i zacząłem utykać dokoła kule zmiętego papieru.

Pola opadła na fotel pasażera, otworzyła schowek i przekopywała się przez stare mapy, zakurzone paczki chusteczek do nosa, obgryzione ołówki i śrubki niewiadomego pochodzenia, z taką pasją, jakby zgubiła pierścionek z brylantem. Po chwili zatrzasnęła schowek i odchyliła się na oparcie.

Skończyłem z czaszką. Resztę kości włożyłem do pudełek bez żadnego porządku. Kiedy skończyłem, spojrzałem na Polę, ale siedziała odwrócona do mnie tyłem i nie wyglądała na taką, która zechce mi pomóc. Zwinąłem folię i cisnąłem na tylne siedzenie. Pudła z kośćmi ustawiłem w bagażniku.

Cały czas myślałem o tym, co mi umknęło. Nie miałem już na to ochoty, ale pytanie nie dawało mi spokoju. Coś ważnego. Coś.

Normalnie najlepiej myśli mi się w łazience, ale tym razem, bacznie obserwowany przez flamingi na kafelkach, nie mogłem się skupić. Stałem w strugach wrzątku tryskającego z prysznicowego sitka i myślałem. I nic nie wymyśliłem.

Drzwi uchyliły się i między strumienie wody wbił się aromat kawy. Przez zaparowaną kabinę prysznic zobaczyłem sylwetkę Poli.

– Tobie też przyniosłam. – Przysiadła na klapie sedesu. – Obiecuję, że nie będę patrzeć.

Rozejrzałem się za ręcznikiem. Wisiał na drugim końcu łazienki.

– To miło, księżniczko, ale zastanawia mnie ta nagła troska o moje samopoczucie.

– Muszę z tobą pogadać. Bierzesz tę kawę czy mam ją wylać do kibla?

– Oszalałaś?! Dawaj.

Uchyliłem drzwi od kabiny i wyciągnąłem rękę, a Pola wsadziła w nią kubek. Syknąłem z bólu, parzył. Drugą dłonią szybko namacałem uszko i pociągnąłem spory łyk.

Kawa była ohydna, ale zawierała kofeinę, która przeniknęła mi prosto do żył. Poczułem, że coś zaczyna w nich krążyć. Łyknałem jeszcze raz i postawiłem kubek na górnej krawędzi kabiny.

– Ocaliłaś mi życie, księżniczko.

– Jak już skończysz z błaznowaniem, to możemy pogadać?

– Jasne.

Namydliłem głowę po raz drugi. Podstawiłem ją pod prysznic i westchnąłem. Gdyby ktoś mnie w tym momencie spytał, co

jest lepsze: długa kąpiel czy seks, musiałbym się dobrze zastanowić. Zazwyczaj nie miewam takich dylematów.

Otworzyłem oczy.

– No, mów – poleciłem.

Sylwetka Poli poruszyła się za zaparowaną szybą.

– Ja po prostu... nie wiem, co mam o tym myśleć.

Umilkła.

– Poczekaj chwilę.

Wyplukałem pianę najpierw z jednego ucha, potem z drugiego.

– No, teraz już słucham uważnie.

Pola westchnęła.

– Nie chcę tego tak zostawić. Ale naprawdę nie wiem, co możemy zrobić.

Zakręciłem kran.

– Podaś mi ręcznik?

Pola wyciągnęła rękę. Wyjąłem z niej ręcznik, starannie się nim okręciłem i wyszedłem z kabiny prosto na mokre kafelki. Wycierać się nie było sensu. Przy temperaturze trzydziestu pięciu stopni już o poranku za chwilę będę tak samo mokry.

Podszedłem do umywalki i wycisnąłem pastę na szczoteczkę do zębów. Przetarłem zaparowane lustro i złowiłem spojrzenie Poli.

– Też się powinnaś wykąpać. Mówię ci, całkiem inne życie.

– Tak, zaraz. Posłuchaj, Mario...

– Zaraz wstaną tamci i zużyją całą wodę. Lepiej wykap się teraz. Ja tylko umyję zęby i znikam.

Pola podniosła się z sedesu. Włosy miała zakurzone, kolana brudne od ziemi, a za paznokciami czarne półksiężycy. Na wilgotnych kafelkach zostawiła błotniste ślady po upapranych buciorach.

Wsadziłem szczoteczkę między zęby.

– Posłuchaj mnie, Mario – powiedziała. – Ja też nie chcę się bawić w detektywa. Ale nie mogę... nie mogę przestać o tym myśleć.

Splunąłem do zlewu. Wypłukałem usta wodą i splunąłem jeszcze raz. Przetarłem twarz ręcznikiem, który wisiał przy umywalce. Był sztywny i poplamiony szarymi zaciekami.

Odwrociłem się i spojrzałem na Polę.

– Chciałbym się ubrać. Wyjdiesz czy wręcz przeciwnie, postarasz się o jakąś nastrojową muzykę?

– Muzykę?

– Jako tło. – Poruszałem biodrami. – Do striptizu.

– Idiota.

Pociągnęła mnie za rękę.

– Chodź do mojego pokoju.

– Och, kochanie, nie wiedziałem, że potrafię w tobie jeszcze wzbudzić taki żar. Ale co zrobisz, jak nas ktoś zobaczy? Już się nie martwisz o swoją reputację?

– Wszyscy śpią. A nawet jeśli ktoś już się obudził, to podobno striptiz lepiej się robi przy większej publiczności. Zamknij się i chodź.

Po wejściu pstryknęła włącznikiem przy drzwiach i przeszła przez pokój, żeby otworzyć wielkie, zakurzone okiennice. Na dworze dopiero świtało, ale powietrze miało już temperaturę jak w kraterze wulkanu.

Zatknąłem mocniej ręcznik w pasie i przysiadłem na krześle przy biurku, wciśniętym między łóżko i ścianę.

– Chcesz, żebym zrobił striptiz tutaj? Trochę mało miejsca.

– Przesuń się.

Polą ustawiła rządkiem na podłodze pudła, które przyniosłem z samochodu. Otworzyła pierwsze z brzegu i zaczęła wyjmować kości. Układała je na stole w porządku anatomicznym, mniej więcej: *ossa metatarsi, femur, fibula i tibia, pelvis*. Z następnego pudła wyjęła po kolei żebra i mostek, oblepione jeszcze grudami suchej ziemi. Potrząsnęła kartonem, w którym zagrzechotał piasek.

– Trzeba to później przesiać – mruknęła. – Może tam jest jeszcze jeden guzik albo coś takiego.

– Jasne – zgodziłem się. – Spinka od krawata z wygrawerowanym nazwiskiem właściciela.

Zatknęła za ucho pasmo zakurzonych włosów, które spadło jej na twarz. Z następnego pudła wyjęła kości ramienne, łokciowe i promieniowe i ułożyła je na blacie po obu stronach żeber.

Czaszkę zostawiła na koniec. Ustawiła ją na krawędzi stołu tak, żeby puste oczodoły wpatrzone były prosto we mnie.

Cofnęła się kawałek, żeby ocenić swoje dzieło. Później kopnęła puste pudła pod drzwi. Dopiero wtedy się odezwała.

– No, mów.

– Nie rozumiem.

Przysiadła na krawędzi łóżka i zaplotła ręce na piersi.

– Opowiedz mi coś o niej.

– Po to zaciągnęłaś mnie tutaj w samym ręczniku?

Pokiwała energicznie głową.

– Nie ma mowy. Muszę się teraz ubrać, czegoś napić i trochę przespać.

Wzruszyła ramionami.

– To prawdziwy pech. Bo tutaj nie ma nic do ubrania ani nic do picia, a łóżko jest moje. A nie wyjdiesz stąd, dopóki mi o niej nie opowiesz.

– Zatrzymasz mnie siłą? – Wstałem.

Pola popatrzyła na mnie z dołu. Wydeła usta. Podniosła do góry rękę z jakimś błyszczącym przedmiotem. Pomachała mi nim przed nosem, ale zanim zdążyłem go złapać, wsunęła dłoń do kieszeni.

– Zamknęłam drzwi od twojego pokoju na klucz.

– Szantażystka!

– Mięczak!

Podciągnąłem ręcznik trochę wyżej i opadłem na krzesło. Odgoniłem muchę spacerującą po mojej spoconej nodze.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. – Uśmiechnęła się promiennie, nagle świeża i wypoczęta. – Wszystko.

– Kiedy się ostatnio bzykała?

Pola przekręciła zegarek na nadgarstku.

– Szybciej zaczniesz, szybciej skończysz – mruknęła i poklepała się po kieszeni.

Kiedy zabieram się do pracy, zazwyczaj myślę najpierw o dupie Maryni. Czasem o jakiejś konkretnej dupie, konkretnej Maryni. O tym, co mam następnego dnia powiedzieć na wykładach. O tym, że studentki siedzące w pierwszych rzędach sali wykładowej noszą ostatnio całkiem przyjemne dekolty. O tym, jak się wyłgać z uczestnictwa w radzie wydziału i urwać na piwo. Czasem o Poli. Nigdy o tym, co akurat robię.

To trwa jakiś czas. Dopiero potem zaczyna do mnie docierać to, co widzę.

Zamyśliłem się głęboko. Pola wierciła się niecierpliwie. Wyprostowała nogi i pogrzebała w kieszeniach. Wstała, wyjrzała przez okno, jakby spodziewała się zobaczyć coś innego niż wąską uliczkę ze stertą złomu na pierwszym planie. Podeszła bliżej, oparła się o stół i zaczęła pukać paznokciami w blat. Mucha przysiadła mi na spoconym karku. Pacnąłem ją dłonią, ale nie trafiłem, z bzyčeniem poleciała dalej. Pola dalej wystukiwała paznokciami rytm jakiejś melodii, której nie mogłem rozpoznać.

– Strasznie mnie denerwujesz. Nie mogę się skupić.

– Może dlatego, że jesteś odwrócony tyłem do szkieletu? Spróbuj zmienić pozycję, to powinno pomóc.

Wstałem. Rozmasowałem bolący nadgarstek i poprawiłem ręcznik.

– Dobra – powiedziałem. – Ale ty jesteś wstrętną szantażystką i do tego terrorystką.

– Mhm. Zacznij od podstaw. Pamiętaj, że ja się na tym nie znam.

Przysunęła się bliżej stołu.

Wziąłem do ręki czaszkę.

– Niewielkie rozmiary mózgowcaszki, słabe urzeźbienie. Gładka okolica nadoczodołowa, niewielka trzewioczaszka, szpiczasta wyniosłość bródkowata. Kłasyka. Podręcznikowa czaszka kobiety.

Wsadziłem palec do jednego z oczodołów.

– Ostre krawędzie. Same oczodoły spore w stosunku do powierzchni twarzoczaszki.

Odwrociłem czaszkę.

– Kość potyliczna słabo urzeźbiona, kresy karkowe bardzo słabo wyrażone. Niewielki wyrostek sutkowaty.

Spojrzałem na Polę.

– Na pewno nie chcesz tego zanotować?

– Nie. Jak zapomnę, to mi powtórzysz jeszcze raz. Na razie chcę sobie wyrobić ogólne pojęcie.

Westchnąłem.

– Dobra, jak uważasz. Szeroka miednica, z prawie poziomo ustawionymi talerzami biodrowymi, kąć podłonowy szeroki w kształcie litery U.

Popatrzyłem na nią. Wyglądała, jakby się nudziła.

– To taki prosty test: kąć podłonowy w szkieletcie kobiety mieści się między palcem wskazującym a odwiedzionym kciukiem, a u mężczyzny między wskazującym a środkowym, jak w geście Victoria.

Pokiwała z zamyśleniem głową.

– Dalej ten sam kąć podłonowy płytki, szerokie wcięcie kulszowe większe, gałęzie kulszowo-łonowe silnie odgięte, gałęzie kości łonowych wydłużone, otaczają trójkątne w kształcie otwory zasłonięte, samo spojenie łonowe niskie, wyraźny *sulcus preauricularis*... Jak już powiedziałem, to na pewno kobieta.

Zerknąłem na Polę. Milczała.

– No to teraz wiek. Popatrzmy na zęby. Oho! Tylko jeden wyróżniony ząb mądrości. Ale to oczywiście o niczym nie świadczy. Zęby w ogóle słabo starte. To znaczy, że była młoda... czekaj...

Położyłem czaszkę na stole i przyjrzałem jej się z góry.

– Wyraźne szwy czaszkowe bez śladów obliteracji. A na szkielecie postkranialnym... taaa... nasady kości ramiennej i kości przedramienia z widocznymi miejscami zrostu nasad z przynasadami, podobnie na kościach śródreżca i śródstopia oraz płaców. Nasady kości kończyny dolnej ze śladami zrostu nasad z przynasadami, krętarze na końcu bliższym, a nasada dalsza już prawie bez śladów. Wystarczy? – Spojrzałem na Polę.

– Jeśli robisz to po to, żeby mnie zniechęcić, to ci się nie udało.

– Szkoda. Mówiąc krótko, nie powinna mieć więcej niż osiemnaście, dwadzieścia lat.

Polka kiwała nogą założoną na drugą nogę.

– Zrób jeszcze ten test z ołówkiem.

Rozejrzałem się dokoła.

– Nie mam ołówka.

– Proszę. – Wyciągnęła w moją stronę niebieską kredkę obgryzioną na końcu.

Wziąłem ją ostrożnie, żeby nie dotykać tej części, która na pewno roiała się od bakterii. Przytknąłem jeden koniec do górnego rzędu zębów i nasady nosa. Drugi dotykał brody.

– Brak prognatyzmu. Czaszka ortognatyczna. Czyli typ kaukazoidalny.

– Jaki?

– Biała. Szkielet postkranialny jest delikatny i słabo urzeźbiony.

– Co to znaczy?

– Że była drobnej budowy. Niezbyt wysoka, taka jak mniej więcej – zerknąłem na Polę – ty. Ile właściwie masz wzrostu?

– Nie pamiętasz?

– Proszę mi wybaczyć, madame, zapomniałem.

– Metr sześćdziesiąt pięć.

– Hm, no tak. Tutaj w Turcji to normalny wzrost dla kobiety.

– Chcesz przez to powiedzieć...

– Nic nie chcę powiedzieć – uciałem. – Nie ma żadnych śladów rozerwania spojenia łonowego. Nigdy nie rodziła. Dobrze

odżywniona, sądząc po uzębieniu i ogólnej budowie kości. Brak śladów kalectwa oraz zaleczonych urazów. Przyczyna śmierci: najprawdopodobniej przecięcie tętnic szyjnych.

Podniosłem po kolei każdą długą kość i żebra. Przyjrzałem im się uważnie. Nic nie znalazłem. Pola zaglądała mi przez ramię.

– Czego szukasz?

– Śladów.

Popatrzyłem na nią.

– Oskrobywania. Chcę sprawdzić, czy po śmierci tkanki zostały odcięte od kości. Albo przed śmiercią.

Pola podniosła głowę.

– I co?

– I nic.

Odłożyłem ostatni piszczel na miejsce. Przyjrzałem się uważnie kościom i rozsypanym dokoła grudkom ziemi. Czegoś brakowało w tym opisie. Przez chwilę miałem wrażenie, że ta myśl jest tuż obok, ale później umknęła mi. Podciągnąłem ręcznik.

– Czy mogę już iść się ubrać?

– Jeszcze chwileczkę.

Pola przysiadła na krześle. Zgarbiła plecy.

– To była młoda dziewczyna. Ładna, nawet bardzo. Pewnie niedawno dopiero skończyła szkołę. Miała chłopaka. Albo i nie, może tylko podkochiwała się w kimś po kryjomu. Kłóciła się z matką, bo nie wiedziała, że kiedyś będzie taka sama, a z nią będzie się kłóciła jej własna córka...

Urwała.

– Po co mi to mówisz?

– On musiał ją mocno trzymać, kiedy podcinał jej gardło. Może ktoś mu pomagał. Może ją przedtem zgwałcił. Zarznął ją jak zwierzę. Dokładnie tak jak tamtą. Poliksenę.

– Bardzo ciekawe. Mogę już sobie iść?

Pola ukryła twarz w dłoniach. Na moment. Kiedy podniosła głowę, jej oczy były czarne od gniewu. Odwróciłem wzrok od jej twarzy i popatrzyłem za okno.

– Jesteś tchórzem – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– Chcesz tylko, żeby ci dać święty spokój. Żebyś mógł się zająć swoją robotą, a w wolnych chwilach graniem ludziom na nerwach.

– Słuchaj, jeśli zamierzasz się bawić w śledztwo, ja nie mam nic przeciwko temu. Ale nie muszę chyba brać w tym udziału, prawda? A poza tym... nie bardzo wiem, jak chcesz to zrobić. Roboty masz potąd. – Pokazałem potąd. – I tylko kilka dni na uprzątnięcie tego bałaganu.

Polą popatrzyła na biurko ze stosami papierów, które zgarnęła pod ścianę, żeby zrobić miejsce dla szkieletu.

– Więc odpieprz się ode mnie – dokończyłem. – I przestań mi wciskać łzawe historie o niewinnych ofiarach.

Wstała ze stołka i wbiła zaciśnięte pięści do kieszeni.

– Idę wziąć prysznic – powiedziała.

– Świetny pomysł. Tylko daj mi najpierw klucz do mojego pokoju, chyba że chcesz, żebym cię napastował w łazience.

Nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi oczami. Być może chciała wzbudzić we mnie litość albo jakieś inne ludzkie uczucie.

– No. – Wyciągnąłem rękę. – Daj mi wreszcie klucz.

Cofnęła się o krok.

– Coś ci opowiem. Nigdy ci tego nie mówiłam. Taką historijkę z dzieciństwa.

Westchnąłem.

– Koniecznie teraz? Może lepiej w jakimś przyjemniejszym miejscu? Powiedzmy: za dwa miesiące możemy się umówić w knajpcie w Paryżu niedaleko Sacre Coeur. Ja będę czekał z bukietem czerwonych róż, a ty założysz sukienkę z głębokim dekoltem. Odpowiada ci to?

Usiadła na stole i wpatrywała się we mnie bez słowa.

– To znaczy, że jest jeszcze jakaś historijka z dzieciństwa, której mi do tej pory oszczędziłaś?

Za oknem zaskrzeczał muezin. Pola mówiła coś, ale widziałem tylko ruchy jej warg, a w uszach pulsowało mi rozkręcone na cały regulator „Allaaaaaaaah”. Skończyła chwilę przed tym, jak głośnik zakaszał i umilkł. Stała i dalej na mnie patrzyła. Znów poprawiłem ręcznik i oparłem się o stół.

– Nic nie zrozumiałem. Możesz powtórzyć? Ale jak nie chcesz, to nie musisz.

– Mówiłam, że moja rodzina się bała – zaczęła znowu. – My nie byliśmy wielkoduszni, ciepli, otwarci i zabawni, jak inne rodziny. U nas w domu spicie należało do dobrego tonu, jak w innych domach trzymanie łokci przy sobie podczas jedzenia. Jako dziecko, nawet jeszcze później, po prostu nie wyobrażałam sobie, że w ogóle można inaczej żyć. A wiesz, co w tym jest naprawdę śmieszne? Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, czego właściwie się baliśmy.

Odepchnęła się biodrami od blatu i podeszła do rozłożonych na stole kości. Wzięła do ręki piszczel, obejrzała go i odłożyła z powrotem.

– Wiesz, jak wyglądało nasze życie?

Podejrzewałem, że to pytanie retoryczne, więc się nie odezwałem.

– Smutno. Mieszkaliśmy kątem u babci, bo starzy bali się wziąć kredyt i kupić coś własnego. Na wakacje jeździliśmy tylko do drugiej babci, bo bali się obcych miejsc i nieznajomych ludzi. Pociągiem, bo mój ojciec bał się zrobić prawo jazdy. Była straszna afery, kiedy oznajmiłam, że chcę studiować archeologię. Bo to, rozumiesz, taki zawód, po którym nie ma pewnego fachu w rękę, a i męża trudno złapać.

Zawiesiła głos. Poczekaliśmy chwilę, ale wyglądało na to, że skończyła.

– Wzruszająca historia. Smutna i porywająca. Trochę bez związku z tym, o czym rozmawialiśmy, ale i tak złapała mnie za serce. Naprawdę. – Żeby to udowodnić poklepałem się po klatce piersiowej. – Bardziej wzruszyłbym się tylko wtedy, gdyby

okazało się, że tatuś cię molestował. Albo mamusia. Albo oboje. A teraz daj mi już ten klucz.

– Boisz się, jak moi starzy. Boisz się zaangażować, zrobić jakiś krok, który mógłby cię kosztować utratę tej całej cynicznej osłonki. I dlatego wymyślasz różne lęki, takie jak ta twoja nyktofobia. I zastępcze kuracje, zwłaszcza tę alkoholową. Ty wcale nie jesteś nyktofobikiem. Nie jesteś nawet alkoholikiem, chociaż bardzo byś chciał. Ty po prostu jesteś tchórzem.

– Już to mówiłaś. – Znów wyciągnąłem rękę. – Klucz.

– Strach to najgorsza ze wszystkich motywacji – powiedziała. – Żal mi ciebie, Mario.

Położyła klucz na brzegu stołu, podeszła do drzwi i delikatnie nacisnęła klamkę.

Wstałem. Podniosłem czaszkę i zacząłem się w nią wpatrywać, jak jakiś Hamlet w ręczniku.

Pola otworzyła drzwi i gwałtownie wciągnęła powietrze. Odwróciłem się. Na progu stała Marilles.

– O, Pola, przepraszam, że cię przestraszyłam, właśnie miałam pukać. Dobrze, że jesteś. Mam... Cześć, Mario.

Urwała, a jej wzrok zjechał z mojej twarzy w dół, w całkiem niekontrolowany sposób, zanim zreflektowała się, co robi i spojrzała w bok.

Przytrzymałem ręcznik w talii.

Marilles zogniskowała spojrzenie z powrotem na Poli.

– Gdzie ty się podziewałaś? Szukaliśmy cię wczoraj wszyscy. Pan Griffin był tutaj wieczorem, podobno się umówiliście.

Pola odwróciła się w moim kierunku, tak powoli, że przez chwilę miałem wrażenie, jakbym obserwował w zwolnionym tempie celne podanie do bramki. Zbladła, a jej oczy się rozszerzyły. Oparła się o drzwi.

– Dobrze się czujesz? – Marilles popatrzyła na nią uważnie.

– Zapomniałam – powiedziała Pola martwym głosem. – Na śmierć zapomniałam. To przez to wszystko...

– O czym? – zdziwiłem się.

– Jak to o czym, do cholery? O kolacji z Griffinem. Byłam z nim umówiona wczoraj na dziewiątą. Miał po mnie przyjechać.

– I co teraz zrobisz?

– Nie mam, kurwa, pojęcia!

Ukryła twarz w dłoniach. Czułem zapach jej potu i wilgotnej ziemi.

Pochyliłem się i wyjąłem klucz z jej zaciśniętej dłoni. A potem dotknąłem lekko jej ramienia.

– Zadzwoń do niego i przeproś.

Szarpnęła się i zrzuciła moją dłoń.

– Dzięki za dobrą radę!

– Nie to nie – obraziłem się.

Przecisnąłem się koło nich i ruszyłem korytarzem do mojego pokoju. Marilles wychyliła się zza framugi.

– Mogę się mylić, szefie, ale chyba wzięłeś sobie mój ręcznik. Cholera! Od początku wiedziałem, że coś jest nie tak.

Turecki zwyczaj ustawiania kompletów mebli obiciowych pod gołym niebem uważam za bardzo przyjemny. Nawet jeśli obicia są podarte, poręcze połamane, a z tapicerki wyłazi włosie. I nawet jeśli człowiek ryzykuje, że po dłuższym siedzeniu obleżą go pchły.

Nie tylko ja doceniałem ten zwyczaj. Studenci rozwalili się, na ile pozwalały na to sterczące sprężyny, na sofach w cieniu rozłożystego figowca przed drzwiami pracowni. Na stoliku z obłożoną politurą stały szklaneczki po czaju, na których co chwila przysiadły spragnione słodkiego płynu muchy. Z daleka wyglądało to na leniwą, popołudniową sjęstę, ale z bliska było widać, że Eva jest blada i ma podkrążone oczy, Jasonowi trzęsą się lekko ręce, a Marilles, skulona w rogu sofy, zaciska w dłoniach kubek z kawą jakby chciała go zgnieść. Yasmin obciągała nerwowo spódnice, która przylepiała jej się do spoconych kolan. Mervyn w wielkim fotelu obok głośko głośko mechanicznie małego kota, który mruczał mu na kolanach, a wolną ręką co chwila poprawiał okulary na nosie i odgarniał do tyłu rzadkie, wilgotne włosy.

Poszedłem do jadalni i nalałem sobie kawy z ekspresu na kon-tuarze. Była letnia. Powąchałem ją i wylałem do zlewu bez próbo-wania. Przeciąg obijał siatkowe drzwi o futrynę, ale powietrze nie było przez to chłodniejsze, a wiatr palił skórę.

Wyszedłem na dwór.

– Gdzie jest Pola? – spytałem.

– W pracowni – powiedziała Marilles, nie patrząc na mnie. Opadłem na sofę koło niej. Obicie śmierdziało stęchłą i ko-cimi sikami.

– To co my mamy teraz zrobić, Mervyn? – spytał Jason. – Proszę, doradź nam. Frank powiedział, że nie może nam już płacić, bo nie pracujemy.

– A nie wiadomo, jak długo jeszcze policja każe nam tutaj siedzieć. – Eva wyciągnęła rękę i dotknęła jego jasnych włosów, ale natychmiast ją cofnęła, jakby ten gest był tutaj nie na miejscu.

– Możecie mi przez ten czas pomóc przy porządkowaniu magazynu. – Mervyn mówił cicho. – To powinno zająć jakieś dwa, trzy dni. Może potem policja pozwoli nam już wyjechać.

– Ale proszę cię, porozmawiaj z Frankiem. – Eva klepnęła Jasona w ramię, by odgonić muchę. – Oszaleć można. Zjedzą nas żywcem.

– Nie możemy tu siedzieć za darmo – dodał Jason. – Po prostu nie mamy pieniędzy.

– Robert mi powiedział, że mogę zostać – wtrąciła Yasmin. – Że ma mnóstwo pracy przy dokumentacji murów i że może mi zapłacić ze swojego grantu.

Eva spojrzała na nią spode łba.

– Jasne – odparł szybko Mervyn. – Oczywiście, że porozmawiam z Frankiem. Powinien się zgodzić. Porządkowanie magazynu też należy do prac archeologicznych.

– Wątpię – mruknęła Marilles. – Frank postawił sprawę jasno: nie ma wykopalisk, nie ma pieniędzy.

– Pozwólcie mi przynajmniej spróbować. – Mervyn znowu poprawił okulary. – Spróbuję mu wytłumaczyć waszą sytuację.

– Jesteście bardzo interesownymi młodymi ludźmi – wtrąciłem się. – Wasza koleżanka została zamordowana, kierownictwo wykopalisk walczy o przetrwanie, a wy myślicie tylko o pieniądzach.

– Jesteśmy bezinteresowni, kiedy mamy kasę na jedzenie. A właśnie nam się kończy – uświadomił mnie Jason.

– No tak. – Podrapałem się po karku. – To może zrobicie sobie wakacje? Morze? Plaża? – zasugerowałem. – Mówi wam to coś? Czy nikt z was już nie jeździ na wakacje?

– Nie – burknęła Marilles. – Na wakacje też nie mamy pieniędzy. Ani czasu. Nie wiesz, że młodzi ludzie biorą teraz udział w wyścigu szczurów?

– Obojętne mi się o uszy. To nie widzę innego wyjścia, musicie poprosić pana Griffina o kasę. Ubierzcie się z Evą i Yasmin ładnie, w jakieś krótkie spódniczki, i idźcie do niego we cztery, razem z Polą. Jestem pewien, że nie będzie się mógł oprzeć.

– Cha, cha – powiedział Jason.

– Na pewno coś wymyślicie – pocieszyłem go. – Skoro jesteście już na tyle dorośli, żeby uprawiać seks, to na pewno potraficie też znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Pokiwałem im pokrzepiająco ręką, podniosłem się ciężko i otworzyłem drzwi pracowni. W środku było trochę chłodniej, ale powietrze śmierdziało tynkiem, zastałym kurzem, jakimś środkiem konserwującym i mysimi kupami.

Polka siedziała na drewnianym obrotowym krześle przy stole zawalonym pustymi butelkami po wodzie mineralnej, plastikowymi pudełkami ze śladami po oderwanych naklejkach, które coś kiedyś oznaczały, i stertą papieru z perforacją, takiego do starożytnych drukarek, teraz już całkiem bezużytecznego. Na środku blatu znajdowała się kuweta z piaskiem, jak dla kota, ale tutaj służyła do ustawiania zabytków w odpowiedniej pozycji podczas fotografowania. Tyle zdążyłem się już nauczyć.

Polka trzymała na kolanach laptopa i pisała mejla. Zerknąłem na okienko adresu odbiorcy, ale było puste. Miała na sobie sukienkę. Wyglądała w niej dziwnie albo tylko mnie się tak wydawało, bo za bardzo się przyzwyczailem oglądać ją w podkoszulku i brudnych spodniach. Nieustannie dotykała ręką karku. Pewnie się bała, że z belek pod sufitem wpadnie jej za kołnierz pająk albo skolopendra, jak to się już przytrafiło każdemu z nas, nie raz, nie dwa.

Vasif powiesił podkoszulek na oparciu krzesła. Obnażony do pasa i cały mokry z wysiłku mocował się z wielkimi kartonowymi pudłami z napisem Kraft Foods, próbując upchnąć je na

metalowych regałach pod ścianą obok zlewu. Pudła wyglądały na ciężkie jak diabli. Przydałaby mu się pomoc. Oparłem się o framugę.

– Griffin dał się przeprosić? – zagadnąłem Połę.

– Nie twoja sprawa. – Nie podniosła głowy znad notesu.

– Aha. Czyli albo Griffin jest nadal obrażony, albo nie udało ci się go złapać. Mam rację?

– Odepieprz się, Mario.

– Aha, jesteś bardzo zła. Więc chyba nie udało ci się go złapać, bo gdyby był obrażony po twoich przeprosinach, byłabyś raczej smutna i rozczarowana. Mam rację?

Poła westchnęła.

– Gülsün tu będzie za chwilę.

– Mówisz do mnie? – spytałem.

– Tak. Do ciebie. Jesteśmy umówieni.

– Umówieni?

– Żeby pojechać do rodziców Ayçy.

– Umówieni?

– Mario. – Dopiero teraz spojrzała na mnie i otarła wierzchem dłoni nos, na którym zebrały się kropelki potu. – Dociera do ciebie coś z tego, co mówię?

– Ja też?

– Tak, ty też. – Jej ręka znowu powędrowała w górę i dotknęła karku. – Weź flamaster i napisz jeszcze raz te numery na wierzchu – powiedziała do Vasifa. – Bo nie widzę, czy to siódemka, jedyńka, czy jakiś zygzak.

– Je-jedyńka – stęknął Vasif.

Wepchnął pudło na sam szczyt stosu.

– Mo-oim zdaniem t-t-o się zwali.

– To postaw obok, na podłodze.

– N-nie ma już m-miejsca.

– To zrób.

Na chodniku pod oknem zastukały obcasy. Gülsün nie zatrzymała się w drzwiach, zlekceważyła też zasadę, że jak się gdzieś

przychodzi, to należałoby się przywitać. Podeszła do stołu, przyjrzała mu się krytycznie, dwoma palcami zdjęła z oparcia podkoszulek Vasifa i wytarła nim blat, a podkoszulek rzuciła na podłogę. Położyła na stole torebkę i wyjęła z niej plik złożonych na pół dokumentów.

– Potrzebny mi twój podpis – powiedziała do Poli. – Tutaj, tutaj i... o, jeszcze tutaj.

Przesunęła papiery w jej stronę.

Pola nie ruszyła się z miejsca.

– Co to jest? – spytała.

– Urzędowe dokumenty.

Cisza. Vasif postawił ostrożnie pudło na podłodze.

– Zdania stanowiska.

Pola zamknęła klapę laptopa. Odłożyła go na blat stołu. Wstała. Podeszła do Gülsün i wzięła do ręki papiery.

– Co tu jest napisane? – spytała.

– Już ci powiedziałam. To dokumenty zdania stanowiska.

Gülsün siedziała i wachlowała się dłonią.

– Powinniście tu sobie założyć klimatyzację. Nie rozumiem, jak można pracować w takiej temperaturze.

– To rzeczywiście trudno zrozumieć. Może zrobią to następnym razem – obiecałem jej. – Jeśli im się uda dokończyć jakiś sezon.

Pola przeglądała papiery. Podeszedłem bliżej i zerknąłem jej przez ramię. Były po turecku. Nie podejrzewałem, żeby rozumiała z nich więcej niż ja.

– Vasif – poprosiła w końcu. – Przeczytaj mi, co tu jest napisane.

Vasif wytarł spocone dłonie w spodnie i wziął od niej papiery.

– M-mam t-tłumaczyć s-słowo w s-słowo?

– Nie. Wystarczy mi ogólny sens.

Zagłębił się w lekturze.

Gülsün pogrzebała w torebce i wyciągnęła z niej paczkę papierosów. Włożyła jednego między uszminekowane wargi i zamarła

w bezruchu. Znowu źle trafiła, dokoła albo same chamy, albo niepalący. Westchnęła cichutko i sama sobie przypaliła czerwonym bikiem. Odchyliła głowę do tyłu i wypuściła pod sufit chmurę dymu. Znowu zaczęła wachlować się dłonią i przytupywać do taktu sandałkiem. Klekot obcasa o podłogę wwiercał mi się w czaszkę.

– Przestań – poprosiłem w końcu.

Spojrzała na mnie, ale sandałek stukał dalej.

– Przyjemnie jest popatrzeć na spoconych mięśniaków? – spytałem. – Szkoda że nie przyszedł wcześniej, jak wsadzał te ciężkie kartony na samą górę. Mówię ci...

– Mario, zamknij się do cholery! – warknęła Pola.

Gülsün odwróciła głowę. Sandałek stukał dalej.

Vasif podniósł wzrok znad pisma.

– No i co? – przynagliła go Pola.

– T-tu jest na-apisane, że zakończyliśmy p-prace.

– No dobra. Gdzie jest jakiś długopis?

Rozejrzała się po bałaganie.

– Ale t-tu jest jeszcze na-ap-p-pisane...

– No, co?

Vasif wziął głęboki oddech.

– Że stanowisko zostało ca-ałkowicie wy-wy-wyeksploatowane.

Podniósł głowę.

– Że nie zostało już nic c-c-ennego.

– Co?

Pola wyrwała mu papiery. Przyjrzała im się uważnie.

– Gdzie?

– O t-tutaj – pokazał palcem.

Pola położyła papiery na stole przed Gülsün. Oparła się o blat i założyła ręce na piersiach.

– Zapomnij o tym. Nie mam zamiaru tego podpisywać.

Gülsün przerwała na chwilę wachlowanie i spojrzała na zegarek. Na ładny, kosztowny zegarek, zapięty na delikatnym,

opalonym na złoty brąz przegubie. Strzepnęła popiół z papierosa na podłogę.

– Trochę się spieszę. Możemy już to mieć za sobą?

– Chyba mnie nie zrozumiałas, Gülsün. Powiedziałam, że tego nie podpiszę.

Gülsün wstała i podeszła do okna. Uchyliła lekko okiennicę i wyjrzała na zewnątrz. Machnęła ręką, kiedy otoczyły ją drobiny kurzu.

– Ale tu burdel! – westchnęła.

Podeszła do stołu, wyciągnęła z torebki śnieżnobiałą chusteczkę i starannie wytarła z kurzu palce. Najpierw jednej ręki, potem drugiej. Spojrzała na Polę.

– To nie ma żadnego znaczenia – powiedziała.

Urwała.

– I tak już nigdy tu nie wrócicie.

Złożyła chusteczkę i wsunęła ją z powrotem do torebki. Zgasiła papierosa na blacie.

– Nie podpiszę dokumentu poświadczającego nieprawdę.

– Ależ to prawda. – Głos Gülsün dzwigał łagodnie, jakby tłumaczyła coś dziecku. – Kiedy budowa się zakończy, to na tym stanowisku i tak nie będzie już nic wartościowego. Wierz mi.

Pola stała oparta biodrami o stół. Wargi miała zaciśnięte, na czole pojawiły jej się krople potu. Wpatrywała się w Gülsün. Myślałem, że zaraz jej przywali. Odczekałem chwilę, ale nic się nie wydarzyło.

– Nie masz wyjścia, księżniczko – stwierdziłem w końcu. – To, czy podpiszesz, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie musisz nawet wyciągać długopisu. Zawsze znajdzie się ktoś, kto to zrobi za ciebie.

Vasif podniósł podkoszulek z podłogi, obejrzał go i wciągnął przez głowę.

– My nie fałszujemy podpisów, Mario – powiedziała Gülsün. – Działamy w stu procentach legalnie.

– Nawet w dwustu – zapewniłem ją z promiennym uśmiechem. – Wszystko zamyka się w definicji słowa „legalnie”.

Nie zaszczyciła mnie spojrzeniem. Pogrzebała jeszcze raz w torebce, wyjęła długopis i położyła obok sterty papierów na stole.

– Tu – pokazała. – I jeszcze tu i tu.

– A zdradzisz nam w końcu, ile wzięłaś łapówki od tego budowlanica z Çanakkale? My tutaj siedzimy w tej zabitej wiosce i niewiele wiemy o wielkim świecie.

Stałem obok Poli. Odsunęła się ode mnie.

– No powiedz, Gülsün, powiedz – prosiłem. – Strasznie jesteśmy ciekawi. Trochę się o ciebie martwimy. Taki merc, jakim ty ostatnio jeździsz, to chyba sporo kosztuje, co?

Sięgnąłem po leżący na papierach długopis i zacząłem wystukiwać nim rytm na krawędzi stołu.

– Pam-pam-pam, merca mam, pam-param, nikomu go nie dam.

– Przestań robić z siebie błazna, Mario! Jeszcze większego, niż jesteś.

Pola wyrwała mi długopis i pochyliła się nad papierami. Stukałem dalej palcami.

– Pimpirim-pimpirim, jeżdżę sobie w mercu mym, hopa-hopa, hopa-hopa, był wykop, nie ma wykopa.

Gülsün schowała dokumenty do torebki. Długopis też. Wstała i podeszła do Poli.

– Tu jest kopia dla ciebie, proszę. A teraz, czy możemy się trochę pospieszyć?

– My się mamy spieszyć? – zdziwiłem się. – Dokąd? Po podpisaniu tych papierów nigdzie się już nie musimy spieszyć.

Gülsün niecierpliwie postukała obcasem w lastryko.

– Nic mu nie powiedziałaś? – zwróciła się do Poli.

Pola milczała. Składała papier otrzymany od Gülsün na pół, potem jeszcze raz na pół, i jeszcze raz.

Gülsün westchnęła.

– Jedziemy do Ayçy. Chcę porozmawiać z jej rodzicami.

– A po co? – zdziwiłem się. – Przecież teraz to już naprawdę nieważne, czy ona będzie tu pracować, czy nie.

Gülsün znów westchnęła i spojrzała na Polę, oczekując, że ta zechce mi coś wyjaśnić. Ta milczała nadal.

– Mam swoje powody – oznajmiła w końcu. – Dziewczęta powinny mieć lepszą szansę w życiu. A teraz, czy możecie się już pośpieszyć? Mam jeszcze sprawę do załatwienia w Çanakkale.

– Zadziwiasz mnie, Gülsün – wyznałem. – Pozytywnie, oczywiście. Nie każdy troszczyłby się o losy maluczkich po tym, jak właśnie wydymał innych maluczkich.

Gülsün się uśmiechnęła. Uśmiech miała naprawdę piękny.

Polę schowała laptopa do torby.

– Skończysz sam, dobrze? – zwróciła się do Vasıfa. – Jeszcze tylko te trzy pudła. Później trzeba posegregować skorupy w tej kratownicy. Poproszę Marilles, żeby ci pomogła, jak tylko skończy sprawdzać wpisy w dziennikach.

– To jedźcie – powiedziałem. – Ja wam chyba nie jestem potrzebny.

– Jesteś. – Gülsün stała już za progiem. – Tylko błagam cię, nie wypytuj mnie teraz, do czego. Po prostu rusz tyłek.

No to ruszyłem.

Jechaliśmy przez szare pola pod ołowianym niebem. Samochód szarpał na wertepach, bo dłonie ślizgały mi się na kierownicy. Włączyłem obie dmuchawy, ale wpadające przez plastikowe szczeliny powietrze nie było chłodne, za to śmierdziało pleśnią. Uchyliłem okno i szybko je zamknąłem. Nie widziałem drogi w kłębach kurzu, które wzbijał jadący przed nami samochód Gülsün.

Polą oderwała się od podziwiania widoków, które oglądała już milion razy, a które wcale nie stały się przez to ciekawsze, i odwróciła głowę w moją stronę.

– Najlepiej będzie, jak w ogóle nie będziesz się odzywał. Po-wiedz po prostu *merhaba*, a później siedź cicho.

– Nie chcesz, żebym pomógł wam oczarować rodzinę Ayçy urokiem mojej niezwyklej osobowości?

– Nie.

– Nie mogę nawet porozmawiać z Ayçą?

– Ayça, o ile w ogóle pozwolą jej wejść do tego samego pokoju, nie odezwie się ani słowem.

Otworzyła lusterko w osłonie przeciwsłonecznej, przyjrzała się swojemu odbiciu, i skrzywiła się. Znowu odwróciła głowę i zatopiła się w kontemplacji spalonego słońcem krajobrazu.

– To będzie uroczą wizyta – powiedziałem do deski rozdziel-
czej. Pola zbyła mnie milczeniem.

Przejechaliśmy przez środek wsi. Wyminąłem kilka kur i zaparkowałem za Gülsün, pod platanem na małym placu. Męż-
czyźni w jasnych koszulach, przy stolikach pod huszczącą się
płatami niebieskiej farby ścianą *çayhane*, nie spuszcza-
li nas z oka.

Ruszyliśmy wąską uliczką między domem z nieotynkowanych pustaków i komórką ze ścianami uplecionymi z gałęzi oblepionych gliną. Powietrza nie poruszał żaden podmuch i czułem żar ziemi przez podeszwy.

W połowie uliczki Gülsün odwróciła się tak gwałtownie, że Pola potknęła się i na nią wpadła. Gülsün zrobiła krok do tyłu.

– Jeszcze jedna drobna uwaga. Żeby nie było nieporozumień – powiedziała. – Nie robię tego dla was. Robię to dla Ayçy. To bardzo wartościowa dziewczyna. Szkoda byłoby, żeby została tu na całe życie.

Wskazała podbródkiem oblażące z gliny gałęzie komórki.

Pola podniosła głowę.

– Doceniamy to, Gülsün.

– Mam w dupie, czy to doceniacie, czy nie.

Podeszła do szarej, żelaznej bramy i załomotała kołatką.

Przez dłuższą chwilę w uliczce panowała cisza, tylko z zagródkki dobiegało ciche, sennie meczenie kozy. Potem doszło do tego szuranie kapci na betonowej podłodze, dźwięk odskakującej sprężyny zamka i brama ze skrzypnięciem uchyliła się na centymetr.

– *İyi günler* – powiedziała cicho Gülsün. – Dzień dobry.

– Aaaaaaiiiii. – Pulchna kobieta upchnęła końce otaczającej twarz chusty pod brodą i uchyliła szerzej bramę. – *Gülsün Hanım, iyi günler, iyi günler! Nasılsınız?*

– *İyiyim.* – Gülsün, nie oglądając się na nas, weszła na podwórkę. – *Siz nasılsınız?*

– *Bende iyiyim, çok iyiyim* – terkotała kobieta w chuście. – *Teşekkür ederim.*

Zaczekała, aż przecisnę się obok niej, i zatrzasnęła bramę. Miała okrągłą, ciastowatą twarz o mlecznej skórze, bez żadnych zmarszczek. Pachniała potem, ziemią i liśćmi winorośli. Żeby ocenić jej wiek, musiałbym zobaczyć jej czaszkę. Najlepiej pozbawioną skóry.

Gülsün zapytała jeszcze o coś, kobieta w chuście odpowiedziała falsetem. Na podwórku w cieniu ściany zobaczyłem stół obłożony zszarzałą ceratą. Kobieta wyciągnęła spod niego dwa taborety, wbiegła do domu i wróciła z kilkoma białymi plastikowymi krzesłami, wcisniętymi jedno w drugie. Ustawiła je, ceremonialnie złapała Gülsün za ramię i podprowadziła do jednego z nich. Później odwróciła się w stronę Poli. Nie czekałem, aż podejdziesz do mnie, osunąłem się na jedno z krzeseł. Spodnie natychmiast przylepiły mi się do nóg, a po czole zaczęły spływać ciężkie krople potu. Potrząsnąłem głową, żeby zwalczyć napływające razem z falami gorąca senne otępienie.

Kobieta biegła tam i z powrotem, jakby nie czuła upału. Przyniosła kawałek białego płótna i przykryła nim ceratę.

– Coś wam opowiem – powiedziała nagle Gülsün.

– Może zostawmy na później twoje historyjki. Myślałem, że przyszedł tu w sprawie Ayçy.

– Jak nie wiesz o co chodzi, to bądź cicho – uciszyła mnie Gülsün. – I słuchaj. Parę lat temu jedna z kobiet w tej wsi urodziła dziewczynkę. Zaraz po porodzie uznała, że jej córka jest najpiękniejszym niemowlęciem w całej wiosce, być może w całym regionie Çanakkale, a może nawet w całej Turcji. Reszta świata i tak się nie liczyła. Tak w każdym razie uważała ta kobieta, i słusznie. Dziewczynka rosła i stawała się coraz bardziej sławna. W całej wsi i w całej okolicy. Jej matka uważała, że ma wyjątkowe szczęście: urodziła prawdziwą piękność. Jej życie i życie córki będzie usłane różami. Kiedy dziecko skończyło pięć lat, zamknięto drzwi do domu. Dziewczynka nie mogła biegać po ulicach, jak inne dzieciaki. Koleżanki musiały przychodzić do niej, zresztą tylko te wybrane. Za bramę nie wpuszczano żadnych mężczyzn. Nawet na podwórze, nawet wówczas, kiedy dziewczynka była zamknięta w domu. Matka obawiała się, że jakiś facet, jakaś męska świnią, będzie chciał porwać lub w inny sposób zdobyć tę piękność. I słusznie.

Pola pokręciła się niespokojnie na twardym krześle.

– Lata mijały i dziewczynka rosła. Stała się nastolatką, a potem kobietą. Matka dbała o jej reputację i mężczyznom do domu wstęp był nadal wzbroniony. Dziewczyna była podobno tak piękna, że żaden nie był godny, żeby na nią spojrzeć. Nie musiała wykonywać ciężkich prac, miała tylko pielęgnować swoją urodę. Jeszcze niedawno nie zostałbyś wpuszczony do tego domu, Mario. Musiałbyś zaczekać przed bramą.

Gülsün zamilkła, czekając na pytanie. Więc je zadałem.

– No i co się z nią stało?

– To jest ta dziewczyna. Tak, ta kobieta, która otworzyła nam bramę. Jej matka zmarła wiosną. Emine nie ma żadnego źródła utrzymania, a szanse na zamążpójście po czterdziestce są w tej okolicy równe zeru. Musiała przenieść się do brata matki, do ojca Ayçy.

– Ale przecież... – zaczęła Pola i zamilkła.

– Ona wcale nie jest piękna – dokończyłem za nią. – Szczerze mówiąc, to jest taka sobie.

– Pewnie nigdy nie była. – Gülsün podniosła rękę, żeby poprawić włosy. – Ale nikt nie miał okazji się o tym przekonać. Aż do tej wiosny.

Z pnączy winorośli spadł mały pająk i maszerował po białym płótnie. Na podwórzu nie było czuć wiatru. Tylna ściana domu, skąpana w słońcu, promieniowała żarem. Czułem, jak plecy przyklejają mi się do plastikowego oparcia.

Siedzieliśmy w milczeniu, nad słuchując odgłosów z głębi domu. Zadzwoiła porcelana, męski głos o coś spytał i kobiecy mu odpowiedział. Rozległo się szuranie ciężkich kroków.

– Słowa „litość” i „współczucie” istnieją oczywiście w języku tureckim – powiedziała Gülsün. – Ale w tych stronach są wyjątkowo rzadko używane. Pamiętajcie o tym.

Na podwórko wyszedł niski, krzywonogi mężczyzna w śnieżnobiałej koszuli i w ciemnych spodniach, na które kiedyś mówiło się sztuczkowe. Błysnął żółtymi zębami zza wąsów i podał mi zgrubiałą dłoń. Podniosłem się i odwzajemniłem uścisk.

Mężczyzna kiwnął głową w stronę Gülsün i Poli. Usiedliśmy. Wiejska ślicznotka, która otworzyła bramę, przyniosła na srebrzystej tacy cztery szklanki herbaty, balansujące na metalowych spodeczkach. Obok postawiła dwie miseczki z różnymi rodzajami konfitur, trzecią z kostkami cukru i mały talerz z drobnymi ciasteczkami. Znikła w głębi domu, a na podwórko wysunęła się inna kobieta, też w chuście, o podobnej twarzy, okrągłej i wolnej od zmarszczek. Uśmiechnęła się do nas, odsunęła jeden taboret daleko od stołu, pod drzwi, i przysiadła na nim.

Wrzuciłem do szklanki cukier i konfitury i odbyłem niezakłócony żadnym słowem rytuał długotrwałego mieszania. Potem mężczyzna wyjął z kieszonki na piersiach paczkę papierosów i poczęstował mnie jednym. Schował paczkę, uniósł się lekko i z kieszeni spodni wyjął plastikową zapalniczkę. Przypalił sobie i podał mi ogień.

Gülsün powiedziała coś, czego nie rozumiałem. Mężczyzna zaciągnął się głęboko dymem i milczał. Po chwili zawołał w głąb domu. Na podwórko wyszedł, zapowiedziany szuraniem kapci, drugi mężczyzna, prawie o głowę wyższy od pierwszego. Kobieta przy drzwiach zerwała się z taboretu i po chwili przybiegła z domu z jeszcze jedną szklaneczką herbaty. Rytuał mieszania i zapalania papierosa zaczął się od nowa.

Niższy mężczyzna zagadał do wyższego, tamten skinął głową. Potem spytał o coś, patrząc na mnie. Starałem się uśmiechnąć do niego z godnością i niezbyt radośnie. Gülsün zaczęła mówić. Mężczyźni pokiwali głowami i znowu mnie o coś zapytali. Gülsün im odpowiedziała.

Potem Gülsün mówiła przez dłuższy czas. Obaj mężczyźni słuchali, patrząc mi prosto w oczy, żaden się nie odezwał. Gülsün zadała pytanie. Żadnej reakcji. Gülsün spytała o to samo nieco głośniej. Wyższy z mężczyzn wstał i uderzył otwartą dłonią w stół. Szklaneczki podskoczyły, a jedna kostka cukru stoczyła się ze szczytu spiętrzonej w miseczce piramidy. Mężczyzna usiadł z powrotem.

Gülsün powiedziała coś szeptem. Niższy mężczyzna spojrział na nią wreszcie i odpowiedział jej równie cicho. Po czym obaj wstali, uścisknęli moją prawicę i weszli do domu.

Gapiłem się na ciemny otwór drzwi, w którym znikli, aż Pola popchnęła mnie do wyjścia. Kobieta przy drzwiach podniosła się ze stołka, żeby otworzyć nam bramę. I wtedy, za jej plecami, zobaczyłem w półmroku sylwetkę Ayçy. Stała w głębi pokoju. Miała na włosach chustę. Zatrzymałem się w pół kroku, ale kiedy odwróciłem się w jej kierunku, Gülsün szturchnęła mnie mocno w plecy. Pozdrowiła kobietę przy bramie i wyszliśmy.

– *Güle, güle!* – zawołała za nami miejscowa piękność.

Brama zamknęła się ze szczękiem.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziałem.

Gülsün grzebała w torebce. Pod dłuższej chwili wyciągnęła kluczyki od samochodu i zamknęła suwak.

– Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co właściwie tam zaszło?

Gülsün przypatrywała mi się przez chwilę w milczeniu.

– Ayça wychodzi za mąż – powiedziała w końcu. – Właśnie w imieniu całej ekipy archeologów złożyłeś jej gratulacje oraz życzenia szczęścia i wszelkiej pomyślności, oczywiście na ręce rodziców. Zaprosili nas na wesele.

Odwróciła się i ruszyła wąską alejką w stronę placyku pod platanem.

Pola podbiegła i złapała ją za ramię.

– Poczekaj. Przecież miałaś namówić jej rodziców, żeby... – przerwała –... żeby pozwolili jej brać udział w wykopaliskach. Pracować.

– No tak – uśmiechnęła się Gülsün. – Ale to już przecież nieaktualne, nie?

– Ja wcale nie życzę jej szczęścia na nowej drodze życia z jakimś miejscowym burakiem.

– Owszem, życzysz.

– Tak? Kim ty jesteś, żeby za mnie decydować?

W ciemnych oczach Gülsün zalśniło zimne szkło.

– A kim ty jesteś, żeby wtrącać się w życie tej dziewczyny?

– Zaraz, zaraz. – Stałem między nimi. – Ja już się trochę pogubiłem, może mnie oświecisz, Gülsün. Przecież to nie my cię namawialiśmy, żebyś tu przyjechała. Sama mówiłaś, że taka wartościowa dziewczyna powinna się wydostać z tej zabitej dechami...

– Coś ci powiem, Mario. – Gülsün obróciła twarz w moją stronę. – Ani ty, ani ta twoja przyjaciółka – wskazała podbródkiem na Polę – nie macie pojęcia, jak tutaj ludzie żyją.

– To nam opowiedz – poprosiła ta moja przyjaciółka.

– A po co mam wam opowiadać? Po co wam ta wiedza? Przecież wy zaraz stąd wyjedziecie. Wróćcie do swoich uniwersytetów, czystych miast i kulturalnych dyskusji o tym, co zrobić z napływającymi emigrantami, postępującą islamizacją zachodniego społeczeństwa i za dużą liczbą meczetów. Pogadacie sobie o tym z przyjaciółmi w kawiarni, ale tylko chwilę, bo zaraz będziecie musieli obgadać koleżankę z pracy i przedyskutować ostatni odcinek serialu.

– Sekundę, Gülsün – przerwałem jej. – Może nasze społeczeństwa trochę się różnią, ale nie wmawiaj mi, że nigdy nie zdarzyło ci się siedzieć w kawiarni. Turecka telewizja też, o ile mi wiadomo, emituje seriale.

Gülsün potarła dłonią nasadę nosa, gdzie pod słonecznymi okularami pojawiły się perełki potu.

– Jesteś szefową biura starożytności w Çanakkale. Jeździsz co dzień do pracy, sama, samochodem. Czy twoja rodzina też chciała cię zamknąć w domu i wydać pod przymusem za męża?

– Moja rodzina odziedziczyła kamienicę przy İstiklal Çadde-si w Istambule – powiedziała powoli Gülsün. – Z tym, że moja matka, która lepiej mówi po francusku niż po turecku, ciągle nazywa tę ulicę Grand Rue de Pera. Rodzice, a razem z nimi moi dwaj bracia, uważają, że się zdeklasowałam, obejmując posadę w Çanakkale. Ich zdaniem odpowiednią przyszłością dla mnie byłoby małżeństwo z jakimś bogatym przedsiębiorcą z Paryża.

Albo z Mediolanu. Raczej nie z Berlina, bo tam śmierdzi ka-
pustą.

Oparłem się o ścianę komórki dla kóz.

– Nadal nie rozumiem, czym twój świat różni się od naszego,
z wyjątkiem tego może, że ja się urodziłem w dzielnicy robot-
niczej i jeżdżę starym fordem, a nie nowym mercem. Ale to de-
tale. Dlaczego uważasz, że nie mamy prawa wtrącać się w życie
Ayçy?

– Wiesz, co, Mario? Tobie się coś wydaje. – Gülsün tupnęła
sandalkami, żeby strząsnąć z nich kurz. – Może pozwolisz, że
rozwięję kilka twoich złudzeń.

– Proszę bardzo. – Wykonałem ręką zachęcający gest.

– Wydaje ci się, że archeolodzy, którzy przyjeżdżają tutaj od
lat, kochają Turcję.

– Tego bym nie powiedział – mruknąłem.

Zignorowała mnie.

– Wszystkim wam się wydaje, że po kilku sezonach spędzo-
nych tutaj, na wykopaliskach, naprawdę zaczynacie znać ten
kraj. Czujecie się lepsi od turystów, którzy oglądają tylko drogę
z okien autokaru i pocą, się wspinając na mury Troi, nawet nie
wiedząc dobrze w jakim celu. Wy tutaj pracujecie. Przez wielkie
„P”. Pijecie herbatę z robotnikami. Nauczyliście się trochę ję-
zyka, z naciskiem na trochę. Jadacie w restauracjach, w których
noga turysty nigdy nie stała. I przez to wszystko zaczęło wam
się wydawać, że staliście się częścią naszego świata.

– Pomięłam coś? – odwróciła się do Poli.

– Nie, to z grubsza prawda – powiedziała Pola cicho.

– Nie, to gówno prawda. Od tego, że wykopiecie kilka dołów
w ziemi, wyciągniecie parę zabytków i pogadacie łamaną turec-
czyną z robotnikami, nie przybędzie wam wcale wiedzy. Ani
zrozumienia. Siedzicie w bezpiecznym kokonie opatrzonym na-
lepką „archeolog, nie dotykać”. Gówno wiecie na temat tego, jak
skomplikowane jest tureckie społeczeństwo. Jak tu żyją ludzie.
Jak myślą.

– Słowo „gówno” uroczo brzmi w twoich ustach, Gülsün – stwierdziłem. – Niech ci będzie, gówno wiemy. To znaczy ja gówno wiem, bo mnie to gówno obchodzi. Ale Pola, Frank, Melinda, oni spędzili tutaj kilka lat. Rozmawiają z ludźmi. Czytają miejscowe gazety, a przynajmniej próbują. Oglądają telewizję. Rozumieją trochę z tego, co ludzie mówią na ulicach. A nawet dla nas, ignorantów, jest jasne, że Turcja to kraj bardzo zeuropeizowany, czy to się podoba bywalcom miejscowych *çayhane*, czy też nie. Owszem, wiele kobiet nosi chusty i przez wrzaski muzeina nie da się pospać dłużej niż do piątej, ale dzień wolny od pracy obchodzicie w niedzielę, a nie w piątek, jak inni muzułmanie. Używacie alfabetu łacińskiego, jesteście w NATO, chcecie wejść do Unii Europejskiej. A portret Atatürka, który was tego wszystkiego nauczył, wisi w każdym biurze, każdym sklepie, w każdej zasranej kawiarni. Nawet tutaj, w tym upstrzonym przez muchy, wioskowym *çayhane*.

– Atatürk umarł – powiedziała Gülsün. – A rodzice Ayçy żyją. I jedną córkę już stracili.

Spojrzałem na Polę. Wpatrywała się w spękaną ziemię.

– Jak to? – spytałem. – Stracili już jedną córkę?

– Proszę cię, Mario. – Gülsün potrząsnęła głową. – Nie mów mi, że jesteś ostatnią osobą w zachodniej Anatolii, która jeszcze nie słyszała tej historii.

– Jestem ostatnią osobą w zachodniej Anatolii, która jeszcze nie słyszała tej historii. Opowiesz mi?

Gülsün otrząsnęła sandałek z kurzu.

– Och, Boże. – Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. – Nie ma wiele do opowiadania. Ayça miała starszą siostrę, Nazife. Która też pracowała na wykopaliskach u Franka. Pola na pewno ją pamięta.

Pola pokiwała głową. Nadal nie podnosiła wzroku, jakby zahipnotyzował ją widok własnych zakurzonych butów.

Gülsün pochyliła się i poprawiła sprzączkę drugiego sandałka.

- No i? – ponagliłem ją.
- No i nic. Nazife zniknęła. Nie wiadomo, co się z nią stało.
- Dziwisz się, że wolą trzymać drugą córkę z dala od was?
- Kiedy to było?
- Co?
- No, kiedy zniknęła siostra Ayçy? Ta...
- Nazife – powiedziała Pola.
- Właśnie. To kiedy ona zniknęła?
- Nie pamiętam dokładnie. Trzy lata temu, mniej więcej.
- Ale dokładnie kiedy? Pamiętasz datę? – męczyłem.
- A co ty myślisz, że prowadzę kalendarz wydarzeń towarzyskich w okolicy?
- A jak ona wyglądała?
- Och, daj mi już spokój. Po co ja ci w ogóle o tym mówiłam? A o to, jak wyglądała, zapytaj lepiej tego waszego Vasifa. Cała okolica wie, że był w niej zakochany do szaleństwa. Co jak sam rozumiesz, również nie zachwycało rodziców Ayçy. Chociaż wątpię, czy Vasif cokolwiek ci powie. Pewnie do dziś nie może sobie wybaczyć tej strasznej awantury, która urządził Nazife przed jej zniknięciem. To nawet ja pamiętam, bo była afera na całą wieś i okolicę.
- I ty o tym wszystkim wiesz. – Pokręciłem głową. – Żaden szczegół ci nie umknie.
- Wiem jeszcze o paru innych rzeczach. Ale, jeśli pozwolisz, opowiem ci przy jakiejś przyjemniejszej okazji.
- Pola wpatrywała się w ziemię.
- No więc Ayça wyjdzie za mąż – mówiła dalej Gülsün. – Zamieszka z teściową. Za rok urodzi dziecko. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo jeśli nie uda jej się zająć szybko w ciążę, to teściowa już znajdzie sposób, żeby obrzydzić jej życie. Tej gry nie można wygrać, rozumiecie? Tutaj są sami przegrani. Tak było zawsze. I tak już zostanie.
- Pola wyprostowała się i spojrzała Gülsün prosto w oczy.
- Pieprzysz – powiedziała.

Gülsün podniosła rękę, jakby chciała dać jej w twarz. Ale odgoniła tylko muchę.

– Wiesz co, Pola? I ty, Mario. Lepiej już sobie idźcie. Zostawcie Ayçę w spokoju. Zostawcie nas w spokoju. Idźcie do domu, bawić się dalej w archeologów, swoimi zabawkami.

Zamilkła.

– A ja pojadę teraz do Çanakkale, do moich zabawek.

– Co z Ayçą? – zapytałem.

– Ayça będzie musiała znaleźć sobie jakieś inne zabawki.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie wąską alejką.

– Nie czekajcie na mnie z rozpoczęciem imprezy dziś wieczorem – krzyknęła jeszcze przez ramię. – Spóźnię się.

Zniknęła za rogiem domu z pustaków i po chwili usłyszałem dźwięk włączonego silnika. Opony zazgrzytały na żwirowej drodze i znów zapadła cisza. Szumiał tylko wiatr i od czasu do czasu pomekiwała koza.

Impreza? Przyhamowałem i wolno wziąłem ostry zakręt. Jezdnia, chociaż to zbyt wielkie słowo dla kawałka połatanego asfaltu, była w tym miejscu tak mocno nachylona w prawo, że bałbym się prowadzić tu traktor albo nie daj Boże, ciężarówkę. Moje lęki najwyraźniej nie udzielały się miejscowym, bo na samym zakręcie minął nas w zawrotnym pędzie ciągnik z przyczepą wyładowaną skrzynkami z pomidorami. Kilka kobiet uczepionych kabiny kierowcy uśmiechnęło się do nas, odsłaniając ciemne zęby i poprawiając chustki na głowach. Automatycznie podniosłem rękę w geście pozdrowienia.

Polą nerwowo opuściła szybę i podmuch powietrza rozwiał jej włosy.

– Jedź trochę szybciej – powiedziała. – Bo ktoś się zgapi na tym zakręcie i nas stuknie.

Wrzuciłem dwójkę i silnik zawył. W ładzie nie było czym odychać.

Wierciłem się na siedzeniu, próbując odkleić spodnie od skąjowej tapicerki. Kierownica parzyła w palce. Pot spływał mi na oczy i drogę przed sobą widziałem tylko w bardzo ogólnych zarysach.

– Co to za impreza?

Koła trafiły na kamień i samochód podskoczył. Wdusiłem hamulec.

– Nie zwalnij, mówiłam. Frank zaprosił wszystkich na piwo, dzisiaj wieczorem.

Zwolniłem sprzęgło i wcisnąłem gaz. Łada skoczyła do przodu, silnik zakaszłał. Wdusiłem sprzęgło znowu z całej siły, żeby nie zgaś.

– Cholera, powinni robić specjalne kursy na prawko z jazdy na tych drogach. Frank zaprosił wszystkich na piwo, powiadasz. Dzisiaj wieczorem. Dwa dni po śmierci Nadii.

Pola patrzyła przez okno.

– I Griffina też zaprosił?

– I Griffina. Uważaj, tam jest duży kamień.

– Frankowi strasznie zależy na tych pieniądzach. – Pokręciłem głową. – Strasznie, ale to strasznie. Stara się, jak może.

– Jak my wszyscy.

– Nawet za bardzo się staracie.

Wzruszyła ramionami.

– Robimy, co możemy. Z wyjątkiem ciebie. Uważaj, mówiłam! Samochód podskoczył. Koła zabuksowały na żwirze.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Myślałam, że wiesz.

– Nie o imprezie. – Docisnąłem lekko gaz. Asfalt nagle się skończył i wyjechaliśmy na pylistą, rozprażoną drogę. Coś stuknęło głośno o podwozie. Obejrzałem się, ale w chmurze kurzu za nami nie byłem w stanie się zorientować, czy może zgubiliśmy jakąś istotną część. – O tej dziewczynie, jak jej tam? Siostrze Aycy.

– Nazife. To nie jest trudne imię, mógłbyś zapamiętać.

– Nazife – powtórzyłem. – Dlaczego mi nic o niej nie powiedziałaś?

– Mam ci opowiadać wszystkie plotki z okolicy?

Słońce było już nisko i świeciło poziomo, rżąc mnie w oczy. Opuściłem klapkę na szybę, niewiele to pomogło. Przypomniałem sobie, że zostawiłem ciemne okulary na szafce w kuchni. Trzydzieści centymetrów od zamrażalnika pełnego piwa...

Pola patrzyła przed siebie. Do szyi przylepiło jej się pasemko sklejonych potem włosów.

– Kiedy dokładnie ona zniknęła? Nazife.

– Trzy lata temu.

– A pamiętasz w jakim miesiącu?

Pola wzniosła oczy do nieba.

– Było zimno czy ciepło?

Popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

– W lecie. To musiał być sierpień, bo pamiętam, że Frank się na początku wściekał, że wyjechała bez pożegnania tydzień przed zakończeniem sezonu, kiedy jest najwięcej roboty. Połowa sierpnia, plus-minus. Jesteś zadowolony?

– Jak cholera – powiedziałem.

Wrzuciłem trzeci bieg i potoczyliśmy się z zawrotną szybkością czterdziestu kilometrów na godzinę.

– To może być ona.

– O czym ty mówisz?

– Poliksena. To może być Nazife.

– Chyba żartujesz. Niemożliwe, żeby ciało rozłożyło się w ciągu trzech lat i został sam szkielet.

– To zależy – powiedziałem. – Istnieje co prawda tak zwana reguła Caspra, która mówi, że zwłoki w wodzie gniją dwa razy wolniej niż na powietrzu, a zakopane w ziemi osiem razy wolniej. Ale teoretycznie to możliwe. W sprzyjających warunkach pełne zeszkieleutowienie może nastąpić już po roku. A tu są jak najbardziej sprzyjające warunki: upał, masa owadów i kwasowa gleba. To znacznie przyspiesza proces gnicia. Jeśli chcesz, wzbo-
gacę twoją wiedzę na temat rozkładu tkanek.

Popatrzyła na mnie z niesmakiem.

– Nie mam zamiaru tego słuchać.

– To wysiądź.

Przyspieszyłem i zmieniłem bieg.

– Śmierć zaczyna się w momencie, kiedy przestaje bić serce – zacząłem. – To oczywiście duże uproszczenie, bo nawet lekarz z pogotowia ma obowiązek reanimować ofiarę wypadku przez godzinę, zanim będzie mógł z czystym sumieniem wypisać akt zgonu. Pierwsze giną komórki nerwowe, bo są najbardziej wrażliwe na obniżający się poziom tlenu. Gałki oczne wysychają, mętnieją i do zdjęć policyjnych czasem zakrapla się je gliceryną,

żeby ładnie wyglądały. Po dwudziestu czterech godzinach tracą wewnętrzne napięcie i stają się miękkie, jak niedogotowane białko w jajku. W ciągu dwóch dni pojawiają się na nich plamki martwicy, początkowo żółte, szybko brązowieją i czernieją. Ale to tylko wtedy, jeśli nikt nie zamknie zmarłemu oczu.

– Jesteś obrzydliwy.

– To są fakty naukowe. A poza tym, jako archeolog nie powinnaś być szczególnie wrażliwa na obrzydliwość tego świata. Ale najlepsze dopiero będzie. Posłuchaj. Przez pierwsze dwanaście godzin od zatrzymania serca ciało stygnie. Szybciej, kiedy jest wilgotno i wieje wiatr, wolniej w lecie, tu oczywiście rolę odgrywa wiele czynników, nie będę cię nimi zanudzał. Wszystko stygnie i tyle, jak mówi jeden mój kolega, którego nie znasz i raczej nie poznasz. Najszybciej stygną chudzielcy i dzieci. Grubasów chroni tłuszcz, tak samo jak za życia. A tak *à propos*, czy mi się wydaje, czy ostatnio trochę schudłaś?

Nie odpowiedziała. Patrzyła w okno.

Mówiłem dalej:

– Kiedy krew przestaje krążyć, opada w najniższej położone regiony ciała. Kiedy zwłoki leżą na wznak, plamy opadowe pojawiają się na plecach, tylnej części nóg i rąk, płatkach uszu i pod paznokciami. A z kolei powieszony delikwent ma sinofioletowe stopy i dłonie. – Koła znowu uderzyły o kamień. – Hm, co to ja... Aha... No więc na początku nieboszczyk jest miękki jak ściereczka do naczyń. Ale po trzech, czterech godzinach następuje stężenie pośmiertne, *rigor mortis*, kolejny fachowy termin do zapamiętania. Ciało staje się twarde jak drewniana deska i trzeba je przełamać, jak deskę, kiedy chce się je upchnąć w trumnie. Albo na przykład w worku na śmieci. A potem *rigor mortis* ustępuje i zwłoki zaczynają przypominać miękkie kawał mięsa. Takiego już gnijącego, z kością.

Zerknąłem na nią. Żadnej reakcji.

– Kilkanaście godzin po zatrzymaniu akcji serca nogi lub ręce mogą jeszcze drgnąć, a nawet zmienić położenie. Mówię ci, jak

to zobaczyłem za pierwszym razem, to omal nie dołączyłem do szanownego zmarłego na stole w prosektorium, myślałem, że wykituję. Ale to tylko chemia, nagromadzenie dwutlenku węgla w mięśniach i krwi, a nie żadne duchy. W rzadkich wypadkach, kiedy gazy naciskają na struny głosowe, wydaje się, że nieboszczyk chce coś powiedzieć. A powieszony delikwent potrafi przy odcinaniu wyrzucić do przodu ręce i objąć odcinającego. W takich momentach zwieracze czasem puszczają, nie tylko nieboszczykom, he, he.

Pola nie wyglądała, jakby rozśmieszył ją mój dowcip. Skoncentrowałem się na prowadzeniu auta.

– Kiedy system immunologiczny przestaje działać, bakterie, które jeszcze kilka godzin wcześniej żyły w komitywie z układem oddechowym i pokarmowo-wydalniczym, wydzielają enzymy powodujące rozpad tkanek. Substancje, które powstają podczas tej wczesnej fazy śmierci, przyciągają insekty. Zwróć uwagę, że muchy i żuki składają jaja w kąciach oczu i ust, nozdrzach i otwartych ranach, a jeśli ciało jest odsłonięte, również w ujściu pochwy i odbytnicy. Z jaj lęgną się poczwarki i larwy, które pożerają gościnnego zmarłego. A potem zaczyna się gnienie. Tkanki miękkie stopniowo zamieniają się w gazy, płyny i sole mineralne. Ten proces staje się widoczny dopiero kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt godzin po zatrzymaniu krążenia. Ciepło i wilgotność mogą go przyspieszyć. Dlatego w upał befsztyki trzyma się w lodówce. Pierwsze upłynniają się gałki oczne, żołądek i wnętrzności. Serce robi się wiotkie, a jego ściany cienkie. Śledziona i płuca stają się papkowate i kruche, z kolei wątroba i mózg zaczynają przypominać plaster miodu.

Wjechałem w dwie koleiny, tak głębokie, że czułem, jak podwozie szoruje o ziemię. Pola milczała.

– A teraz posłuchaj, będzie najlepsze. Pierwsza oznaka gnicia, taka charakterystyczna zielonkawa żółć, zielonkawy błękit lub zielonkawa czerń skóry, to wynik rozpadu cząsteczek hemoglobiny. Takie zabarwienie pojawia się najpierw w rejonie

brzusznym. Mniej więcej w dzień po ustaniu krążenia całe ciało jest już czerwono-zielono-purpurowe. To nawet nie wygląda źle, jeśli człowiek nie jest za bardzo przywiązany do myśli, że skóra powinna być różowa. Tylko niestety strasznie śmierdzi. W pozbawionych tlenu tkankach produkowane są metan, dwutlenek węgla, amoniak i wodór, które w połączeniu z siarkowodorem, skatolem, indolem i ptomainami, dają taki straszny, mdlący, słodki smród. Na tym etapie wystarczy lekko dotknąć, i zaraz oddzielają się duże płaty naskórka, które wyglądają trochę jak wylinka egzotycznych gadów. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie odpowiedziała.

– Nie kręć noskiem, księżniczko, bo ja się z tobą dzielę moim naukowym doświadczeniem. Nigdy nie jest za późno, żeby się czegoś nauczyć. Na przykład o tym, jak gazy rozdymają ciało, zwłaszcza w regionach, gdzie skóra nie jest napięta. Proces ten ma najszybszy przebieg w obrębie organów wewnętrznych. Gazy wywołują parcie, czasem wyciskając zawartość jelit przez odbytnicę, a zawartość żołądka przez nos i usta. A wiedziałaś o tym, że gazy mogą wywołać tak zwany poród trumienny i wypchnąć płód z ciała martwej kobiety?

Nie odpowiedziała.

– Hm, no tak. Oprócz tego na twarzy rozdęcie gazów powoduje puchnięcie powiek. Policzki nadymają się, a język zaczyna wystawać spomiędzy napuchniętych warg. I właśnie dlatego w tej fazie prawie nikomu nie udaje się zidentyfikować zwłok. Na tym etapie pojawia się też krwawa piana w nozdrzach i kącikach ust, włosy na całym ciele oddzielają się od cebulek, a paznokcie u rąk i nóg odchodzą razem z dużymi płatami naskórka. A kiedy ciśnienie gazów wzrasta jeszcze bardziej, jama brzuszna może nawet pęknąć.

Spróbowałem pacnąć muchę, która spacerowała po desce rozdzielczej i moich dłoniach. Samochód zatoczył się. Pola zerknęła niespokojnie przez przednią szybę.

– A, no i zapomniałem ci powiedzieć, że gnijące ciało wizytowane jest masowo przez insekty z rodzin *Formicidae*, *Muscidae*, *Sphaeroceridae*, *Silphidae*, *Lepidoptera*, *Hymenoptera*, *Sarcophagidae*, *Histeridae*, *Staphylinidae*, *Phalangida*, *Piophilidae*, *Araneae*, *Sepsidae*, i *Phoridae*. I jeszcze, oczywiście, *Calliphoridae*. Mucha plujka lubi zwłoki podczas wszystkich faz rozkładu. Liczba poszczególnych gatunków insektów różni się, ale larwy muchówek znajduje się w prawie wszystkich wypadkach. Weź, walnij tę muchę, doprowadza mnie do szału.

Polą otworzyła na oścież okno i mucha wyleciała, wymieciona pędem powietrza.

– Dzięki. To już właściwie koniec. Jeszcze powinnaś wiedzieć, że tłuszcz z piersi, bioder, pośladków i policzków też się rozpada. Czasem zamienia się w воск trupi, żółtawo-białą substancję, w dotyku tłustą jak воск, która śmierdzi serem i amoniakiem. Cały rozpad tkanek trwa od kilku dni do kilku lat. Ostatnie rozkładają się ścięgna i chrząstki. Potem zostaje już sam nagi szkielet. A ten, moja miła, może przetrwać setki, a w sprzyjających okolicznościach, nawet tysiące lat.

Popatrzyłem na nią. Siedziała bez ruchu.

– Koniec. Tak, w dużym skrócie, wygląda odpowiedź na twoje pytanie, czy zwłoki Nazife mogły się całkowicie rozłożyć w ciągu trzech lat. Mogły.

Wiatr dmuchnął w okno kurzem. Polą zakręciła szybę i zrobiło się jeszcze bardziej gorąco, chociaż myślałem, że to niemożliwe.

– Cieszę się, że już się przestałaś upajać swoim głosem.

– No coś ty, ja przecież...

– ...ale nie wierzę, żeby to była Nazife – powiedziała. – To niemożliwe. Dlaczego ktoś miałby zabijać dziewczynę z wioski, chować ją na starożytnym cmentarzysku i przykrywać jej ciało złotymi blaszkami? Co za chory umysł mógł to wszystko wymyślić?

– Nie wiem. – Na bitej drodze były takie dziury, że z powrotem musiałem zredukować bieg do dwójki. – Ale jeśli był

wystarczająco chory, żeby poderżnąć jej gardło, to chyba resztę też mógł zaaranżować, nie sądzisz?

– To wcale nie musiała być miejscowa dziewczyna. Mogła być turystką. Mogła być tu przejazdem. Mogła podróżować autostopem. Nikt nie musiał wiedzieć, że zginęła właśnie tu, na równi nie trojańskiej. Może przyjechała tu z Europy albo z Ameryki.

– A może z Australii. A może z Nowej Zelandii. A może z Księżycy. A może z...

– Och, zamknij się!

Jechaliśmy dalej w milczeniu.

– Jestem pewien, że była miejscowa – oznajmiłem, kiedy udało mi się przejechać szczególnie wielką dziurę bez zahaczenia podwoziem o ziemię.

– Bo?

Zamyśliłem się.

– Bo to nie był przypadek. Wybór miejsca, złote blaszki. Morderca wiedział, co robi.

Oderwałem wzrok od drogi i spojrzałem na nią. Sukienka na jej brzuchu pomarszczyła się, przylegając do wilgotnego ciała.

– Znał tę okolicę. Więc pewnie znał też swoją ofiarę.

– Poderżnął jej gardło...

– Poderżnął jej gardło, bo nóż jest łatwiej skombinować niż pistolet, robi mniej hałasu i nie trzeba się specjalnie uczyć go używać. Mógł ją jeszcze udusić albo wałnąć czymś mocno w głowę. Ale wierz mi, księżniczko, wbrew temu, co opisują stare kryminały, cholernie trudno jest udusić człowieka. Ofiara zazwyczaj się wyrывa i potrafi czymś przywalić, bo obie ręce masz przecież zajęte. Wałnąć w głowę można, ale żeby kogoś zabić, a nie jedynie ogłuszyć, trzeba albo doskonale znać anatomię, albo walić wiele razy, i to naprawdę mocno.

Pola oparła się obiema rękami o deskę rozdzielczą i pochyliła do przodu. Nawet w blasku słońca wydawała się bardzo blada.

– Niedobrze ci? – spytałem. – Mam się zatrzymać?

– Nie – powiedziała cicho. – Nie.

Potarła dłońmi twarz. Przyglądałem jej się przez krótką chwilę, ale musiałem przecież patrzeć na drogę.

– O czym to ja...? Aha. Że nóż jest bardziej praktyczny. Jeden ruch i po wszystkim. A jeśli zabójca trochę znał się na rzeczy, to złapał ją od tyłu, żeby krew nie chlusnęła mu na ubranie. Proste, łatwe i skuteczne. Jedna chwila i masz pewność, że ofiara już się nie podniesie.

– Szkoda, że nie możesz sam siebie słyszeć, Mario.

– Ja tylko mówię, jak jest.

Kilkaset metrów przed Tevfikiye zaczął się asfalt. Nie wjechałem do wioski, tylko skręciłem w lewo. Strażnik w białej budce przy wjeździe do Troi, ciągle bezrobotny dzięki policji, która zamknęła stanowisko dla turystów, czytał gazetę. Pokiwałem mu ręką. Nie składając płachty papieru, schylił się, nacisnął guzik i szlaban odsunął się z hurgotem. Potoczyliśmy się wolno po dziurawej nawierzchni. Asfalt był miękki i opony cicho mlaskały. Wjechałem na parking, zatrzymałem się koło budki telefonicznej, zaciągnąłem ręczny hamulec.

Poszedłem przodem, nie oglądając się na Polę.

W pracowni nie było nikogo, a ciemność promieniowała rozgrzaną wilgocią. Na regałach i pod ścianami majaczyły białe pudła ustawione w stosy. Pstryknąłem wyłącznikiem. Jarzeniówka pod sufitem rozjarzyła się, wydała z siebie głośne „pyk” i zgasła. Zawahałem się na progu, a później wciągnąłem w płuca rozżarzone powietrze, przeszedłem szybko przez cały pokój i jednym ruchem otworzyłem okiennice. Oparłem czoło o szybę i przez chwilę głęboko oddychałem.

Kiedy poczułem, że nie grozi mi już zawał, pozapalałem wszystkie lampki na stołach i jeszcze dwie nad zlewem. Rozzejrzałem się dokoła. Znalazłem ją pod stołem, obok zwiniętej niedbale płachty, spakowaną w pięć pudeł, tych samych, w których przywieźliśmy ją z wykopu. Ustawiłem kartony rządkiem na blacie i zajrzałem do środka. Kości nadal tam były, oblepione ziemią, matowobiałe.

Wystawiłem głowę za drzwi. Drzewa szumiały, a na sofie przy wejściu wylegiwały się koty. Przeszedłem szybko do jadalni i zajrzałem do lodówki. Były tam! Zagrzebane pod plastikowymi butelkami z wodą, schłodzone i zapraszające. Wyjąłem dwie butelki, ale po namyśle wyciągnąłem jeszcze trzy. Wróciłem do pracowni i ustawiłem je rządkiem na kamiennej podłodze obok nogi od stołu. Otworzyłem jedną, wlałem sobie pół rozkosznie lodowatego piwa do gardła i po raz pierwszy tego dnia poczułem, że żyję.

Podszedłem do metalowego regału i zacząłem szperać w stosie śrubokrętów, obcęgow, młotków, papieru do rysowania i pudełek wypełnionych połamanymi kredkami. Półki wydawały przy każdym stuknięciu pusty, głuchy dźwięk. Pamiętałem, że gdzieś

to tutaj położyłem dwa tygodnie temu, niedługo po przyjeździe. W końcu znalazłem płaską drewnianą skrzynkę. Otworzyłem ją: z czerwonego aksamitu popatrzyły na mnie szklane gałki oczne we wszystkich możliwych kolorach, ułożone w swoich zagłębieniach, od błękitnych do piwnych. Zatrzasnąłem pudełko i wsadziłem sobie pod pachę, poszperałem jeszcze trochę i wykopałem tablice grubości pokrywy tkanki miękkiej Gerasimowa z plikiem kserokopii wetkniętym pomiędzy kartki.

Zacząłem myszkować w rzeczach Poli, w metalowej szafce z szufladami pod stołem z komputerem. Wyciągnąłem stamtąd paczkę modeliny w kolorze majtkowego różu. Przeszukałem jeszcze biurka Vasifa i Marilles oraz drewniane skrzynki po pomidorach, które pozostawił po sobie poprzedni konserwator, ale nie było tam nic, co mogłoby mi się przydać.

Rozłożyłem moje skarby na stole, dołożyłem precyzyjną, chirurgiczną suwmiarkę, ołówek i notatnik, w którym znalazłem kilka wolnych stron. Przysunąłem sobie wysoki stołek i zabrałem się do roboty.

Zacząłem od odsunięcia na bok kuwety z piaskiem. Na to miejsce wstawiłem specjalną podpórkę z wystającym do góry bolcem oblepionym modeliną i najdelikatniej jak potrafiłem ustawiłem na niej czaszkę. Rozłożyłem przed sobą kopię Gerasimowa i przycisnąłem róg butelką z piwem, żeby mi się kartki nie przewracały.

Pierwsza i podstawowa sprawa to nałożenie warstw mięśniowych we wszystkie zagłębienia czaszki. Mało inspirująca praca, nie wymaga wysiłku intelektualnego, ale bez niej nie można zrobić kroku dalej. Powtykałem modelinę wszędzie tam, gdzie pokazywał atlas anatomii Greya, którego skserowane strony z oślimi rogami przypiąłem do najbliższego regału na wysokość wzroku.

Stół i wszystko, czego dotykałem, było cieplejsze od moich rąk. Modelina łatwo poddawała się palcom. Wywałkowałem długiego, cienkiego węża, z którego zacząłem odmierzać

kilkumilimetrowe kawałki i odcinać je skalpelem. Doszedłem do czterech i rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś kartki. Ode-rwałem z ryzy dwa arkusze perforowanego papieru do drukarki, narysowałem na nich kwadraty jak na szachownicy i oznaczy-łem je numerami. Na kwadratach ułożyłem odcięte słupki, żeby mi się nie popieprzyło, co jest do czego.

Kiedy zgromadziłem trzydzieści kawałków i skończyłem pierwsze piwo, odłożyłem skalpel. Jeden po drugim przykleja-łem modelinowe słupki do powierzchni kości w punktach an-tropometrycznych czaszki. Nie chce mi się tłumaczyć, co to jest, kto się na tym nie zna, ten i tak nie zrozumie, o co chodzi.

Trzy i pół butelki później modelinowe dzioby jak strupy po ospie sterczały na wszystkie strony z czoła, nosa, żuchwy i łuków jarzmowych.

Podniosłem się ze stołka, przeciągnąłem się i podszedłem do okna. Wciągnąłem głęboko w płuca powietrze i poczułem się, jakbym pakował sobie do gardła wilgotną watę. Już zmierzcha-ło, ale na zachodniej stronie nieba widać było nadal jasnofiole-towy pasek. Za oknem usłyszałem głosy Poli i Vasifa, cofnąłem się szybko i usiadłem z powrotem na tym cholernie twardym stołku. Przyjrzałem się mojemu dziełu i pokiwałem głową.

Odwinąłem z folii następny blok modeliny i skalpelem pocią-łem go na paski szerokości mniej więcej centymetra. Ułożyłem je w szeregu obok czaszki. Wziąłem jeden do ręki, zmiękczyłem go trochę palcami i przykleiłem wzdłuż łuku jarzmowego.

Drzwi otworzyły się, a przeciąg omal nie zdmuchnął ze sto-łu kserokopii tablicy z rysunkiem mięśni żuchwy. Przycisnąłem kartkę łokciem.

– Uważaj trochę – powiedziałem, nie odwracając głowy.

Pola obeszła stół i stanęła przede mną.

– Masz czas na takie zabawy?

– Owszem.

Popatrzyła na puste butelki i usiadła po drugiej stronie, na-przeciwko mnie. Bił od niej zapach szamponu i perfum, ale

miała na sobie tę samą sukienkę, co po południu. Odsunęła od siebie kuwetę, ziarenka piasku zapiszczały na drewnianej powierzchni blatu. Docisnąłem kawałek modeliny, który nie chciał się trzymać *fossa canina*.

– Po co to robisz? – zapytała cicho.

– Ja?

– No, a kto! Mario, cholera, możesz na mnie spojrzeć?

Spojrzałem, szybko, ale zaraz przeniosłem wzrok na żuchwę i docisnąłem modelinę. To jest precyzyjna robota i trzeba mieć wyczucie. Przyciśniesz za mocno i krucha kość pęka.

– Frankowi bardzo zależy, żeby wszyscy byli obecni dzisiaj wieczorem – powiedziała cicho.

Najbardziej trzeba uważać przy oczodołach i przy nosie, tam kość jest najdelikatniejsza.

– Mario, mówię do ciebie.

Odłożyłem modelinę na stół i podniosłem głowę.

– Słucham cię.

– Nie masz teraz czasu na takie zabawy. Obiecałam, że przyjdiesz.

– Następnym razem musisz bardziej uważać, obiecując coś w czyimś imieniu, moja ty księżniczko.

Westchnęła. Ramiona jej opadły.

– Posłuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj.

Odchyliłem butelkę i pociągnąłem łyk. Ciepłe piwo smakowało jak rzygowiny. Postawiłem butelkę na stole, próbując wcelować w odcisnięty na blacie wilgotny krążek.

– Słucham.

– To była tylko figura retoryczna. Wybacz, moja miła. Jestem bardzo zajęty.

– Nagle zaczęło ci na tym zależeć? Przecież jeszcze dzisiaj rano próbowałeś mnie przekonać, że masz to wszystko głęboko gdzieś.

Przekręciłem czaszkę i przyjrzałem się jej z boku. Musiałem jeszcze solidnie popracować nad okolicą wyrostka jarzmowego kości skroniowej.

– Zobacz, jaką ona ma piękną *spina nasalis anterior*.

Odwrociłem czaszkę twarzoczaszką w jej stronę.

Wyciągnęła palec i delikatnie pogładziła kość jarzmową.

– Uważaj – ostrzegłem ją.

Opuściła rękę. Odwróciłem czaszkę z powrotem do siebie.

– Naprawdę myślisz, że to Nazife? – spytała cicho.

– Nie wiem. I nie bardzo mnie to interesuje – skłamałem.

Pola znów westchnęła.

– Długo masz jeszcze zamiar tu siedzieć?

– Aż mi się skończy piwo. – Zerknąłem na podłogę. – Niezbyt długo.

Podniosła się.

– Rób, jak chcesz – powiedziała. – Impreza jest na podwórku, obok jadalni. Jakbyś się namyslił...

– Tak, wiem. Sam trafię.

Podeszła do drzwi i zatrzymała się.

– Myślałam... myślałam, że to będzie wyglądało inaczej.

Wygładziłem lekko pasek przy łukach nadoczodołowych. Nie za bardzo, żeby dawał lepszą przyczepność dla następnej warstwy.

– Miałam nadzieję, że... że dobrze będzie mieć cię tutaj. Ale wszystko się spieprzyło. Może ty potrafisz mi powiedzieć, dla czego.

Zgniotłem pasek modeliny w rękę.

– Zamknij drzwi, bo mi zwieje kartki – powiedziałem.

Drzwi trzasnęły. I tyle.

Hamburgery były całkiem jak prawdziwe. Frank, ilekroć trafili się ważni goście, przed którymi chciał się popisać, zamawiał je w najlepszej restauracji w Çanakkale. Jeszcze ze dwa sezony i tamtejszy szef kuchni może rzeczywiście nauczyć się je przyrządzać.

Drewniane stoły, zsunięte przed wejściem, oświetlone lampą nad drzwiami, przykryte były obrusem w kratkę. Efekt psuł trochę fakt, że blaty znajdowały się na nierównej wysokości, a nogi chwiały się na żwirze. Wokół tłoczyły się plastikowe krzesła, a z ipoda podłączonego do dwóch głośniczków wył turecki pop. Do świeczek na stołach kleiło się robactwo. Całość mogła się nawet podobać. Oczywiście, jeśli ktoś lubi wykopaliskowe imprezy.

Z tego, co zauważyłem, nie brakowało nikogo, ale nastrój był równie daleki od hucznej zabawy, jak Frank od odzyskania pozwolenia na prowadzenie badań. Marilles kiwała się na krześle, obgryzała krótkie, nierówne paznokcie, i co chwila przesuwała dłoń po karku. W tych dredach musiało być jej gorąco jak cholera. Vasif siedział naprzeciwko pogrążonych w dyskusji Petera i Mervyna, nieruchomo, z założonymi na piersiach rękami. Przypominał posąg indiańskiego wodza. Jason dolewał sobie piwa, a sądząc po jego miękkich ruchach, nie była to pierwsza szklanka, ani druga. Pola, koło Griffina, w sukience wilgotnej pod pachami, próbowała przywołać na twarz drętwy uśmiech, co nie bardzo się jej udawało.

Tylko Frank starał się, jak mógł, trzeba mu to przyznać. Nie zważając na pot spływający mu po karku za kołnierzyk, gestykulował, zwrócony górną połową ciała w stronę Griffina,

i opowiadał jakąś zajmującą historię, a Melinda wspierała go, śmiejąc się w odpowiednich momentach i wachlując głęboki dekolt papierowym talerzykiem. Robert podparł głowę obiema rękami i patrzył tępo na piwo pod światło świeczki. Po przeciwnej stronie stołu siedziała Yasmin.

Tego wieczoru Griffinowi prawie udało się osiągnąć wygląd normalnego śmiertelnika. Nie miał na sobie garnituru, a jego płócienne spodnie kosztowały nie szesnaście moich miesięcznych pensji, tylko ze trzy. Koszulka polo z małym krokodylkiem na piersi też mogła być przecież wyprodukowana przez nielegalnych imigrantów z Maroka w jakimś zakładzie koło Neapolu, choć dam głowę, że nie była. Co prawda miał na nogach ręcznie szyte mokasyny, ale przecież nikt nie jest doskonały. Chociaż starał się jak mógł, nawet dał wolne kierowcy.

Wszedłem do jadalni, otworzyłem klapę chłodziarki i pod butelkami z piwem zakupionymi specjalnie na imprezę namacałem flaszkę *raki*. Usiadłem bliżej tego końca stołu, przy którym mogłem lepiej podsłuchiwać jak Melinda i Frank wążą Griffiniowi w tyłek bez wazeliny.

– Pan czytuje Homera, panie Griffin? – To była Melinda, oczywiście. – Gratuluję. Należy pan do ekskluzywnej mniejszości. Ale chyba pan to wie.

– Proszę do mnie mówić Howardzie – powiedział Griffin.

– W oryginalne?

Griffin przejechał dłonią po wilgotnych włosach i zaprezentował swój uśmiech numer pięć.

– Homer to moja pasja. Nie tylko Homer. Inni starożytni autorzy też. Nikt nie potrafił tak wyrazić prawdy o naturze ludzkiej.

– Jestem pod wrażeniem. – Przechyliłem butelkę i nalałem trochę chłodnego płynu do szklanki. Dodałem kapkę wody i anyżówka zamieniła się w mleczny obłok. – Chociaż osobiście wolę, jak o naturze ludzkiej opowiada taki na przykład Chandler albo, dajmy na to, Scorsese.

– Mario! – warknęła Melinda.

– Dobrze, już dobrze. – Uniosłem wolną rękę, na znak, że się poddaję. – Nie jestem w nastroju do sprzeczek...

– A, proszę mi wybaczyć, skąd u pana takie zainteresowanie starożytną literaturą i w ogóle archeologią. – Frank nie pozwolił mi wyjaśnić, w jakim jestem nastroju.

Griffin podniósł do góry szklankę, spojrzał na mnie i upił łyk.

– Chodziłem do dobrego gimnazjum, gdzie uczniom wbijano w głowy grekę i łacinę. A w każdym razie próbowano. Nie wiele pamiętam, ale kiedyś potrafiłem z pamięci całą pierwszą księgę *Iliady*. Zaraz, jak to było...?

*Menin aeide thea Peleiadeo Achileos
oulomenen, he muri Achaiois alge etheke,
pollas d'ifthimous psuchas Aidi proiapsen
heroon...*

Melinda zaczęła bezgłośnie bić brawo, jej spocone dłonie plaskały nieprzyjemnie o siebie. Frank się przyłączył. Pola delikatnie wzruszyła ramionami. Gdybym nie przyglądał się jej uważnie, niczego bym nie zauważył, bo równie dobrze mogło to być złudzenie optyczne w świetle lamp i świeczek.

– Och, dajcie spokój. – Czas na skromny uśmiech, numer szesnaście. – To było sto lat temu. Od dawna nie miałem już tego w ręku. Chociaż to i owo mogę sobie jeszcze przypomnieć. Dalej szło chyba tak:

*...autous de heloria teuche kunessin
oionoisi te pasi, Dios d'eteleieto boule,
ex hou de ta prota diasteten erisante
Atreides te anax andron kai dios Achilleus...*

– Niesamowite, naprawdę niesamowite. – Głos Franka załamał się w górnych rejestrach. – Ja sam nie potrafiłbym lepiej.

Muszę ze wstydem przyznać, że znam na pamięć tylko kilka pierwszych linijek *Iliady*.

– Och, nie przesadzajmy. Jestem tylko skromnym dyletantem. To wy tworzycie historię. Nie musicie cytować Homera. Odkopujecie go.

– Ależ doprawdy, Howardzie... – zaczęła Melinda.

– Ależ doprawdy, Melindo – powiedziałem. – Hamburgery były takie sobie, ale jeśli jeszcze je dosłodziysz, to chyba się porzygam.

Uśmiechnąłem się, pokazując wszystkie zęby, jak sterany życiem rekin, i pociągnąłem spory łyk *raki*.

Melinda przesunęła się, blokując własnym ciałem przestrzeń powietrzną koło Griffina i udaremniając moje próby uczestniczenia w rozmowie.

Odchyliłem się na krześle. Komary brzęczały, ale jeszcze żaden mnie nie ugryzł. A może to *raki* posiadała właściwości znieczulające.

– Nie ma takiej moszliffości, szeby to było IIIIC.

Dwa miejsca dalej Peter próbował przekrzyczeć muzykę. Nawet w stłumionym świetle widać było wyraźnie jego spłaszczoną trzewioczaszkę. Nawet na siedząco wyglądał jak sznycel wiedeński. Hałaśliwy pop z głośników nie był w stanie stłumić jego teutońskiego akcentu.

– No po prostu nie ma. Sam sobatrz.

Wyciągnął z kieszeni długopis i zaczął rysować na serwetce.

– Tu mamy jamę, takk? A tu pszebieka ten róff. Na tym posio mie wyszła IIIB, o tu i tu. – Narysował dwa kleksy. – A tak układa sze podłokka, hier. No to sam wicisz. Nie ma takiej moszliffości.

– Ale – Mervyn wytarł dłonie w spodnie, wyciągnął mu z ręki kartkę i odwrócił ją do góry nogami – zapomniałeś o wkopie o tutaj. – Coś nabazgrał. – Widzisz? Tutaj jest właśnie IIIIC.

– No cosz ty? – oburzył się Peter. – Ten wkopp pszebieka o tutaj. – Zaczął wściekle mazać na serwetce.

– Napijesz się piwa czy zostajesz dzisiaj przy tym świństwie? – Ktoś dotknął mojego ramienia.

Obejrzałem się. Brylancik w nosie Marilles mienił się w świetle księżycy.

– Jasne. Chętnie. Dzięki.

– No i jak tam? – Usiadła obok i postawiła przede mną oszronioną butelkę. Drugą podniosła do ust. – Rozmawialiście z rodzicami Ayçy?

– Nie nazwałbym tego rozmową, ale owszem, byliśmy tam, a Gülsün nawet coś mówiła.

– I co?

Wzruszyłem ramionami.

– Sama ją spytaj, jak przyjdzie.

– A jak Pola? – Popatrzyła w jej kierunku.

Podążyłem za jej wzrokiem. Griffin śmiał się głośno z jakieś dowcipu, ukazując nieskazitelne dzieło dentysty, który zaraz po zakończeniu pracy nad uzębieniem naszego przyjaciela kupił sobie willę na Florydzie, z basenem. Pola siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i z nogą założoną na nogę. Z mojego miejsca widziałem stróżkę potu spływającą po jej łydce.

Odwróciłem głowę do Marilles.

– Sama ją spytaj.

– Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowny.

Jeszcze raz popatrzyłem na Polę. Nie dotykała plecami oparcia.

– Proszę mi opowiedzieć więcej o sobie, doktor Mor – poprosił Griffin. Dodał coś ciszej, nic nie usłyszałem, bo zagłuszyła go muzyka.

Pola odpowiedziała, też cicho.

– Ależ ty jesteś nieuprzejma! – wykrzyknęła Melinda i pacnęła papierowym talerzykiem o stół. – To przecież miło ze strony pana Griffina, że tak się interesuje naszą pracą.

– Howard – powiedział automatycznie Griffin. – Bardzo proszę, mówcie do mnie po imieniu.

Odwrociłem się do Marilles. Sączyła piwo, jakby w ogóle nie przeszkadzał jej ohydny drożdżowy posmak.

– Policjanci pojawili się tu jeszcze raz, kiedy was nie było – powiedziała, nie odrywając butelki od ust. Jej głos zadudnił głucho.

– Czego chcieli?

– Przysłuchiwali nas, znowu. Właściwie pytali cały czas o to samo: kto widział Nadię jako ostatni i dlaczego była w ruinach.

– Podejrzewają kogoś?

Marilles ostrożnie postawiła butelkę na stole. Nadal była prawie pełna.

– A co ty tak do mnie gadasz, jak w filmie kryminalnym? Podejrzewają kogoś? Skąd ja to mogę wiedzieć? Przecież mi się nie zwierzali.

Teraz ja z kolei wzruszyłem ramionami.

– A co powiedzieli?

– Nic. Na pewno prowadzą śledztwo. Nie mam pojęcia, czy kogoś podejrzewają. Na razie nikogo nie zamknęli. Tyle wiem.

Kiwnąłem głową.

– Dostałam dzisiaj mejla od brata Nadii. Przylatuje w poniedziałek i zabierze zwłoki z kostnicy w Çanakkale do domu. Normalnie, jak to się robi w takich sytuacjach.

Znowu pokiwałem głową.

– Normalnie. Tak.

Dudnienie muzyki. Śmiech Melindy na końcu stołu.

– Czy ty myślisz... – zaczęła Marilles.

Podniosłem głowę. Nie patrzyła na mnie. Patrzyła na Franka włożącego w dupę Griffiniowi.

– Czy myślałeś, kto to mógł zrobić?

– Pewnie. – Pociągnąłem łyk piwa i przepiłem je *raki*. – Chyba każdy o tym myślał.

Złapała mnie za rękę. Palce miała wilgotne i lepkie. Delikatnie wyswobodziłem dłoń.

– Uspokój się – powiedziałem. – I zjedz coś. To piwo źle robi na żołądek. Jutro będziesz się strasznie czuła.

Marilles zamrugnęła oczami, jakby właśnie się obudziła.

– Myślisz, że za dużo wypiałam? Nieważne. – Powstrzymała mnie gestem, kiedy otworzyłem usta, żeby to potwierdzić. – Chcesz hamburgera?

– Nie dałbym się skusić, ale nic nie jadłem od rana.

– Poczekaj, spróbuję coś skołować. Może jeszcze coś zostało.

Wstała, trochę za szybko i musiała się oprzeć. Zamrugnęła jeszcze raz, klepnęła komara, który próbował przysiąść jej na ucho, i niepewnie ruszyła w kierunku półmiska stojącego po drugiej stronie stołu. Postawiła przede mną talerz z dwoma wysuszonymi hamburgerami.

– Jedz, zanim inni zjedzą.

– A ty?

– Ja idę poszukać czegoś innego do picia. Rzygać mi się już chce od tego piwa.

– Może powinnaś...

Nie słuchała mnie. Odeszła w ciemność chwiejnym krokiem.

Ugryzłem. Ktoś stuknął mnie w ramię. Odwróciłem głowę.

– Wydaje mi się, że jeszcze się nie znamy – powiedział wysoki Chińczyk w okularach. – Pragnąłbym przedstawić się.

Złożył mi głęboki ukłon. Powstrzymałem odruch odpowiedzi tym samym i wyciągnąłem do niego dłoń. Chińczyk uśmiechnął się od ucha do ucha i potrząsnął nią obiema rękami.

– Jestem Hong Pascual. Bardzo mi przyjemnie.

– Mnie również, Pascual. Mnie również.

Zrobiłem mu miejsce. Wskazałem hamburgery, ale pokręcił odmownie głową. Zabrałem się samotnie do jedzenia.

– Masz bardzo oryginalne imię, Pascual – powiedziałem, próbując przekrzyczeć muzykę i nie udławić się kawałkiem, który nie dawał się pogryźć. – Co tutaj robisz?

– Jestem nowym konserwatorem – wyjaśnił Pascual. – Urodziłem się w Meksyku – dodał bez związku.

– Gratuluję. – Oderwałem zębami kolejny kawałek i przełknąłem go bez gryzienia. Trochę za szybko, stanął mi w gardle. Spłukałem go ciepłym piwem.

– Podoba ci się tutaj?

– Mozie być. Trochę gorąco.

– Oj, to prawda, w tym roku jest strasznie gorąco. Niezwykle, niespotykanie wprost gorąco.

– Zawsze jest tak gorąco?

– Nie, nie zawsze. To znaczy w lecie normalnie jest tu gorąco. Ale nie aż tak. A w Meksyku nie jest gorąco?

– Nie wiem – powiedział. – Wyjechaliśmy stamtąd, kiedy byłem niemowlęciem.

Zamyśliłem się nad głębią jego słów i jednocześnie patrzyłem na Polę. Uśmiechała się do Griffina i coś mu opowiadała. Szczęki miała zaciśnięte.

– Przyjechałeś na wykopaliska, Pascual? – spytałem. – Nie wiesz, że cofnęli nam pozwolenie?

– Pan Frank powiedział: „psijeżdziej, Pascual, jest dużo pracy”. Więc psijechałem. Pan Frank mówił, że jest dużo metalowych obiektów w tym roku. Z ómentarzyśka. Że jestem potrzebny. Więc psijechałem.

– Więc psijechałeś. To miło. Witaj, Pascual.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Życie smacznego.

Uklonił się i odszedł. Zobaczyłem, jak podchodzi do Jasona i odgrywa tę samą scenę.

Odstawiłem talerz z niedojedzonym hamburgerem, przesunąłem krzesło w prawo i przechyliłem się przez stół.

– Vasif – powiedziałem o wiele za głośno, piosenkarz zrobił sobie właśnie przerwę.

Spojrzał na mnie, ale siedział nieruchomo jak posąg.

– Ty, zdaje się, pochodzisz gdzieś tu stąd, z jakiejś wsi.

– Z Yeniköy – mruknął.

– Naprawdę? – ucieszyłem się. – To wspaniale. I masz tam jeszcze rodzinę? To znaczy rodziców? Krewnych?

Spochmurniał.

– Dzięki za l-lekcję a-angielskiego, Mario, ale ja rozumiem s-słowo rodzina. T-tak, mam t-tam jeszcze rodzinę.

– I często tam bywasz? To znaczy, często ich odwiedzasz?

– Nie u-uwierzysz, ale rozumiem t-też s-słowo „bywać”. P-po co ci t-ta informacja?

– Po nic. – Dolałem sobie *raki* i wyciągnąłem butelkę w jego stronę. Nie zareagował odmownie, dolałem więc i jemu. – Tak tylko pytam. Z ciekawości.

– Nie ma w tym nic cie-ekawego. Mam w Yeniköy rodziców i s-siostrę.

– Oooo – zdziwiłem się nieco przesadnie. – I siostrę też? To ona na pewno dobrze zna Ayçę.

– O c-co c-ci chodzi, Mario? – Vasif opuścił ręce i pochylił się w moją stronę. Jego wilgotna skóra lśniła w świetle świec. Cofnąłem się trochę.

– O nic. To takie małe wioski, pewnie wszyscy się znają. Twoja siostra na pewno знаła też siostrę Ayçy. Tę, co zaginęła. Nazife.

Vasif pochylił się jeszcze bardziej i oparł się piersią o stół.

– Nadal p-pytasz z cie-ekawości, Mario?

Skinąłem głowę.

– Owszem, m-moja siostra dd-obraze znała Nazife. Ja t-też ją znałem. Chcesz się cz-czegoś d-dowiedzieć? T-to z-zapytaj wprost.

Zastanowiłem się.

– Czy ona... Czy ona miała... – urwałem. – Czy była ładna?

Vasif patrzył mi prosto w oczy, nawet nie mrugnął.

– Nazife była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Wystarczy ci?

Nie zająknął się ani razu.

– Niezupełnie. Ale na razie nie mogę wymyślić żadnych sensownych pytań.

Vasif odchylił się do tyłu i ponownie skrzyżował ręce na pierśsiach.

– Dzięki, Vasif. – Pokiwałem do niego ręką. – Jeszcze kiedyś wpadnę, żeby cię o coś zapytać.

Nie odpowiedział. Wyglądał, jakby spał z otwartymi oczami.

Ktoś znowu wałnął mnie w ramię. Zabolało mnie. Obróciłem się i zobaczyłem wielki brzuch opięty czarną koszulką.

– Robert. Dobrze się bawisz?

– Znakomicie, mój mały. Znakomicie.

Zwalił się na krzesło Marilles. Zatrzeszczało.

– No i co porabiasz, kurduplu?

– Jestem od ciebie wyższy o dwadzieścia centymetrów – przypomniałem mu.

– Ale i tak nie masz ze mną szans w zwarcu. Idę jak burza.

– Chętnie w to uwierzę – mruknąłem. – Już ci się znudziło podrywanie asystentek?

– Jeszcze nie, po prostu dozuję sobie tę przyjemność. Ale nasz kolega z Amsterdamu nieźle się bawi, co? Nie bardzo płacze po narzeczonej.

Wskazał brodą Dijeke, który kilka miejsc dalej opowiadał coś zżywieniem Evie. Siedział co najmniej dziesięć centymetrów za blisko dziewczyny. Może to przez ryczącą muzykę.

– Taaa. – Pociągnąłem łyk z butelki. Piwo było już ciepłe. – Nie wiedziałem, że Nadia była jego narzeczoną.

– To może za duże słowo. – Robert pogładził pieszczotliwie swoją szklankę. – Ale bzykali się od początku kampanii wykopalskowej. A może to się już zaczęło wcześniej? Muszę zapytać Melinę, ona będzie wiedziała.

– Lepiej nie, bo się zgorszy...

– Coś ty, Melinda? Nigdy w życiu. Ale coś ci powiem, mały. – Robert przysunął się i nachylił nade mną. – Ja na twoim miejscu uważałbym, co mu mówię.

– Myślisz? Mnie on wygląda tylko na jeszcze jednego nieszkodliwego dupowłaza.

– Lepiej na niego uważaj, Mario. Ja ci to mówię. Mam go na oku od początku imprezy.

– Tak? I co on robi?

– Nic. Ale mam na niego oko na wszelki wypadek.

– Aha. – Pokiwałem głową. – Rozumiem. No to się napijmy. Podnieśliśmy butelki równocześnie.

Vasif porzucił indiańską pozę, przesiadł się bliżej grupki Grifina i słuchał uważnie tego, co opowiadał Frank. Eva pokładała się na Jasonie, prawie wjechała pod stół. Księżyc wyszedł zza drzewa i oświetlał twarze, wszystkie bez wyjątku blade, spocone i z podkrążonymi oczami. Wyglądało na to, że zabawa wreszcie się rozkręciła.

Mervyn krzyknął coś do mnie. Nie usłyszałem. Dałem mu znak, żeby powtórzył. Podniósł się i podeszedł do nas.

– Nie widzieliście Gülsün?

– Nie – odpowiedziałem. – A co?

– Bo miała przyjść, a jeszcze jej nie ma.

– Pewnie się spóźni. Nie bój się, będzie. To, że Gülsün przepuści imprezę ze sponsorem, jest mniej więcej tak samo prawdopodobne jak to, że kometa uderzy w Ziemię.

– No, coś w tym jest. – Pokiwałem głową.

Wstałem. Obszedłem kontener jadalni i stanąłem pod wielkim dębem. Wiatr zdechł, jak zawsze po zachodzie słońca, pranie na sznurku zwisało smętnie. Zrobiłem jeszcze kilka kroków. Żwir chrzęścił pod moimi nogami. Gdzieś niedaleko szalał świerszcz. Księżyc oświetlał dokładnie wszystko. Spojrzałem mu prosto w bladą twarz. Odpowiedział spojrzeniem, z którego nic nie wynikało, i zabrał się do oświetlania okolicznych wzgórz i pól pomidorów. Chciałem pójść jeszcze raz w miejsce, gdzie zginęła Nadia. Żeby jeszcze raz zobaczyć. I trochę pomyśleć. Ale zmieniłem zdanie. Postąłem chwilę, pogapiłem się na uroki wiejskiej przyrody i odlałem pod krzakiem koło dębu. Wypłynęły stamtąd małego, burego kota, który przysiadł obok mojej nogi i spoglądał na mnie ze zdziwieniem.

Kiedy wróciłem, Vasif kłócił się z Marilles. Pardon, dyskutował.

– Chyba ci o-odbiło, k-k-kobieto!

Wszystkie głowy zwrócone były w ich stronę.

– Jak m-możesz nie c-cierpieć największego g-g-geniusza literatury...

– Zachowaj te frazesy na lepszą okazję – przerwała mu Marilles.

Vasif wygrzebał z kieszeni wymiętą paczkę i wyłuskał z niej papierosa.

– K-kobiety – powiedział, zaciągając się dymem – nie rozumieją p-prawdziwej sztuki.

Pochyliłem się do Roberta.

– O co oni się kłócą?

– O Hemingwaya.

– O-ooo. Co im się zebrało na poważne dyskusje?

– Niektórzy tak mają po paru głębszych – odparł rzeczowo.

– Albo coś jest dobre, albo nie – upierała się Marilles.

– A k-kiedy ostatnio czytałaś jakąś jego k-k-książkę?

– W liceum.

– T-to może p-pofatygujesz się d-do biblioteki i coś wypożyczysz. Chętnie ci zafunduję wpisowe.

– Ja też nie lubię Hemingwaya – wtrąciła się Pola. – Jest nudny. I do tego macho.

– Je-ezu! – zawył Vasif.

– A co, może nie mam racji?

– Oczywiście, ż-że nie. A co ostatnio cz-cz-czytałaś?

– *Zielone wzgórze Afryki*. To o polowaniu.

– Mój dziadek polował z Hemingwayem – powiedział nagle Griffin.

Wokół stołu zapadła cisza. Nawet piosenkarz zamilkł. Przez chwilę gdzieś we wsi ujadł pies, ale później nawet on się zamknął.

– W Afryce, na lwy. Mój ojciec też spotkał go kilka razy, kiedy sam był małym chłopcem, a Hemingway już staruszką

i wszystko go bolało. Ojciec powiedział mi kiedyś, że pamięta jego oczy, pełne życia.

– Szkoda że nie można tego powiedzieć o tych wszystkich biednych zwierzętach – mruknęła Marilles.

W głośnikach rozpoczął się nowy przebój. Wiejski pies znowu zaczął ujadać, mniej więcej do taktu.

– O, zapewniam panią, że nikt bardziej niż myśliwy nie ceni sobie życia zwierząt. – Griffin spojrzał jej prosto w oczy. – Mój ojciec tak twierdził.

Marilles już otwierała usta, ale Melinda ją ubiegła.

– Czy ty też polujesz, Howardzie?

– Ja? O, nie. To nie dla mnie. Muszę przyznać, że zgadzam się trochę z Marilles. Żał mi tych biednych zwierząt.

– A widzicie? – Marilles uśmiechnęła się zwycięsko.

– Ja kiedyś polowałem – powiedział Frank.

– Ty? – zdziwił się Robert. – W życiu bym cię o to nie podejrzewał. Nigdy nic nie mówiłeś.

– Zaiste. – Wzniósłem oczy do nieba. – Noc niespodzianek.

– To było dawno temu.

– Ty, Frank? – zdziwiła się Pola. – Zawsze uważałam cię za kogoś... bo ja wiem? Kogoś, kto szanuje każde życie, zwierząt też.

Frank pochylił się do przodu i popatrzył na nią poważnie.

– Ojciec Howarda, to jest pana Griffina miał rację. Polowanie to nie jest sport dla zabijania. To nie gra komputerowa. Bardziej przypomina średniowieczny turniej rycerski. Nie można polować, jeśli nie szanuje się życia zwierzęcia. To równa walka...

– Tak, to prawda – wszedł mu w słowo Griffin. – Polowanie zaczyna się w momencie, kiedy człowiek dokonuje wyboru. Kiedy decyduje, że przez kilka najbliższych godzin, a może dni, będzie piął się na wzgórze i schodził w kamieniste doliny. Pot albo deszcz, albo i jedno, i drugie, będą mu zalewać oczy. Nogi będą odmawiać posłuszeństwa. Gardło wyschnie tak, że marzenie o kropki śliny wyda się nierealne.

– Całkiem jak na wykopaliskach – wtrąciłem.

Griffin mnie zignorował.

– Będzie się czołgać w błocie, odganiać muchy i moskity i ustawiać pod wiatr, żeby nie spłoszyć zwierzyny. I tak całymi godzinami. Aż po jakimś czasie osiągnie stopień integracji ze swoim ciałem, o jakim nawet nie śni się facetowi siedzącemu cały dzień za biurkiem. Poczuje każdy nerw, każde pulsujące naczynie. Wzrok się wyostrzy, oddech spowolni, a umysł stanie się nagle całkowicie czysty.

– Dla mnie nic nowego – mruknął Jason. – Wystarczy trochę trawki.

Wszyscy się roześmieli, ale na twarzy Griffina nie drgnął ani jeden mięsień.

– Polowanie to równa walka – powtórzył matowym głosem.

Poczułem, że jeszcze chwila i wyrzycam się pod stół.

– Tak, to interesujące – powiedziałem głośno.

Wszyscy spojrzeli w moim kierunku.

– Tak, to ciekawe – powtórzyłem.

– Naprawdę? – spytał Griffin.

– Naprawdę – odparłem. – Fascynuje mnie pana podejście do idei równej walki. Takiej jeden na jednego. Jeden facet, jeden lew. Lew ma pazury i kły. Facet ma wyższy iloraz inteligencji, szybkostrzelny karabin, drugą strzelbę, na wszelki wypadek jeszcze pistolet, całą torbę nabojów, a jakby nie uważał tego za niesportowe, to pewnie wzięłby ze sobą jeszcze ze dwa granaty. Przyjechał jeepem, ma przewodnika, który doprowadzi go prosto do zwierzyny, innych miejscowych, którzy oprawią zastrzelone zwierzę, żeby pan myśliwy nie musiał pobrudzić sobie rąk krwią. Do tego ma jeszcze ubezpieczenie, włączając w to transport helikopterem do najbliższego szpitala, gdyby coś mu się przytrafiło. A w turystycznej chłodziarce w bagażniku czeka kilka piw oraz butelka szampana, bo zawsze może się trafić jakaś wspaniała sztuka.

Przez moment nikt się nie odzywał.

– Hm – powiedział w końcu Frank. – Nigdy nie polowałem na lwy. Licencja, hm... licencja jest bardzo kosztowna. Ale zapewniam cię, Mario, że w życiu to wygląda całkiem inaczej niż na filmach przygodowych. Może powinieneś sam kiedyś spróbować.

– Nie, dzięki. Sam mówiłeś, że licencja jest bardzo droga. Wolę wyjść na ulicę i postrzelać do dzieciaków. Taniej i nie trzeba jechać aż do Afryki.

Marilles zachichotała. Spocona twarz Franka poczerwieniała, widziałem to wyraźnie nawet w półmroku.

– Hm, jak już mówiłem, nigdy nie polowałem na lwy, ale polowałem na inne drapieżniki i zapewniam cię, Mario, że to jest walka jeden na jednego. Zranione zwierzę może uciec, ale nie musi. Może zaszyć gdzieś w gąszczu, gdzie trzeba je wytropić nie widząc nic przed sobą. A kiedy myśliwy znajdzie się już dostatecznie blisko, zaatakuję.

Z głośników waliły rytmiczne uderzenia, a zawodzący głos, który śpiewał o miłości, był wyjątkowo smutny.

– Ale dlaczego, Frank? – Marilles mówiła bardzo cicho. – Nie rozumiem. To naprawdę do ciebie nie pasuje.

– Bo nic nie może równać się z uczuciem tego pożądania, strachu i jednocześnie podniecenia faktem, że można zabić potężne, niebezpieczne zwierzę, a samemu ująć z życiem.

Nikt się nie poruszył. W ustach czułem gorzki smak. Coraz bardziej chciało mi się rzygać. Pewnie od tego ciepłego piwa.

– Frank – powiedział w końcu Robert. W jego głosie brzmiał podziw. – Nie znałem cię od tej strony. Nie podejrzewałem, że interesuje cię coś innego niż archeologia. Naprawdę, zatkało mnie.

– Jak cię zatkało, to nie gadaj – mruknąłem.

– Ja, hm... ja właściwie rzadko o tym mówię. Ale zaniedbujemy naszego drogiego gościa. – Frank się podniósł. – Howardzie, jeszcze jedno piwo?

Melinda zerwała się od stołu.

– Może jeszcze ktoś hamburgera? Zaraz przyniosę z kuchni.
Odgoniłem komara, który krążył koło mojej głowy.

– A ja jestem ciekawy – Mervyn przysunął się bliżej do Griffina – ile kosztuje taka licencja na upolowanie lwa. Wiem, że pan nie poluje, ale skoro pana ojciec i dziadek... może pan się orientuje.

– Howard – przypomniał mechanicznie Griffin. – Bardzo proszę mówić mi po imieniu. Podobno ostatnio w Botswanie za lwa trzeba było wyciągnąć z kieszeni sto tysięcy.

Mervyn gwizdnał przez zęby.

– Nieźle. Można za to zrobić ze trzy kampanie wykopaliskowe i jeszcze zostanie na pokrycie kosztów publikacji.

– Zambia jest podobno tańsza. Mój bliski przyjaciel twierdzi, że tam można już dostać licencję za siedemdziesiąt pięć. Ale jeśli chce się mieć najlepszego przewodnika, sto to minimum.

Ktoś podkręcił muzykę na cały regulator i przestałem ich słyszeć. Marilles nagle wysunęła się z cienia i usiadła koło mnie. Nachyliła się do mojego ucha.

– A myślałeś, że... że to mógł być ktoś... jakiś archeolog? – Owiał mnie piwny odór. Ściszyła głos tak bardzo, że ostatnich wyrazów musiałem się domyślać.

Odwróciłem głowę. Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami.

– Kto?

– Jak to kto! Morderca!

– Dlaczego tak uważasz? – spytałem.

Wyglądziła dłońmi obrus.

– Pomyślałam sobie... Nie, to bez sensu.

Podniosła moją szklankę i wypila szybko kilka łyków.

– Powiedz – poprosiłem, kiedy skończyła.

– Ja tylko sobie pomyślałam... Ten ołtarz... Na którym znaleziono Nadię... Jej ciało...

Urwała.

– Tak? – spytałem. – Co z tym ołtarzem?

– To długa historia.

– Nigdzie mi się nie spieszy.

Marilles łyknęła jeszcze raz swojego piwa i rozejrzała się dokoła. Przysunęła się, jej głowa prawie dotykała mojej.

– Nie wiem, czy policja to zauważyła. Nie wiem, czy w ogóle ktoś z nimi na ten temat rozmawiał. Zwłoki Nadii... To nie przypadek, że została znaleziona tam, gdzie... I sposób, w jaki została zamordowana.

Popatrzyła na mnie. Najwyraźniej to była moja kolej, żeby coś powiedzieć.

– Pewnie powinienem teraz krzyknąć: o rany, że też wcześniej na to nie wpadłem. Przykro mi, Marilles, ale nic nie rozumiem.

– To posłuchaj. – Pochyliła się jeszcze bardziej do mnie. – Nardia została zamordowana na ołtarzu w tak zwanym Dolnym Sanktuarium. Wiesz coś o tym?

– O morderstwie? Tyle, co i ty.

– Nie, o Dolnym Sanktuarium.

– Nie bardzo mam ochotę się dowiadywać.

– Muszę ci to opowiedzieć. Mario, proszę. – Patrzyła na mnie błagalnie.

Skinąłem głową.

– Posłuchaj – zaczęła – ten cały okręg kultowy, i dolne sanktuarium i górne, został założony nie wiadomo kiedy, ale na pewno istniał już w okresie archaicznym, czyli w siódmym i szóstym wieku przed naszą erą. Nie wiemy też, jakie bóstwa tam czczono.

– Niewiele wiecie – mruknąłem.

– Mario, posłuchaj. Nie wiemy, jakie bóstwa czczono, ale mamy hipotezę, że jedną z nich była bogini Kybele, ta, no wiesz, której kapłani później, w Rzymie, obcinali sobie jaja takimi specjalnymi nożyczkami.

– Bardzo ciekawe – powiedziałem szybko.

– Niewykluczone, że w tym sanktuarium czczono też *Megaloi Theoi*, Wielkie Bóstwa z Samotraki. I teraz dochodzimy do najlepszego.

– Nie mogę się doczekać.

Spojrzała w moje oczy, nie zobaczyła w nich drwiny i ciągnęła dalej:

– Kult bóstw samotrackich związany jest z misteriami, w które wtajemniczano tylko nielicznych, oraz z tajnymi rytuałami. Nie do końca wiemy, na czym one polegały...

Westchnąłem.

– ...ale znamy dwa stopnie wtajemniczenia: *myesis* i *epopteia*. Wielu badaczy, między innymi Burke, podejrzewa, że podczas tych rytuałów składano też ofiary z ludzi.

Popatrzyła na mnie tryumfalnie.

Wyjąłem jej z rąk moją szklankę i tyknąłem piwa.

– No i co, nic na to nie powiesz?

– Zamurowało mnie.

– Ale posłuchaj, teraz będzie najlepsze. – Znowu się do mnie nachyliła.

– Już to obiecywałaś – jęknąłem.

– To, co widać dzisiaj, to mieszanka pozostałości z czasów archaicznych, hellenistycznych i rzymskich. Ten największy i najładniejszy ołtarz pochodzi z okresu rzymskiego. Ale Nadia została znaleziona na małym ołtarzu, archaicznym. Co to znaczy?

– Co to znaczy? – powtórzyłem jak echo.

– To znaczy, że ten, kto ją zabił, doskonale znał się na archeologii. Wiedział, że w okresie hellenistycznym i rzymskim ustały już tajne rytuały, prawdopodobnie również ofiary z ludzi. Na tym wielkim ołtarzu zabijano tylko zwierzęta, kozy, owce, czasem krowę. Ale Nadia umarła na tym mniejszym, starszym ołtarzu, na którym... – Wzięła głęboki wdech. – Na którym prawdopodobnie składano w ofierze właśnie ludzi.

– I to opisał Homer? O tych ofiarach i ołtarzach?

– Nie, no coś ty! – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Brian Rose w „Studia Troica” z dziewięćdziesiątego siódmego. Albo szóstego.

– Masz fantastyczną znajomość tematu. A czy coś z tego wynika?

– Czy ty tego nie widzisz? Ten... Ten morderca wiedział. On to wszystko wiedział.

Marilles skurczyła się, jakby nagle zapadła się w sobie. Otuliła się ciasno ramionami i siedziała w milczeniu, ze spuszczoną głową.

– Uważasz, że ktoś morduje kobiety, bo naczytał się publikacji naukowych?

Szarpnęła głowę do góry.

– Ja nie żartuję, Mario. Ktoś zabił Nadię według starożytnego rytuału, znanego tylko specjalistom.

Odchyliła się na krześle.

Milczałem przez chwilę.

– Może to ktoś z was ją załatwił? Ktoś z ekipy Franka.

Marilles drgnęła.

– Nie mówisz poważnie, Mario.

– Nie, chyba nie.

– No to nie rób sobie takich dowcipów, bo to wcale nie jest śmieszne.

Pokręciłem się w fotelu, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję.

– I co o tym myślisz? – Marilles wpatrywała się we mnie bez drgnienia powiek.

– O twojej teorii globalnego spisku archeologów? Interesująca. Tylko nie bardzo trzyma się kupy. Ale nie przejmuj się. Nie każdy jest Sherlockiem Holmesem.

– Nie wierzysz mi – powiedziała to poważnie, ale jej głos zabrzmiał trochę dziwnie. – Nie wierzysz, że ktoś ją zabił dokładnie w taki sposób, w jaki składano ofiary w starożytności.

– Ależ wierzę – zapewniłem ją. – I Poliksenę też.

Zamrugęła.

– Nie musisz sobie robić ze mnie żartów, Mario. – Opuściła nisko podbródek, a na jej szyi pojawiła się gruba fałda. – Wiem, że jak sobie trochę wypiję, to zaczynam się robić nerwowa. Ale to wcale nie powód, żeby się ze mnie nabijać.

– Wcale się z ciebie nie nabijam – zapewniłem ją. – Poliksena, ten szkielet, który znaleźliśmy, z tymi złotymi blaszkami i w ogóle. Jest współczesny.

– To nie jest śmieszne, Mario.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. – Podciągnąłem się na krześle. – To nie jest śmieszne. Właściwie to jest trochę smutne.

Milczała przez chwilę.

– Czy ty mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Jak ją wykopywaliśmy, razem z Polą, znaleźliśmy w środku szkieletu całkiem współczesny guzik. Z plastiku. Mogę się mylić, ale raczej nie produkowano takich guzików w dwunastym wieku przed naszą erą.

Ostatnie zdanie wypadło głośniejsze niż było trzeba, bo piosenkarz znowu zrobił sobie przerwę. Wszystkie głowy odwróciły się w moim kierunku, więc posłałem na prawo i lewo uśmiechy i pokiwałem im ręką.

Marilles zamarła, wpatrzona we mnie, z otwartymi ustami.

– Co ty mówisz? – Frank przechylił się przez stół. – Co wykopaliscie?

– Poliksenę. Chociaż ta nazwa robocza jest już nieaktualna.

Pola pobladła.

– Mario – wyszeptała przez zbielełe usta.

Właśnie zaczęła się następna piosenka, więc raczej odczytałem moje imię z ruchu warg, niż je usłyszałem.

Frank coś powiedział. Śpiewak znów go zagłuszył.

– Powtórz! – krzyknąłem do niego. – Albo niech ktoś ściszy tę muzykę.

Nikt się nie ruszył. W końcu sam musiałem się podnieść i przyciszyć dźwięk.

– Pytałem, kto wam dał pozwolenie? – Policzki mu falowały. – Dlaczego mnie o tym nie powiadomiliście? Czy zdajecie sobie sprawę, na co nas naraziliście? Wykopaliska bez pozwolenia po tym, kiedy prace zostały oficjalnie zamknięte? – Posapał chwilę w milczeniu. – Pola. Nie spodziewałem się tego po tobie.

Pola siedziała sztywno wyprostowana i patrzyła na swoje kolana.

– Powinieneś być nam wdzięczny, Frank – powiedziałem. – Dzięki nam, a tak naprawdę to dzięki mnie, nie narazisz się na śmieszność, publikując opis szkieletu ofiary sprzed trzech lat jako sensacyjne starożytne znalezisko. Zaoszczędziliśmy ci dużo kłopotu. Wypadałoby podziękować, a ktoś o miększym sercu nawet postawiłby flaszkę.

Frank otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Marilles wstała.

– Poliksena była pierwsza. Nadia była druga.

Mówiła cicho, ale jej głos brzmiał zdumiewająco wyraźnie. Wszyscy na nią patrzyli, ale ona nie widziała nikogo.

– Poliksena została złożona w ofierze. I Nadia została złożona w ofierze. Pierwsza na grobie Achillesa. Druga na ołtarzu *Megaloi Theoi*.

Melinda drgnęła.

– Marilles – syknęła – przestań robić z siebie idiotkę.

Marilles jej nie słyszała.

– Poliksena była pierwsza – powtórzyła monotonnym głosem. – Nadia była druga.

Dotknąłem jej ręki. Zimna jak lód.

Frank wstał i odwrócił się do Griffina.

– Panie Griffin, Howardzie, bardzo przepraszam. To jakieś głupie nieporozumienie. Zaraz to wyjaśnię. To chyba po prostu reakcja na szok i stres, całkiem zrozumiała, jeśli się weźmie pod uwagę...

– Która będzie trzecia? – krzyknęła Marilles. – No która? Pola? Melinda? Eva? Yasmin? A może ja?

Nagle się rozpląkała. Opadła na krzesło, jakby załamały się pod nią nogi. Odsunąłem się trochę dalej.

Pola patrzyła prosto na mnie.

Eva uśmiechnęła się do Jasona, a potem wstała nieco niepewnie i objęła Marilles ramieniem.

– Kochanie – powiedziała. – Nie denerwuj się. Chodź, przytul się do mnie. Posiedzimy sobie przez chwilę w spokoju, a później

zaprowadzimy cię z Jasonem do domu i pomogę ci się położyć spać. Dobrze? No, cicho już, cicho.

– Mario – sapnął Frank. – Teraz nie czas ani miejsce na to, ale chcę z tobą jutro porozmawiać. Proszę, żebyś przyszedł do mojego gabinetu o dziewiątej.

– Nie ma mowy. – Pokiwałem w jego stronę butelka *raki*. – O dziewiątej będę jeszcze mocno spał. Nie spodziewasz się chyba, że zdążę wytrzeźwieć na tyle, żeby wysłuchiwać twojego trucia.

Frank spurpurowiał. Chciałem jeszcze coś dodać, ale tylko czknąłem.

Robert pochylił się nad stołem. Melinda dała mu znak oczami.

– Chodź, Mario. – Robert klepnął mnie w plecy. – To piwo jest nie do wytrzymania. Pójdziemy do Urana. Postawię ci lufkę.

Położył mi łapsko na ramieniu i siłą wywłókł zza stołu. Potknąłem się i złapałem za obrus. Mnóstwo rzeczy zjechało na ziemię. Hamburgery potoczyły się po żwirze. Yasmin zapiszczała przenikliwie. Peter się zerwał, spodnie miał mokre od piwa.

Próbowałem się pozbierać. Robert podał mi rękę.

– Mario! – Krzyknęła Pola. – Co ty znowu wyprawiasz, do cholery?!

– Nic się nie stało, nie się nie stało – powtarzał jak nakręcony Frank. – Nic się nie stało. Melinda pociągnęła Griffina za sobą.

– Panie Griffin, proszę przesiąść się tu. Pola, zajmij się panem. Proszę nie przerywać tego, co pan mówił. To było takie ciekawe.

Szarpnęła Polę za ramię i zmusiła ją, żeby usiadła koło Griffina.

– Tak. – Griffin potarł ręką czoło. – Chwileczkę.

Melinda podbiegła do nas drobnym kroczeniem.

– Zabierz go stąd – wysyczała do Roberta.

– Ja już sam pójdę. Za... zaraz.

Oparłem się o stół. Wolną ręką poszperałem w kieszeni i wyciągnąłem kluczyki od samochodu.

– O-oo, proszę bardzo. Pola, chcesz wracać samochodem?

Kluczyki wyslizgnęły mi się. Schyliłem się, żeby je podnieść, i walnąłem głową w stół. Wyprostowałem się powoli i pomasaowałem sobie kość ciemieniową.

– Zabierz go już!

Głos Melindy był coraz wyższy. Jeszcze trochę i będzie mogła tłuc nim szkło sama, bez mojej pomocy.

– Dobra, już go biorę. Już. Nie krzycz. – Robert zacisnął mi swoje łapsko na przedramieniu. Nie miałem szansy się uwolnić.

Eva i Marilles zbierały potłuczone talerze i szklanki. Marilles, całkiem już trzeźwa, podniosła głowę i popatrzyła na mnie. Próbowiałem się do niej uśmiechnąć, ale mi nie wyszło.

Robert zaciągnął mnie na parking, ani na chwilę nie puszczał mojego podkoszulka. Kilka razy się potknąłem, ale tylko dlatego, że droga była strasznie nierówna. Obok budki telefonicznej zatrzymałem się, żeby złapać oddech.

– Masz siłę, żeby dojść do Urana? – spytał.

– A twoja propozycja jest nadal aktualna? Idziemy na łufkę?

– Jasne.

– Cze-ekaj – beknąłem.

Rozejrzałem się i próbowałem się skoncentrować na tyle, żeby rozważyć plusy i minusy sytuacji. Do plusów należał niewątpliwie fakt, że byłem nawalony jak ruski czołg i ledwo trzymałem się na nogach. Ilekroć udawało mi się osiągnąć taki stan, ciemność przestawała być śmiertelnym zagrożeniem i stawała się zwyczajnie przerażająca, jak horror w kinie. Chociaż z drugiej strony mogło to też stanowić minus. Jeśli nie dam rady dojść do wsi i zakotwiczyć się bezpiecznie w knajpie Urana, jeśli padnę gdzieś po drodze i wytrzeźwieję, zanim skończy się noc, to... Sama myśl o tym wywołała u mnie lekki atak paniki i przez dobrą minutę musiałem skupić się na oddychaniu.

Mimo wszystko postanowiłem zaryzykować. Wyciągnąłem z kieszeni latarkę, i zaglądając w szkieleto, zacząłem majstrować przy włączniku, czym oślepiłem się na dobre dwie minuty. Kiedy już byłem w stanie znowu zobaczyć zarys własnych butów na asfalcie, poświeciłem na róże rosnące między pasami drogi i doszedłem do wniosku, że dam radę. Dla pewności podniosłem jeszcze głowę, ale księżyc ciągle był w pełni.

Ruszyliśmy dziurawą drogą między dwoma rzędami rachitycznych drzewek. W gałęziach latały, głośno brzęcząc, jakieś

dziwne czarne żuki. W świetle księżycy dziury w asfalcie wyglądały jak szramy na gębie, ale przynajmniej było na tyle jasno, żeby nie skrócić nogi. Nawierzchnia promieniowała żarem, poczułem, że znowu zalewam się potem.

Przy bramce zamykającej wstęp na teren stanowiska musiałem trochę odpocząć. Zawisłem na metalowej rurze, oświetlając latarką czubki butów, moich i Roberta.

– To jednak pieprzony kawałek drogi.

– Zwłaszcza w takim upale. – Robert oddychał ciężko tuż obok.

– Powinniśmy kogoś poprosić, żeby nas podwiózł.

– Wiesz co? – Spojrzałem na niego. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby słowa „proście, a będzie wam dane” miały się nam dzisiaj spełnić.

– Racja, kurwa – wysapał. – Święta racja.

Podniosłem głowę i popatrzyłem w ciemność za wsią. Jakiś samochód skręcił z głównej drogi i jechał w naszym kierunku. Ruchome światło znikało za krzywiznami pagórków, ale później pojawiała się znowu, za każdym razem większe i jaśniejsze. Śledziłem je wzrokiem, aż taksówka podjechała z rozpędem pod szlaban i w ostatniej chwili ostro zahamowała. Szyba od strony pasażera opuściła się z sykiem.

– Otworzysz mi, Mario? Czy będziesz tak stał? – powiedział głos, który mógłby być słodki, gdyby tylko chciał.

Oderwałem się od rury, przeszedłem na jej koniec i szarpnąłem. Robert pociągnął z drugiej strony. Bez wspomagania elektrycznego motorka to cholerstwo w ogóle nie chciało drgnąć.

– Spóźniłaś się, Gülsün – wysapałem. – Tam impreza trwa w najlepsze.

– A wy się nie wybieracie?

– My jesteśmy za bardzo zabawowi jak na to towarzystwo. Prawda Robert?

– Racja, kurwa. Racja – wysapał.

Lepiej się pośpiesz. – Naparłem na ciężkie skrzydło bramki. – Zjedzą ci wszystkie hamburgery.

– Och, to byłaby naprawdę strata. Nie mogłam wcześniej. Byłam na komisariacie.

– Naprawdę? – Zatrzymałem się. Brama była otwarta do połowy.

– Możesz trochę się pośpieszyć?

– Poczekaj sekundę. Dowiedziałas się czegoś?

– A coś ci konkretnie interesuje?

Nachyliłem się do okna samochodu.

– Wiedzą już, kto zabił Nadię?

Gülsün zapaliła lampkę w samochodzie, opuściła osłonę z przodu i przejrzała się w lusterku. Pogrzebała w torebce, wyjęła szminkę i pociągnęła nią usta. Były teraz duże i błyszczące. Kierowca przyglądał jej się z podziwem.

– Trochę przeceniasz możliwości policji w naszym pięknym mieście, Mario. Ale wiedzą już, jak zginęła.

– Jak to jak? Ktoś jej poderżnął gardło.

Gülsün pokręciła głową.

– Jak to nie? Sam widziałem. Przecież to ja ją znalazłem.

– Przecież, przecież... Zaczynasz być nudny, a ja zawsze sobie ceniłam rozrywkową stronę twojej osoby. Mówię ci, że nikt jej nie poderżnął gardła. To znaczy owszem, poderżnął. Ale już po śmierci.

Oparłem się o barierkę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chyba mówię wyraźnie. Po śmierci. Ktoś jej poderżnął gardło, kiedy już nie żyła. Otworzysz mi tę bramę czy będziemy tu sobie gawędzić całą noc?

– Jak to nie żyła?

Gülsün westchnęła.

– Czy ktoś ci już dzisiaj powiedział, Mario, że jesteś upierdliwy?

Robert tak zaczął się śmiać, aż się zgiął wpół.

– Powiedz, mi. Proszę – poprosiłem.

Cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

– Dzisiaj rano była sekcja zwłok. Nadia już nie żyła, kiedy przecięto jej tętnicę szyjną. Jak to obrazowo wyraził mój kumpel, komisarz: żyłka jej pękła.

Gapilem się na nią bez słowa.

– Dostała udaru. Pewnie od tego cholernego upału.

– Udaru?

– Wylewu krwi do mózgu, czy jak to się tam nazywa. Nie wiem dokładnie, przecież nie ja robiłam jej sekcję. Komisarz twierdzi, że to dlatego na ołtarzu było tak mało krwi. Serce już nie pompowało. A teraz otworzysz mi wreszcie bramę? Czy mam ci jeszcze opowiedzieć o tragicznej śmierci mojej cioci?

– Interesujące – powiedziałem. – I ty się tego dowiedziałaś od swojego znajomego? Tak po prostu? To nie jest zastrzeżona informacja?

Gülsün wzruszyła ramionami.

– Najwyraźniej nie.

– Interesujące. – Oparłem się o drzwi samochodu, wsadziłem głowę do środka i nadstawiłem ją pod rozkoszny strumień chłodnego powietrza z klimatyzatora. – Ale wiesz, co jest najbardziej interesujące? Oprócz tego, oczywiście, że w okolicy znalazł się świr, który zamiast zadzwonić po pogotowie, poderżnął jej gardło i upozował ją malowniczo na ołtarzu?

Gülsün odchyliła się do tyłu.

– Strasznie śmierdzisz piwem, Mario – powiedziała z niesmakiem.

– Najbardziej interesujące jest to, że ty mi o tym opowiadasz w formie plotki. Wszyscy rozmawiają o śmierci Nadii, jakby to się nie wydarzyło naprawdę. Jakby to był film albo jakaś pieprzona książka. Nie żal ci jej? Nie boisz się? Nie czujesz...

– W takich czasach żyjemy. – Gülsün nacisnęła guzik i poczułem, że podnosząca się szyba odpycha moją rękę. – Odsuń się, bo ci przytnę palce.

– Sekundę, Gülsün, jeszcze jedno pytanie.

Szyba zamknęła się z sykiem. Samochód ruszył gwałtownie, ledwo udało mi się odskoczyć. Koła zapisać na asfalcie.

– Omal mi nie zmiażdżył nogi – poskarżyłem się, gapiąc się w tylne światła, czerwone jak oczy wilkołaka.

Robert znowu zachichotał.

– Słyszysz, co ona powiedziała? – spytałem.

– A czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

– Jak to: czy to ma znaczenie. Ma. Ogromne.

– Tak? A jakie?

– Nie mam pojęcia.

– No to chodźmy. Lufka czeka.

Obejrzałem się na drogę, którą pojechała Gülsün. Czerwone światelka znikły, została tylko ciemność.

– Lufka czeka – powtórzyłem za Robertem. – Chodźmy.

U Urana też była impreza. Jacyś turyści rozbili namioty na placu na tyłach knajpy, a z przodu zaparkowali dwie przyczepy kempingowe. Pod rzędami kolorowych choinkowych lampek na werandzie zsunęli razem kilka stołów. Mocno już pijane towarzystwo przekrzykiwało się z Madonną, która powtarzała w kółko, że czuje się jak dziewica. Miło było widzieć, że są jeszcze ludzie, którzy potrafią się dobrze bawić.

Usiedliśmy z boku, gdzie od świeżo podlanej trawy unosiła się fala wilgoci. Uran, jak zwykle spocony i jak zwykle w rozpiętej do połowy koszuli, żeby nikt nie miał wątpliwości co do jakości czarnego futra porastającego jego klatkę, nie pytany przyniósł nam dwie szklaneczki czegoś, co wyglądało, jak słaba herbata. Powąchałem, a potem przechyliłem i wypilem do dna.

Dałem Uranowi znak. Poszedł po więcej.

– No, bracie, to akurat muszę ci przyznać. – Robert stuknął swoją szklaneczką w puste szkło przede mną i wypił duszkiem to, co było w środku. – Ty to potrafisz spieprzyć nastrój.

– Niczego nie spieprzyłem. Ja tylko zapewniam przerywnik. Wiesz, tak jak przerwa w czasie meczu na papierosa albo na pójście do kibla. Na pewno świetnie się bawią dalej.

– I daj im Boże zdrowie. Co im żałujesz? Jeszcze po maluchu?

To była bardzo dobra sugestia.

Siedzieliśmy, piliśmy i patrzyliśmy na rozochoczone towarzystwo. Myślałem o Nadii.

– Powiedz mi – powiedziałem i urwałem.

Robert obejrzał się w moją stronę, podrygiwał w rytm muzyki.

– Co? Mów trochę głośniej, nic nie słyszę, bo ta muza strasznie wali!

– Powiedz mi – wrzasnąłem mu do ucha – dlaczego ktoś podrzyna gardło trupowi?

– Nie wiem! – odkrzyknął Robert.

– To powiedz mi wobec tego, dlaczego ktoś przenosi trupa z poderżniętym gardłem z jednego miejsca na drugie.

– Nie wiem! – Robert odwrócił się tyłem do mnie i wlepił oczy w parkiet. Podążyłem za jego wzrokiem. Pod stroboskopowymi światłami wiła się teraz jakaś biuściasta blondyna, solo. Bluzkę miała całkiem mokrą. Pozostali otaczali ją wianuszkami i klaszali. Ubaw był po pachy.

Piliśmy dalej w milczeniu. Turyści skończyli jeść i wypili jeszcze jedną kolejkę piw, potem następną. Potem poszli potańczyć. Potem się zmęczyli i znowu usiedli za stołem. Potem zaczęli się pojedynczo wymykać do namiotów. Została tylko jedna para. Trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i wyglądało na to, że nigdzie się nie wybierają.

W końcu wstałem. Oparłem się ciężko o stół, żeby pod niego nie wpaść.

– Dziękuję za miły wieczór. I w ogóle. Było super.

Robert podniósł głowę znad szklanki.

– Idziesz do domu?

– No a co?

– Jest strasznie gorąco. Te cholerne domy nagrzewają się od słońca, że omal nie eksplodują.

– No to co? Mam się położyć tutaj?

Robert zachichotał.

– Mam lepszy pomysł. Chodź ze mną.

Złożyłem mu dworski ukłon, mocno trzymając się stołu.

– Będzie mi niezmiernie przyjemnie. Ale nie wiem, czy dam radę. Bo wiesz, ja się trochę boję.

– No chodź, nie daj się prosić. Bądź facetem. Faceci się nie boją. Ja będę cały czas z tobą. Obiecuję, że cię nie zostawię, Mario.

Przy ostatnich słowach wyraźnie się wzruszył.

– Może to i racja, stary. Może to i racja, bo wiesz...

Nie czekał, aż skończę mój wywód, tylko pociągnął mnie za ramię. Omal się nie wywróciłem na schodkach, ale na zwirowym podjeździe odzyskałem równowagę. Mineliśmy pusty plac po przeciwnej stronie wąskiej asfaltowej drogi, z zaparkowaną przyczepą pełną dojrzałych pomidorów. Zaczynały już gnść i sok ściekał przez deski na suchy piasek. Przy ostatnich latorniach we wsi Robert skrzył w lewo.

Poszliśmy, ja krok za nim, prawie depcząc mu po piętach. Nie potrafiłbym dokładnie odtworzyć, którędy szliśmy, ale zapamiętałem, że asfalt nadal palił przez podeszwy, a latarka, która rzucała krąg dokoła moich stóp, dziwnie się kołysała. Potem Robert skrzył na rozjeżdżoną w zeschłej trawie ścieżkę.

– Tędy?

– Tędy. To skrót.

– Skrót? – Pokręciłem głową. Starałem się nie robić tego zbyt energicznie. – Jaki skrót? To nie jest żaden skrót.

– Jest – upierał się Robert.

Trochę powłóczył nogami, ale maszerował całkiem dzielnie.

– Nie jest.

– Jest, kurwa, jest. Tylko nie tam, gdzie myślisz.

– A gdzie ja myślę?

– Co gdzie robisz?

Machnąłem ręką i pozwoliłem się prowadzić. Szliśmy teraz obok siebie. Delikatny pył na drodze podnosił się przy każdym kroku, a potem znowu osiadał na trawie i niskich krzakach. Drapało mnie w gardle.

Droga opadała łagodnie w dół. Księżyc oświeślał pofałdowane pola ciągnące się aż do morza. Linia ciemnych drzew znaczyła miejsce, gdzie płynął Skamander.

Razem z pyłem unosił się do góry intensywny, mocny zapach. Wciągnąłem go głęboko w płuca. Rozłożyłem szeroko ręce i nagle poczułem, że wcale się nie boję. Moje stopy unosiły się

kilka centymetrów nad ziemią. Pompy nawadniające pola terkotały w ciemności. Chmara komarów atakowała moje uszy, ale w ogóle mi nie przeszkadzały.

Robert zatrzymał się bez ostrzeżenia, skręcił z dróżki i zaczął się przedzierać po kolana w suchej trawie.

– Co jest? Zmęczyłeś się już?

Machnął na mnie ręką.

– Muszę się odlać.

– A nie możesz przy drodze?

Odwrócił się i wytarł spoconą twarz.

– Przy tym księżycu? A może poświecisz mi jeszcze latarką?

Poszedł dalej na przełaj przez zeschniętą trawę.

– Nie wiedziałem, że jesteś taki wstydlivy – mruknąłem.

Robert zniknął. Nagle poczułem zmęczenie. Przysiadłem na poboczu.

Było cicho i jasno. Było tak pięknie, że aż bolało. Myślałem o Poli. O tym, jak jej nie lubię.

Na przykład: nigdy nie pamięta o moich urodzinach. Ta dziewczyna, z którą spotykałem się później, zawsze pamiętała. Dawała mi piękne krawaty na urodziny, imieniny, Boże Narodzenie i jeszcze z jakiejś okazji, już nie pamiętam. Mam chyba największą kolekcję pięknych, nieużywanych krawatów w Europie.

Pola ma gdzieś takie rzeczy. Nie liczy się z innymi. Albo się wścieka, albo jest zmęczona i nie ma na nic ochoty.

Poza tym jest za niska. No właśnie, za niska. Mała, drobna, jak dziecko. Sięga mi zaledwie do brody. Nigdy nie mogłem jej porządnie spojrzeć w oczy.

Nawet nie wiem dokładnie, jakiego koloru ma oczy. Tyle lat, a ja tego nie wiem. Orzechowe? Zielone? Nie mam, kurwa, bladego pojęcia.

Rozejrzałem się. Robert nie wracał. Może zmęczył się w trakcie sikania i przysnął gdzieś pod drzewem.

Wstałem, przeciągnąłem się i ruszyłem przez suchą trawę. Miałem nadzieję, że nie wleciał do jakiegoś starego wykopu.

Powinni je zasypywać, do cholery. Jeśli wleciał, w życiu go nie wyciągnę.

Zielone. Byłem prawie pewny. Zielone oczy z lekko brązowym odcieniem na krawędziach tęczy. I ze złotymi iskierkami.

– Robert! – wychrypiałem.

Odchrząknąłem raz, potem drugi.

– Robert!

– Tutaj!

Głos był stłumiony.

– To znaczy gdzie?

Rozejrzałem się jeszcze raz, ale nadal go nie widziałem.

– Gdzie, do cholery?

– Z drugiej strony.

– Co?

– Przejdź z drugiej strony.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– Czego?

Cisza.

– Z drugiej strony czego?

Zrobiłem kilka niepewnych kroków, aż do wielkiego figowca, który pachniał odurzająco czymś słodkim. Dopiero wtedy zauważyłem, że stoję na wąskiej ścieżce, wydeptanej w suchej trawie. Ruszyłem dalej, cały czas patrząc pod nogi, więc zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy poczułem intensywny zapach wilgoci. Podniosłem głowę. Stałem u stóp niewielkiego pagórka, tak na oko zaledwie ze dwa razy wyższego niż ja. Jego łagodne zbocza były zarośnięte, ścieżka skręcała ostro w stronę pionowego stoku z odsłoniętą skałą, która lśniła brudną bielą. Czułem wilgoć na skórze. Gdzieś obok szemrała woda, ale nie widziałem jej. Drzewa rzucały głęboki cień.

Zrobiłem jeszcze krok do przodu i moja stopa zadudniła głucho na podłożu. Dopiero kiedy oczy przyzwyczały się do głębszego mroku, zobaczyłem, że stoję na wąskim mostku z kilku desek, przerzuconym nad wodą. Sączyła się powoli z czarnej,

pionowej szczeliny w skalnej ścianie i wpływała gdzieś między krzaki i bujne w tym miejscu trzciny.

Grunt zrobił się nagle miękki i elastyczny. Schyliłem się i zobaczyłem, że stoję na grubej warstwie fermentujących fig. Całe to miejsce pachniało odurzająco, tak jak musi pachnieć pierwotny las tropikalny. Jakbym nie znajdował się w samym środku wypalanej słońcem równiny.

Gdybym nie był pijany tej nocy, nigdy nie zrobiłbym tego, co zrobiłem później. Nigdy nie podszedłbym do pionowej szczeliny w skale, osłoniętej cieniem wielkiego figowca, i nie przyjrzał się jej uważnie. Była wąska, ale z łatwością mogłem wejść do środka. Wyglądało na to, że ten idiota właśnie to zrobił.

Nachyliłem się nad czarnym, ziejącym otworem i osłoniłem usta dłonią.

– Robert!

– Chodź tutaj!

Jego głos brzmiał czysto i wyraźnie, jakby Robert znajdował się na wyciągnięcie ręki, tylko ukryty przed moim wzrokiem.

– Nie możesz wyjść?

– Nie, ty chodź. Coś zobaczysz.

Przypomniałem sobie, że mam latarkę. Skierowałem krąg światła na szczelinę. Połknęła go natychmiast.

Zawahałem się.

Gdybym nie był tamtej nocy tak pijany, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. A może potoczyłoby się dokładnie tak samo, ale ja nie brałbym w tym udziału. Tylko że byłem pijany. Byłem narąbany jak rzadko, brakowało mi snu i było mi potwornie duszno. A z czarnej szczeliny bił rozkoszny, zapraszający chłód.

Kamienne ściany otoczyły mnie ze wszystkich stron. Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca i poczułem, że zaraz mi pękna. A potem, nie wiem w jaki sposób, dałem jeszcze jeden krok do przodu i ściany odsunęły się trochę. Sklepienie podjechało do góry, a jasny krąg światła latarki rozpadł się na atomy.

Dopiero po chwili moje oczy przyzwyczyły się do mroku. W środku niewielkiej grotы siedział Robert. W dłoni trzymał ogarek świeczki, który podświetlał jego twarz na pomarańczowo. Światło rysowało potworne cienie pod oczodołami, a oczy niknęły w mroku. Nagle zniknął Robert, z ciemności patrzyła na mnie jego czaszka.

Moje serce waliło, a w uszach rytmicznie pulsowała krew.

Czaszka napłuła na świeczkę od spodu i próbowała ją przylepić do kamienia.

Poczułem, że miękną mi kolana. Oparłem się o ścianę.

– Jezu, kurwa, Chryste! Co to jest?

– KASKAL.KUR.

– Kaszka co?

Robert pokręcił głową.

– Pola ci nie pokazała? To chyba za karę za złe zachowanie.

Pogroził mi palcem.

– Jaskinia – powiedział tonem, który miał wyjaśnić wszystko.

– Nie mów! A ja myślałem, że to klimatyzowany apartament w Ritzu.

Rozejrzałem się. Ściany ginęły w mroku. Podłoga była gładka, jak z wyszlifowanych płyt.

– To wszystko naturalne? – spytałem.

– To kiedyś była grotа poświęcona takiemu bóstwu. KASKAL.KUR właśnie. To imię, które znaczy tyle, co „droga do świata podziemnego”, pojawia się w hetyckich dokumentach z Hattusa, chyba w tak zwanym traktacie Alaksandu. Zdaje się, że to Bryce o tym pisał. Tutaj też składali ofiary z ludzi. To znaczy nie Hetyci, tylko ci z Wilusy, bo tak się wtedy nazwała Troja. Wilusjanie, he, he.

– Zaprosiłeś mnie tu na wykład?

– Chodź, coś ci pokażę.

Podszedł do mnie i chciał mi wyjąć z dłoni latarkę, ale nie puściłem.

– Lepiej będzie, jak sam potrzynam.

– No to chodź i tu poświeć.

Zaciągnął mnie głębiej.

– Frank to odkrył, w swoim pierwszym sezonie. Mówię ci, nieźle były jaja, jak tu pracowali. Na dworze zar się łał z nieba, a tutaj jest z dziesięć stopni, góra piętnaście. Wszyscy smarkali i narzekali na reumatyzm. Uważaj, gdzie idziesz! Świeć pod nogi.

Złapał mnie za ramię w ostatniej chwili. Wyciągnąłem przed siebie rękę z latarką. Kamienna podłoga otworzyła się nagle kilkanaście centymetrów przede mną. W wielkim kwadratowym otworze chlupotała woda.

– Widzisz? Naturalny zbiornik. W samym środku tej pieprzonej suszy.

Przykląkłem na jedno kolano i dotknąłem wygładzonych przez wodę ścian.

– Głęboki?

– No. Ponad trzy metry. Frank twierdzi, że tu była naturalna szczelina, a Rzymianie tylko ją pogłębili i wyrównali krawędzie.

Wyprostowałem się.

– Ciekawe po co.

– Diabli wiedzą. Naturalne nawadnianie może. W tych czasach już nie składali tu ofiar, tylko wycięli jeszcze cztery zbiorniki w skale przed wejściem i hodowali tam pewnie ryby. Albo coś takiego. Lepiej uważaj. Jest cholernie ślisko.

Obszedł zbiornik dokoła. Świeciłem mu latarką. Zatrzymał się po drugiej stronie.

– Przyjemne miejsce, co? Przychodzę tu czasem trochę sobie odpocząć od tego gorąca. Nie zawsze sam, rozumiesz. – Wykrzywił się, chyba chciał puścić do mnie oko, ale zapomniał, jak się to robi. – Tylko trzeba pamiętać o kocu, bo na tych kamieniach można sobie tyłek odmrozić, he, he. Pola nigdy cię tu nie zabrała? – Pokręciłem przecząco głową. – Naprawdę? Nie chce mi się wierzyć.

– Lepiej uwierz – mruknąłem.

Wciągnął nosem powietrze.

– Jezu, teraz czuję, że żyję. I co ty na to?

Dał krok do przodu, rozłożył ręce, zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

A potem noga obsunęła mu się na wilgotnych kamieniach. Klapnął prosto na tyłek. Zamachał rękami, wjechał z pluskiem do wody i zniknął.

Pobiegłem na drugą stronę basenu i ukląknęłem. Poświeciłem latarką, ale światło odbijało się od wody jak od czarnego lustra.

– Robert! Robert!

Ciemna masa poruszyła się i głowa Roberta wyskoczyła na powierzchnię. Powieki miał zaciśnięte. Parsknął i zaczął kaszleć.

– Kurwa, ale zimna! Kurwa, ale zimna – powtarzał przez szcękające zęby.

Usiadłem.

– Jezu, ale mnie wystraszyłeś. Myślałem, że walnąłeś o coś głową i straciłeś przytomność. Poszedłeś pod wodę jak kamień.

Robert wyciągnął rękę. Próbował się podciągnąć, ale śliskie ściany nie dawały palcom żadnego oparcia.

– Mario. – Zakrztusił się znowu. – Mario, wyciągnij mnie stąd.

– Chwila. – Rozejrzałem się. – Poszukam jakiegoś...

– Po... pospiesz się. Jest ch-ch-cholernie zimna.

Nachyliłem się nad basenem i zanurzyłem rękę. Jakbym dotknął lodu. Zobaczyłem, że dłoń Roberta jest zupełnie biała. Tak samo jak jego czoło.

Położyłem latarkę i ułożyłem się obok na brzuchu. Wyciągnąłem się najdalej jak mogłem. Złapałem go za rękę.

– Daj mi jeszcze drugą – wysapałem.

Miałem wrażenie, że dotykam dwóch kawałków marmuru. Palce miał sztywne, nie dawały się rozewrzeć. Szarpnął się i chlusnął na mnie lodowatym strumieniem. Woda paliła jak ogień.

– Czekaj – stęknąłem. – Tak nie dam rady.

Próbowałem zmienić pozycję, ale jego zeszytniała dłoń zaczęła się wyslizgiwać z mojego uścisku.

– Po... pospiesz się. P-proszę cię, pospiesz się.

Ledwo rozróżniałem słowa wydobywające się zza jego zaciśniętych zębów.

Przywarłem brzuchem do wilgotnego kamienia i pociągnąłem Roberta mocno do siebie. Nawet w wodzie był cholernie ciężki. Czułem, że powoli zeslizguję się w dół, w czarną przepaść. Próbowałem zaczepić o coś nogi, ale kamień był gładki jak stół do sekcji zwłok. Rozstawiłem szerzej stopy. Kopnąłem kolanem latarkę. Potoczyła się na bok i oświetliła ścianę jaskini.

Widziałem teraz tylko białą plamę tam, gdzie była głowa Roberta. Pociągnąłem jeszcze raz. Próbowałem jednocześnie ciągnąć i czołgać się do tyłu. Bez pomocy rąk.

– Nie, kurwa, tak nie dam rady.

Robert dygotał. Słyszałem, jak dzwoniły mu zęby, i czułem dreszcze przenikające całe jego ciało.

Puściłem jego jedną rękę. Pogrążyła się z pluskiem w wodzie. Chwyciłem mocniej drugą. Wolną dłonią zaparłem się o suchszy kawałek kamienia nad krawędzią basenu. Podciągnąłem Roberta kawałek do góry, puściłem kamień i spróbowałem złapać za mokry podkoszulek. Podjechał do góry i zasłonił mu głowę.

– Robert! – krzyknąłem. – Robert! Popatrz na mnie.

Otworzył oczy, ale chyba mnie nie zobaczył. W słabym świetle na jego białej twarzy widziałem dwie czarne plamy.

– Tak nie dam rady. Musisz mi pomóc. Rozumiesz? Musisz mi trochę pomóc. Spróbuj się o coś zaprzeć.

– N-n-nie mogę. N-n-nie czuję nóg.

– To się skup, kurwa. Musisz się zaprzeć o ścianę tego cholernego basenu.

– N-n-nie mogę.

– Nie gadaj, tylko próbuj.

Wyteżyłem mięśnie i pociągnąłem jeszcze raz. Poczułem, że Robert zbiera się w sobie. I że za chwilę straci przytomność.

– No, kurwa. Dawaj. Jeszcze trochę.

Nie wiem, jak to zrobiliśmy. Jego ciało uniosło się trochę do góry, a ja po prostu ciągnąłem z całych sił. Podkoszulek podjechał mi do góry i mój goły brzuch przykleił się do gładkiego, zimnego kamienia. Ciągnąłem.

Robert zawisł górną połową ciała na krawędzi basenu. Ręce opadły mu bezwładnie po bokach, nawet nie próbował znaleźć jakiegoś punktu oparcia. Nie puszczając jego dłoni, odczołgałem się do tyłu tak szybko, jak się dało, i pociągnąłem jeszcze raz. I jeszcze raz. A potem odsunąłem go najdalej jak mogłem od basenu.

Leżał i dygotał. Powieki nadal miał zaciśnięte.

Powoli podniosłem się na nogi. Moje lewe kolano pulsowało bólem. Podciągnąłem nogawkę, ale nic nie zobaczyłem w półmroku. Pochyliłem się i podniosłem latarkę. Oświetliłem twarz Roberta. Jęknął.

Wyprostowałem się powoli i rozejrzałem w ciemności. Świeczka się wypaliła, a może zgasła, kopnięta przez któregoś z nas. Poza niewielkim kręgiem światła latarki czały się cienie. Rejestrowałem każdy szczegół, jasno i wyraźnie. O dziwo czułem się trzeźwy. Bryzgi lodowatej wody pozbawiły mnie bezpiecznego kokonu alkoholowego upojenia.

Znajoma obręcz zacisnęła mi się na klatce piersiowej i przestałem oddychać. Zgiąłem się gwałtownie wpool i wyrzygałem piwo, hamburgery i wszystkie inne rzeczy, które nieopatrznie dzisiaj zjadłem. Pomogło, ale tylko na krótką chwilę. Wiedziałem, co się zaraz stanie.

Pochyliłem się nad Robertem.

– Wstawaj – wydusiłem na wdechu. Szarpnąłem go za ramię i dla pewności kopnąłem jeszcze w bok. – Wstawaj. Musimy stąd wyjść, szybko. Musimy wyjść na dwór. Rusz dupę i wstawaj.

– N-n-nie mogę.

– Możesz. No już.

Wsadziłem latarkę między zęby. Przykucnąłem koło Roberta, przerzuciłem sobie jego ramię przez plecy i podciągnąłem w górę. Cały byłem mokry od wody, którą nasiąkło jego ubranie. I od potu. Ręce mi drżały ze strachu i z wysiłku.

Buty ślizgały się na kamieniu. Bałem się, że go nie utrzymam, zatoczę się i obaj wyładujemy w wodzie. Tym razem na zawsze. Nawet by nas tutaj nie szukali.

Pociągnąłem go do wyjścia. Próbowałem podnieść wyżej głowę, żeby oświetlić drogę latarką, ale coś mi chrupnęło w barku. Ból rozszedł się jak kopnięcie prądem.

– Robert, do kurwy nędzy, skup się!

Zajęczał cicho.

– Spróbuj trochę poruszać nogami, co? Jeszcze tylko parę metrów.

Dociągnąłem go do miejsca, gdzie przejście zwężało się tak, że obaj nie mieliśmy szans się w nim zmieścić. Oparłem go o ścianę i oświetliłem mu twarz. Miał zamknięte oczy i płytko oddychał.

– Dobra – powiedziałem.

Zaparłem się o skałę i popchnąłem go najmocniej jak mogłem. Przeleciał przez zwężenie i po drugiej stronie rozległ się łomot. I przekleństwo.

Poświeciłem sobie i przelazłem nad nim. Nadepnąłem mu niechcący na rękę, ale chyba tego nie poczuł. Odciągnąłem go kawałek od wejścia do jaskini i puściłem. Leżał na miękkim dywanie z gnijących fig i ciężko dyszał.

Nagle poczułem się strasznie słaby. Usiadłem obok, pochyliłem głowę, ale nie zdołałem już nic więcej wyrzygać. Nie miałem siły wstać, więc na czworaka wyczołgałem się z cienia figowca w cudowny, bezpieczny blask księżyca. Przewróciłem się na wyschniętą trawę i leżałem na wznak długo, próbując na nowo nauczyć się oddychać. Na początku szło trochę opornie, ale z czasem można się przyzwyczaić do wszystkiego.

I wtedy mnie olśniło. Jak mogłem być takim kretynek! Zielone? Nigdy w życiu! Szare. Jej oczy są szare. Ze złotymi iskami. Szare. Przecież zawsze to wiedziałem.

Obudził mnie upał. Przekręciłem się na bok na wilgotnym od potu prześcieradle i próbowałem spojrzeć na zegarek, ale wpadł pod łóżko i nie mogłem go osiągnąć. Powietrze w pokoju było ciężkie i ząteczne. Usiadłem i trzymałem się za głowę, po chwili złapałem ostrość. Dopiero wtedy wstałem, opierając się jedną ręką o ścianę, wciągnąłem spodnie i powlokłem się do łazienki. Wsadziłem głowę do umywalki i trzymałem ją pod strumieniem zimnej wody przez dłuższy czas, ale niewiele to pomogło. Napilem się trochę ze stulonych dłoni, aż mój żołądek zareagował tak gwałtownym skurczem, że postanowiłem więcej nie ryzykować. Otarłem usta, popatrzyłem flamingom prosto w oczy i poszedłem się ubrać. Podkoszulek oblepił mi wilgotną skórę. Nie mogłem zebrać myśli.

Zmusiłem się, żeby wstać i wyjść na korytarz. Kamienna podłoga była lepka i wilgotna. Trochę posnułem się po pustym domu, ale nikogo nie spotkałem. Dwa razy zapukałem do Poli. Raz krzyknęła, żebym dał jej spokój. Za drugim razem nie odezwała się. Skoro tak, to pewnie nie musiałem się o nią martwić.

Począpałem do kuchni i zajrzałem do lodówki, ale była pusta. Całkowicie, nieodwracalnie pusta. Pomyślałem, że mógłbym podejść do Urana na piwo, a może nawet zadzwonić do Roberta, ale jakoś mi się nie chciało. Oparłem się o zlew i próbowałem sobie przypomnieć, gdzie położyłem komórkę.

– Mario.

Odwróciłem się. Marilles miała napuchnięte oczy. Napuchnięte i czerwone. W rękę trzymała zmiętą, wilgotną chusteczkę. Trzymała się framugi, jakby nie mogła stać o własnych siłach.

– Przepraszam za wczoraj.

Głos miała płaczliwy.

Zastanowiłem się.

– Chyba jestem niewłaściwym adresatem twoich przeprosin. Powinnaś raczej pójść z nimi do Franka, ale on i tak odesłał cię do Griffina, więc jeżeli chcesz oszczędzić sobie fatygi, możesz Franka pominąć i od razu uderzyć do naszego wybitnego sponsora.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Jak możesz tak mówić?

– Jak?

– Tak... spokojnie.

Łzy potoczyły się z jej oczu strumieniem.

Oparłem się o kuchenkę i odsunąłem nogą stół.

– Usiądź – zaproponowałem.

Zawahała się, ale podeszła i opadła ciężko. Ukryła twarz w dłoniach.

Jej chusteczka była tak mokra, że nie nadawała się już do niczego.

– Mario – wyznała zduszonym głosem. – Boję się.

Nic nie powiedziałem.

– Boję się – podniosła głowę.

– Słyszałem.

– I nic mi nie powiesz?

– A co mam ci powiedzieć? Pewnie masz rację, że się boisz. Ktoś zajmuje się podrzynaniem gardeł kobietom na wykopaliskach. Jesteś kobietą i jesteś na wykopaliskach. Ergo...

Rozłożyłem ręce.

– Nie – upierała się. – Nie wierzysz mi. A ja się naprawdę boję, Mario.

– Marilles – powiedziałem. – Nie musisz brać tak dosłownie tego, co ja sobie wymyślę. Nie znam się na morderstwach, tylko na szkieletach.

Marilles otarła łzy z policzków wierzchem dłoni. Przysunęła się ze stołkiem bliżej do stołu.

– Wiesz co, przepraszam cię. Muszę stąd wyjść.

– Zostawisz mnie tak? Przyszłam do ciebie po pomoc... po radę.

– Przykro mi, Marilles – powtórzyłem. – Nic ci nie pomogę. Musisz dać sobie radę sama.

– Zawsze myślałam... myślałam... – Jej głos się załamał. – Myślałam, że bardziej mnie lubisz.

Pokręciłem się niespokojnie, kurki kuchenki wbijały mi się w tyłek.

– Lubię cię bardziej – odpowiedziałem mechanicznie.

– Myślałam... – Patrzyła mi prosto w oczy. – Miałam nadzieję... Teraz, kiedy między tobą a Polą wszystko już skończone...

Wyciągnąłem dłoń i lekko dotknąłem jej łuku jarzmowego. Był pięknie wysklepiony.

– Masz lekko zawijającą się górną krawędź oczodołu – powiedziałem.

– To największy komplement, na jaki cię stać? – spytała cicho.

Uniosła twarz i przymknęła oczy. Przesunąłem palcem po jej kości skroniowej, aż do szwu wieńcowego. Jej wargi drgnęły lekko.

Wyprostowałem się. Marilles pociągnęła nosem i otworzyła oczy. Był w nich smutek, ale nie zdziwienie.

– Lubię cię – powiedziałem. – A teraz naprawdę muszę już iść. Jeśli się boisz, to nie wychodź z domu. Dla pewności możesz jeszcze przekręcić klucz w drzwiach i podstawić krzesło pod klamkę. Wątpię, czy znajdzie się morderca aż tak zdeterminowany, żeby forsować takie zabezpieczenie.

Kiedy wychodziłem z kuchni, znowu ukryła twarz w dłoniach.

Zbiegłem po schodach i wyszedłem przed dom. Zrobiłem głęboki wdech, poczułem, jak stojąca fala rozżarzonego powietrza wypala mi płuca. Osłoniłem ramieniem oczy. Po drugiej stronie uliczki chudy chłopak w czerwonym podkoszulku wrzucał na przyczepę traktora puste skrzynki. Na sąsiednim podwórku

ujadał pies, a każde szczeknięcie wbijało mi się w czaszkę jak zardzewiały gwoździ.

Przedemną szła para. Wysoki chłopak jedną rękę wciskał w kieszeń dzinsów, a drugą obejmował palce dziewczyny. Ona była niska, gruba i w zaawansowanej ciąży. Jej zmięczone hormonami biodra ugięły się przy każdym kroku, jakby miała się przewrócić. Oboje byli ubrani od stóp do głów na czarno i mieli twarze złane potem, ale poza tym upał chyba im nie przeszkadzał. Dziewczyna wymachiwała rękami, za każdym ruchem ciągnąc w przód i w tył ramię chłopaka. On co chwilę spoglądał na jej brzuch. Żadne nie wyglądało na szczególnie szczęśliwe.

Kiedy zniknęli za zakrętem, ominąłem porzucony skuter z kluczykiem w stacyjce i wyszedłem na placyk. W cieniu, pod żółtą ścianą domu, stało kilka białych, plastikowych krzeseł i stoliki przykryte grubą ceratą. Skinąłem ręką do dwóch mężczyzn i usiadłem przy sąsiednim stoliku. Chłopak w śnieżnobiałej koszuli nieproszony przyniósł mi herbatę w szklaneczce na metalowym spodku. Wrzuciłem do środka cztery kostki cukru i zamieszałem łyżeczką tak cienką, że po krótkim treningu mógłbym ją zgiąć samą siłą woli.

Pierwszy łyk poparzył mi wargi, ale pomógł zebrać myśli.

Nadia i ta dziewczyna. Nazife. Obie złożone w ofierze. Obie z poderżniętym gardłem. Nazife przed trzema laty. Nadia przedwczoraj. Przymknąłem oczy i zobaczyłem jej odchyloną głowę i muchy łożące na rozciętej do kości szyi. A później przypomniałem sobie nagie kości Nazife w blasku księżyca.

Napiłem się jeszcze herbaty. Patrzyłem na wąsatych facetów przy sąsiednim stoliku, jak palą papierosy, trzymając je koniuszkami zgrubiałych palców. Dwie dziewczyny, młode kobiety. Która będzie trzecia? Czy w ogóle będzie jakaś trzecia, czy to tylko piwo w połączeniu z *rakı* wpędziło Marilles w stan paranoi? Alkohol czasem tak działa na człowieka, sam coś o tym wiem.

Wstałem, położyłem na stoliku kilka monet i cofnąłem się do mrocznego wnętrza *çayhane*. Na wielkim ekranie zamocowa-

nego pod sufitem telewizora James Bond wchodził właśnie do biura M. Z gracją rzucił kapelusz w stronę wieszaka. Oczywiście wcelował.

– *Iyi akşamlar* – powiedział.

– *Iyi akşamlar*, James – zaszczębiotała Moneypenny i uśmiechnęła się zalotnie.

Kupiłem paczkę fajek. Wyszedłem na oślepiające słońce, odwinąłem celofan, zmiąłem go w kulkę i rzuciłem pod nogi. Wsadziłem papierosa w usta, poklepałem się po kieszeniach, a potem wróciłem do środka i poprosiłem o zapaliki. Na ekranie James już omówił z M, co miał do omówienia, i zdecydowanym krokiem zmierzał na spotkanie Złego Bandyty. Zaciągnąłem się i rozkaszałem się gwałtownie. Zgiąłem się wpół, oczy mi łzały, światło stało się oślepiająco jasne. Kaszałem jeszcze przez dłuższą chwilę, pochylony, trzymając się framugi, na granicy światła i cienia.

Coś mnie męczyło. Nie dawało mi spokoju. Jakiś element, drobniak, który nie pasował do całości. Nazife i Nadia, Poliksena i Nadia. Poderżnięte gardła. Obnażone kości. Coś...

Wypaliłem papierosa do końca. Zdeptałem niedopałek na asfalcie i przeszedłem przez placyk. Minąłem kupę złomu, chłopaka w czerwonym podkoszulku i wspiąłem się po schodach na piętro. Marilles nadal siedziała w kuchni, ścisnęła w dłoniach mokrą chusteczkę i wyglądała, jakby zawalił jej się świat. Na mój widok zerwała się ze stołka.

– Mario! Tak się...

– Zmieniłem zdanie – przerwałem jej. – Ale nie w tej sprawie, co myślisz. Zbieraj się, mamy w mieście sprawę do załatwienia.

Zaparkowałem w uliczce przed muzeum, pod rachityczną morwą. Było południe, drzewko nie rzucało cienia. W zamian za to dawało gwarancję, że po kilku minutach karoseria będzie oblepiona gnijącymi w słońcu resztkami śmierdzących owoców. Marilles na siedzeniu pasażera patrzyła tępo w szybę. Na jej twarzy widać było ślady łez.

– Czekasz na pisemne zaproszenie? – spytałem.

Drgnęła. Otworzyła drzwi i szybkim krokiem poszła do głównego wejścia. Westchnąłem, pochyliłem się i zatrzasnąłem jej drzwi. Przed brązowymi, odrapanymi drzwiami zdążyłem złapać ją za ramię.

– Pamiętasz, jak się umawialiśmy? – spytałem.

Kiwnęła głową. Oczy miała czerwone i napuchnięte.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Nie. Ale nie mam innego.

– Myślisz, że ktoś nam cokolwiek pokaże? Gülsün może w ogóle nie chce z nami rozmawiać. A już zupełnie nie ma obowiązku udostępniać nam jakichkolwiek zabytków.

Głos znowu jej się załamał.

– Weź się trochę w garść, dobrze? Nie wiem, czy to się uda. Ale chcę spróbować.

Wyszperła w torebce chusteczkę i wytarła głośno nos.

– Gotowa?

Skinęła głową.

– No to jazda. Podobno w środku mają klimatyzację.

Nacisnąłem klamkę, pchnąłem ciężkie drzwi i wystawiłem całą powierzchnię ciała na lodowaty podmuch. Największy wyłazek ludzkości, bez dwóch zdań. Skinąłem strażnikowi i po-

szliśmy długim, mrocznym korytarzem. Złote pyłki kurzu tańczyły w smugach światła, którym udało się przedrzeć przez popękane, plastikowe żaluzje.

Przeszliśmy przez jeszcze jedno drzwi. W dalszej części korytarza nie było już tak chłodno, a powietrze miało zapach stęchlizny i środków konserwujących. Skręciliśmy w lewo. Zapukałem we framugę opatrzoną tabliczką Gülsün Ozalan.

– *Merhaba Billur Hanım* – powiedziała Marilles do sekretarki.

W pokoju było jeszcze goręcej niż na korytarzu i oślepiająco jasno. Billur miała na sobie obcisły sweter z dekoltem, czarne, długie spodnie i progmatyzm zębodołowy. Wykonała minimalny ruch głową na powitanie i wróciła do stawiania ołówkiem znaczków na wydruku komputerowym, którego część swobodnie spływała na podłogę.

– My do Gülsün Hanım. Można?

– Pani Ozalan nie ma.

Marilles podeszła do biurka i położyła raporty na szczycie papierów.

– Prosiła, żebyśmy to dostarczyli.

– Pięknie dziś wyglądasz, Billur – powiedziałem.

Billur powoli podniosła wzrok i przesunęła okulary na czubek głowy. Przypatrywała się nam przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Siadajcie. – Ledwo dostrzegalnym skinieniem wskazała nam dwa sfatygowane zielone fotele za drzwiami. Podniosła słuchawkę starego bakelitowego aparatu.

– *Üçtane çaj lütfen* – wycodziła.

Usiedliśmy. Za drzwiami rozległ się tupot sandałów na wysokich obcasach i do biura bez pukania wpadła dziewczyna w mini. W rękach ścisnęła tacę, na której, na trzech cynowych spodkach, balansowały szklaneczki w kształcie tulipana, wypełnione przejrzystym, bursztynowym płynem, i mały talerzyk z kostkami cukru. Wykrzywiając lekko obcasy, ustawiła szklaneczki na rozchylanym stoliku między fotelami, i znikła.

Billur podniosła się ciężko zza biurka. Zamigotała karminowymi paznokciami, wrzuciła do swojej szklanki trzy kostki cukru i wycofała się do zawalonej papierami twierdzy. Ustawiła szklankę na wydruku, zamieszała herbatę łyżeczką. Pogrzebała w torebce, wydobyła z niej paczkę papierosów bez filtra i rozpoczęła skomplikowany proces instalowania jednego z nich w krótkiej, szklanej fifce.

Wrzuciłem do mojej szklanki cztery kostki cukru i przyjrzałem się pod światło, jak tracą biel i stają się coraz bardziej przezroczyste. Marilles chwyciła szklaneczkę wrzącej trucizny za brzeg i podniosła ją do ust bez żadnych środków znieczulających.

– Czy pani Ozalan będzie dzisiaj w biurze?

Billur przyjrzała mi się spod ciężkich powiek.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Płacą mi za porządek w papierach, a nie za pilnowanie pani Ozalan.

Hm. Chyba nie płacą jej zbyt dużo.

– Mamy do niej ważną sprawę.

– Wszyscy mają do niej ważne sprawy. Zadzwońcie albo przyjdźcie, kiedy będzie.

Przypaliła papierosa plastikową zapalniczką i wypuściła w powietrze kłęb dymu. Przełożyła kilka kartek z lewej strony biurka na prawą i postukała ołówkiem w wydruk. Chrząknąłem.

– To jest sprawa, która nie może czekać. Chcielibyśmy... Mhm... Chcielibyśmy spojrzeć jeszcze raz te na zabytki, które przedwczoraj zabrała pani Gülsün. Z pochówku szkieletowego w Beşik. Zaszła pomyłka przy katalogowaniu zdjęć. Chcielibyśmy to sprawdzić.

Przyjrzała mi się uważnie.

– I to jest właśnie takie ważne? Teraz?

– Szalenie – zapewniłem.

Billur spojrzała przelotnie na biurko.

– Nie widzę tu waszego podania o pozwolenie.

– Tych przedmiotów nie ma jeszcze w ewidencji – pospieszyła mi z pomocą Marilles. – Pani Gülsün zabrała je przedwczoraj przed południem. Może ma je w swoim biurze.

Billur zawiesiła ciężkie spojrzenie na ścianie za nami.

– To nie mamy o czym rozmawiać. Musicie najpierw złożyć podanie z dokładnie wyszczególnionymi numerami zabytków. Później zadzwonić, żeby umówić się na dogodny dla nas termin.

– Daj spokój, Billur – powiedziałem słodko. – Nie podejrzewasz chyba, że Gülsün nie miała nic lepszego do roboty, niż siedzieć w biurze i nadawać zabytkom numery ewidencyjne.

– Podanie – Billur mówiła powoli, jak do debilnych dzieci – telefon, zabytki. W tej kolejności.

Marilles podniosła się bez słowa i skierowała w stronę drzwi.

– I pamiętajcie, że pojutrze idę na urlop.

Uśmiechnąłem się, pokiwałem Billur ręką i wyszedłem.

Marilles oparła się o ścianę.

Wyminąłem ją i ruszyłem z powrotem.

– Mario! – zawołała.

Obejrzałem się. Szła szybkim krokiem w głąb korytarza.

– Wyjście jest w drugą stronę – przypomniałem jej.

– Chcesz zobaczyć sztuczkę? To chodź za mną.

Skręciła w lewo i zatrzymała się pod innymi drzwiami. Spojrzała na zegarek.

– Czekamy na kogoś? – spytałem.

– Jeszcze chwilę.

Postaliśmy tak ze trzy minuty, potem Marilles zerknęła na zegarek jeszcze raz, zapukała i wsadziła głowę w drzwi. Pociągnąłem za klamkę, żeby zajrzeć do środka.

W pokoju siedziała dziewczyna w mini, ta sama, która przyniosła nam herbatę. Jej biurko wyglądało jak po przejściu tajfunu, ale jeszcze przed przybyciem ratowników i służb porządkowych. Powiązane sznurkiem stosy papierów chwiały się też pod ścianami, a mały stół wypełniały wypchane segregatory.

Marilles otworzyła szerzej drzwi i weszła. Wsunąłem się za nią.

– Potrzebujemy twojej pomocy, Ülkü – powiedziała. – Chcielibyśmy rzucić okiem na zabytki, które Gülsün przywiozła tu dwa

dni temu z naszego wykopu. Tekturowe pudełko, mniej więcej o tej wielkości. – Narysowała dłońmi prostokąt w powietrzu.

Ülkü pokręciła głową.

– Marilles, znasz przecież przepisy. Wydawanie zabytków komukolwiek bez odpowiedniego zezwolenia jest zabronione. A zwłaszcza teraz. Wam.

Marilles pokiwała głową.

Ülkü wstała zza biurka.

– Zaraz je przyniosę – oznajmiła i zniknęła za drzwiami.

Spojrzałem na Marilles jak na przybysza z kosmosu.

– No, no, nie wiedziałem, że występowałaś kiedyś jako pomoc magika iluzjonisty. Jak to zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– To prostsze, niż ci się wydaje. Billur nie może pozwolić nam na obejrzenie zabytków, bo do tego potrzebne jest pozwolenie. Takie są przepisy, a ona stoi, a raczej siedzi, za wysoko w lokalnej hierarchii, żeby je łamać. Ale nie może sobie pozwolić na otwarty konflikt z międzynarodowym środowiskiem archeologów, czyli w praktyce również z nami. Nawet z takimi, którym cofnięto pozwolenie. To jest źle widziane na górze. Może mieć reperkusje i tak dalej. Więc co robi? Odmawia nam pozwolenia i sprawa załatwiona. A zaraz po naszym wyjściu bierze za telefon i każe Ülkü przynieść nam wszystko, czego potrzebujemy. Z naszego punktu widzenia ciastko jest już dawno zjedzone i popite ohydą herbatą, którą tutaj serwują, a z punktu widzenia Billur cały czas spoczywa na talerzyku.

Drzwi się otworzyły i ze stukotem sandałów weszła Ülkü z tekturowym pudłem pod pachą. Manewrując łokciem i kolanem, przebiła się do małego stolika, zepchnęła jakieś segregatory na podłogę i ustawiła pudło na blacie. Potem przecisnęła się do swojego biurka i usiadła za komputerem.

Podniosłem wieczko i wyjąłem jedną papierową torebkę. Położyłem sobie blaszkę na dłoni i podsunąłem Marilles pod nos.

– Przyjrzyj jej się uważnie – poprosiłem ściszym głosem.

– Chciałeś przecież sprawdzić numery.

– Nie wygłupiaj się. Przyjrzyj się tej blaszce.

Marilles wzięła ją do ręki.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy to naprawdę złoto.

– Po to ci byłem potrzebna?

Pokiwałem głową.

– Nie wiem. – Próbowala wcisnąć mi blaszkę z powrotem do ręki. – Nie znam się na metalach szlachetnych. Musisz poprosić o pomoc kogoś innego.

Zatrzymałem jej dłoń.

– Nie mogę poprosić nikogo innego. Przyjrzyj się jeszcze raz, uważnie.

Ustawiła blaszkę tak, żeby światło z jarzeniówki pod sufitem odbijało się pod innym kątem. Na cieniutkim jak papier, okrągłym krążku metalu odcisnięty był motyw motyla z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

– Trudno powiedzieć. Na pierwszy rzut oka wygląda jak złoto. Jest trochę podobna do blaszek z okręgu grobów szybowych A w Mykenach.

– Czyli myślisz, że to autentyk?

– No..., chyba tak. A nie?

Spojrzała na mnie.

– Uważasz, że ten ktoś, kto zabił Poliksenę... to znaczy tamtą dziewczynę...

– Ciszey, do cholery! – syknąłem.

Położyła blaszkę na stole.

– Możesz jeszcze spojrzeć na kilka innych?

– Nie wiem, po co. Ja ci o nich nic więcej nie powiem.

Ale wyjęła pięć kolejnych blaszek z papierowych torebek. Ułożyła je w rządku na blacie.

Przechyliłem się trochę na bok, żeby moje plecy znalazły się między Ülku a stolikiem. Wyjąłem z kieszeni automatyczny

ołówkę, ale nie wysunąłem wkładu, tylko ostrą końcówką zarysowałem jedną blaszkę.

– Oszalałeś?

Marilles wyrwała mi ołówkę.

– Wiesz, co będzie, jak ktoś to zobaczy? – zasyczała.

– Ciekawe kto. Te blaszki na wieki wieków będą leżeć w muzealnym magazynie. A nawet jeśli, to co? Wygląda, jakby się zarysowało w ziemi.

Ustawiłem blaszkę pod innym kątem do światła.

– A teraz? Zobacz teraz?

– Odbiło ci – mruknęła, ale pochyliła się i zaczęła obracać blaszkę pod lampą.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. – W środku rysy jest ten sam kolor metalu, co na powierzchni. Ale naprawdę nie wiem.

– Dobra. Nie wiesz, to nie. Dzięki.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

– Spadamy stąd?

Marilles bez słowa podniosła się i podeszła do biurka, żeby podziękować Ülkü. Włożyłem blaszki do właściwych kopert, bardzo pilnując, żeby numery się nie pomyliły. Potem ułożyłem je w pudełku.

Pięć. Włożyłem pięć blaszek. Szóstą wsunąłem do kieszeni.

Wróciliśmy tą samą drogą, ciemnym, zatęchłym korytarzem i przez oszklone drzwi do chłodnych sal muzealnych.

Wewnątrz było cicho, pusto, śmierdziało pastą do podłóg. Tylko jedna spocona para turystów udawała, że ogląda zabytki w gablotach, ale na pierwszy rzut oka było widać: przyszli tu tylko odetchnąć w falach chłodnego powietrza z klimatyzatorów.

Ściany, pomalowane na buraczkowo i ozdobione kiepskimi obrazami w złożonych ramach przedstawiającymi scenki rodzajowe, wyglądały jak w tanim burdelu. Dwie gabloty w głębi

osłonięte były płachtami zakurzonego płótna. Jarzeniówki oświetlały tylko przednią część pomieszczenia, dalej panował mrok przecięty pojedynczą smugą światła, wpadającą przez dziurę w brązowej, aksamitnej kotarze.

Moje buty skrzypiały na kamiennej posadzce. Marilles zatrzymała się w rogu sali.

– Chodź – szepnęła. – Coś ci pokażę. Wiesz, co to jest?

Pokręciłem głową.

– Sarkofag Polikseny. To znaczy nie naprawdę. Tak się tylko nazywa, bo jest dekorowany sceną mitologiczną przedstawiającą śmierć Polikseny. Pamiętasz, co opowiadała Pola na seminarium?

Chrząknąłem. Czułem duszący zapach pasty w ustach, na języku.

– Kwiatuśku, nie jestem jeszcze w wieku, kiedy pamięć zaczyna szwankować. Kojarzę, co było dwa dni temu. Po co mi to pokazujesz?

Marilles wyciągnęła palce i delikatnie pogładziła jasnoszary marmur. Strażnik w kącie poruszył się niespokojnie.

– Popatrz – powiedziała. – To jej pogrzeb. Żałobnicy, płaczki, które obnażają piersi i rwą sobie włosy z głowy. Ale to wszystko jest tylko na pokaz. Naprawdę nikt jej nie opłakuje.

Pochyliłem się i przyjrzałem uważnie szarej, kamiennej powierzchni. Trzech osiłków trzymało dziewczynę, a czwarty, szarpiąc ją za włosy, odciągał jej głowę do tyłu i wbijał nóż w gardło. Wszyscy wyglądali na zrelaksowanych, mieli starannie ułożone fryzury i nie wykonywali żadnych niepotrzebnych gestów. Za ich plecami zebrał się tłum, który miał opłakiwać Poliksenę. Jeden z morderców odwrócił głowę i wdał się w pogawędkę ze stojącym za nim starcem opartym o łaskę. Płaczki o obwisłych piersiach rozdrapywały sobie skórę na twarzach, rwały włosy i dramatycznymi gestami wskazywały niebo, ale wyglądały, jakby myślami były gdzieś indziej. Na wszystkich twarzach błąkał się delikatny uśmiech. To był teatr.

Powietrze w muzealnej sali zrobiło się nie do wytrzymania. Zrobiłem krok do tyłu. Wyjąłem z kieszeni komórkę, nachyliłem się i sfotografowałem grupę żałobników.

– *No photo*. – Strażnik odkleił się od ściany i ruszył w naszym kierunku.

– *Sorry*. – Uśmiechnąłem się przepraszająco. – *Arkeolog*. – Popukałem się w pierś.

Na strażniku nie wywarło to wrażenia.

– *No photo, no photo!* – powtórzył. Wyglądał na zdenerwowanego.

Schowałem komórkę do kieszeni, uniosłem rękę w uspokajającym geście i wycofałem się w stronę wyjścia. Marilles szła za mną.

– Dlaczego? – Zatrzymałem się w połowie sali i odwróciłem się w jej stronę.

Nie zdążyła wyhamować i oparła się o mnie.

– Co dlaczego?

– Dlaczego jej nie opłakują?

Popatrzyła na mnie smutno.

– Konwencja w sztuce archaicznej – wyjaśniła. – Wtedy nie przedstawiano prawdziwych wyrazów twarzy, tylko taki sztuczny uśmiech. Archaiczny uśmiech.

– Taka moda?

Wzruszyła ramionami.

– Taka moda.

Na dworze panował piekielny skwar. Kilka metrów od drzwi muzeum do błogosławionego cienia muru przy ulicy wystarczyło, żeby zaczęło mi szumieć w uszach. T-shirt miałem całkiem mokry.

Złapałem za klamkę samochodu i syknąłem. Possałem oparzone palce, a później otworzyłem drzwi, trzymając klamkę przez podkoszulek. Włączyłem dmuchawę, łudząc się, że to coś pomoże. Wślizgnąłem się do środka, na śmierzdzące rozgrzanym

plastikiem siedzenie, i, starając się dotykać jak najmniej, włączyłem wycieraczki. Rozmazały na przedniej szybie kilka zgnitych owoców morwy. Nie miałem siły, żeby wysiąść i coś z tym zrobić.

– Zobaczymy się później – powiedziałem do Marilles. – Mam jeszcze coś do załatwienia w mieście.

– Chcesz mnie tutaj zostawić? Teraz?

– Wrócisz sobie *dolmušem*. Tam się zatrzymują. – Pokazałem sklepik po drugiej stronie ulicy. Pod wypłowiłą markizą pokrywały się kurzem skrzynki z przywędłymi owocami i druciany stojak na plażowe piłki.

– Mario, przecież ci pomogłam, jak mnie prosiłeś. Nie możesz mi teraz kazać czekać godzinami na śmierzdzący mikrobus bez klimatyzacji. W słońcu jest chyba sto stopni!

– Nikt ci nie każe chodzić po słońcu. Miejscowi tak jeżdżą i jakoś żyją.

– Nie ma mowy. – Marilles szarpnęła klamkę po stronie pasażera. – Jadę z tobą. Otwórz mi.

Pokręciłem głową. Z sykiem bólu oparłem się o rozpaloną tapicerkę i zatrzasnąłem drzwi.

Marilles walnęła otwartą dłonią w szybę po przeciwnej stronie.

– Mario! Otwieraj!

– Zobaczymy się później – powiedziałem. Położyłem ręce na parzącej kierownicy i przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Zamiast w lewo, na główną drogę prowadzącą z miasta na południe, skręciłem w prawo, do centrum. Rozpalony wiatr od strony rzeczki cuchnął zgniłą rybą. Siedzenie paliło moje uda i plecy.

Za mostem wpakowałem się w korek. Udało mi się wcisnąć w minimalną lukę między pomarańczową ciężarówką, której kłapa chybotąła się na wysokości mojej przedniej szyby, a kolorowym drewnianym wózkiem ciągniętym przez wychudzoną chabętę. Potem musiałem jeszcze tylko wepchnąć się w ciasny sznur samochodów, czekających na skręt w lewo i wjechać na skrzyżowanie już na czerwonym, głośno trąbiąc.

Aleja prowadząca do portu była dwupasmowa, z klombikiem pośrodku, obramowanym wysokim betonowym krawężnikiem w żółto-czarne pasy, żeby największy nawet daltonista mógł mieć pretensje tylko do siebie, jeśli obetrze samochód. Domy stały ciasno, z górnych pięter krzyczały szyldy rozmaitych kształtów, kolorów i treści, rozpoznawałem tam tylko napis *eczane*, apteka. Sądząc z tego, jak często się pojawiał, trzy czwarte miejscowej populacji musiało parać się farmacją.

Ominąłem długą na kilka przecznic kolejkę samochodów oczekujących na wjazd na prom i zacząłem szukać parkingu w okolicy skwerku, z obsranym przez gołębie pomnikiem Atatürka. Znalazłem wreszcie miejsce między odrapanym fordem, a nowiutkim srebrnym mitsubishi, z przednią szybą otoczoną firanką jedwabnych frędzli i dwoma ptaszkami, wydzierganymi sprytnie z koralików, na wstecznym lusterku. Otworzyłem drzwi, starając się nie stuknąć mitsubishi. Między trąbiącymi samochodami przebiegłem na drugą stronę ulicy i skręciłem w jedną z bocznych uliczek. Za rogiem nie słychać było już

klaksonów i muzyki z tranzystorów stojących przy wejściach do sklepików. W uliczce było duszno i pusto, chudy kot chował się za połamanymi kamiennymi schodkami.

Pchnąłem ciężkie, okratowane drzwi z napisem *Ak Gümüş*. Na witrynie zakurzone pierścionki, kolie i inne różności wabiły kupujących. Nie bardzo im się to udawało.

Wnętrze było małe i ciemne, spod wszystkich ścian napierały szklane gabloty wyładowane biżuterią. Naprzeciw drzwi wisiało lustro. Nie rozpoznałem się w jego odbiciu.

Dźwięk dzwoneczka wywołał z zaplecza niską, grubą kobietę z włosami ufarbowanymi na kruczą czerń. Dwadzieścia lat temu konkurenci do jej względów walczyli pewnie na noże, jeszcze teraz była prawdziwą pięknoscią. Tylko dopóki się nie uśmiechnęła.

– *İyi günler, Lale Hanım.*

– *Aaa, iyi günler, iyi günler, nasılsınız?*

Lale otworzyła szeroko usta pełne brązowych, połamanych zębów.

– Potrzebuję porady, Lale Hanım. – Z westchnieniem przeszedłem na angielski. – Ty wołać syna.

– Aj, okej, okej.

Zniknęła za kwiecistą zasłoną. Po chwili wynurzył się stamtąd mężczyzna. Miał identyczną figurę jak matka i całkowicie łysą, brachycefaliczną czaszkę, a dolną część trzewioczaszki ozdobiła gęsta broda w tym samym odcieniu, co włosy Lale. Zacząłem podejrzewać, że to Lale za zasłoną zdjęła perukę i dokleiła sobie zarost.

– Aaa, witam, witam. Czym mogę służyć?

– Arslan Bey...

Nabrałem powietrza w płuca. Dzwoneczek na wstążce lekko drgał, objając się o ramę drzwi. Smuga słonecznego światła złościła okienną witrynę, ale gruba warstwa kurzu tłumiła błyski wystawionych klejnotów. Wyciągnąłem z kieszeni złotą blaszkę i położyłem sobie na dłoni.

– Widział pan kiedyś coś takiego?

Arslan przyjrzał się leżącej na mojej dłoni blaszce, ale nie zrobił żadnego gestu, żeby jej dotknąć. Trochę to trwało i wyciągnięta ręka mi ścierpła.

– Po co pan to do mnie przyniósł, Mario Bey?

Nie odpowiedziałem. Przyglądałem się swojemu odbiciu w lustrze.

– Ja bardzo lubię, jak przyjeżdżają archeolodzy. Panie bardzo lubią kupować w moim sklepie. Panowie też, prezenty dla pań. Jak archeolodzy są w mieście, interes idzie lepiej. Ale ja nie potrzebuję kłopotów. Wcale. Rozumie mnie pan?

Kiwnąłem głową.

– Jasne – powiedziałem. – Kto ich potrzebuje?

– Czego pan ode mnie chce, Mario Bey?

– Czy może pan określić, co to za metal?

– Metal? – Przyjrzał się uważnie najpierw blaszce, potem mnie. – Co to za metal? Złoto.

– Jest pan pewien?

– Wygląda jak złoto. Błyszczący jak złoto. To co to może być innego?

Westchnąłem.

– Czy może pan to jakoś sprawdzić?

Wyglądał na urażonego.

– Wiem, jak wygląda złoto. Siedzę w tym zawodzie od trzydziestu lat.

– A ja w moim od dwudziestu. A teraz, jak już się wymieniliśmy życiorysami, może pan to sprawdzić, czy nie?

Wyprostował się i zniknął na zapleczu.

Zrobiłem krok to tyłu i zacząłem się przyglądać sygnetom z maleńkimi trupimi czaszkami, starannie wyrzeźbionymi w srebrze.

Smugę słońca przeciął cień i dzwoneczek cicho brzęknął. Wsunąłem dłoń z blaszką do kieszeni.

– Kupujesz sobie sygnet? – Robert zajrzał mi przez ramię.

– Zastanawiam się.
– Chcesz, żeby cię ludzie brali za satanistę?
– Nie, ale ciągle mam nadzieję, że wezmą mnie za podstarza-
łego harleyowca.

– Tak. – Robert przeczesał dłonią wilgotne od potu włosy. –
Zawsze jest taka możliwość. Poza tym w razie potrzeby taki
sygnet może świetnie robić za kastet.

– W razie potrzeby. – Pokiwałem głową. – A ty?

– Co ja?

– Też tu przyszedłeś po sygnet?

– Nie, chcę kupić jakiś drobiazg dla Melindy.

– Aha.

Robert pochylił się nad gablotą.

– A tak naprawdę?

– Co naprawdę?

– Melinda nie nosi srebra. Ona woli raczej złote drobiazgi
w stylu *Śniadania u Tiffany'ego*, a nie ciężkie, srebrne wisiory.

Robert się wyprostował.

– Eva ciągle jeszcze znajduje się w fazie zakochania w Jasonie,
więc to raczej nie dla niej. Pola... nie sędzę. Zresztą ona w ogóle
nie nosi biżuterii. Marilles wyznała mi dziś rano, że jest zain-
teresowana kimś innym. Z kobiet na wykopaliskach pozostaje
jeszcze Yasmin, która lubi orientálną biżuterię.

– A skąd wiesz, że przyszedłem kupić coś dla kogoś na wyko-
paliskach? Może przyszedłem po prezent dla mojej matki.

– Twoja matka nie żyje.

Robert oparł się plecami o szklaną gablotę.

– No dobrze. Mam nadzieję, że mnie nie zdradzisz przed
Melindą.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie muszę. Sam się wsypiesz. A prezenty przeprosinowe
od Tiffany'ego będą cię kosztować o wiele więcej niż te srebrne
duperele.

– A skąd wiesz, że w ogóle będą prezenty przeprosinowe?

– Do tej pory zawsze były.

Robert otarł pot z czoła.

– No dobra, panie mądralo. A ty po co tu przyszedłeś?

Wyjąłem z kieszeni blaszkę i położyłem na szklanej pokrywie gabloty.

Robert z sykiem wciągnął powietrze.

– Oszalałeś, kurwa?! Ukradłeś zabytek z muzeum?

– Nie ukradłem, tylko pożyczyłem. A poza tym: jaki zabytek? Przecież jeśli cały pochówek jest, jak wy to mówicie, nowożytny, to te blaszki też ktoś zrobił niedawno.

– To wcale nie jest takie pewne. A Pola wie, że zabrałeś tę blaszkę z muzeum?

– Nie dowie się, jeśli jej nie powiesz. A nie powiesz jej, bo wtedy prezenty przeprosinowe dla Melindy kosztowałyby cię więcej niż cała zawartość tego sklepu.

– Szantażujesz mnie?

– Skąd. Próbuję tylko uniknąć nieporozumienia.

Zasłona oddzielająca zaplecze zafalowała. Arslan uznał najwidoczniej, że dość już podsłuchał z naszej rozmowy, i wynurzył się z mroku z małą plastikową kuwetą w rękę, pełną buteleczek i zawiniątek. Przecisnął się między dwoma szklanymi ladami, przekręcił klucz w zamku, a potem znowu wsunął się na swoje miejsce za gablotą z kolczykami naśladowczymi otomańskie wzory i przycupnął na pokrytym skajem stołku. Na szklanej powierzchni blatu rozwinął kawał czarnego aksamitu i włączył odrapaną metalową lampę. Wziął z kuwety gumowaną pęsetę, delikatnie podniósł blaszkę i położył ją na aksamicie.

Otaczała go aura profesjonalizmu. Ten człowiek byłby doskonałym paserem.

Chrząknął kilkakrotnie, przygotowując się do występu.

– Mario Bey, czy pana kolega...? – zawiesił teatralnie głos.

– Proszę się nim nie przejmować, Arslan Bey. On ma inne zmartwienia.

Arslan chrząknął znowu.

– Doskonale. Skoro nie wierzy mi pan na słowo, jestem przygotowany, żeby to panu udowodnić?

– Co udowodnić? – spytał Robert.

Nastąpiłem mu na stopę. Syknął, szarpnął się i odsunął dalej.

Arslan przestawił lampę, żeby uzyskać optymalne natężenie światła, wyjął z kuwety jubilerską lupę, osadził ją sobie w oczodole i oddał się bez reszty oglądaniu złotej powierzchni. Zza zasłony wysunęła się Lale, ostatecznie obalając moją teorię o przebraniu. Bez słowa ustawiła na szkłe przed nami szklanecczki z herbatą.

Arslan trwał nieruchomo z lupą w oku przez dłuższy czas, aż wreszcie westchnął i podniósł głowę.

– To jest raczej czyste złoto. Widzicie panowie tę rysę, o tutaj?

Hm. Tak.

– Metal pod spodem ma dokładnie ten sam kolor.

Pokiwałem głową.

– Przeprowadzę jeszcze jeden test.

Wyjął z kuwety buteleczkę z ciemnego szkła i odkręcił zakrętkę, która kryła krótką pipetkę. Przyjrzał się krytycznie pod światło zawartości buteleczki, delikatnie nią zakręcił i zanurzył pipetkę.

– To jest ciecz probiercza do czystego złota. Jeśli blaszka jest wykonana z tego metalu, nie powinna zejść żadna reakcja. Jeśli to tombak, powstanie czarna plama. – Spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi. – Czy panu bardzo na tym zależy?

– Nie.

Robert otworzył usta, ale widać rozmyślił się, bo nic nie powiedział.

Arslan teatralnym gestem zawiesił pipetkę w powietrzu.

– Proszę kontynuować, Arslan Bey.

Pipetka opadła. Od jej końcówki oderwała się maleńka, przezroczysta kropła i bezgłośnie skapnęła na lśniący metal. I nic już więcej się nie wydarzyło.

Arslan w zwolnionym tempie zakręcił buteleczkę, podniósł się ze stolka i delikatnie przesunął w moją stronę czarny aksamit.

– Złoto. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Jest pan pewien?

– Jestem całkowicie i nieodwracalnie pewien. Ma pan blaszkę ze szczerzego złota, dwadzieścia cztery karaty. Oczywiście jej wartość jest niewielka. Złoto nie jest dzisiaj drogie. W przybliżeniu to będzie... chwileczkę.

Pogrzebał pod ladą, wydobył stamtąd małą elektroniczną wagę i położył na niej złoty płatek.

– Półtora grama. Hm, to powinno dzisiaj być trochę ponad trzydzieści euro, ale oczywiście trzeba uwzględnić wahania kursu. Zrobienie takiej blaszki nie jest kosztowne. Nawet kilku takich blaszek. – Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. – Nawet dziewiętnastu. Wartość kruszcu jest znikoma. Rozumie pan?

– Rozumiem – pokiwałem głową.

Wyciągnąłem rękę i schowałem blaszkę do kieszeni.

– Dziękuję, Arslan Bey.

– Drobiazg, drobiazg. Zawsze chętnie służę. – Pozwolił sobie na pierwszy uśmiech, dyskretny i profesjonalny. – Ja sam się tym nie zajmuję, ale mogę pana oczywiście z kimś skontaktować, jeśli pan sobie życzy. Z kimś zaufanym.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

– To oczywiście wymaga... hm... pewnej dyskrecji. Ale wszystko jest do zrobienia. Proszę mi dać znać.

– Nie bardzo wiem – powiedziałem – w jaki sposób mógłbym dyskretnie upłynnić kradzione zabytki, skoro wszyscy w Çanakale już wiedzą, że wykopaliśmy złoto i ile tego dokładnie było. Tym niemniej dziękuję panu za tę interesującą propozycję, Arslan Bey. Może kiedyś, przy innej okazji.

– Oczywiście. – Chrząknął w brodę. – Oczywiście, Mario Bey. Proszę do mnie zadzwonić albo najlepiej przyjść osobiście. Jestem tutaj także w niedziele.

Napiłem się herbaty. Robert nie ruszył swojej. Arslan prze-
pchnął się jeszcze raz koło lady, odryglował drzwi i z ukłonami
wypuścił nas na ulicę.

Robert pociągnął mnie za rękaw.

– Czy mnie słuch zawodzi, czy on ci naprawdę proponował
upłynnienie kradzionych zabytków?

– Nie on. Jego kuzyn ze strony matki.

Robert oparł się plecami o mur.

– Niemożliwe.

– Głuchy jesteś? Wszystko jest możliwe.

– Nie pójdziesz z tym na policję?

– A po co mam odbierać ludziom ciężko zarobiony kawałek
chleba?

Robert potarł twarz dłońmi.

– To wszystko przez ten kurewski upał. Wracam do domu.
Podwieźć cię?

– Nie, dzięki. Ale w okolicy muzeum rozejrzyj się za Marilles.
Może jeszcze czekać na *dolmuş*.

– Po co mi to mówisz?

– Chcę zwiększyć twoje szanse na wypadek, gdyby Yasmin
jednak nie gustowała w orientalnych wisiorach i brzuchatych
profesorach.

Postałem jeszcze w miejscu i popatrzyłem na plecy Roberta
oddalające się w oślepiającym blasku uliczki. Potem pchnąłem
drzwi ramieniem i z powrotem wszedłem do sklepu. Ten sygnet
naprawdę mi się spodobał.

Za rogiem skręciłem prosto w oszklone drzwi hotelu. Nie jest to miejsce, które normalnie odwiedzam. Normalnie wybrałbym raczej jedną z małych knajpek obok wieży zegarowej, ale jak dotąd żaden z właścicieli nie zainwestował w klimatyzację.

W hotelu było przynajmniej chłodno. W wielkich taflach przyciemnianych lusterek odbijały się chromowane na złoto oparcia foteli, ostatni krzyk mody w okolicy. Opadłem na jeden z nich i skinąłem na kelnera. Podbiegł, przetarł śnieżnobiałym ręcznikiem idealnie czysty stół i podał mi zalaminowane menu z kolorowymi obrazkami, umieszczonymi dla tych, którzy nie posiadli sztuki czytania. Pokazałem placem baklawę i kawę, kelner skinął głową, i oddalił się truchtem.

Rozejrzałem się po sali. O tej porze było jeszcze pusto. Dwa stoliki dalej siedziało kilku biznesmenów, w marynarkach rozpiętych na wielkich brzuchach. Pod oknem kobieta w płaszczu do ziemi i kolorowej chuście na głowie karmiła kilkuletniego chłopca budyniem albo czymś innym, co przypominało rzadką kupę. Szum klimatyzatorów pochłaniał gwar rozmów i poczułem się jak na dnie morza.

Za moimi plecami zadzwonił telefon. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Pola podnosi się z fotela. Chciałem coś do niej krzyknąć, machnąć ręką, albo jakoś inaczej przyciągnąć jej uwagę, ale zawahałem się. Pola podeszła do wielkiej szyby dzielącej klimatyzowany raj od piekła ulicy i w skupieniu zaczęła tłumaczyć coś dziurkom w słuchawce. Pojedyncze pasma jej długich, ciemnych włosów poruszały się leniwie w podmuchu klimatyzatora, jak podmorskie wodorosty. Na jej czole pojawiła się głęboka, pionowa zmarszczka. Posłuchała chwilę, a potem znowu

zaczęła coś wyjaśniać, gestykulując. Przełożyła telefon do drugiej dłoni, a prawą wytarła z potu o spodnie. Posłuchała znowu, roześmiała się niepewnie, posłuchała jeszcze raz, powiedziała coś szybko i zakończyła rozmowę. I wróciła do stolika, przy którym siedział Griffin.

Odwróciłem się z powrotem, bo ścierpła mi szyja. Zamachałem, a kiedy kelner na mnie spojrzał, pokazałem mu na migi, że się przesiadam.

– Pola, Howard. – Skinąłem im głową. – Co za miłe spotkanie.

Rozwaliłem się w fotelu ze sztucznej skóry, wyciągnąłem przed siebie nogi i oddałem się kontemplacji idealnie zaprasowanych kantów jasnoszarych spodni Griffina. Kiedy już wystarczająco nadelektowałem się tym widokiem, pochyliłem się do przodu, osłoniłem dłonią usta i przez stolik powiedziałem scenicznym szeptem do Poli:

– To złoto..

– Jakie złoto?

– Ćsssss. – Przyłożyłem palec do ust. – Nie tak głośno! Udawaj, że przyglądasz się temu facetowi przy barze i wcale ze mną nie rozmawiasz. To złoto. Sprawdziłem.

– Przestań robić z siebie pajaca. – Wyprostowała się w fotelu. – Dlaczego za mną łazisz? Nie mogę już spokojnie wypić kawy, żebyś nie przylazł i nie zaczął opowiadać tych swoich głupot?

Griffin przykrył jej dłoń uspokajająco. Odwróciła twarz w jego stronę, a on powiedział cicho coś, czego nie dosłyszałem, cholerne klimatyzatory pracowały pełną parą.

– To przypadek, że akurat tutaj się na ciebie natknąłem, księżniczko. Wiesz, co to jest przypadek? To wtedy, kiedy...

– Zamknij się – warknęła.

– Nic nie jecie? – spytałem. – Ja umieram z głodu. Już prawie piąta. – Zerknąłem na zegar wiszący na ścianie. – Po mieście krąży plotka, że mają tu wspaniałą baklawę..

Spróbowałem umościć się lepiej. Fotele były równie niewygodne jak ohydne.

– A ty, Howardzie, jak się miewasz? – Skinąłem Griffinowi głową. – Widzę, że ciężko ci wytrzymać bez klimatyzacji, co? Jeśli naprawdę jesteś miłośnikiem archeologii, musisz się przyzwyczaić.

Griffin uśmiechnął się pod nosem i nie był to uśmiech, który automatycznie pojawia się na twarzy na widok małych kotków, gaworzących niemowląt i sadu wiśniowego obsypanego kwieciami.

– No. – Przeciągnąłem się, aż zatrzeszczały mi kości. – Miło mi się z tobą gawędzi, ale mam pilną sprawę do Poli. Służbową. Rozumiesz, jedną z tych naukowych tajemnic, których nie powinno się ujawniać osobom prywatnym. Dlatego muszę cię teraz przeprosić.

Griffin wpatrywał się we mnie twardo.

– Musimy porozmawiać na osobności, Pola i ja. – Położyłem nacisk na słowo „osobność”.

Cisza.

– Może poszedłbyś zobaczyć, czy szofer cię nie potrzebuje?

Pola poderwała się na nogi, złapała mnie za rękę i siłą wyciągnęła z fotela.

– Howardzie, wybacz mi na moment – rzuciła przez ramię i zaciągnęła mnie pod okno, z dala od wścibskich uszu.

– Ty kretynie! – zasyczała. – Musisz wszystko psuć?

– Howardzie. – Zatrzepotałem rękami. – Ach, Howardzie.

– Odpieprz się, Mario. – Strąciła moją rękę ze swojego ramienia. – Zostaw mnie w spokoju i lepiej zajmij się swoimi sprawami. A najlepiej zmień rezerwację biletu powrotnego już na jutro.

– Nie mogę. – Rozłożyłem ręce. – Jakiś lokalny Colombo mógłby uznać, że zwiewam przed policją.

– Więc zostaw mnie w spokoju!

Odwróciła się zamaszyście i ruszyła w kierunku stolika.

– Czekaj! – Złapałem ją za nadgarstek.

Wyrwała mi się.

– Poczekaj chwilę – zniżyłem głos. – Chcę ci tylko powiedzieć, czego się dowiedziałem. – Zrobiłem pauzę na oddech. – Te blaszki to złoto. Szczere złoto.

– Skąd wiesz? – Stała odwrócona do mnie bokiem, gotowa w każdej chwili zwiać.

Wyciągnąłem z kieszeni blaszkę i pomachałem jej przed oczami.

– Kurwa, skąd to masz?!

Złapała mnie za rękaw i pociągnęła w kąt. Griffin obrócił się i uśmiechnął się do niej. Pomachałem mu.

– Masz to natychmiast odnieść z powrotem. Rozumiesz? Natychmiast!

– Niby jak? „Ups, przepraszam, zawieruszyło mi się to w kieszeni?”.

– Nie interesuje mnie to! Znalazłeś sposób, żeby to wynieść z muzeum, to znajdziesz sposób, żeby odłożyć na miejsce. Natychmiast!

Podniosłem oczy do nieba.

– Pola, przecież to nie jest oryginalny zabytek. Doskonale wiesz, że ktoś to wykonał niedawno.

– Ja wiem. Ale w muzeum nie wiedzą. Nie powiedzieliśmy przecież Gülsün, że szkielet ma góra trzy lata. Dla nich to jest zabytek, nie rozumiesz, kretynie?

– Nie krzycz. Byłem z tym u Arslana Beya. Powiedział, że to złoto. Czyste.

– Pokazałeś to Arslanowi?!

– No. Nawet dał mi namiary na jakiegoś kuzyna, gdybym się zdecydował to upłynnić.

Pola ukryła twarz w dłoniach.

– Mario, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Czy ty nie rozumiesz, że to nie zabawa? Wiesz, co ci grozi... – Opuściła ręce i popatrzyła mi prosto w oczy. – Co nam wszystkim grozi, jeśli ktoś się dowie o kradzieży zabytku z muzeum? Nie tylko nas wsadzą. To śmierć zawodowa. Rozumiesz? Nie ma gorszego

przestępstwa w środowisku archeologów niż kradzież zabytków z wykopalisk. I handel nimi, skoro już wspomniałeś o propozycji Arslana. A ty tak po prostu wynosisz sobie z muzeum złotą blaszkę i zabierasz ją do pasera.

– Do jubilera.

– Mario! Do ciebie chyba nie dociera, co zrobiłeś!

– Uspokój się. To nie kradzież. To wzięcie w depozyt.

Pokręciła głową.

– Jak możesz być taki głupi?

– Nie interesuje cię to? To szczerze złoto. Co prawda Arslan stwierdził, że jego wartość jest niewielka, ale to coś znaczy, nie sądzisz? Komuś bardzo zależało na tym, żeby ten pochówek wyglądał na autentyczny. Zależało mu na tym tak bardzo, że był gotów zainwestować pewną sumkę, może nie majątek, ale też miała...

– Nie rozumiem, po co to robisz.

Nie odpowiedziałem.

– Co się dzieje, Mario? Wczoraj powiedziałeś mi wprost, że bym spadała i zostawiła cię w spokoju. A teraz sam zaczynasz prywatne śledztwo? Dlaczego?

Przesunąłem palcami pod kołnierzykiem podkoszulka.

– A dlaczego ty przesiadujesz w knajpie z Griffinem? Płaci ci za to? A może w ramach kontraktu na sponsoring ma też zapewnioną osobistą asystentkę, młodą i piękną panią archeolog do użytku prywatnego.

Pola wyprostowała plecy.

– Jesteś strasznym skurwysynem, Mario.

– A ty, moja miła, jesteś za tania. Powinnaś się trochę wyżej cenić. Masz w końcu doktorat. Co by było, gdyby każdy mógł sobie pozwolić na panienkę z doktoratem? Koniec świata.

Myślałem, że uderzy mnie w twarz. Patrzyła na mnie, a jej oczy płonęły. Odwróciła się i odeszła. Pooglądałem sobie przez kilka sekund tył jej czaszki, a kiedy usiadła, wolnym krokiem podszedłem do stolika, na którym kelner w międzyczasie

ustawił to, co zamówiłem. Pochyliłem się, łyknąłem trochę kawy i ugryzłem ciastko. Tak jak myślałem: smakowało jak cukier z cukrem.

– Kawa w tym lokalu jest okej – powiedziałem, prychnąwszy okrucami. – Ale baklawy nie polecam.

Griffin znowu się uśmiechnął. Pola patrzyła w przyciemnianą szybę, za którą migotało południowe światło odbijające się od samochodów i wystaw. Miała zaciśnięte szczęki.

Siedzieliśmy w milczeniu przez dłuższą chwilę. Kelner stał przy barze i patrzył na mnie wyczekująco, żebym dał mu szansę spełnienia któregoś z moich najskrytszych pragnień. Kobieta w chuście wytarła chłopcu buzię i zaczęła zbierać zakupy w plastikowych torbach.

– Powiedz mi – obróciłem się do Howarda – co cię tu jeszcze trzyma? Wykopaliska są zamknięte, dwa trupy, finito. Nikt z pewnością nie przywróci nam licencji w tym sezonie, a jeśli uda się to za rok, gotów jestem uwierzyć, że zaraz wyrosną mi skrzydła i przelecę przez Dardanele. Więc po co tu jeszcze siedzisz?

Pola szarpnęła głową i otworzyła usta, ale Griffin znowu dotknął uspokajająco jej dłoni.

Nachylił się do mnie.

– Mario – wyszeptał tak cicho, że ledwo rozróżniałem słowa. – Przeszkadzasz nam. Spieprzaj stąd.

– O! Nie tak ostro! Siedzimy tu sobie i rozmawiamy. Po co zaraz psuć miłą atmosferę?

– Nie będę tego dłużej znosił – szepnęła Griffin. – Daję ci minutę na dojście do drzwi. Nie martw się o kawę, tym razem to ja stawiam.

– Oho – powiedziałem. – Bo jak nie, to co?

Oparł się wygodnie.

– Zostań, to sam się przekonasz.

– Naprawdę, Howard. Jestem pełen podziwu. Potrafisz gadać jak twardziel. Za dużo filmów z Bruce'em Willisem, co? „Daję ci

minutę”, „sam się przekonasz”. Ma się tę klasę, nie? Wiesz co? – Rozparłem się na fotelu. – Mam wrażenie, że łączy nas pewne podobieństwo. Nie powiem, że bym był tym zachwycony, ale trudno jest dyskutować z faktami.

– Raczej nie. – Griffin oparł ręce na blacie stolika. – Tobie się wydaje, Mario, że kimś jesteś. Prawda?

– No – przytaknąłem. – Do tej chwili żyłem takim złudzeniem.

– Wybitny profesor antropologii, światowej sławy specjalista od anatomii czaszki i rekonstrukcji rysów twarzy.

– Teraz się mówi: rekonstrukcja wyglądu przyżyciowego na podstawie zachowanych szczątków kostnych – poprawiłem go.

– Naukowiec z najwyższej półki, a jednocześnie taki luzak. Ogólnie fajny facet. Powiedz, lubisz patrzeć na siebie w lustrze przy goleniu?

Podrapałem się po trzydniowej szczecinie.

– Niespecjalnie – powiedziałem. – Zastanawiam się, czy nie zapuścić brody.

– Powinieneś to zrobić. Albo wiesz co, mam lepszy pomysł. Powinieneś kupić sobie worek, wyciąć w nim dwie dziury i nosić go na głowie. Żeby nikt nie musiał na ciebie patrzeć.

Pochylił się ku mnie. Jego oczy wyglądały jak dwie bryłki lodu. Drgnąłem.

– Jesteś niczym, Mario. Nikt nie jest w stanie nawet zapamiętać twojego nazwiska. Nie masz nic, co decyduje o prawdziwym powodzeniu na tym świecie, ani pieniędzy, ani sławy. Ani nawet miłości. Jedyłą kobietę, która cię kochała, traktowałeś tak źle, że nie mogła tego dłużej wytrzymać i sama odeszła.

Przełknąłem ślinę.

– Dużo o mnie wiesz, Griffin.

– Wiem o wiele więcej. To właśnie można, między innymi, kupić za pieniądze: wiedzę. Użyteczną wiedzę. I władzę. A jeśli tobie się wydaje, że ta śmieszna, do niczego nieprzydatna wiedza, jaką w pocie czoła i przy licznych wyrzeczeniach zebrałeś przez

dwadzieścia lat..., że ta wiedza w ogóle ma jakieś znaczenie... To się mylisz. To, co robisz, jest gównieście. Więc nie zmuszaj mnie, żebym zrobił użytek z mojej wiedzy. Rezultat mógłby ci się nie spodobać.

Zniżył głos.

– A teraz spieprzaj stąd.

Odstawiłem filiżankę na stolik. Bardzo się starałem, żeby porcelana nie zabrzęczała i żeby Griffin nie zauważył, że trzęsą mi się ręce. I nawet mi się to udało.

Spojrzałem na Polę. Wpatrywała się w przyciemnioną szybę okna.

– Idę – zdecydowałem. – Za zimno tu dla mnie. Można dostać kataru.

Dotarłem do wyjścia. Już przy drzwiach spojrzałem jeszcze na Polę. Podniosła ręce do góry, żeby poprawić włosy. Biznesmeni dwa stoliki dalej odwrócili głowy i nie kryjąc się gapili się na jej biust.

Çanakkale to miasto, które żyje z nie wiadomo czego. Z całą pewnością istnieje jakiś czynnik nakręcający ekonomię, ale ja go jeszcze nie odkryłem. Przez długi czas myślałem, że głównym źródłem dochodu mieszkańców są przeprawy promem na drugą stronę cieśniny i rząd sklepików wzdłuż portowej ulicy, z podróbkami markowych ciuchów i plastikowymi gadżetami z Chin. Ale opłaty za prom są tak śmiesznie niskie, że wątpię, czy wystarczają na pokrycie pensji załogi. A sądząc po ilości kurzu, jaka pokrywa każdy przedmiot w tych sklepikach, ich obroty też nie są gigantyczne.

W każdym razie właściciel baru obok portu nie mógł narzekać. Lokal był taką samą ponurą i duszną dziurą jak wszystkie inne w okolicy, ale zdołał zająć całą wąską trzypiętrową kamienicę. Jeśli człowiek nie był za bardzo pijany, żeby wspiać się po schodach, mógł sączyć zimne piwo, podziwiając panoramę na cieśninę i półwysep Gelibolu. Zawsze wydawało mi się to o wiele lepszym pomysłem niż oglądanie tego samego krajobrazu o suchym pysku, pod krzakiem na zapyłonym wzgórzu.

Kiedy podpierając się butelką efesa, wlałem po stromych schodach na drugie piętro, zobaczyłem, że do finansowego wsparcia społeczności Çanakkale postanowiło przyłożyć rękę jeszcze sporo innych osób. Bar pełen był plecakowych turystów w wypłowiałych szortach i przepoconych podkoszulkach bez rękawów, próbujących dopchać się do otwartych okien, nie dla widoków, tylko żeby złapać powiew nieistniejącego wiatru. Lokalna młodzież w odprasowanych koszulkach polo, wykrochmalonych dżinsach, falbaniastych mini i lakierowanych sandałkach zużywała całe powietrze i zajmowała całą przestrzeń.

Jedyny kawałek wolnego miejsca był przy stoliku w kącie, obok faceta, przed którym stała opróżniona do połowy butelka *raki* i trzy puste efesy.

Dałem krok w tamtą stronę. Dijeke podniósł głowę i popatrzył na mnie przekrwionymi oczami. Zatrzymałem się, ale poklepał stołek obok siebie.

– Proszę – powiedział.

To przynajmniej, w łomocie muzyki i rozmów, odczytałem z ruchu jego warg. Znowu opuścił głowę, mamrocząc jeszcze jakieś słowo, może „siadaj”, ale równie dobrze mogło to być „spadaj”.

Przysiadłem i popatrzyłem na kiczowate dyskotekowe neony.

Dijeke podniósł głowę. Stuknąłem butelką efesa o stojącą przed nim pustą flaszkę i pociągnąłem duży łyk. Piwo smakowało obrzydliwie, ale chłód spływający w gardło był cudowny.

Dym papierosowy unosił się wokół nas gęstymi chmurami, jak efekty specjalne na teledyskach z czasów mojej młodości.

Nie wiedziałem, co mógłbym powiedzieć, więc milczałem.

– Ja tego nie zrobiłem, Mario – wybełkotał Dijeke, przekrzykując muzykę.

– Czego?

– Ja jej nie zabiłem. Nie zabiłem Nadii.

– Ale przecież... – Ugryzłem się w język. – To fajnie – dorzuciłem trochę bez sensu.

Uniosłem w jego kierunku butelkę i przyłożyłem szyjkę do ust.

– Nie wierzysz mi?

– To chyba wszystko jedno, czy ja ci wierzę, czy nie.

– Ale ja tego nie zrobiłem – powtórzył Dijeke.

Zrobiłem ruch, żeby się podnieść. Piwo było tak paskudne, że równie dobrze mogłem wypić je gdzieś na stojąco.

Dijeke złapał mnie za nadgarstek.

– Proszę – powiedział. – Proszę.

Opadłem na stołek. Dijeke znowu opuścił głowę i siedzieliśmy otoczeni barowym hałasem. Sięgnąłem po leżące przed nim fajki.

– Można? – krzyknąłem.

Machnął ręką.

Zapaliłem jednego. Zaciągnąłem się. Dopadł mnie kaszel, ale potem zrobiło się bardzo przyjemnie.

– Ktoś jej poderznął gardło – przypomniałem. – Jeśli nie ty, to kto?

Dijeke wyglądał, jakby mu się odbiło piwem. Oczy mu zaszczyły mgłą. Odchyliłem się i przesunąłem nogi, żeby nie narzygał mi na buty. Ale niepotrzebnie. Przełknął ciężko ślinę i z trudem zogniskował na mnie spojrzenie.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego. Przysięgam!

– Dobrze, dobrze. – Zaciągnąłem się. – Aż tak bardzo mnie to nie interesuje.

– Mario, naprawdę. – Złapał mnie za rękę. Odepchnąłem jego dłoń. – To mógł być każdy.

– Niewątpliwie – zgodziłem się uprzejmie.

– Mario, ty nie rozumiesz. Ona była... ona była...

Patrzyłem na niego w milczeniu.

– Napalona – dokończył na bezdechu. Zacerpnął głęboko powietrza. – Przecież facet może chyba czasem skorzystać z okazji, nie? Ona była strasznie napalona.

Wyciągnął papierosa z paczki.

– Ciągłe jej było mało. Tylko Jan i Jan, chodź tu do mnie na chwilkę, wszędzie i o każdej porze. W ruinach, to był jej ulubiony pomysł. Chodź, mówiła, pięć tysięcy lat historii będzie się przyglądało, jak cudownie się pieprzymy. Tak mówiła.

– No właśnie – powiedziałem. – Umówiłeś się z nią w ruinach i poderznąłeś jej gardło na archaicznym ołtarzu. Przed bzykaniem czy po? Lekarz sądowy na pewno to już stwierdził, ale wątpię, żeby podzielił się ze mną takimi ploteczkami. Więc powiedz, proszę, zaspokój moją ciekawość.

Dijeke złapał się za głowę i potrząsnął nią, jakby chciał wytrzeźwieć w ekspresowym tempie.

– Nie, nie, to nie tak było.

Napiłem się piwa.

– Mieliśmy tam pójść tej... tej nocy. Tak się umówiliśmy. Miałem na nią czekać w koniu. Tym drewnianym, na samej górze, bo stamtąd widać drzwi domu wykopaliskowego. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

– Miała jeszcze załatwić coś z Frankiem, nie chciała, żeby ktoś zobaczył, że wychodzimy razem. Nie wiem, dlaczego tak strasznie jej zależało, bo wszyscy i tak pewnie plotkowali. Miałem poczekać w koniu, aż skończy, a potem pójść za nią...

Głos mu się załamał. A w każdym razie spadł poniżej granicy słyszalności.

– I co? – zapytałem.

– Nie doczekałem się. Rozumiesz? Wszyscy już poszli spać, ale Frank i Vasif ciągle się kręcili, wchodzili i wychodzili, wszystko to strasznie długo trwało, i w końcu nie wytrzymałem. Przysięgam! Wróciłem prosto do domu i położyłem się do łóżka.

Wpatrywał się we mnie. W pulsującym w rytm muzyki świetle trudno było odróżnić przekrwione białka od źrenic.

Nie odpowiedziałem. Zagapiłem się w okno. Po drugiej stronie cieśniny słońce było już nisko, ale jego promienie nie mogły się przebić w głąb baru i tylko ukośnie lizały ramę okna. Niedaleko pomnika na półwyspie mrugało słabo widoczne światło.

– Nie żal ci jej? – spytałem.

– Oczywiście – wybełkotał. – Oczywiście, oczywiście, oczywiście. Bardzo mi jej żal, naprawdę. Ale tak między nami – mrugnął do mnie – wcale mi nie żal, że moja żona się o niczym nie dowie. Wcale a wcale.

Patrzył na mnie błagalnie. Wzruszyłem ramionami.

– Policja nic od ciebie nie chce – spróbowałem przekrzyczeć rozwrzeszczany tłum. – Wygląda na to, że nie mogą znaleźć dowodów, żeby cię wsadzić. Albo masz tutaj w Çanakkale bardzo dobrych znajomych.

– Ty mi nie wierzysz, Mario.

– O co ci chodzi? To jest twój problem? To, czy ci wierzę? Nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie ma.

– Dlaczego? Nie mogę ci nic zrobić, nawet gdybym bardzo chciał. Mogę co najwyżej przypieprzyć ci tą butelką – podniosłem do góry flaszkę efesa – ale będę miał z tego więcej kłopotów niż przyjemności. Powinieneś się teraz martwić tylko tym, czy policjanci jednak nie zmieniają zdania i nie dobiorą ci się do dupy.

Dijeke popatrzył na mnie przekrwionymi oczami.

– Nie mów tak! – wrzasnął.

– Jak?

– Nie mów tak, jakbym ja miał cokolwiek wspólnego z jej śmiercią. Ja tego nie zrobiłem, słyszysz?! Nie zabiłem jej!

– Słyszę – powiedziałem. – Słyszę.

Ponad głowami tłumy za oknem szumiało morze, a w każdym razie tak podejrzewałem. Odgłos fal nie przebiłby się przez tureckie techno. Po drugiej stronie cieśniny malutkie światelko migotało i migotało.

Nagle straciłem ochotę na piwo i na towarzystwo. Bez pytania wsadziłem sobie jego fajki do kieszeni i wstałem ze stolka.

– Nadia dostała udaru – poinformowałem go. – Zmarła śmiercią naturalną. To oficjalny wynik sekcji.

Dijeke zagapił się na mnie z otwartymi ustami i smarkiem przyklejonym do policzka. Zamknął usta i znowu otworzył, jakby chciał coś powiedzieć.

– Daruj sobie – uprzedziłem go. – Nie marnuj czasu na rozmowę ze mną. Jak wytrzeźwiejesz, to będziesz na siebie zły, że pozwoliłeś się oglądać w tym stanie takiemu facetowi jak ja.

Przeciągnął ręką po policzku. Glut rozmazał się jeszcze bardziej.

– Mario – zaczął, ale odwróciłem się i wyszedłem.

Z nieba lał się żar. Zszedłem po schodach prosto na nabrzeże. Uwiązane motorówki objęły się o siebie z chlupotem, od które-

go robiło mi się niedobrze. Odwróciłem butelkę i wylałem piwo do morza. Próbowiałem wrzucić flaszkę do przesypującego się śmietnika, ale wypadła i potoczyła się po asfalcie.

Usiadłem na betonowym krawężniku naprzeciwko rzeźnika i zapaliłem jeszcze jednego papierosa, żeby stłumić słodkawy smród mięsa kołyszającego się na hakach, na tle białych kafelków. Zaciągnąłem się i zatrzymałem powietrze w płucach. Potem powoli wypuściłem dym. Smakował tak samo ohydnie jak poprzedni. Beton miał temperaturę ludzkiej krwi.

Siedziałem, paliłem i patrzyłem na korek przy zjeździe na prom i ludzi przepychających się z tobołami przy stojących w kolejce autokarach. Kierowcy siedzieli w szoferkach, a przy każdym otwartym luku bagażowym uwijał się chudy chłopak, wyszarpywał walizki podróżnym, jednym ruchem wrzucał je w czeluście autokaru i wciskał w wyciągnięte dłonie numerki. Przy każdym autobusie był tylko jeden bagażowy. Żaden z nich nie wyglądał na więcej niż szesnaście lat. Żaden z nich nie wyglądał, jakby mógł unieść do góry coś cięższego od chudego kota.

Patrzyłem na spoconych facetów rzucających pety prosto pod koła i rozwrzeszczane kobiety, zaganiające oszalałe ze zmęczenia dzieciaki. Patrzyłem na tych ludzi, którym spieszyło się w drogę, do Istambułu, Edirne i cholera wie gdzie jeszcze.

Myślałem o facecie, który zabił Poliksenę. To znaczy Nazife. I Nadię. Kręciło mi się w głowie, z głodu, od fajek, piwa i hałasu.

Nadia, z poderżniętym gardłem, na ołtarzu, złożona w ofierze. Tylko że ona nie została złożona w ofierze. Umarła sama. Ktoś podciął gardło zimnemu, a w każdym razie stygnącemu, trupowi. Czy starożytni bogowie przyjmowali dary z nie do końca świeżej padliny? Trochę w to wątpiłem, ale nie byłem przecież ekspertem. A co z Nazife, zabita głębokim pociągnięciem ostrego noża, tak jak Poliksena na grobie Achillesa? Czy naprawdę okoliczne panienki napastował świr z mitologicznym odchylem? Którego rekonstruowanie zapleśniałych ze starości

mitów, z wykorzystaniem ostrych narzędzi i żywych ciał, rajcowało bardziej niż samo zabijanie.

Jakiś samochód przejechał milimetry od mojej nogi. Kierowca nawet nie zatrąbił ani nie wychylił się, żeby mnie opieprzyć. Nikogo nie obchodziło, że siedzę przy ruchliwej ulicy i palę papierosa. Mogłem robić, co zechcę. Çanakkale, miasto, kurwa, wolności.

Popatrzyłem na tumult i korek na głównej ulicy, a potem zamknąłem oczy.

Nadia umarła, gdy jakaś małeńka tętniczka w jej głowie nie wytrzymała i pękła. Dijeke nic o tym nie wiedział. I czuł się winny, bo ze wszystkich sił usprawiedliwiał się przede mną. Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć, a jeszcze mniej, żeby mu wierzyć. Ale wyraz zaskoczenia w jego oczach wyglądał na autentyczny.

Drgnąłem. Papieros wypalił się i oparzył mi palce. Wypuściłem go i patrzyłem, jak toczy się wzdłuż krawężnika. Wyciągnąłem z paczki kolejnego.

Jedno do drugiego nie bardzo pasowało i wpadłby na to nawet drugorzędny detektyw z telewizyjnego serialu. W brzuchu potwornie mi zaburczało. Nic więcej nie mogłem wymyślić, siedząc na krawężniku, w syfie, i próbując oszukać głód fajkami. Podniosłem się i poczłapałem przez zakorkowaną ulicę.

Budki z pamiątkami dla turystów przy porcie były ciągle otwarte. Ustawiłem się w krótkiej kolejce i zamówiłem duży *tavuk şiş* i *ayran* do popicia. Wziąłem jedzenie i przeniosłem papierową tackę z kurczakiem i kubek z ayranem na czerwony, odrapany stolik na wysokiej nodze. Z tego miejsca mogłem jeść i podziwiać dantejskie sceny w porcie.

Biały prom wyłonił się z cieśniny jak duch i podpłynął do nabrzeża, marynarze wrzucali do wody cumy grubości mojego ramienia, a inni faceci na betonowym pomoście wyciągali je i zakładali pętle na żelazne pacholki. Zardzewiała kłapa opuś-

ciła się ze zgrzytem i z brzucha statku zaczął się wysuwać sznur pojazdów.

Przez kolejkę przeszedł dreszcz. Kierowcy rzucili się do swoich samochodów, drzwi trzaskały, silniki wyły na jałowym biegu, a ulica napełniła się kłębami spalin. Pasażerowie, poganiiani przez bagażowych, wciskali się przez wąskie drzwi do autokarów. Piesi przepychali się z boku, lawirując między autobusami.

Coś mi mignęło. Ktoś znajomy. Odłożyłem *siś* na papierowy talerz. Przy drzwiach autobusu czekał wysoki, chudy chłopak w czerwonej koszulce w paski. Stojąca obok blondynka położyła mu na ramieniu głowę.

– Jason! – krzyknąłem. – Eva!

Puściłem się biegiem między ludźmi. Zdążyłem złapać go za podkoszulek tylko dlatego, że jakaś gruba baba zablokowała drzwi, próbując dźwignąć tyłek na stopień autobusu.

– Jason – wysapałem. – Co ty tutaj robisz?

Nie odpowiedział. Eva zacisnęła usta w wąską kreskę i odwróciła głowę.

– Co tutaj robicie? – powtórzyłem, kiedy oddech mi się uspokoił. – Jest... cholera, nie mam zegarka. – Spojrzałem na wieżę zegarową. – Szósta trzydzieści. Wybieracie się gdzieś?

Jason coś mruknął niewyraźnie.

– Możesz powtórzyć?

– Wyjeżdżamy.

– O! Policja nie będzie was ścigać?

Wargi dziewczyny znowu się zacisnęły.

– A dokąd wyjeżdżacie?

– Jedziemy tylko do Stambułu. A zresztą co cię to obchodzi, Mario!

– Hej, mały, trochę grzeczniej, dobra? Możesz się do mnie na przykład zwracać per panie profesorze. Nic mnie to nie obchodzi, jeśli chcesz wiedzieć.

– To się nas nie czepiaj, panie profesorze. Autobus zaraz odjeżdża.

Kierowca zatrąbił. Bagażowy wskoczył przez przednie drzwi i wciągnął do środka tłustą babę. Kilka osób stojących za nami przesunęło się w stronę wejścia.

– Musimy już wsiadać.

Jason zrobił krok do przodu. Eva trzymała go mocno za rękę. Może się bała, że ją porwę.

– Słuchajcie – powiedziałem. – To nie moja sprawa, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego wyjeżdżacie właśnie teraz. Mervyn załatwił wam przecież robotę przy porządkowaniu magazynu.

Jason pokręcił głową. Eva przyłgnęła mocniej do jego ramienia.

– Mario – prawie szeptała. – Ja się boję. Po tym, co powiedziała Marilles... Ona ma rację. Nie mogę tu zostać. Wszyscy powinniśmy wyjechać.

– Wcześniej się nie bałaś. Oboje byliście bardzo dzielni i wciśkaliście mi gadkę o wyścigu szczurów, w którym musicie uczestniczyć. A teraz co, nastraszyła was jedna pijana wariatka?

Eva zacisnęła usta jeszcze bardziej.

– Przepraszam – powiedziała.

Jason spojrzał mi w oczy.

– Są rzeczy ważniejsze od archeologii. Od nauki.

– O, niewątpliwie – przytaknałem. – Pracuję w tym zawodzie od prawie dwudziestu lat i już dawno przestałem mieć złudzenia, że to jest ważne dla kogokolwiek oprócz mnie samego i garstki podobnych popaprańców.

Pokręcił głową.

– Nie rozumiesz. Archeologia naprawdę mnie pasjonuje, tylko że... – zawahał się. – To i tak nie ma przyszłości. Z tego się nie da żyć.

– Rozumiem. Tylko nie wierzę. I przestań mi już odstawiać nieśmiertelną gadkę: „w dzieciństwie bardzo chciałem być archeologiem, tylko później, niestety...”. Słyszałem ten tekst tyle razy, że chyba niedługo każę go sobie wydrukować na podkoszulku.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę bez słowa.

– Nieważne – powiedział w końcu.

Kierowca znowu zatrąbił.

Rozejrzałem się. Między głowami ludzi zobaczyłem, że właściciel budki z jedzeniem wyrzuca do kosza mój ledwo napoczęty *śis*. Bagażowy wysiadł z autobusu i zaczął coś do nas trąkotać. Olałem go.

– Bierzcie swoje bagaże i idziemy – rozkazałem.

– Szerokiej drogi. – Jason otoczył Evę ramieniem i popchnął, niezbyt delikatnie, w stronę wejścia do autobusu.

Wyszarpnąłem mu z ręki numerki i podałem bagażowemu.

– No już – zarządziłem. – Poprosimy rzeczy tych państwa.

Bagażowy zaczął coś mówić. Nawet nie próbowałem tego zrozumieć. Obszedłem autobus i pochyliłem się nad otwartym lukiem.

– Eva! – wrzasnąłem. – Który plecak jest twój?

Jason podbiegł za mną i próbował mnie odciągnąć, ale odepchnąłem go. Zatoczył się. Pochyliłem się, żeby wyciągnąć bagaż z luku, ale bagażowy zaczął krzyczeć i złapał mnie za rękę. Uścisk miał potwornie mocny. Jason doskoczył z drugiej strony i razem odciągnęli mnie od autobusu. Eva stała i przyglądała się temu, przyciskając dłonie do warg.

Jason zabrał mi numerki. Obciągnął podkoszulek i szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę autobusu. Eva drgnęła jak wyrwana z transu i pobięła za nim.

Bagażowy zatrzasnął mi luk przed nosem. Wolnym krokiem okrążyłem autobus i zatrzymałem się na chodniku. Kierowca zatrąbił i pojazd zaczął się toczyć w otwartą czeluść promu.

Podniosłem głowę. Eva siedziała przy oknie, z czołem przyciśniętym do szyby i patrzyła na mnie. Nie mogłem odczytać wyrazu jej oczu, ale niewiele mnie to obchodziło. Byłem strasznie zmęczony i wciąż głodny.

Zawsze inaczej wyobrażałem sobie śledztwo w sprawie zabójstwa. Wydawało mi się, że miejsce zbrodni powinno być otoczone kordonem policji, a wszyscy świadkowie dzień i noc poddawani niszczącemu nerwy przesłuchaniu. Albo przynajmniej powinien pośród nich krążyć upierdliwy porucznik Columbo, który potrafiłby wydobyć prawdziwą wersję wydarzeń nawet z nogi od stołu.

W Troi nie działo się nic, a w każdym razie niewiele. Policjanci więcej się nie pojawili. Przesłuchano nas tylko raz, a śledczych interesowały głównie tak intymne szczegóły naszego życia, jak stały adres zamieszkania i numer paszportu. Wszystkich członków ekipy poproszono uprzejmie o nieopuszczanie kraju i pozostawianie do dyspozycji (a przynajmniej o podanie aktualnych numerów telefonów komórkowych). Frank został raz czy dwa wezwany na komendę w Çanakkale, ale z faktu, że za każdym razem wracał i nikt go nie aresztował wywnioskowałem, że kazali mu tylko podpisywać różne papiery. Być może miejscowa policja trzymała coś w zanadrzu, ale jeśli tak, to nikt się z tym nie zdradził.

Mnie to nie obchodziło.

Pracowałem.

Wstawałem, gdy tylko na zewnątrz zrobiło się jasno, i siedziałem tak długo, żeby zdążyć do domu przed zmierzchem. Wychodziłem z dusznej, rozpalonej pracowni jedynie po to, żeby coś zjeść, i do kibla. Piwo wyciągałem z lodówki w jadalni, lecz wkrótce się skończyło, a ja ciągle zapominałem kupić nowe. Musiałem pić wodę, letnią, słodkawą i ohydą w smaku.

Rano otwierałem okiennice i włączałem wentylator pod sufitem, a łopatki wyplecione z ażurowej siatki męłły powoli

powietrze, ani przez chwilę nie chłodząc skóry jakimkolwiek podmuchem. W południe musiałem zasłaniać okna. Zapalałem wtedy wszystkie światła: jarzeniówki na górze i nad zlewem oraz powyginane metalowe lampy na stołach. Nie było czym oddychać. Wszystkie przedmioty, których dotykałem, były cieplejsze od moich dłoni. Wierzcie mi, to obrzydliwe uczucie.

Dni mijały.

Pracowałem.

Ktoś przechodził kamiennym chodnikiem pod drzwiami, żwir zgrzytał pod kołami samochodów. Siatkowe drzwi trzaskały o framugę kuchni, głosy zbliżały się i oddalały. Wydawało mi się, że raz czy dwa usłyszałem Griffina, ale mogłem się mylić. Nie obchodziło mnie to. Rejestrowałem dźwięki tylko najcieńszą, najpłytszą warstwą świadomości, cała reszta pochłonięta była czymś innym.

Pracowałem.

Kilka razy drzwi pracowni otworzyły się z cichym zgrzytem metalu o beton i do środka wpadł snop jaskrawego światła i fala duszącego powietrza. Kilka razy ktoś stanął na progu, a raz chyba nawet wszedł do środka. Nie podnosiłem głowy, żeby sprawdzić kto to. Jak długo mi nie przeszkadzał, nie interesowało mnie to.

Pracowałem.

Wycinałem z modeliny płaskie, wąskie paski i rozpinalem je między kołeczkami na punktach antropometrycznych. Jeden między prosthionem a zygionem, drugi od bregmy do euryonu, trzeci między supraorbitale i stephanionem. I tak dalej, dopóki cała czaszka nie pokryła się siecią skomplikowanych połączeń.

Wypełniłem luki między paskami ugniecioną modeliną. Była miękka i łatwo poddawała się naciskowi palców. Przynajmniej tyle korzyści z upału.

Delikatnie upchnąłem kulkę waty w otworze nosowym, starając się nie połamać cienkich jak papier kości. Zmierzyłem w najszerszym miejscu. Według standardowych pomiarów dla

rasy białej, po dodaniu do szerokości otworu pięciu milimetrów z każdej strony, otrzymuje się prawdopodobną szerokość skrzydełek nosa. Bywają odchylenia od tej zasady, ale miałem je gdzieś.

Zmierzyłem też kołec nosowy. Odwróciłem czaszkę bokiem i próbowałem wyobrazić sobie kształt nosa. Musiał mieć lekką krzywiznę, mały garbek, ledwo dostrzegalny, widoczny tylko z profilu.

Jak nos Ayçy.

Zabrałem się za oczy. Uformowałem z modeliny dwie kulki i wyznaczyłem szerokość oczodołów: po skosie, pionowo i poziomo. Na przecięciu się tych linii powinny znajdować się źrenice. Delikatnie wsunąłem szklane soczewki w oczodoły i patyczkiem zmieniałem ich położenie tak długo, aż spojrzenie dziewczyny przestało się rozjeżdżać, a ona sama wyglądać jak studium ciężkiego przypadku kretynizmu. Trik polega na tym, żeby źrenice znalazły się mniej więcej na tej samej szerokości co kąciki ust i w jednej linii. Może to brzmi prosto, ale proszę bardzo, spróbujcie to zrobić w upale, po nieprzespanych nocach i kilku dniach bez kropli piwa.

Dolepiłem powieki. Za nisko i moja modelinowa dziewczyna przybrała wyraz twarzy tępej krowy. Odlepiłem i spróbowałem jeszcze raz, tak, żeby powieki przykrywały górną krawędź tęczówki, ale nie za bardzo, i odsłaniały całe źrenice. Znowu się nie udało. Spróbowałem ponownie. I jeszcze raz. Wreszcie znalazłem właściwą pozycję i patyczkiem docisnąłem powieki lekko do kącików oka. Dolne były łatwiejsze, musiałem tylko uważać, żeby jednym ruchem nie spieprzyć tego, co z takim mozołem wyrzeźbiłem do tej pory.

Zostały usta, jeszcze trudniejsze od oczu. Szerokość sześciu przednich zębów pokazuje, gdzie powinny znajdować się kąciki warg, a umiejscowienie szpary ust jest na jednej trzeciej wysokości siekacza, tyle że prawie niemożliwe jest dokładne odtworzenie grubości mięśni w okolicach ust. Albo wychodzi za mało,

i ofiara wygląda jak bezzębna staruszka, albo za dużo, i przypomina małpę. Ta dziewczyna miała delikatne, cienko wykrojone rysy. Usta też musiały być delikatne.

Przylepiłem ostatnie paski modeliny i delikatnie wygładziłem je palcami.

Lewa strona twarzy była nagą kością, tylko w oczodole tkwiła szklana soczewka. Ale prawa połowa, pokryta modelinową skórą, została skończona.

Była piękna.

Poliksena.

Nazife.

Jezu, ale byłem zmęczony!

Przeciągnąłem się, aż chrupnęło. Nie miałem pojęcia, która mogła być godzina, ani ile dni spędziłem w pracowni. Wstałem i wyjrzałem przez okno. Nie zauważyłem, że zapadła noc i pojawił się księżyc, nie idealny krąg, ale nadgryziony z prawej strony. W okiennej moskitierze brzęczały komary, każdy złakniony mojej krwi.

Wymarłem spocone ręce w spodnie. Włosy miałem przylepione do czaszki, a skóra za lewym uchem irytująco mnie swędziała. Pochyliłem się i poczułem pulsowanie w skroniach. Oparłem dłoń na udach, dźwignąłem się powoli ze stołka i jeszcze raz się przeciągnąłem.

Poczułem głód. Otworzyłem szeroko drzwi. Prostopadłe światło z wnętrza pracowni padł na betonową ścieżkę i oświetlił rachityczną śliwę oraz zardzewiałą beczkę po oleju. Zacząłem nadśłuchiwać. Z jadalni nie dochodziły żadne głosy, a okna pokoju konferencyjnego obok były ciemne i zasłonięte okiennicami. Dałem krok w noc, ale serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Cofnąłem się.

Szarpnąłem zamek w biurku Vasifa i rozejrzałem się za jakimś łomem, ale niepotrzebnie. Drzwiczki odskoczyły od razu. Wyciągnąłem ze środka butelkę *raki*, obejrzałem ją pod światło, odkręciłem i pociągnąłem duży łyk. Bez wody smakowała jak

skoncentrowane paliwo lotnicze. Dokładnie to, czego potrzebowałem tej nocy.

Usiadłem na progu, na rozgrzanym betonie w smudze światła, wyprostowałem nogi, odchyliłem głowę. Pociągnąłem jeszcze tęk i zamknąłem oczy.

Usłyszałem kroki, a potem głos:

– Czy mogę przejść?

– Która godzina? – spytałem, nie otwierając oczu.

– Wpół do jedenastej – powiedział głos.

– To ty jeszcze pracujesz o tej porze, Frank?

– Jak widać. Przepuścisz nas?

Podniosłem głowę.

– W noc śmierci Nadii też tak długo pracowaliście?

Żaden z nich nie odpowiedział. Powoli podciągnąłem nogi. Frank, a za nim Vasif, weszli do pracowni.

– Co to jest?

Podpierając się butelką, dzwignąłem się na nogi i poszedłem za nimi. Stali przy stole i wpatrywali się w czaszkę oklejoną w połowie modeliną.

– Rekonstrukcja rysów twarzy metodą plastyczną. Teraz to się już głównie robi w komputerze, ale czasami warto poćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy. Czy mogę ci czymś służyć, Frank?

– Nie, hm... Nie.

– To odsuń się trochę, bo chcę dokończyć to, co robię.

Frank odchrząknął, otworzył usta, a potem je zamknął. A potem otworzył jeszcze raz.

– Picie alkoholu w pracy jest zabronione.

Spojrzał znacząco na butelkę, którą trzymałem w dłoni.

– Nie rozśmieszaj mnie, Frank – poprosiłem i pomachałem mu butelką przed nosem. Odskoczył, jakbym trzymał żywego skorpiona. – Już od kilku dni zajmujemy się tu wyłącznie działalnością charytatywną. Nie możesz człowiekowi odmówić pokrzepienia po ciężkiej pracy.

Popatrzył na mnie z potępieniem, ale siła jego spojrzenia nie zrobiła na mnie wrażenia. Może dlatego, że byłem naprawdę bardzo zmęczony. Frank odsunął się jeszcze dalej.

– To są te, hm, pudła, o których mówiłem, Vasif.

Obszedł stół i zbliżył się do regału pod przeciwległą ścianą.

– Proszę. Przejrzyj jeszcze raz A2I1 i A2I2. Zobacz, czy coś z tego nadaje się do konserwacji. Jeśli tak, zaznacz to w bazie danych i zrób oddzielną listę dla Pascuala. I wydrukuj ją, proszę, w trzech egzemplarzach: jeden dla niego, jeden dla mnie i jeden dla... Jeden trzeba wysłać do Çanakkale.

Wziąłem leżący na półce aparat, sprawdziłem baterie i pochyliłem się nad modelinową Polikseną. Spróbowałem najpierw z fleszem, a później bez. Potem wyciągnąłem z plecaka laptopa i ustawiłem go na zakurzonej blacie.

– *Show must go on* – powiedziałem. – *Ars longa, vita brevis*. I inne tego rodzaju pierdoły. Zgodzisz się ze mną, Frank?

Odwrócił się i podparł pod boki. Koszula przylepiała mu się do obwisłego brzucha.

– O co ci chodzi, Mario? Mamy mnóstwo kłopotów, a ty jeszcze wszystko utrudniasz.

Wyszczrzyłem do niego w uśmiechu wszystkie zęby. Sięgnąłem po butelkę i napiłem się.

– Nie spotkałem się jeszcze z sytuacją, żeby ktoś nazwał mordstwo kłopotem, ale to rewelacyjne określenie. Sam będę go od dzisiaj używał. Dzięki!

Frank potarł obiema dłońmi swoje policzki buldoga.

– Żałuję – powiedział w końcu. – Żałuję, że uległem namowom Poli i zaprosiłem cię tutaj.

– Ja też trochę żałuję. Upał, muchy i takie sobie jedzenie. Ale w sumie nie jest tak źle, można się przyzwyczaić.

Ręka Franka, którą odgarniał do tyłu rzadkie włosy, zawisła w powietrzu.

– Nie będę z tobą rozmawiał. – Odwrócił się tyłem. – Vasif, daj mi znać, jak skończysz. Będę przy moim biurku.

Ruszył w stronę drzwi, ale po kilku krokach zmienił zdanie. Podeszedł powoli do stołu, przy którym siedziałem.

– Skąd jest ta czaszka? – spytał.

– Z wykopalisk.

– Czy chociaż jeden raz możesz mi odpowiedzieć normalnie?

– Ależ ja ci odpowiadam normalnie, Frank. Czaszka jest z wykopalisk.

– To jest... – Policzki Franka zafalowały. – To jest ten szkielet...?

Pokiwałem głową.

– Przywieźliście go tutaj?

– Przecież sam się nie teleportował.

– Jezu – szepnął. – Jezu.

– Frank, czy naprawdę myślisz, że to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? Chodź, coś ci pokażę.

Zamamrotał coś pod nosem, ale podeszedł bliżej. Odsunąłem się i zrobiłem mu miejsce, żeby mógł widzieć ekran laptopa. Twarz Nazife, sklejona w photoshopie z dwóch połówek, uśmiechnęła się do niego tajemniczo.

Frank zdjął okulary i otarł wierzchem dłoni wilgotny garbek nosa. Cofnął się o krok i potknął się o moją wsuniętą nogę. Stracił równowagę i złapał za brzeg stołu.

– Uważaj – zwróciłem mu uwagę.

Wyprostował się. Oddychał głośno.

– Znałeś ją? – spytałem. – Widziałeś ją już kiedyś?

Patrzył jak zahipnotyzowany w ekran, aż wreszcie zmusił się, żeby oderwać od niego wzrok i spojrzeć na mnie.

– Nie – odparł. – Nie.

Obrócił się na pięcie i szybko wyszedł. Podeszwy jego butów zaszurały na betonowym chodniku za drzwiami.

Popatrzyłem na Vasifa. Zdjął pudło z regału, przeniósł je na stół pod oknem i włączył stojący obok wielki, zakurzony komputer. Wyglądał źle. Ramiona miał przygarbione, a lśniące od

potu czoło przecinały mu głębokie zmarszczki. Był blady, a jego opalenizna przybrała kolor charakterystyczny dla ludzi z chorą wątrobą.

Podszedłem bliżej.

– A ty? – spytałem.

– C-co ja?

– Widziałeś ją kiedyś?

Przesunąłem ekran laptopa w jego stronę.

Podniósł głowę, ale zaraz ją opuścił. Nacisnął kilka klawiszy w komputerze i pochylił się nad kartonem.

Usiadłem na twardym, metalowym krześle, ze zgrzytem odsunąłem je od stołu i oparłem nogi na blacie.

– Napij się trochę. – Postawiłem przed nim flaszkę. – W końcu to twoja.

Zerknął szybko na *rak*, później na mnie, a potem znowu opuścił głowę.

– Mam takie wrażenie – zacząłem – jakbym oglądał nas w telewizji. Wiem, że to gra, ale za cholerę nie rozumiem, o co w niej chodzi. Sporo przez to tracę. Oświecisz mnie, Vasif?

Wpatrywał się w ekran. Krople potu perliły mu się na czole, jakby miał gorączkę. Komputer trzeszczał cicho, kiedy elektrostatyczne ładunki biegały po obudowie.

– Zdradzisz mi reguły tej gry? No, stary, nie daj się prosić. Ja też chcę się zabawić.

Nie odpowiedział.

– Dlaczego – mówiłem dalej do jego pleców – Frank zachowuje się jakby nigdy nic? Jakby na jego wykopaliskach nie doszło do morderstwa i do zbezczeszczenia zwłok? Dlaczego wszyscy na siłę próbują znaleźć sobie jakieś zajęcie, zamiast siedzieć i płakać? Dlaczego nie jesteście w szoku? Z wyjątkiem tej biednej Marilles, oczywiście. Dlaczego ty jesteś w stanie katalogować jakieś kretyńskie zabytki? Dlaczego przyjeżdża nowy konserwator? Co tu jeszcze robi Griffin, chociaż nawet taki nieuk jak ja wie, że z tych wykopalisk nic już nie będzie? Powiedz

mi, Vasif. Te reguły są strasznie skomplikowane, a ja bym chętnie dołączył.

Vasif odsunął się gwałtownie od stołu. Jego twarz w ostrym świetle żarówek była jeszcze bledsza.

– D-dlaczego t-ty się mnie, k-kurwa, ciągle cz-czepiasz?

– No, no, chłopcze, po co te nerwy! Nie czepiam się ciebie, a już na pewno nie ciągle. Rozmawiamy. Jak kulturalni ludzie. Chcę się tylko dowiedzieć, czy ta panienka na ekranie jest podobna do Nazife. Znałeś ją, podobno bardzo dobrze, jak twierdzi Gülsün, a ta plotkara wie wszystko. Poza tym przyjaźnisz się z jej siostrą, więc sobie pomyślałem...

– Z nikim się nie przyjaźnię – przerwał mi. Zaciśnął pięści. – Ayça nie jest moją przyjaciółką.

– Znajomą. Jak chcesz.

Vasif zaciśnął powieki. Wokół jego oczu pojawiła się sieć zmarszczek. Stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, a kiedy wreszcie otworzył oczy, nie było w nich nic.

– D-daj mi spokój, M-mario – powiedział. – Mam b-bardzo dużo p-p-pracy.

– Może jednak coś mi opowiesz. Przecież wy się wszyscy dobrze znacie, w tych cholernych małych wsiach. Prawie śpicie w jednym łóżku. Na pewno możesz mi o niej powiedzieć coś ciekawego. Z kim się spotykała? Czy miała jakichś wrogów? – Zawiesiłem zachęcająco głos.

Milczenie.

– Gülsün powiedziała, że Nazife pracowała tutaj, na wykopaliskach. Może ktoś jej nie lubił.

– P-p-powiedziałem, d-daj mi spokój.

Vasif usiadł na obrotowym krześle, okręcił się w stronę komputera i otworzył przed sobą notes. W rowkach zszytych kartek zebrały się ziarenka piasku. Powoli przesuwiał po zszytciu palcem, wygarniając piasek.

Przysiadłem na blacie jego stołu.

– Wiesz co, Vasif? Ty byś mi pasował na mordercę.

Żadnej reakcji. Vasif wpatrywał się w ekran.

– Znasz okolicę. – Odginałem po kolei palce. – Znałeś Nadię. Znałeś Nazife. Jesteś silny i poruszasz się tak cicho, że kilka razy omal nie dostałem przez ciebie zawału. Co tam jeszcze? – Pomachałem mu przed nosem wyprostowanym małym palcem. – Niewiele gadasz, trudno się domyślić, co ci chodzi po głowie. Idealny typ mordercy. Zgadzasz się ze mną?

Vasif założył ręce na piersi.

– N-nie oglądasz t-telewizji, Mario? – Uśmiechnął się, ale nie był to wesoły uśmiech. – M-morderca musi mieć m-motyw.

– Motyw, powiadasz. – Zamyśliłem się. – Masz rację. Motyw musi być, obowiązkowo.

Pochyliłem się nad nim.

– Motyw się zawsze znajdzie. Trzeba go tylko odkryć. Jaki miałeś motyw, Vasif? Byłeś kochankiem Nazife? Pokłóciliście się? Tak przynajmniej twierdzi Gülsün. Zabiłeś Nazife w czasie kłótni?

– D-dobrze, że nie p-pracujesz w p-policji, Mario. Umarłbyś z g-głodu.

– Policjanci pracują za pensję, nie na akord – rzuciłem lekko. – Nie grasz zgodnie z regułami, Vasif. Miałeś mi pomóc rozwiązać zagadkę.

– O-odpieprz się, d-dobrze?

Dźwignąłem się na nogi. Podeszedłem do mojego laptopa i dwa razy nacisnąłem przycisk drukuj. Kiedy zdjęcie wysunęło się z drukarki, położyłem je przed Vasifem.

– To dla ciebie – powiedziałem. – Na wypadek, gdybyś chciał sobie coś przypomnieć.

Drugie złożyłem i schowałem do portfela. Wyłączyłem program i zawahałem się. Popatrzyłem na Vasifa. Siedział bez ruchu i wpatrywał się w zdjęcie, ale wcale nie wyglądał jak człowiek, który usiłuje sobie coś przypomnieć. Przeciwnie, wyglądał jak ktoś, kto bardzo się stara o czymś zapomnieć.

Obudziłem się z czołem opartym o blat stołu. Na zewnątrz było oślepiająco jasno, pusta butelka koło mnie migotała odbłyskami i raziła moje oczy, a lepki, nieprzynoszący ulgi wiatr łomotał poluzowaną okiennicą. Za oknem ktoś rozmawiał.

Podniosłem głowę. Kark mi zdrętwiał tak, że ledwo mogłem się ruszyć. W tyle czaszki łupał tępy ból.

Podniosłem się ciężko i na zdrętwiałych nogach pokuśtykałem do wejścia. Otworzyłem drzwi i zmrużyłem oczy, ale niewiele to pomogło. Promienie słońca robiły wszystko, żeby mnie oślepić.

Dobiegł mnie łoskot silnika od strony parkingu. Na skraj betonowego chodnika podjechała tyłem śmieciara. Dwóch robotników w spłowiałych podkoszulkach wysiadło z szoferki. Jeden pomachał do mnie na powitanie. Naparli ramionami na zardzewiałą metalową beczkę, stojącą przy ścieżce. Metalowe wieko ześlizgnęło się z brzękiem na beton. W środku wściekle brzęczały muchy. Poczułem smród odpadków. Łupanie w tyle głowy przybrało na sile i czułem nieprzepartą ochotę, by wyrzucić wszystko, co zjadłem w ciągu ostatniego miesiąca.

O czymś pomyślałem i wyprostowałem się. Podeszedłem do robotników mocujących się z beczką. Zajrzałem do środka. Była wypełniona jakimś syfem, w którym zdołałem zidentyfikować marchwiane obierki i wydruki z komputera pokryte rzędami cyfr. Smród był obezwładniający. Cofnąłem się.

– Jak często... – zacząłem. W ustach czułem gęsty śluz. Splunąłem na trawę. – Jak często ją opróżniasz?

Robotnik, którego spłowiały podkoszulek był jakby o ton ciemniejszy, uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział coś po

turecku. Nachylił się i mocniej popchnął beczkę. Jej dolna krawędź oderwała się od ziemi. Robotnicy zaczęli ją ostrożnie przetaczać w kierunku śmieciarki.

– Czekaj. – Oparłem się o beczkę.

Ten w bardziej spłowiałej szmacie na grzbiecie zareagował potokiem słów. Pokazywał na swoje nogi i na śmieciarkę.

– Czekaj. – Szarpnąłem mocniej za krawędź. Beczka opadła z głuchym tąpnięciem. Robotnik ledwo zdążył cofnąć stopę.

Naparłem na beczkę z boku. Była cholernie ciężka.

– Pomóż mi – poprosiłem.

Patrzyli na mnie obaj. Nie spuszczaali ze mnie wzroku.

– Czekaj... eee, *bekle*. Tak. *Bekle*. *Bekle*.

Podniosłem do góry palec w uniwersalnym geście, który nawet oni powinni zrozumieć, i powlokłem się za dom. Przez zasłonięte siatką okna jadalni zobaczyłem niewyraźne sylwetki. Wszedłem do środka i rozejrzałem się po twarzach, które obróciły się, kiedy drzwi stuknęły o framugę.

– Pola... – zachrypiałem. – Cholera, nie, ty nie. Vasif, chodź mi pomóc.

Vasif wstał ociężale.

– O c-co chodzi?

– Jakbym miał czas na opowiadanie historyjek, zatrudniłbym się w żłobku. Albo w domu starców. No, chodź już.

Wyszedłem. Śmieciarze znowu mocowali się z beczką i dotoczyli ją prawie pod samą śmieciarkę.

– *Bekle!* – wrzasnąłem. – *Bekle*, do kurwy nędzy, czy jak to się tam mówi w tym waszym języku!

Zakręciło mi się w głowie. Oparłem się o mur.

Robotnicy podnieśli głowy, ale nie przerwali pracy.

Oderwałem się od ściany, podszedłem i złapałem za beczkę, odsuwając tego mniej spłowiałego. Była bardzo ciężka.

– Vasif. – Stęknąłem. – Długo mam jeszcze na ciebie czekać? Makijaz poprawisz sobie później.

Podszedł bliżej.

– Przytrzymaj tutaj. Ostrożnie. I powiedz im, żeby pomogli mi położyć to cholerstwo na ziemi.

– Chcesz ją p-przewrócić?

– Nie, kurwa, chcę, żeby się wzbila w powietrze. Jasne, że chcę ją przewrócić. Nie tutaj. Na chodnik. Nie mam ochoty pełzać w tej trawie, cholera wie, co w niej mieszka.

– P-po c-co ci t-to?

– Nie gadaj, tylko trzymaj.

Naparłem na beczkę z przeciwnej strony. Kiedy przechyliła się bardziej, poszło już łatwo. Zardzewiały metal zazgrzytał o betonowy próg i na chodnik przed drzwiami wysypała się masa wilgotnych papierów, śmierdzących kuchennych odpadków i wszelkiego innego paskudztwa. Muchy poderwały się, kilka zaczęło krążyć wokół mojej głowy. Pusta beczka była zaskakująco lekka. Przesunąłem ją nogą, żeby nie przeszkadzała, i pochyliłem się nad górą śmieci. Żołądek podszedł mi do gardła.

– Szukasz cz-czegoś k-konkretnego? – Vasif stał na tle rozżarzonego nieba. Trzymał rękę przy ustach.

– Powiedz im – wychrypiąłem. – Powiedz im, żeby tego nie ruszali. Zaraz wracam.

Przecisnąłem się koło robotników, zrobiłem parę kroków i rzygnąłem w krzakach. Nacisnąłem żołądek jeszcze raz, mocno, ale nie wydobyło się z niego nic poza beknieniem. Wyprostowałem się powoli i otarłem usta. Przed oczami latały mi ciemne plamy. Na miękkich nogach wróciłem do beczki.

Robotnicy stali oparci o mur. Na ich twarzach rysowało się obrzydzenie.

Splunąłem jeszcze raz.

– Tak. Szukam – powiedziałem do Vasifa. – Kawałka papieru, mniej więcej takiej wielkości. – Pokazałem wnętrze dłoni. – Zmiętego w kulkę. A teraz z łaski swojej albo mi pomóż, albo przesun się trochę, bo zasłaniasz światło.

Pochylił się, z dłońmi opartymi na kolanach.

– C-coś było na nim n-napisane?

– Tak. Coś ważnego.

– C-c-co?

– Jakbym wiedział, to nie musiałbym grzebać w tym syfie, nie sądzisz.

Dwoma palcami wyławiałem ze stosu wszystkie kawałki papieru, jakie zobaczyłem. Pomięte wydruki z komputera, niekończące się kolumny cyfr, które mogły być numerami zabytków, koordynatami z wykopalisk, albo jednym i drugim. Kilkanaście szkiców tego samego listu do ministerstwa w Ankarze. Paragony ze sklepu, wyblakłe i nieczytelne, pożółkłe fragmenty starych gazet. Żadnych ręcznych zapisków, notatek. Czy nikt już nie pisze nic ręcznie?

Przesunąłem beczkę tak, żeby słońce oświetlało jej wnętrze, i zajrzałem do środka. Smród buchnął mi w twarz. Znowu zakręciło mi się w głowie, ale przynajmniej żołądek nie zareagował. Na dnie pozostało jeszcze sporo śmieci, zlepionych w ciemną masę. Dostrzegłem kilka jaśniejszych skrawków przyklejonych do dna.

– Co ty wyprawiasz? Mario!

Podniosłem głowę.

Frank stał przy wejściu do pracowni. Za jego plecami Pola, Melinda i Griffin wyglądali jak chór w greckiej tragedii. Griffin trzymał w dłoni kubek z kawą.

Przykucnąłem i przekręciłem beczkę bardziej do światła.

– Mario! Ogłuchłeś? Mówię do ciebie.

Odwrociłem się.

– Słyszę. I proszę, mów trochę ciszej. Nie jestem dzisiaj w formie.

Ukląłem, wziąłem głęboki wdech i wsunąłem się do beczki. Ogarnął mnie smród tak gęsty, że można by ulepić z niego kulę. Dotknąłem palcami ciemnej masy na dnie. Papiery przywarły do niej, nie mogłem ich odkleić bez rozerwania na kawałki. Pociągnąłem jeden z nich mocniej. Większa część została mi

w ręku. Wycofałem się tyłem i odetchnąłem głęboko kilka razy. Wstrętny zapach pozostawał mi w nosie i ustach.

– Oszalałeś? – Na pierwszy plan wybił się pęknięty sopran Melindy. – Kto teraz posprząta to świństwo? Chyba nie myślisz, że ktoś zrobi to za ciebie.

Musiałem zamknąć oczy. Odetchnąłem dwa razy głęboko, a później je otworzyłem. Zobaczyłem wyraz świętego oburzenia na twarzy Melindy i to, że Pola pokręciła głową, odwróciła się i oparła plecami o ścianę. Powiedziała coś cicho do Griffina.

Rozłożyłem zlepiiony świstek. Litery były zamazane, nie mogłem ich odczytać. Ustawiłem się tak, żeby nie zasłaniać sobie plecami słońca.

Moje palce umazane były lepką, ciemnobrązową substancją. Podniosłem je do nosa i powąchałem. Żołądek znowu podskoczył wyżej, niż powinien. Moje palce śmierdziały zgnilizną i mokrym żelazem.

Przepchnąłem się obok Franka do pracowni. Za plecami usłyszałem krótki okrzyk oburzenia. Ściągnąłem ze stołu lampę i wybiegłem na dwór. Kabel był za krótki. Szarpnąłem go mocno i wyrwałem wtyczkę z kontaktu. Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Był jeszcze jeden kontakt, za regałem, przy samych drzwiach. Ukląłem i wcisnąłem wtyczkę za metalową konstrukcję.

Wciągnąłem beczkę na chodnik i oparłem na progu. Poświęciłem lampą do środka. Brązowa maź oklejała całe dno i dolną część ścian.

Wyprostowałem się, przetoczyłem beczkę na bok i postawiłem lampę na betonie. Wytarłem palce w spodnie.

– Może zechcesz mi wyjaśnić... – zaczął Frank i urwał.

Vasif podszedł bliżej. Zajął do beczki

– To tutaj – wychrypiałem. – Ten ktoś, kto poderznął Nadii gardło, zrobił to tutaj. Nie w ruinach.

– Co ty opowiadasz? – Melinda patrzyła na mnie wytrzeszczonymi oczami. Wszyscy na mnie patrzyli.

Spróbowałem się wyprostować.

– Ktoś ją wsadził do tej beczki, żeby się wykrwawiła. Głowę w dół, jak sądzę. Dlatego na ołtarzu było tak mało krwi.

Podniosłem głowę. Splunąłem. Melinda podskoczyła, jakbym wystrzelił do niej z pistoletu.

– Nasz pan żartowniś nie chciał sobie brudzić rącek. Państwo archeolodzy, jakieś pomysły? Kto z waszego grona jest takim pedantem?

Grecki chór gapił się na mnie. Nikt nie powiedział słowa.

Spojrzałem na zegarek.

– O tej porze na komendzie są już na pewno po drugiej kawie – powiedziałem. – Vasıf, zadzwoń do nich, bo ja się nie dogadam.

Żeby dojechać do jego wsi, musiałem minąć budkę strażnika, zaraz potem skręcić w prawo, później po łuku (uwaga na trakto-ry!) aż do wjazdu do wsi, za zielonym meczetem znowu w prawo, potem w pierwszą w lewo. Później prosto, aż skończy się asfalt, i dalej po piaszczystej drodze między łąkami chaszczy, w lewo i natychmiast w prawo, przejechać przez bród, znowu w lewo, prosto do końca, dalej w lewo, przed mostkiem w prawo, a następnie prosto do asfaltowej, i ona już powinna doprowadzić mnie do Yeniköy. Zgubiłem się już przy trzecim skręcie i krążyłem po polach, dopóki jakiś traktorzysta się nie zlitował i nie pokazał mi kierunku.

We wsi przywitał mnie pies, który rzucił się, aby obszczekać mi koła, ale poza tym było pusto i cicho. Na placyku przy końcu głównej ulicy stał sklecony z drewnianych skrzynek stragan, ocieniony szmatą rozpiętą na kijach. Mały chłopiec układał w piramidę melony i tak był skoncentrowany na swoim zajęciu, że przegapił potencjalnego klienta, czyli mnie. Obok niego, na otwartej kłapie półciężarówki, błyszczały w równych rzędach kuchenne noże z plastikowymi rękojeściami, kolorowe miski i tace, szklanki w kształcie tulipanów i masa innych drobiazgów, które ucieszyłyby oko każdej pani domu.

Zaparkowałem na poboczu i trzasnąłem drzwiami. Chłopiec przerwał układanie melonów, ale tylko po to, żeby podrapać się po głowie.

Nie wiedziałem, gdzie mieszka rodzina Vasifa, a zresztą nie miało to większego znaczenia. Ruszyłem główną ulicą. Domy nie rzucały cienia. Słońce paliło i brakowało mi tchu, a gardło miałem tak wysuszone, że ślina wydawała mi się niewyobrażalnym

luksusem. Jedyne, co mnie powstrzymywało od kopnięcia jednej z płaczących się pod nogami kur, to myśl, że jej właściciel natychmiast zażąda odszkodowania, za które można by kupić dom na przedmieściach Çanakkale.

Wlokłem się noga za nogą. Próbowiałem przyspieszyć, ale moje kończyny miały w tej sprawie własne zdanie i poruszały się w jednostajnym, powolnym rytmie. Kiedy poważnie zacząłem się obawiać, że padnę na ubitą ziemię i skonam z gorąca, przede mną zamajaczyły dwa stoliki przy ścianie jakiegoś domu, w wąskim paśmie cienia. Zrobiłem jeszcze dwa kroki, oparłem się plecami o szorstki mur i stałem z zaciśniętymi powiekami, dopóki nie poczułem, że pulsowanie w głowie zelżało i mogę normalnie wciągać powietrze w płuca.

Dwaj staruszkowie, siedzący przy jednym ze stolików, przypatrywali mi się ciekawie. Drugi stolik był pusty. Usiadłem. Krzesło się zachybotało, jedna noga trafiła w dziurę w betonie. Chłopak, bliźniacza wersja tego od melonów, ale jeszcze bardziej brudny, postawił przede mną filiżankę na metalowym spodeczku.

– *Hoş geldiniz* – powiedział.

Nie odpowiedziałem, zamiast tego wyciągnąłem z kieszeni wydrukowane zdjęcie i podetknąłem wydruk pod nos temu staruszkowi, który siedział bliżej. Był w białej czapce na pomarszczonej, brązowej łysinie. Spojrzał na mnie pod słońce. Nie wyglądał tak, jakby rozumiał, o co chodzi.

– Widziałeś ją? – zapytałem. – Znasz ją? *Konuşuyorum* czy jak się tam, kurwa, po waszemu mówi? Ta dziewczyna?

Cholera, jak jest dziewczyna po turecku?

– Ta *hanım*?

Nie do końca to samo, ale nic więcej nie zdołałem sobie przypomnieć.

Staruszek lekko odchylił się na krześle, jakby się bał, że wyleję mu na kolana herbatę, która stała przed nim na stole.

– *No problem.* – Pomachałem mu ręką przed nosem. – Chcę tylko wiedzieć, czy ją znasz.

Staruszek pokręcił głową. Jego kompan, grubas z brzuchem, który rozlewał mu się na kolanach, coś powiedział. Obaj zaśmiali się, ale tak, żeby przypadkiem nie stracić za dużo ze swej godności.

– A ty? – Przesunąłem zdjęcie dalej na blacie. – Ty ją znasz? Co się z nią stało?

Grubas obrzucił mnie wiele mówiącym spojrzeniem, ale nie odpowiedział nic, nawet po turecku.

Podniosłem się i wszedłem do ciemnego wnętrza. Śmierdziało potem ludzi, którzy chodzą do hamamu raz w tygodniu i nie myją zębów. Na półce pod zakratowanym oknem stał telewizor. Spikerka w jaskraworóżowym kostiumie tłumaczyła coś z przejęciem na tle przesuwających się zdjęć spalonego słońcem krajo-brazu. Stali bywalcy *çayhane* nie zwracali na mnie uwagi. Właściciel, a w każdym razie ktoś, kto wyglądał, jakby to wszystko do niego należało, stał przy drzwiach, a jego dłoń, oparta o mur z nieotynkowanych pustaków, podrygiwała rytmicznie w takt słów spikerki.

Podszedłem do kontaktu i wyszarpnąłem wtyczkę. Udało mi się osiągnąć to, o co mi chodziło. Teraz wszyscy na mnie patrzyli.

– Ludzie! – Podniosłem zdjęcie do góry. – Czy ktoś zna tę dziewczynę?

Właściciel *çayhane* szczerknął krótkie polecenie i brudny chłopak wetknął wtyczkę z powrotem do gniazdka. Na ekranie pojawił się obraz, a ulga zgromadzonych prawie się zmaterializowała w nieruchomym powietrzu.

Wyszedłem na zewnątrz. Przykucnąłem przy stoliku i spróbowałem zajrzeć w oczy staruszkowi w czapce.

– Vasif Cingiauroğlu – powiedziałem.

Odwzajemnił moje spojrzenie.

– Super. Wreszcie ktoś coś załapał. Znasz go?

Staruszek wpatrywał się we mnie intensywnie.

– Pracuje na wykopaliskach w Troi. *Arkeolog, Truvada* – wysiliłem mózg, żeby zestawzić ze sobą dwa tureckie słowa. – *Calısyor* albo coś podobnego. Ma tu rodzinę. *Family*.

Staruszek kiwnął głową.

– On znał Nazife. Ta dziewczyna. – Postukałem w zdjęcie. – Zaginiona.

Staruszek cały czas kiwał głową, wyglądało na to, że jak już raz zaczął, nigdy nie przestanie.

– Dobra. Zakładam, że trochę rozumiesz. A teraz skup się. – Zamachałem mu ręką przed twarzą. Wyraz na niej nie zmienił się ani trochę. – Vasif często przyjeżdża do swojej *family*, tak? Skup się. Czy on tutaj był wieczorem w środę?

Zawiesiłem głos. Staruszek nie przestawał potakiwać.

– Czekaj... – Policzyłem szybko na palcach. – To było... *two days before yesterday*?

Głowa podnosiła się i opadała w szybkim rytmie. W kącikach jego oczu pojawiły się łzy.

– *Two. Days. Before. Yesterday* – powtórzyłem. – Czy Vasif tu był?

– Aaa – powiedział nagle ten gruby. – Jesterdej.

– Nie, nie *yesterday*. *Two days*...

– Jesterdej – zanucił. – Oł maj trabołs simd soł far elej.

Miał niezły głos, ale nie trzymał rytmu.

Wyprostowałem się i powoli dźwignąłem na nogi. W moim kolanie coś strzeliło.

– Ładnie śpiewasz – powiedziałem. – *Çok güzel*.

Stary pokiwał głową jeszcze mocniej. Zacząłem się obawiać, że czaszka oderwie mu się od obrotnika i stoczy z wysuszonej szyi.

– Ooo, aj biliw in jesterdej – zaciągnął gruby.

– *Çok güzel. Çok güzel. Bitels. Çok güzel* – powtarzał, rozpryskując kropelki śliny.

Wycofałem się tyłem, starając się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Wszedłem jeszcze raz do wnętrza *çayhane*. Jego bywalcy już chyba o mnie zapomnieli i nic nie wskazywało na to, żeby mój widok wzbudził w nich jakieś skojarzenia.

Podszedłem do właściciela. Pomacałem się po kieszeni. Złota blaszka ciągle tam była. Wyjąłem ją i na wyciągniętej dłoni

przysunąłem w jego stronę. Złoty płatek był pomarszczony, jak wysuszona słońcem skóra.

– Czy znasz kogoś – powiedziałem wolno i wyraźnie – kto robi takie rzeczy?

Nie czułem dotyku złota ani jego ciężaru. Równie dobrze mogła to być halucynacja.

Właściciel *çayhane* był innego zdania. Zaczął krzyczeć i wymachiwał przy tym rękami, żeby nawet ktoś taki jak ja, niemający pojęcia o języku tureckim, zrozumiał, że powinien się wynieść.

Wyniosłem się. Stałem na środku opustoszałej ulicy, na miękkim od słonecznego żaru asfalcie. Staruszek w czapce pomachał mi wesoło i odsłonił w uśmiechu bezzębne dziąsła. Odmachałem mu. Jeszcze ze dwa następne pokolenia w tej wsi będą sobie opowiadać historię o białym wariacie.

Pot zalewał mi twarz, piekące strugi płynęły po plecach i brzuchu. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i schroniłem się pod brudną płachtą. Chłopiec spojrzał na mnie wyczekująco, więc pokazałem mu na migi melona i niewielki nóż, z brązową rączką i ząbkami na ostrzu.

Chwycił owoc, postukał w niego gestem, który świadczył o profesjonalnym podejściu do sprawy, a potem wyczarował talerz i ułożył na nim podłużne, bladozielone paski. Melon pachniał wodą. Był to najpiękniejszy zapach, jaki kiedykolwiek czułem w życiu.

Uśmiechnąłem się do chłopca.

– *Çok güzel.* – Dla potwierdzenia pomasaowałem się po brzuchu. Lepki sok poplamił mi podkoszulek. – *Very good* ten melon.

Chłopak się ucieszył.

– Niech pan z tym pojedzie do Çanakkale. – Pokazał moją kieszeń. – Tam jest taki warsztat. W bok od Kemal Yeri Sokak, przy Tarla. Na pewno pan znajdzie. Właściciel nazywa się Ergin.

Jego angielszczyzna była silnie akcentowana, ale zasadniczych błędów nie robił.

– Skąd... – zająknąłem się. – A zresztą... Dzięki. *Tesekkür ederiz.*

– *Ederim* – poprawił mnie. – Nie ma za co.

Odwrócił się z powrotem do swoich melonów.

– Poczekaj – powiedziałem. – Przeliteruj mi nazwę tej ulicy.

Chłopak rozejrzał się, oderwał róg pożółkłej gazety, na której leżały melony, i ogryzkiem ołówka nagryzmolił litery, wysuwając przy tym z buzi koniec języka.

Środkiem przejechał traktor z największą prędkością, jaką kierowcy udało się rozwinąć na nierównym asfalcie. Dwóch nie-dorostków na przyczepie wyszczerzyło się w uśmiechu na mój widok. Nie miałem siły by zareagować.

Znalazłem ją w ruinach. Z Griffinem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak ktokolwiek może chcieć oglądać resztki rozpadających się murów i dziury w ziemi, choćby nie wiem jak starożytnych, kiedy w cieniu temperatura przekracza czterdzieści stopni. Ale oni wyglądali na takich, którym nie ludzka spiekota wcale nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie, podsyca ich naukowy żar. Wybaczcie mi tę kiepską metaforę. Wiatr szumiał, liście topoli drżały, obracając się srebrną stroną do góry, a w oddali niezmiennie terkotały pompy. Bardzo romantyczna sytuacja, jakby się ktoś pytał, a raczej mogłaby być, gdyby trochę obniżyć temperaturę powietrza i wytruć wszystkie muchy.

No i było dość tłoczno. Najwyraźniej gdzieś tam na górze zapadła decyzja, że straty wynikające z zamknięcia stanowiska przeważają nad dobrem śledztwa, bo gromady turystów znowu szwendały się po każdym nieogrodzonym drutem kolczastym i niepodłączanym do prądu kawałku ruin. Kolejna słaba figura retoryczna, *sorry*.

Byli dopiero na początku standardowej trasy turystycznej. Pola pokazywała Griffinowi szczególnie interesujące elementy konstrukcji bramy wschodniej, a Griffin dzielił swoją uwagę między biust Poli i jej słowa. Tak byli tym zaabsorbowani, że nie usłyszeli moich kroków.

– Świetnie, że cię znalazłem, księżniczko.

Oddychałem ciężko po szybkim marszu przez odśloniętą przestrzeń od parkingu i musiałem się przysunąć jak najbliżej muru, żeby przynajmniej moja głowa znalazła się w skrawku cienia. Oparłem się o chropowate kamienie i próbowałem przybrać nonszalancką pozę. Mur parzył i drapał mnie w plecy.

– Jestem zajęta – warknęła.

– To ważne.

– Ciągłe to mówisz i za każdym razem okazuje się, że to jakieś bzdury.

– Bo ostatnio spędzamy razem za mało czasu. Jesteś tak cholernie pochłonięta dbaniem o stan finansów tej przegranej ekspedycji.

Wyszczrzyłem się do Griffina. Stał w pełnym słońcu, z rękami w kieszeniach nienagannie wyprasowanych spodni i przyglądał mi się ze spokojem. Wyglądał, jakby ten piekielny żar w ogóle nie robił na nim wrażenia.

– Książniczko! – Ująłem Polę za łokieć. – Pozwól ze mną na minutkę.

Wyszarpnęła się.

– Nie ma mowy. Spadaj, Mario, nie mam dla ciebie czasu.

Odwróciła się do mnie tyłem, wyprostowała plecy i odgarnęła z karku wilgotne kosmyki włosów.

– Howardzie, chciałam ci coś pokazać. Zwróć uwagę na te zagłębienia w murze, o, tutaj. Płytkie, jajowate dołki, po kilka w grupach. To bardzo zagadkowa sprawa. Nie wiemy, do czego mogły służyć. Korfmann twierdzi, że mogły mieć znaczenie kultowe, naśladować zagłębienia libacyjne w progach niektórych budowli, ale to kontrowersyjny pogląd. Nie chcę cię zanudzać teoriami, ale to jedna z naszych intrygujących zagadek.

Mówiła do niego, jakby mnie tam nie było.

Od muru oderwał się niewielki kamień i spadł Griffinowi pod nogi.

– Uważaj, Howardzie – ostrzegłem go. – Na wykopaliskach bywa niebezpiecznie.

Przesunąłem się, żeby wejść w jej pole widzenia.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Byłem w Yeniköy popytać trochę o Vasifa.

Westchnęła głośno.

– A teraz wejdziemy do bramy wschodniej – zwróciła się do Griffina. – Zwróć uwagę na sposób, w jaki została skonstruowana: potencjalni wrogowie mogli tylko atakować posuwając się wzdłuż murów, gdzie byli narażeni na strzały, kamienie z proc, obrzucenie jadowitymi gadami i tak dalej. Ale nie mogli się odsunąć od ścian, bo tu jest coś w rodzaju korytarza. Co ciekawe, brama południowa została zaplanowana zupełnie inaczej. Pokażę ci to później, kiedy tam dojdziemy.

– Pokażesz mu innym razem – wtrąciłem. – A teraz przepros pana ładnie. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– Mario. – Popatrzyła na mnie poważnie. – Proszę cię. Daj już sobie z tym wszystkim spokój.

– Pola. – Wytrzymałem jej spojrzenie. – Jeśli będę potrzebował twojej rady, to na pewno się po nią zgłoszę. A na razie chcę tylko, żebyś wysłuchała tego, co mam do powiedzenia.

– Koniecznie?

– Jak mówię, to porządkuję sobie myśli. A nie mam ochoty gadać do siebie.

– I to muszę być ja?

– Wcale nie – zapewniłem ją. – Ale nikogo innego nie uda mi się zmusić do słuchania.

Podciągnęła opadające ramiączko bluzki i przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

– Howardzie, strasznie cię przepraszam – powiedziała w końcu i posłała mu tak uroczy uśmiech, że przez moment żałowałem, że nie jestem w jego skórze. – On nam nie da spokoju, jeśli z nim nie porozmawiam. Postaram się to zakończyć jak najszybciej. Czy mogę cię na minutkę przeprosić?

– Oczywiście – zgodził się Griffin, rozkładając szeroko ręce. – Nie ma najmniejszego problemu.

– Dziękuję. Obiecuję, że to nie potrwa długo. A teraz – obróciła się do mnie – gadaj. Tylko szybko.

– Dobra, dobra, spokojnie. – Pociągnąłem ją pod mur, głębiej w cień i dalej od uszu Griffina. – Powiedz mi najpierw – za-

szeptalem konspiracyjnie – co się stało, że nagle zaczęłaś się tak przyjaźnić z tym bufonem. Jeśli mnie pamięć nie myli, jeszcze kilka dni temu uważałaś go za dupka.

Wyciągnęła z kieszeni spodni zegarek i zerknęła na cyferblat.

– Masz trzy minuty – powiedziała.

– Okej. Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego tak nagle...

– Dwie minuty i pięćdziesiąt sekund.

– Dobra. Dobra. Już mówię. Tylko schowaj ten zegarek.

Zacisnęła go w dłoni.

– I popatrz na mnie.

Skierowała wzrok w moją stronę.

– Nie widzę tarczy, ale będzie już chyba ze trzydzieści sekund mniej.

– Już mówię. – Zacerpnałem głęboko powietrza. – Tylko nie komentuj, dopóki nie skończę.

– Minus czterdzieści sekund.

– Zamknij się wreszcie i posłuchaj. Byłem w Yeniköy. Właśnie stamtąd wracam. Wypytywałem o Vasifa.

Zawiesiłem głos.

W jej wzroku nie było nawet cienia zainteresowania.

– Teraz powinnaś spytać: i co?

Westchnęła.

– I co?

– I nic. Ludzie w ogóle nie chcą gadać. Ale jestem pewien, że coś wiedzą. Rozpoznali jego nazwisko.

– Cud – mruknęła. – W takiej metropolii... co najmniej dwustu mieszkańców... prawdziwy cud.

– Ale nie to jest najciekawsze – zignorowałem jej uwagę. – Najciekawsze jest to, że oni na pewno coś wiedzą. Taki jeden mały chłopak powiedział mi, że jest miejsce w Çanakkale, gdzie można zrobić takie złote blaszki. Warsztat. Popatrz. – Poszperałem w kieszeni i wyjąłem wymiętoszony skrawek gazety. – Dał mi adres.

Polą uniosła brwi i potarła ręką wilgotne czoło.

– Nie będę cię nawet pytać, czy we wsi też pokazałeś złotą blaszkę, którą ukradłeś z muzeum, bo znam odpowiedź. Mam tylko nadzieję, że jak już cię aresztują, uda mi się przekonać policjantów, że nie mam z tobą nic wspólnego.

Grupa spoconych turystów przecisnęła się obok nas. Wyglądali na wyczerpanych, chociaż jeszcze nie rozpoczęli zwiedzania na dobre.

Przegoniłem muchę spacerującą mi po przedramieniu.

– Pola, to nie żarty. Vasif jest w to na pewno zamieszany. Kurwa, sam zaczynam gadać jak w jakimś serialu. Jestem prawie pewien, że to Vasif. Tutaj ludzie wszystko wiedzą, sama to zawsze powtarzasz. Więc jeśli to on zamawiał blaszki, to nic dziwnego, że doszła o tym plotka do jego sąsiadów. To uboga wieś, skąd inaczej mieliby wiedzieć, gdzie jakiś złotnik w Çanakkale robi kopie starożytnej biżuterii.

– To uboga wieś – weszła mi w słowo. – Skąd Vasif miałby wziąć pieniądze, żeby zapłacić za te blaszki?

– To nie tak dużo – mruknąłem. – Kilkaset euro.

– Pewnie, to nie majątek. Gdyby wszyscy mieszkańcy Yeniköy złożyli się do kupy, może uzbieraliby tyle w jakiś rok lub dwa. Ale nie na pewno.

– Vasif siedział kilka lat na stypendium w Stanach.

– Ale chyba nie przypuszczasz, że wydał ciężko zaoszczędzoną forszę na jakieś głupie blaszki.

Wychyliłem się zza jej ramienia i popatrzyłem na Griffina. Stał pod murem i udawał, że interesuje go technika budowlana starożytnych Trojan.

Pola się skrzywiła.

– Kapałeś się ostatnio?

– Pracuję – odciąłem się. – Coś ci pokażę.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie Polikseny. Rozprostowałem starannie papier i podsunąłem jej pod nos. Odchyliła głowę do tyłu.

– Ciągłe się w to bawisz?

– Przyjrzyj się uważnie – poprosiłem. – Tak wyglądała, w przybliżeniu, dziewczyna, której szkielet znaleźliśmy koło zatoki Beşik.

Nachyliłem się nad nią. Oparła się plecami o mur, nie miała gdzie się cofnąć.

– Czy to mogła być Nazife? – spytałem.

Odeprchnęła moją rękę, ale najpierw wyszarpnęła z niej zdjęcie. Wprostowała się i przysunęła je do światła.

– Nie wiem – powiedziała. – Może.

– Może?

– To było dawno temu, Mario. Nie pamiętam. Widziałam ją tylko kilka, kilkanaście razy. Właściwie nawet nie rozmawialiśmy.

– Ale Vasif powinien ją rozpoznać.

– Pewnie tak. – Trzymała zdjęcie dwoma palcami w wyciągniętej dłoni tak długo, aż je zabrałem. – Jeśli to rzeczywiście ona.

Założyła zegarek na nadgarstek.

– Czas się skończył.

Odwróciła się w stronę Griffina. Jakaś gruba baba w kwiecistej sukni, wachlująca się nieustannie kapeluszem, podeszła bliżej i zaczął ją:

– Przepraszam, kochanie, która godzina?

Pola odruchowo zerknęła na zegarek.

– Ta pani jest zajęta – odpowiedziałem zamiast niej.

Gruba spiorunowała mnie wzrokiem i popędziła gonić swoją grupę.

– Pola, poczekaj – poprosiłem. – Jest jeszcze coś.

Złapałem ją za rękę.

Wyrwała się i uderzyła łokciem o starożytny mur.

– Jeszcze dwie minuty. I już sobie idę.

Czekała w milczeniu, masując stłuczone miejsce.

– Rozmawiałem z tym dupkiem Dijeke. On mi powiedział... – Przerwałem i próbowałem sobie przypomnieć, czego właściwie

dowiedziałem się podczas tamtej pijackiej rozmowy. – Powiedział, że widział wieczorem Nadię z Frankiem i Vasifem. W noc jej śmierci. I Frank wyszedł pierwszy. – Potarłem czoło. – Chyba. A Nadia została z Vasifem. Kurczę, nie pamiętam, co gadał ten idiota.

Pola wykonała ruch, jakby chciała się ode mnie opędzić. Pokręciła głową, a jej wargi wygięły się w brzydki grymas.

– Zapewniam cię, Mario, że to wszystko płody twojego zalcoholizowanego mózgu. Znam Vasifa od wielu lat. To porządny facet. Może jeden z nielicznych naprawdę przyzwoitych facetów, jakich znam. On nie zabił Nazife ani żadnej innej dziewczyny, kimkolwiek ona była. W ogóle nikogo nie zabił. A na pewno nie zabił Nadii.

– A czy ja coś takiego mówiłem? – zdziwiłem się. – On tylko poderznął jej gardło.

Potarła dłońmi oczy. W jednej chwili postarzała o dziesięć lat.

– Sekundę, bo ja już się pogubiłam. To znaczy poderznął jej gardło, a ona od tego nie umarła?

– Nie – wyjaśniłem cierpliwie. – Poderznął jej gardło, kiedy już nie żyła. No co? – Popatrzyłem w jej zdziwione oczy. – Gülsün naprawdę wam tego nie powiedziała?

– Jak to: Gülsün nam tego nie powiedziała?

Teraz przyszła moja kolej na głębokie westchnięcie.

– Ciężko się z tobą rozmawia, kiedy powtarzasz moje zdania, tylko z pytającą intonacją.

– Możesz mi to wszystko wyjaśnić?

– Proszę bardzo. – Oparłem się nonszalancko o kamień obok jej ramienia. – Kiedy wracaliśmy z Robertem z waszej sławetnej imprezy, mineliśmy się z Gülsün, która powiedziała nam, że Nadia zmarła śmiercią naturalną, na udar. A poderżnięcie gardła miało miejsce już po zgonie. Podobno tę rewelację zdradził jej, oczywiście w największym zaufaniu, jej kumpel, komendant policji.

Pola wciągnęła głęboko powietrze w płuca.

Myślałem, że się zachłysnie.

– Jak to? – wykrztusiła.

– Fascynujące – powiedziałem. – Jak to możliwe, że Gülsün się tym z wami nie podzieliła? Wyglądała na taką, co zaraz posika się w majtki, jeśli nie rozpowie na prawo i lewo tej tajnej informacji.

– Co ty opowiadasz? – Pola wyglądała, jakby się nagle obudziła z głębokiego snu. – Jaka Gülsün? Kiedy? Gülsün nie przyszła na imprezę.

– Ależ przyszła – upierałem się. – A raczej przyjechała, wiesz przecież, że ona rzadko porusza się na własnych nogach. Spotkaliśmy ją przy budce strażnika. Raczej niemożliwe, żeby się zgubiła na tych kilkuset metrach między szlabanem a domem wykopaliskowym.

– Nie przyszła, mówię ci. Może się rozmyśliła.

Odsunąłem się od muru.

– Może – powiedziałem. – Może.

Wyjąłem z kieszeni komórkę.

– Jaki jest do niej numer?

Pola mi podyktowała.

Trzymałem aparat przy uchu, póki nie włączyła się automatyczna sekretarka. Spróbowałem kolejne dwa razy, z takim samym skutkiem.

– Nie odbiera.

– Gülsün nigdy nie odbiera. – Pola wzruszyła ramionami. – Powtórz, co ci powiedziała.

– Nadia zmarła śmiercią naturalną. Ktoś jej poderżnął gardło, kiedy jej serce przestało już bić. Sądząc po tym, co znalazłem dzisiaj rano, zrobił to w tej beczce na śmieci. A kiedy się wykrwawiła, zawłókł zwłoki na ołtarz.

– Ale dlaczego?

– Dobre pytanie, księżniczko. Ten, kto to zrobił, czyli Vasif, pewnie za dużo studiował i pomieszała mu się terazniejszość z przeszłością. Po prostu wyobraził sobie, że bogowie nie

będą mu przychylni, jeśli nie złoży w ofierze jakiegś względnie świeżej młódki. Mam poważne podejrzenia, że odbiło mu po pierwszym morderstwie. To podobno zostawia trwałe ślady na psychice.

– Jesteś chory, wiesz? To ty jesteś chory.

– Przestań się oszukiwać, księżniczko – odparłem. – Wiesz równie dobrze, jak ja, że to prawda. Vasif kochał się w Nazife, tak?

Wzruszyła ramionami.

– Tak twierdzi Gülsün – ciągnąłem – a ona wie wszystko o wszystkich. Z tego, co pamiętam, użyła nawet słów „do szaleństwa”. Pokłócili się, może ona go nie chciała. Vasif, sama rozumiesz, nie jest szczególnie przystojny, a poza tym się jąka i ogólnie to dość ponury typ. Nie każdej się podoba. Ale może poszło o coś innego. Vasif ją uderzył, może niechcący, przypadkiem. A kiedy zorientował się, co się stało, doszedł do wniosku, że jedyną szansą dla niego jest ułożenie ciała w ten sposób, żeby przypominało starożytną ofiarę, Poliksenę. Zamówił złote blaszki, poderżnął jej gardło tak, żeby zostały ślady na kościach, zakopał ją na terenie starożytnego cmentarzyska. Liść w lesie, pamiętasz? Najłatwiej jest ukryć zeschnięty liść w martwym lesie. Prawie mu się to udało. Vasif może na takiego nie wygląda, ale to piekielnie inteligentny koleś. Tylko ten guzik...

– To idiotyzm – stwierdziła Pola.

Nie patrzyła na mnie, przyglądała się odwróconemu do nas bokiem Griffinowi, chociaż moim zdaniem naprawdę nie było nic do oglądania.

– To nie idiotyzm, księżniczko. To bardzo prawdopodobny scenariusz.

– Nie możesz oskarżać niewinnego człowieka!

– Nie krzycz!

Walnęła pięścią w starożytny mur.

– Vasif jest niewinny! Doskonale go znam. Masz w ogóle jakiś dowód?

– Właśnie się po niego wybieram. Jadę do Çanakkale, pogadać z tym wybitnie uzdolnionym złotnikiem. Nie czekaj na mnie. Pewnie wrócę późno.

– Możesz w ogóle nie wracać. – Odwróciła się na pięcie. – Howardzie, chodźmy na górę, pokażę ci teraz platformę świątyni Ateny, o której ci wcześniej opowiadałam.

Nie czekając na niego, Pola ruszyła po kamiennych stopniach.

Howard minął mnie wolnym krokiem, ale po chwili zatrzymał się, a później cofnął. Wyglądał tak, jakby sobie nagle coś przypomniał.

Zerknąłem w bok. Pola zniknęła już z pola widzenia. Griffin stał nieruchomo naprzeciwko mnie. Jego koszula nadal wyglądała jakby przed chwilą wyprasowała ją wykwalifikowana praczka, a twarz zdobił uśmiech: nie za szeroki, szczery, krzepiący, stosowny na każdą okazję.

– Co słyszać? – spytałem.

Patrzył na mnie w milczeniu.

– A co cię interesuje, panie profesorze Jak-Cię-Tam-Zwą? – powiedział wreszcie.

– Interesuje mnie, czemu kręcisz się cały czas koło Poli? – Zapytałem odważnie.

– To chyba nie jest twój pieprzony interes.

Mierzyliśmy się wzrokiem.

– Zostaw ją w spokoju – wydusiłem z siebie wreszcie. – Odpieprz się od nas, dobrze?

Bez ostrzeżenia ruszył w moim kierunku i przyparł mnie do muru.

Nie zdążyłem nawet wyjąć rąk z kieszeni.

– A teraz ty mnie posłuchaj Mario, czy też profesorze Jebł, jak sobie chcesz.

Był tego samego wzrostu co ja. Jego oczy znajdowały się centymetr od moich.

– To ty się od niej odpieprz. Ona ma cię już dosyć.

– Jasne – wykrztusiłem. – Sama ci powiedziała czy wymyśliłeś to na poczekaniu?

Słodka woń wody kolońskiej dławiła mnie coraz bardziej, a Griffin napierał barkiem na moje płuca. Ciekawe, co by zrobił, gdybym mu się zrzygał na tę piękną marynarkę.

– Sama mi powiedziała. A teraz ja ci coś powiem. Więc słuchaj mnie uważnie.

Próbowałem uwolnić ręce z kieszeni. Griffin przyparł mnie mocniej do ściany. Jęknąłem. Jak na faceta, który nawet sam nie prowadzi samochodu, był cholernie silny.

– Po pierwsze: dla ciebie jestem pan Griffin. Pan. Griffin. Rozumiesz, Mario?

Wyciskał mi powietrze z płuc. Otworzyłem usta, żeby mu odpowiedzieć, ale udało mi się tylko zacharzyć.

– A po drugie: zejdź mi z drogi.

– Bo co? – wydusiłem.

– Bo pożałujesz. I daruj sobie kolejne pytanie. Jeśli zechcę, żebyś pożałował, to wierz mi, długo będziesz sobie pluł w brodę, że nie kupiłeś biletu powrotnego na samolot w dniu, w którym się poznaliśmy.

Puścił mnie nagle. Zatoczyłem się i musiałem przytrzymać się ręką ściany. Wciągnąłem ze świstem powietrze, zgąłem się wpół i próbowałem powstrzymać wymioty. Ale skończyło się na kaszlu.

– A w kwestii postulowanego przez ciebie podobieństwa między nami, o którym mówiłeś jakiś czas temu, nie mogę się jednak z tobą zgodzić. – szeptał do mnie. Ciepły oddech owiewał mi małżowinę. – Ja na przykład, w odróżnieniu od ciebie, wiem, że kobiety nie lubią chamów ani brutalni. Wolą porządných, przyjaznych facetów, na których można liczyć. A przede wszystkim: wolą bogatych facetów. Pieniądze nie dają może szczęścia, ale cholernie ułatwiają życie. Pamiętaj o tym, jeśli w przyszłości będziesz się przystawiał do jakiejś panienki.

Zamknąłem oczy. Usłyszałem odgłos kroków na zwirze.

Postałem sobie jeszcze trochę pod murem. W końcu nigdzie się nie spieszyłem. Kiedy już sobie dokładnie przypomniałem, jak się oddycha, wyprostowałem się na próbę. Griffin zszedł ze zwirowej ścieżki, zaczął się wspinać po kamiennych schodach.

W dusznej jadalni nalałem sobie zimnej, starej kawy. Dzbaneł dopraszał się o umycie, ale zostawiłem to innym. Wyszedłem na zewnątrz i usiadłem pod figowcem, na czerwonej sofie. Ułożyłem głowę na oparciu i zastanawiałem się, czy nie uciąć sobie krótkiej drzemki, tu, w cieniu liści poruszanych wiatrem. Musiałem naprawdę przysnąć, ale po chwili obudziłem się.

Na parking wpadł radiowóz. Na dachu obracał się błękitny kogut, ale w słońcu nie robił wielkiego wrażenia.

Podniosłem się z sofy i podszedłem bliżej. Z auta wyskoczyło dwóch policjantów, jeden coś krzyknął. Musiał wrzasnąć to samo kilka razy, żeby przebić się przez panujący gwar, jak brzęczenie roju much. Przewodnicy wycieczek, do których w końcu dotarła treść jego okrzyku, stali się nagle szalenie aktywni. Zaganiali stada swoich podopiecznych do ziewających stęchłym chłodem autokarów. Wymięty i spocony policjant podszedł do drewnianego konia i dawał znaki opieszłym amatorom fotek z wakacji, żeby stamtąd spadali. Jakaś ładna dziewczyna w bejsbolówce podeszła do niego i pokazała palcem aparat. Policjant skinął głową i gestem przegonił parę, która psuła mu ujęcie. Dziewczyna podziękowała uśmiechem, a jej chłopak ucisnął mu rękę. Wsiedli do autobusu jako ostatni, drzwi zamknęły się z sykiem, a silnik zawarczał.

Na parking wjechał jeszcze jeden radiowóz. I karetka. Obejrzałem się za siebie, na sofę i stolik, na którym postawiłem kubek z kawą, a potem zacząłem biec. Tętno waliło mi w uszach, a słone krople spływały z czoła do oczu i piekły, ale nie zatrzymałem się. Przy ruinie, którą archeolodzy uparcie nazywali bu-leuterionem dogonił mnie ambulans. Ominąłem go i wbiłem

się w tłum koło zrujnowanego kamiennego bastionu. Ludzie śmierdzieli potem i smażonymi rybami. Kłębili się jak muchy.

Przecisnąłem się do przodu, ale przed sobą widziałem tylko głowy i przepocone koszule. Po chwili morze ludzkich ciał zaczęło się rozstępować. Obejrzałem się. W tłum wjeżdżała tyłem karetka, migając niebieskim światłem. Ludzie schodzili z drogi dopiero wtedy, kiedy zderzak szturchał ich w plecy, a za samochodem ludzka fala natychmiast się zamykała. Auto zatarasowało drogę do schodów prowadzących na platformę świątyni Ateny.

Złapałem za ramię barczystego faceta, który stał przede mną, i podskoczyłem. Obejrzał się zdziwiony, ale miałem to gdzieś. Znów zacząłem się przepychać.

Tłum w Turcji rządzi się swoimi prawami. Ludzie stoją od siebie o milimetry, ale się nie dotykają. Próby zmiany pozycji muszą być poprzedzone delikatnym postukaniem w ramię i uprzejmą prośbą. Trzeba też mieć cierpliwość. Złamałem wszystkie te reguły.

Pchałem się na oślep. Deptałem ludziom po nogach, odpychałem ich, uderzałem łokciami w brzuchy, kopałem po kostkach. Posykiwali i ustępowali mi z drogi, ale strasznie wolno. Wydawało mi się, że tkwię w tej masie, że zostanę już na zawsze w galarecie śmierdzącej potem i papierosami.

Dopchałem się wreszcie do ambulansu, i to był już koniec. Między tłum a karoserię nie dało się wcisnąć szpilki, z żadnej strony. Rzuciłem się na kolana i wczołgałem pod samochód. Podwozie śmierdziało słodkawo-mdłącą benzyną, olejem i smarem. Było niskie, wałnąłem głową o jakąś rurę. Pełzłem przy ziemi. Coś chwyciło mnie za koszulkę, szarpnąłem i poczułem, jak materiał pęka. Po plecach spłynęła mi ciepła struga. Kółka pulsowały tęnym bólem, oba w tym samym rytmie, ale lewe mocniej.

Dotarłem do końca podwozia i zrozumiałem, że się nie wydostanę. Ambulans zaparkował przy samych schodach, kamienne

stopnie dzieliło od zderzaka może pięć centymetrów. Przeturlałem się na bok i spojrzałem do tyłu, a później na boki. Nogi gapiów zasłaniały światło, brakowało mi powietrza.

Nagle ktoś przekręcił kluczyk w stacyjce, tuż nad moją głową. Coś załomotało i zaczęło się miarowo obracać. Coraz szybciej. Smród oleju stał się nie do zniesienia, poczułem, jak żołądek mi się kurczy i podchodzi do gardła.

Z całych sił podciągnąłem się w bok i, używając głowy jako tarana, zacząłem wypychać się między nogi w wełnianych spodniach, sztywnych od potu i brudu. Szarpałem się, ugryzłem nawet kogoś w łydkę, i omal się nie porzygałem od wstrętnego posmaku materiału przypominającego smak zepsutych solonych śledzi. Niewiele w ten sposób zyskałem, zaledwie parę centymetrów, ale była to już luka, nad którą mogłem popracować.

Wcisnąłem barki między niechętnie cofające się nogi i wypętląłem spod samochodu. Podciągnąłem się do pionu, czepiając się ubrań stojących najbliżej. Znowu rozległy się posykiwania, ale nikt na mnie nie spojrzał, bo wszyscy się gapił gdzie indziej.

Poklepałem w ramię faceta, który stał przede mną. Obejrzał się, a ja pchnąłem go na karoserię i przecisnąłem się między nim a starożytnym murem. Potem schyliłem się pod ramieniem policjanta blokującego gapiom wejście na schody i ruszyłem w górę po stopniach. Policjant coś krzyknął. Miałem go gdzieś.

Stałem na platformie świątyni i z ulgą wypuściłem powietrze z płuc.

Na skraju platformy klęczał Griffin i obejmował ramieniem Polę wtuloną w jego marynarkę. Widziałem drżenie jej ramion, kiedy szlochała. Griffin przytulał ją jedną ręką, a drugą szperał w kieszeni. Wyjął nieskazitelnie białą chusteczkę i podał ją Poli. Nie widziałem jej twarzy, bo mi ją zasłaniał.

Policjant wrzeszczał coś z dołu. Popatrzyłem po sobie. Przód koszulki i spodni miałem czarny od pyłu i smaru. Pomacałem się po ramieniu i podniosłem do góry palce lepkie od krwi. Bolało, ale mniej, niż powinno. Łupało mnie tylko kolano.

Pola podniosła głowę, Griffin zaczął coś do niej szybko mówić. Znieruchomiałem. Zrozumiałem, co mi zakłóca tę idylliczną scenę. Przeszkadzał mi potworny smród i brzęk much.

Leżała kawałek dalej, pod figowcem. Nie poznałem jej ani w pierwszym momencie, ani w żadnej z tych kilku ciągnących się w nieskończoność minut, zanim sanitariusze załadowali wreszcie zwłoki na nosze. Nie rozpoznałbym jej nawet, gdybym miał na to znacznie więcej czasu.

Całe ciało pokrywały muchy. Roiliły się na twarzy i na szyi, wlażyły za dekolty, spacerowały po odsłoniętych nogach i rękach. Na nogach było ich mniej i przez czarną, ruchliwą masę prześwitywały kawałki żółtozielonej skóry. Twarz i szyja były srebrzysto-czarną pełzającą maską, upstrzoną bladymi wyklutymi już larwami. Odór gnijącego ciała przyciągnął owady, musiała umrzeć wiele dni temu. Musiała leżeć tu przez cały ten czas, kiedy ja w pracowni siedziałem nad rekonstrukcją głowy Nazife, drażniłem się z Frankiem, łąziłem po tej cholernej wiosce Vasifa i próbowałem dogadać się z miejscowymi mądralami. Muchy mają cholernie dobry węch i zjawily się zaraz po tym, kiedy pierwsze molekuly zapachu krwi pojawiły się w powietrzu. Smród był mdlący, słodki i atakował nozdrza, starałem się nie otwierać ust i oddychać nosem.

Ciągle miała na sobie tę samą sukienkę, w której widziałem ją tego wieczora, kiedy otworzyłem dla niej szlaban. Teraz nie była biała, tylko żółto-szara, w wielkie, brunatne plamy. Jeden sandał na obcasie leżał obok rozwalonego bębna kolumny. Bosa stopa była sina, a spod polakierowanych na czerwono paznokci przebijała czerń.

Sanitariusze przywykli raczej do taszczenia żywych ludzi, a w najlepszym wypadku świeżych nieboszczyków. Rozejrzałem się, ale nigdzie nie zobaczyłem techników policyjnych, którzy mogliby udzielić dobrej rady. Starszy sanitariusz schylił się i przysunął nosze bliżej do ciała. Chwycił jedną dłoń

Gülsün i spróbował strzepnąć muchy. Kilka poderwało się do góry z bzyczeniem, które przyprawiało o mdłości, ale zaraz opadły z powrotem. Sanitariusz machnął ręką, ale nic to nie dało. W końcu starszy schylił się jeszcze niżej i ujął drugą dłoń Gülsün. Młodszy pochylił się nad nogami. Pociągnęli. Głowa z pozlepianą masą matowych włosów odchyliła się do tyłu. Bzyczenie stało się głośniejsze.

Starszy krzyknął i głowa Gülsün opadła z powrotem, czaszka stuknęła o kamień. Typowy błąd. Jednym z objawów zaawansowanego rozkładu jest zsuwanie się skóry z kończyn. Wysoka temperatura i wilgoć mogą przyspieszyć ten proces. Jak się tego nie wie, można skończyć tak jak młodszy sanitariusz: rzygając na trawę obok dwóch dużych kawałków skóry, przypominających wylinkę jakiegoś egzotycznego węża.

Ale sanitariusz okazał się profesjonalistą. Skończył rzygać, wyprostował się i splunął w zeschniętą trawę. Potem przysunął nosze jeszcze bliżej, tak że dotykały boku Gülsün. Obaj pochylili się znowu i jednym ruchem przetoczyli ciało na brzuch. Materiał sukienki był z tyłu całkiem brązowy. Włosy opadły do przodu i zasłoniły oblepioną muchami twarz.

Nie przykryli ciała, znieśli nosze po schodach i wpakowali do karetki. Zamknęli tylne drzwi, kierowca zatrząbił i ludzie się nieco rozstąpili, sanitariusze z trudem wcisnęli się do szoferki. Usiedli i obaj równocześnie zapalili. Kierowca zaciągnął się głęboko dwa razy, rzucił peta na zewnątrz i krzyknął na ludzi. Stojący najbliżej odsunęli się jeszcze trochę, a potem gapie chyba zorientowali się, że nie będzie już nic do oglądania i powoli się rozeszli.

Podszedłem do Poli. Siedziała na kamieniu i mocno zaciskała ramiona wokół kolan. Griffin się podniósł. Kolana nieskazitelnie skrojonych spodni od letniego garnituru miał szare od ziemi.

Ukląkłem. Dotknąłem delikatnie jej ramienia. Podniosła głowę.

– Już jestem – powiedziałem i strasznie głupio to zabrzmiało. Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała, co do niej mówię. Później opuściła głowę na kolana i wybuchła płaczem.

– Cicho, maleńka. – Poglądziłem ją po włosach. – Już cicho. Już dobrze.

– O-ona... – wyszłochała Pola. – O-ona była...

Głos jej się załamał.

– Wiem, widziałem.

Szarpnęła głową do góry. Słońce raziło oczy nawet w półcieniu nad strumieniem, ale jej źrenice były rozszerzone, jakby właśnie wyszła z ciemnej piwnicy. Przytuliłem ją mocno. Nie broniła się. Czułem, jak jej palce zaciskają się na moich ramionach.

Spojrzałem na Griffina. Odwrócił się tyłem.

Pola szłochała.

– Chodź – powiedziałem.

Próbowałem ją dźwignąć na nogi, ale zwisała mi bezwładnie w ramionach. Była taka mała, a wydawała się strasznie ciężka.

Griffin pochylił się, ujął dłoń Poli i delikatnie ją poklepał.

– Pola? Poluniu, chodź. Odwiozę cię do domu.

Poluniu, kurwa? Poluniu?

– Jest tam u was na tej wsi jakiś lekarz? – Spojrzał na mnie.

– Nie. Nawet weterynarza nie ma.

Gładził Polę po dłoni. Jak kota.

– Powinien ją zobaczyć lekarz. Przeżyła szok. Powinna dostać coś na uspokojenie. Zawiozę ją do Çanakkale.

– Nic jej nie będzie. Musi tylko posiedzieć spokojnie w cieniu i napić się wody. No, chodź, mała. Podnieś swoją śliczną pupkę.

Jeszcze raz spróbowałem wstać i dźwignąć ją. Tym razem się udało. Pola dygotała i opierała się o mnie całym ciężarem.

– No już, malutka. Zaraz wszyscy sobie pójdą i zrobią nam miejsce. Widzisz? Dasz radę przejść kawałeczek, prawda? No, podnieś główkę i popatrz. Grzeczna dziewczynka.

Griffin podszedł z drugiej strony i ujął Polę za ramię.

– Czy ona... – zapytałem. Zastanowiłem się. – Czy to wy ją znaleźliście?

Pokiwał głową.

– Niestety tak. Czy to była Gülsün Ozalan?

Teraz ja z kolei pokiwałem głową.

– Co ona tutaj robiła?

– A skąd mam wiedzieć? – burknąłem. – Może też miała romantyczną randkę w ruinach.

Objąłem Polę w pasie. Zeszliśmy ostrożnie ze schodów i pociągnąłem ją w stronę parkingu. Griffin szedł obok. Zapach jego wody kolońskiej drażnił mnie bardziej niż smród trupa.

Milczałem. Skupiłem się na podtrzymywaniu Poli. Szła bardzo powoli. Dotarliśmy w ten sposób do parkingu.

Griffin zacisnął rękę na ramieniu Poli i pociągnął ją w swoją stronę.

– Zawiozę ją do szpitala.

Nie zwolniłem uścisku. Jeszcze chwila, pomyślałem, a rozedrzymy ją na pół, jak szmacianą lalkę.

– Poradzimy sobie – warknąłem. – A teraz zrób nam obojgu przyjemność i spadaj.

Kierowca limuzyny wysiadł i stanął przy otwartych drzwiach. Z wnętrza powiało przyjemnym chłodem. Jak z grobu.

– Powinien ją zobaczyć lekarz – stwierdził spokojnie Griffin. – Z pewnością lepiej potrafi ocenić jej stan niż ty, profesorze Jebł.

Znowu pociągnął Polę w stronę samochodu. Straciłem równowagę i zatoczyłem się. Kierowca wyciągnął rękę, żeby mi pomóc, ale kazałem mu spadać, więc się cofnął.

– Poluniu. – Griffin pochylił się nad nią. – Wsiadaj. Proszę. Podaj mi rękę.

Odepchnąłem jego dłoń wyciągniętą ku Poli.

– Spieprzaj stąd. Zostaw ją w spokoju. To nie twoja sprawa.

Griffin wyprostował się.

– Owszem, Jebł. To moja sprawa. Proszę się oddalić i nie zmuszać mnie do użycia siły.

– Tak? A co mi zrobisz?

Popatrzył na mnie tak jak na niesforne dziecko i odwrócił głowę. Pochylił się nad Polą.

– Ostrożnie – powiedział. – Trochę niżej głowę.

– No co, Griffin? Co mi, kurwa, zrobisz?

Polą siedziała już w limuzynie. Oczy miała zamknięte, a splecionymi dłońmi obejmowała ciasno kolana.

– No, co mi zrobisz, Griffin?!

Nie zaszczycił mnie nawet jednym spojrzeniem. Zatrzasnął drzwiczki od strony Poli. Zamek wskoczył w zapadkę z tym delikatnym dźwiękiem, jaki można usłyszeć tylko w bardzo drogich samochodach, drzwiach bardzo drogich hoteli i w bardzo drogich torebkach bardzo eleganckich kobiet na premierze spektaklu operowego. Obszedł limuzynę od tyłu i wszedł. Jego drzwi zatrzasnął szofer, który zaraz potem wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał, koła zaszeleściły na szutrowym poboczu i limuzyna potoczyła się w kierunku bramki.

W lecie w Turcji zmierzch zaczyna zapadać wcześniej, ale długo trwa, zanim naprawdę zrobi się ciemno. Wiedziałem, że mam jeszcze trochę czasu, ale ta świadomość niewiele mi pomagała w wąskiej, szarej uliczce, tak mocno zacienionej wysokimi domami o obdrapanych fasadach, z setkami zakurzonych szyldów i kabli zwieszających się z każdego wolnego centymetra ścian, jakby zapadła tam jej własna, prywatna noc. Podniosłem głowę i zobaczyłem wytarty napis *Tarla Sokak* na tabliczce, w którą ktoś najpierw długo walił kamieniem, a później umieścił tak wysoko, żeby już nikt inny nie mógł się tak samo zabawić.

W uliczce nie było nikogo, po kilku krokach cichły nawet dźwięki samochodowych klaksonów i miejskiego gwaru. Powietrze było nieruchome, mury parowały, a mój podkoszulek natychmiast zamienił się w mokrą, śmierdzącą szmatę. Kiedyś, dawno, dawno temu, mogło tu działać kilka sklepów lub warsztatów, ale teraz wszystkie wystawy zasłaniały powgniataane, metalowe żaluzje w rozmaitych odcieniach szarości i brązu. Tylko jedne drzwi były szeroko otwarte, obok wystawionej na chodnik suszarki na bieliznę, obwieszanej wilgotnymi ręcznikami, czarnymi, żeby nie było na nich widać brudu. Podszedłem bliżej. Nad wejściem wypisane było *Berber*. Szklany szyld musiał kiedyś prezentować się wspaniale i przyciągać tłumy klientów, ale teraz w każdej chwili mógł zlecieć komuś na głowę. Zajrzałem do wnętrza. Pod siną jarzeniówką, naprzeciwko pokrytego lizajami lustra stał czarny, chromowany fotel, jakby teleportowany z lat siedemdziesiątych. Nigdzie nie było żywej duszy.

Przeszedłem uliczkę wzdłuż dwukrotnie. Nie zajęło mi to dużo czasu. Za każdym razem wpatrywałem się uważnie w ścia-

nę po jednej stronie. Obejrzałem całą masę starych, częściowo powyrywanych ze ścian dzwonków, zamalowanych farbą olejną szyb i zwisających w pękach kabli, które niczego z niczym nie łączyły. Ale ani jeden fragment muru nie wskazywał, że mieszkał tu lub pracował złotnik.

Cofnąłem się do salonu fryzjerskiego i przysiadłem na progu. Do moich nóg podbiegł mały, chudy kot. Pogłaskałem go odruchowo i natychmiast wytarłem rękę w spodnie. Na jego uchu wisiąły dwa opite krwią kleszcze.

– *Merhaba, hoş geldiniz!* – Za moimi plecami ryknął tubalny głos.

Podskoczyłem, ale udało mi się opanować walące serce i podniosłem się powoli. Kot nie tracił nadziei i płątał mi się między nogami.

– *Hoş bulduk.* – Przypomniałem sobie zwyczajową odpowiedź na to pozdrowienie, którą Pola powtarzała mi wiele razy.

Lśniąca od potu twarz fryzjera rozpromieniła się i wygłosił długą, swiergotliwą frazę. Uniosłem rękę, nie dając mu skończyć.

– *No, no haircut.* – Pokręciłem kategorycznie głową, żeby do niego dotarło. – Ja chciałem tylko zapytać...

Sięgnąłem do kieszeni, ale rozmyśliłem się i cofnąłem rękę.

– Złoto. Gdzie tu jest złotnik. Cholera, jak jest złoto po turecku?

Tego na pewno nie zdołałbym sobie przypomnieć, jeśli w ogóle kiedykolwiek to wiedziałem, więc postukałem fryzjera w mięsisty palec z wrzynającą się głęboko w skórę obrączką.

– Złoto – powtórzyłem. – Gdzie. Tu. Jest?

– *Altın* – powiedział fryzjer.

– No jasne, *altın*, jak mogłem nie wiedzieć. Jest tu gdzieś facet, który sprzedaje *altın*? Tutaj? *Burada*?

– Aaaa. – Na jego twarzy pokazał się wyraz zrozumienia, okupiony ciężkim wysiłkiem. Po czym z ust wypłynęła mu kolejna fraza, w której nie byłem w stanie wyłapać pojedynczych wyrazów.

– Dobra. – Poklepałem go po ramieniu. – Widzę, że się nie dogadamy. Ale i tak było miło.

Przy wylocie uliczki obejrzałem się jeszcze. Fryzjer opierał się o mur, a chudy kot siedział na kamiennym schodku. Obaj mieli identyczny wyraz oczu.

Wydostałem się na zatłoczoną główną arterię i odetchnąłem z ulgą. Pomarańczowe światło zalewało spiżowy pomnik Atatürka na placu i nawet udawało mu się wykrzesać w posągu pojedyncze błyski. Wszyscy mieszkańcy Çanakkale byli zajęci swoimi sprawami. Sprawiali wrażenie solidnych i bogobojnych.

Po drugiej stronie ulicy fasady pogrążone były już w cieniu. Właściciele sklepów i kupujący, sami mężczyźni, palili papierosy przed drzwiami, podczas gdy eleganckie damulki na obcasach robiły ostatni tego dnia przegląd przecenionej letniej kolekcji.

Zaglądałem w światło każdej przecznicy, bo nie byłem pewien, gdzie dokładnie znajdował się sklep Arslana Beya. Ale i tak go przegapiłem, i musiałem się cofnąć dwie ulice, odprowadzony zdziwionymi spojrzeniami pracowników kantoru i agencji sprzedającej bilety autobusowe.

Załomotałem w okute drzwi. To znaczy chciałbym powiedzieć, że „załomotałem”. W rzeczywistości drzwi nawet nie drgnęły i nie wydały żadnego odgłosu, a mnie tylko rozboleła ręka.

– Arslan! – wrzasnąłem.

Spróbowałem zajrzeć przez wystawę do środka. Wnętrze było ciemne. Uliczką zbliżała się noc, pochłaniając kolejne wytarte żaluzje, wiszące kable i rozpadające się kamienne schodki. Jeśli miałem coś załatwić, to teraz, bo mój czas się kończył.

– Arslan! – wydarłem się znowu.

Naprzeciwko sklepu otworzyły się odrapane drewniane drzwi, niegdyś turkusowe, chociaż głowy bym nie dał.

– Mario Bey, ty tak nie krzycz, do cholery – powiedziała tysi, brodata głowa, która pojawiła się w szparze. – Moja matka śpi.

– Przeproś mamusię w moim imieniu i otwórz sklep. Musimy pogadać.

– Ja teraz bardzo zajęty jestem. Dziś wieczorem nie pracuję.
– Przykro widzieć, jak się lenisz. Na głównej ulicy handel wre.
Otwórz, Arslan, bo twoja mama sobie nie pości.

Spoglądał na mnie uważnie przez kilka sekund, a kiedy doszedł do wniosku, że nie żartuję, mruknął: „ty czekać”, i zatrzasnął drzwi.

Czekałem, przestępując z nogi na nogę, i patrząc, jak cienie się wydłużają, powoli i nieubłagane. Kopnąłem drzwi i uderzyłem w nie jeszcze raz pięścią.

W końcu Arslan wyszedł. Miał spodnie do kolan, obcięty stary dres, a na stopach plastikowe klapki. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stroju. Pomrukując, minął mnie, stanął na progu i długo majstrował przy drzwiach, aż w końcu udało mu się je otworzyć. Pstryknął kontaktem przy wejściu, wsunął się za ladę i przycupnął na wysokim stołku.

– Mów szybko, o co ci chodzi, Mario Bey. Mama źle się czuje. Muszę zaraz wracać.

– Przykro mi ogromnie. Coś poważnego? Może trzeba wezwać lekarza?

Przyjrzał mi się spode łba.

– Masz do mnie jakąś sprawę, Mario Bey?

– W zasadzie tak. – Rozejrzałem się po maleńkim pomieszczeniu, przysunąłem sobie nogą stołek i usiadłem. Poczułem się ogromnie zmęczony, jakbym od rana uprawiał jakiś wyczynowy sport.

– Masz może coś do picia? – zapytałem. – Czuję, że całkiem się odwodniłem.

– To nie restauracja – burknął. – Tylko jubiler.

Pokręciłem głową.

– Ostatnim razem byłeś przyjemniejszy. Nie wiesz o tym, że klient zadowolony to klient sięgający po portfel?

Dźwignął się ciężko, wszedł za kotarę i po chwili wyłonił się z butelką wody mineralnej w jednej dłoni i obitym ceramicznym kubkiem w drugiej. Postawił to wszystko przede mną. Odkrę-

ciłem zakrętkę i przechyliłem butelkę do ust. Woda pociekła mi po piersi i wsiąkła w wilgotny podkoszulek.

– No, od razu lepiej. Teraz możemy rozmawiać.

Nic nie odpowiedział. Siedział i przyglądał mi się z niesmakiem.

– No dobrze. Arslan Bey, podczas mojej ostatniej wizyty proponowałeś mi usługi paserskie, jeśli mnie pamięć nie myli...

Urwałem i przyjrzałem mu się. Wyraz jego twarzy w ogóle się nie zmienił, a spojrzenie nadal było nieobecne.

– Czy ten kuzyn, o którym wtedy wspominałeś, ma może warsztat przy Tarla Sokak?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, a potem nagle spytał:

– A po co ci ta informacja, Mario?

– No to może z innej beczki: czy słyszałeś o miejscu, gdzie można by zamówić takie blaszki jak ta, którą ci ostatnio pokazywałem?

Zamyślił się.

– Każdy jubiler to robi. Musi mieć tylko rysunek.

– Ta, jasne, teoretycznie każdy może. Ale czy znasz kogo, kto coś takiego robi?

Przesunął się do przodu i oparł całym ciężarem o szklaną ladę.

– Chcesz się ode mnie dowiedzieć, czy któryś z moich kolegów po fachu fałszuje starożytne zabytki?

– To nie są... Mniejsza z tym. Nie, nie chodzi mi o fałszerstwa. Chcę tylko wiedzieć, czy w ciągu ostatnich kilku lat ktoś zamawiał coś takiego. I kto.

– A konkretnie?

– A konkretnie: czy zamawiał je niejaki Vasif Cingiauroğlu. Z Yeniköy. Taki jeden małomówny koleś, który od kilku lat pracuje w ekipie Franka.

– Wiem który – odparł Arslan. – To znaczy...

– Rozumiem, co to znaczy. Więc jak: zamawiał czy nie?

Arslan pogładził się po farbowanej brodzie.

– Nie u mnie.

– Jasne. A pamiętasz dokładnie, kiedy to było?

Splótł palce białych, bezwłosych dłoni. Wyglądały jak duże robaki. Chrząknął.

– Nie wiem, dlaczego ci to mówię, Mario Bey...

– Przypuszczalnie dlatego... – przerwałem mu, ale nie dał mi skończyć.

– Przypuszczalnie dlatego – powiedział – żebyś wreszcie dał mi spokój i nie składał mi niezapowiedzianych wizyt o rozmaitych porach, które tobie mogą wydawać się dogodne, ale dla mnie takie nie są. Proszę, nie przychodź tu więcej, Mario. Nie otworzę ci już. Zresztą wyjeżdżamy na kilka tygodni, po towar. Mamie też należy się odpoczynek. Dawno nie była na wakacjach. I dlatego posłuchaj mnie teraz uważnie, bo to twoja jedyna szansa.

Zamieniłem się w słuch. Żeby to zademonstrować, zmarszczyłem w skupieniu brwi.

– Kilka lat temu... Mniejsza o to, co mi szkodzi. Powiem ci dokładnie. – Wyciągnął spod lady notes i przerzucił kilka kartek. – Trzy lata temu, to było na początku sierpnia... rozeszły się po Çanakkale plotki o nietypowym zamówieniu. Dużym, na kilkaset euro, ale to nie było niezwykle. Niezwykłe było to, że zamówienie miało być wykonane w czystym złocie. Rozumiesz, Mario, zazwyczaj do złota dodaje się srebro i miedź w odpowiednich proporcjach, to zwiększa jego ciągliwość i tak dalej. A w tym wypadku klient postawił sprawę jasno: miało być czyste złoto albo prawie czyste, co na jedno wychodzi.

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem.

– W takich sytuacjach zawsze rodzą się plotki. Chociażby dlatego, że trzeba kupić surowiec, czysty, a nie półfabrykat. No, jednym słowem, były pewne trudności techniczne. Ale z tego, co wiem, zamówienie zostało zrealizowane. I zapłacone od razu, w całości. Gotówką.

– Rozumiem – powiedziałem. – Rozumiem też, że nie chcesz mi powiedzieć, kto zrealizował to zamówienie. I czy był to na przykład nasz tajemniczy przyjaciel z Tarla Sokak.

– Ten warsztat na Tarla już od dawna nie działa. Nie rozumiem...

– Ale mnie aż tak bardzo nie interesuje, kto to zrobił. Chciałbym wiedzieć, kto to zamówienie złożył.

– Nie wiem – odpowiedział, patrząc mi prosto w oczy.

– Nie wiesz czy nie chcesz mi powiedzieć? Czy nie możesz?

– A czy to nie wszystko jedno? – odparł Arslan.

Przez moment przerzucał jeszcze kartki w notesie, a potem gwałtownie wstał.

– Dobranoc, Mario.

Też się podniosłem i poszedłem jeszcze chwilę oparty o ladę, ale to był już koniec rozmowy. Podeszedłem do drzwi. Z ręką na klamce odwróciłem się jeszcze do niego.

– Nie mogę obiecać, że tu więcej nie przyjdę. Ale pozdrów mamusię.

Zmierzył mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Będzie zamknięte do końca sezonu.

– No to życz mamie miłego wypoczynku.

Byłem już na zewnątrz, kiedy stanął w drzwiach i dodał:

– Wiem tylko, że to był ktoś z waszej ekipy wykopaliskowej. Któryś ze stałych członków ekipy.

– Tyle to i ja wiem – odparłem. Odszedłem szybkim krokiem, doganiała mnie noc.

Jazda po ciemku nie stanowiła problemu, jak długo paliło się światło pod sufitem. Problemem było co innego: jak wysiąść z samochodu i przejść do wiejskiego domu, skoro jedyna latarnia na uliczce słabo migotała w jej odległym końcu.

Nie miałem czasu na duperele. Zaparkowałem tak, że między przednim zderzakiem a schodami zostało nie więcej niż dwadzieścia centymetrów. Włączyłem długie światła, otworzyłem drzwi samochodu, wziąłem głęboki wdech i szczupakiem rzuciłem się w stronę wejścia do domu. Zdołałem namacać kontakt przy schodach, zanim zabrakło mi tchu.

Wspiąłem się na górę, przeszedłem szybko korytarzem, mijając psychodelicznego pawia, mieniącego się odblaskowo wszystkimi kolorami tęczy, i załomotałem w drzwi. Nie doczekałem się odpowiedzi, więc załomotałem jeszcze raz, odczekałem pięć sekund i nacisnąłem klamkę. Natychmiast pstryknąłem kontaktem przy drzwiach i pokój zalało białe światło.

Usiadł na łóżku i mrugał oczami. Miał na sobie tylko slipy. Śmierdział.

– Wstawaj, Dijeke – zarządziłem. – Musimy pogadać.

Potań dłońmi oczy i próbował spojrzeć na mnie, ale nie wyglądało na to, że odniósł sukces. Zamknąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie.

– Co? – wybełkotał. – Co się dzieje? Kto tu jest?

– Za chwilę pójde do łazienki po wiadro zimnej wody. Proszę cię, nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości.

Pomrukał jeszcze i chyba zaczął mnie widzieć. Wydał z siebie westchnienie i opadł na prześcieradło.

– Jezu – wymamrotał. – Już spałem.

– Nadmiar snu jest szkodliwy dla zdrowia. Podnieś się, Dijeko. Pamiętaj, że pełne wiadro jest cholernie ciężkie i na pewno rozboli mnie kręgosłup, jeśli będę musiał je tu przydźwigać.

Usiadł. Oparł się o przybrudzoną ścianę. Podciągnął prześcieradło wyżej i owinał się nim w pasie.

– Tak lepiej – uznałem. – A teraz opowiedz mi, gdzie byłeś i co robiłeś, kiedy zginęła Gülsün. Nie oszczędzaj mi szczegółów, mamy czas.

Oprzytomniał w jednej chwili.

– Gülsün... Słyszałem...

– A ja widziałem. Gadaj!

– Ja... Mario... Ja nie wiem, przysięgam. – Znowu przetarł oczy. – Nie wiem, gdzie byłem, kiedy ona zginęła. Nie wiem nawet dokładnie, kiedy to się stało. Chyba nikt tego nie wie. To znaczy na razie, dopóki lekarz nie zrobi autopsji...

– No, no – powiedziałem z uznaniem. – Wyglądasz na głupszego, niż naprawdę jesteś. To w takim razie powiedz mi, co robiłeś po imprezie.

– Jakiej imprezie?

– Straciłeś pamięć? Tej słynnej imprezie dla Griffina, z rozrywkowymi przerywnikami w wydaniu Marilles i moim własnym.

Zastanowił się.

– No... nie wiem. Upiłem się. Poszedłem spać. To wszystko.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Tak się składa, że owszem. Rozumiesz – puścił do mnie oko – nie byłem całkiem sam...

– Kto? – przerwałem mu.

– No wiesz... Byłem z Yasmin. Ale tylko...

– Biedny Robert. – Pokręciłem głową. – Biedny i głupi.

– Co?

– Nieważne. I tak nie podejrzewałem, że to ty zabiłeś Gülsün. Może gdybyś był trochę bardziej inteligentny albo trochę mniej zajęty posuwaniem wszystkiego, co się rusza...

Osunął się na wymiętą poduszkę.
– Mogę już iść spać?
– Jeszcze chwila. Skoro już jesteśmy przy temacie, opowiedz mi jeszcze raz, co widziałeś tej nocy, kiedy zginęła Nadia.
Ziewnął przeraźliwie.
– No coś ty, właśnie teraz?
– Tylko bardzo proszę: same konkrety i z zachowaniem chronologii wydarzeń. No, czas start.
Też ziewnąłem. To jest bardzo zaraźliwe.
– Chyba oszalałeś!
– Ostatnio wszyscy mi to mówią. Znaczy nie wszyscy, ale wiele osób. W sumie nieistotne. Czekam.
– Przestań, Mario... – spróbował.
Nie dałem mu szansy.
– Wiadro w łazience czeka. I pośpiesz się trochę, bo jeśli będziesz się zastanawiał do wschodu słońca, to jeszcze ktoś zginie.
Zamilkł i wyglądał na takiego, co się głęboko zastanawia.
– Dobrze – powiedział z wahaniem. – Wszystko ci opowiem.
Oparł się na łokciu. Ja przysiadłem na podłodze koło drzwi. Dałem mu znak, że może zaczynać.
– Czekałem na Nadię w koniu, tak jak się z nią umówiłem. Stamtąd jest dobry widok na drzwi domu wykopaliskowego, więc mogłem zobaczyć, w którym momencie wyjdzie. Tak się umawialiśmy. Że ona pójdzie w kierunku ruin, a ja odczekam jeszcze kilka minut i pójdę za nią. I spotkamy się już na miejscu. Na... – zająknął się. Nie patrzył mi w oczy.
– Gadaj – przynagliłem go. Byłem zmęczony.
– Mieliliśmy się spotkać na ołtarzu. Nadia bardzo lubiła... właściwie tam...
– No i co dalej? – Czułem ból w każdym mięśniu. To był długi dzień.
– No i... Strasznie długo tam siedzieli. Wszyscy inni już sobie dawno poszli, a w oknach ciągle paliły się światła. Potem Frank

sobie poszedł, jakiś czas po nim wyszedł Vasif, a później Frank znowu wrócił. Bałem się, że mnie zobaczy.

– Poczekaj, poczekaj. – Potarłem dłońmi twarz. Niewiele to pomogło. – Powiedz jeszcze raz, w jakiej kolejności oni wychodzili.

– Przecież powiedziałem.

– Po prostu powtórz to samo. I dodaj jakieś szczegóły.

Westchnął.

– Pierwszy wyszedł Frank. Nie było go... może z pół godziny. Nie miałem przy sobie zegarka, rozumiesz? Jak się tak czeka, to czas inaczej płynie.

Pokiwałem głową na znak, że to uczucie nie jest mi obce.

– Kiedy go zobaczyłem, pomyślałem, że ona też zaraz wyjdzie. Ale nic się nie stało. W nocy jest cicho, więc słyszałem, że z kimś głośno rozmawia. Nie wiedziałem, kto to. A potem zobaczyłem, jak Vasif wychodzi. Był wściekły, trzasnął drzwiami.

Popatrzył na mnie. Nie miałem siły zgadywać, jakież to uczucia malują się na jego twarzy.

– Nawet się ucieszyłem, wiesz? Pomyślałem sobie, że może ona nie będzie miała ochoty. Że będzie zła albo coś takiego. Postanowiłem poczekać jeszcze trochę. Nadia nie wychodziła. Zacząłem myśleć, że może zostanie tam na noc. Czasami tak robiła, kiedy miała dużo pracy. Może się pokłóciła z Vasifem o to, że on zwał jej jakąś robotę na głowę... Nie wiem, coś takiego. Już wcześniej na niego narzekała. Pomyślałem, że poczekam dla świętego spokoju, a potem... Potem wrócił Frank.

Owinął się ciaśniej prześcieradłem.

– Miałem już dosyć. Wyszedłem z konia i poszedłem do domu. Wierzysz mi? Wierzysz mi, Mario?

– Wierzę. – Pokiwałem znużony głową. – Czyli mówisz, że to Frank widział Nadię jako ostatni.

– Nie wiem, Mario. Mówię tylko, co ja widziałem. Widziałem, jak Vasif wychodził, a Frank wracał, po kilkunastu minutach, ale chyba to było mniej niż pół godziny. Ale nie wiem,

co się działo później. Poszedłem do domu. A następnego dnia...

– Wystarczy.

Dźwignąłem się ciężko. Nogi mi drżały i musiałem mocno oprzeć się o drzwi, żeby się nie zatoczyć.

– Rzeczywiście nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Zastanawiam się tylko... – powiedziałem. – Po co ty z nią w ogóle sypiałeś? Skoro sam twierdzisz, że nie miałeś na to ochoty.

Popatrzył na mnie jak na niedorozwiniętego.

– Oj, Mario, Mario – cmoknął. – A tobie nigdy nie zdarzyło się wziąć tylko dlatego, że ktoś ci dawał? No, powiedz szczerze. Nigdy?

Potrząsnąłem głową, żeby odpędzić otępienie, które ogarnęło mnie w jednej sekundzie.

– Dobra, Dijeke, więcej się od ciebie nie dowiem. A teraz wstawaj. Trzeba przestawić samochód.

– Teraz? Mam ci teraz parkować? Sam nie możesz?

– Jak widać nie. I pospiesz się. Wiadro czeka, chociaż prawdę mówiąc, nie mam już siły, więc będzie napelnione najwyżej do połowy.

Popatrzył na mnie, a potem odrzucił prześcieradło i wstał. Jego nogi powyżej kolan były białe i chude. Odsunąłem się, kiedy kłapiąc stopami, wyszedł na korytarz.

– I nie zapomnij wyłączyć światel – krzyknąłem za nim, kiedy był już na schodach. – Akumulator to tutaj cenna rzecz.

Siedziała w kuchni przy stole i płakała. Brudne bose stopy oparła na stołku, pochyliła się do przodu. Twarz ukryła w dłoniach, więc nie widziałem łez.

Kiedy wszedłem, podskoczyła, a później opadła z powrotem na stołek i rozszłochała się jeszcze bardziej.

Usiadłem naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu. Wychyliłem się i wyjrzałem przez okno. Nie było księżycy. Jedna mała, głupia latarnia na końcu uliczki nie mogła rozproszyć mroku.

Czekałem, aż przestanie. Chciałem coś powiedzieć, ale zmęczenie tak mnie dopadło, że nie byłem w stanie otworzyć ust. Zamknąłem oczy, odchyliłem głowę i oparłem się o ścianę.

Dość długo trwało, zanim się uspokoiła. Może nawet się zdrzemnąłem, a w każdym razie popadłem w odrętwienie, w którym czas nie miał znaczenia. A później zaczęły dochodzić do mnie różne dźwięki: szuranie stołka, kłapanie bosych stóp, brzęknięcie szkła.

– Chcesz herbaty? – spytała.

– Nie – odpowiedziałem, nie otwierając oczu. – Ale bądź taka miła i zobacz, czy jest jeszcze piwo.

Drzwiczki lodówki cmoknęły, rozległo się dziwne chrobotanie, a potem coś twardego stuknęło o stół przed moim nosem. Pomacałem blat, chwyciłem lodowatą butelkę i podniosłem do ust. Pociągnąłem dwa duże łyki i dopiero wtedy przyjrzałem się Marilles.

Wyglądała okropnie. Dredy miała skudłone i wyłaziły z nich kosmyki, oczy podkrążone i czerwone od płaczu, a na policzkach szare cienie. Postawiła kubek z herbatą i przycupnęła z powrotem. Usta jej drżały.

– Ma... Mario... – zaczęła.

Wykonałem nieokreślony gest.

– Widzę, że coś ci jest. Ale jestem zmęczony. Potwornie. Wolałbym porozmawiać o tym jutro. A najlepiej wcale.

Odgarnęła jeden z dredów, który wpadał jej do oka.

– Boję się – powiedziała.

– Już to mówiłaś.

– Ale teraz... Biedna Gülsün.

Zaczęła znowu szlochać. Łzy kapały na stół. Marilles pociągnęła zapchany nos. Poczułem, że zbiera mi się na mdłości.

Zastanawiałem się, co mógłbym powiedzieć. Nic nie przychodziło mi do głowy.

– Napij się herbaty – zaproponowałem w końcu. – Lepiej się poczujesz.

Posłusznie pociągnęła łyk i syknęła, kiedy oparzyła się w język. Ale przestała przynajmniej szlochać. Wyprostowała się i odgarnęła włosy.

– Ty ją widziałeś? – zapytała nagle bardzo cicho i spokojnie.

Przyjrzałem się jej spod przymkniętych powiek. Zastanawiałem się, ile mogę powiedzieć, żeby nie wywołać nowej fali płaczu. Skinąłem potakująco.

– Jak ona wyglądała?

Znowu ten spokój w głosie.

– Kiepsko – zaryzykowałem. – Nie chcę cię wprowadzać w szczegóły, ale ona tam leżała kilka dni. W upale.

Pokiwała głową na znak, że rozumie. Łyknęła znowu herbaty.

– Chodzi mi o to... – zaczęła. – Czy ona była... Czy ona też miała poderżnięte gardło?

Próbowałem przypomnieć sobie szczegóły tego, co widziałem.

– Chyba nie. – Podniosłem do ust butelkę. – Na pewno nie. Jej ciało roilo się od much i larw...

Przyjrzałem się Marilles. Żadnej reakcji.

– ...więc trudno powiedzieć, ale poderżnięte gardło raczej bym zauważył – dokończyłem.

Podniosła kubek. Jej dłonie leciutko drżały.

– Czy możesz w takim razie powiedzieć, co się z nią stało?

Zastanowiłem się.

– Jedyne, co widziałem na pewno – mówiłem powoli, cały czas obserwując jej twarz – to włosy pozlepiane krwią. Były... Nie ważne. Tego nie można pomylić z niczym innym. Więc może ktoś ją uderzył kamieniem w głowę.

Milczała.

– Kilka razy – dodałem.

Milczała.

– Wiele razy. Ale to tylko podejrzenie. Więcej może powiedzieć lekarz, mogłabyś spróbować dowiedzieć się czegoś na komendzie w Çanakkale.

– Pojadę tam jutro rano – oznajmiła niespodziewanie. – Albo może lepiej pojutrze, bo pewnie potrzebują trochę czasu. Muszę to wiedzieć.

– Naprawdę? – spytałem, chociaż wcale mnie to nie interesowało, ale czułem, że powinienem jakoś podtrzymać rozmowę. – A dlaczego?

– Muszę.

Patrzyła mi prosto w oczy. Byłem zbyt zmęczony, żeby wytrzymać to spojrzenie, więc skierowałem wzrok na ścianę.

Zapadło długie milczenie. Marilles pociągała z kubka, ale robiła to mechanicznie, pogrążona w myślach. Nie przeszkadzałem jej.

– Mario – powiedziała tak nagle, że mimowolnie drgnąłem. – Czy wiesz coś o dziewicach lokryjskich?

– Marilles, zlituj się, nie zaczynaj – odparłem. – Nie wiem, która jest godzina, ale pewnie dobrze po północy. Idź lepiej spać.

– Muszę ci to powiedzieć, więc siedź, słuchaj i nie przerywaj.

Nigdy jeszcze nie była tak stanowcza. Siedziałem w milczeniu.

– Gülsün została zabita w miejscu, gdzie stała świątynia Ateny.

– Aha. – Skupiłem się z wysiłkiem. – I tam też składano ofiary?

– Nie. To znaczy tak. Miałeś nie przerywać.

– Nie przerywam.

Zamyśliła się. Czekałem cierpliwie.

– Jest taka historia – powiedziała po chwili. – O dziewicach lokryjskich.

Pochyliła się, oczy miała duże i błyszczące. Wzięła głęboki wdech.

– Ajas Mniejszy po upadku Troi zgwałcił Kasandrę, córkę króla Priama. Zrobił to w świątyni Ateny w Troi, w której Kasandra próbowała się schronić. Wiesz o czym mówię?

– Nie.

Opuściła wzrok i zaczęła przesuwac palec po białej, odrapanej powierzchni stołu.

– Okręg świątynny to było miejsce święte. Na jego terenie nawet przestępcy byli nietykalni, jasne? Więc zgwałcenie tam dziewicy to była niesłychana zbrodnia. – Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. – Ajas został oczywiście ukarany. Ale za jego zbrodnię zapłacili też jego pobratymcy. Lokryjczycy musieli odtąd co roku wysyłać dwie dziewice do świątyni Ateny w Troi, gdzie pełniły posługę. Według niektórych źródeł dziewczyny pełniły też funkcje prostytutek świątynnych, ale to nie jest pewne. W każdym razie najważniejsze w tej historii jest to, że te lokryjskie dziewice musiały wchodzić do świątyni boso, odziane tylko w jedną sztukę odzieży i z rozpuszczonymi włosami. Musiały robić to pod osłoną nocy i pod żadnym pozorem nikt nie mógł ich zobaczyć.

Urwała.

Przełknęła głośno ślinę.

– Jeśli zdarzyło się, że ktoś zobaczył którąś z dziewic poza świątynią, to była... – Łza znowu potoczyła się po jej policzku. – Jeśli ktoś zobaczył dziewicę poza świątynią to, to... była kamienowana.

Nagle pożałowałem, że w ogóle przyszedłem do kuchni, zamiast wałnąć się prosto do łóżka.

– Mario – powiedziała cicho Marilles. – Ty widziałeś Gülsün z bliska. Czy ona została ukamienowana?

– Nie wiem. Już ci mówiłem, że jej całe ciało było pokryte... Nie widziałem dobrze.

– Miała coś pod sukienką?

– Co?

– Pytam, czy miała coś pod sukienką.

– Myślisz, że wkładałem jej rękę między nogi, żeby sprawdzić, czy miała majtki?

Łzy płynęły po jej twarzy strumieniem.

– Mario, to ważne.

Zobaczyłem w myślach bosą stopę z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Nie zwróciłem wtedy uwagi, czy druga też była bosa.

– Powinnaś pójść z tym na policję – powiedziałem.

– Masz rację. Tak zrobię. Jutro rano.

Marilles jakby zapadła się w sobie. Otuliła się ciasno ramionami i siedziała w milczeniu, ze spuszczoną głową.

– Uważasz, że ktoś morduje w Troi kobiety, bo naczytał się o jakichś zmurszałych, starożytnych obyczajach? – spytałem. – Za dużo seksu i przemocy w lekturach obowiązkowych? Myślisz, że kogoś w ogóle dzisiaj ruszają takie opisy? Sprzed dwóch tysięcy lat? Wątpię. Ja nie mogę zmęczyć nawet powieści z ubiegłego wieku, również tych, które uchodziły wtedy za najbardziej krwawe i pieprzne. Usypiam w połowie *Doktora Jekylla i Mistera Hyde’a*.

Uniosła gwałtownie głowę.

– Ja nie żartuję, Mario. Możesz sobie kpić, ile chcesz, ale ja nie żartuję.

Podniosłem ręce w obronnym geście.

– Ani przez chwilę tak nie pomyślałem. Naprawdę.

Trzy. Ktoś zabił dwie kobiety i poderznął gardło ciepłemu jeszcze trupowi. Nazife to była tylko rozgrzewka.

W ciągu ostatniego tygodnia poznałem starożytną mitologię zdecydowanie lepiej, niż miałem na to ochotę. Nie powiedziałam

łem tego głośno. Pochyliłem się nad stołem i delikatnie ją pocałowałem. Spojrzała na mnie zdziwiona. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Ciii – szepnąłem. – Nic nie mów. Jeśli tego nie chcesz, to wstań i po prostu odejdz.

Nie ruszyła się z miejsca. Pocałowałem ją znowu. Później jeszcze raz. Jej usta drgnęły i zaczęła oddawać mi pocałunki.

Nagle stół, który miał mnie przed nią chronić, stał się przeszkodą. Wstałem i pociągnąłem ją ku sobie. Była miękka i lepka od potu, pachniała owocami i, nie wiem dlaczego, mchem. Całowałem jej twarz i wilgotne od łez oczy, a jej palce wpijały mi się w ramiona.

Odchyliłem głowę, żeby nabrać tchu. Jej ciało było wtulone w moje. Przysunąłem usta do jej ucha.

– Do mnie czy do ciebie? – zapytałem cicho.

– Do mnie – odszepnęła. – Twoja pościel pewnie nie była nigdy prana.

Przespałem pierwsze i drugie wołanie muezina. Obudziłem się tylko dlatego, że było mi ciasno, duszno i niewygodnie, a rozorana wczoraj skóra na łopatce bolała, jakby wdawała się tam gangrena. Marilles jeszcze spała, a jej łokieć wbijał się w moją tchawicę. Przesunąłem jej rękę i wstałem. Marilles leżała nieruchomo, na wznak, i pochrapywała. Powieki jej drgały, a na czole perliły się krople potu. Włosy miała wilgotne, dredy sterczały na wszystkie strony. Metalowa rama łóżka odcisnęła głęboki, czerwony ślad na bladej skórze jej uda.

Powlokłem się do łazienki i wszedłem pod prysznic. Przekręciłem czerwony kurek do oporu, ale woda była tylko letnia, a po chwili zrobiła się całkiem zimna. Wytrzymałem pół minuty, potem naciągnąłem na mokre ciało spodnie oraz podkoszulek i zszedłem po schodach na dół. Zatrzymałem się przy ścianie domu. Nawet w cieniu temperatura wynosiła co najmniej czterdzieści stopni. Szafirowa fasada sklepiu naprzeciw była jedyną barwną plamą w spłowiałym krajobrazie. Zebrałem wszystkie siły i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Kupiłem jajka, każde zawinięte w kawałek gazety, i chleb. Przy drzwiach cofnąłem się i poprosiłem jeszcze o mleko.

Wróciłem do kuchni i wbiłem jajka na patelnię. Druk z gazety zostawił mi na palcach czarne plamy.

Weszła w chwili, kiedy zmniejszałem gaz, czekając, żeby jajecznicza doszła.

– Zostało jeszcze parę jajek – poinformowałem ją.

Podeszła i pocałowała mnie lekko w usta. Odwróciłem się do niej plecami, bo jajka mogły zacząć się przypalać. Kiedy zgasiłem gaz, ciągle stała w tym samym miejscu, na jednej nodze,

drugą bosą stopę opierając o łydkę, i patrzyła na mnie wyczekująco. Nałożyłem sobie porcję na talerz, wrzuciłem brudną patelnię do zlewu, usiadłem i zacząłem jeść. Jej ramiona lekko opadły. Podstawiła patelnię pod strumień wody i zapaliła gaz.

– Chleb masz w torbie koło drzwi – powiedziałem z pełnymi ustami.

Wrzuciła na tłuszcz ostatnie trzy jajka, ale ledwo zaczęły skwierczeć, zdjęła patelnię z ognia i postawiła na stole. Wciągała bezkształtną papkę łyżką, z której zwisały przezroczyste glutiny. Zrobiło mi się niedobrze od samego patrzenia, wyjrzałem przez okno. Gapiłem się na kupę śmieci na ulicy.

Skończyła jedzenie, popiła mlekiem i odstawiła karton.

– Mario. Spójrz na mnie.

Odwróciłem głowę. Patrzyła na mnie, jakby się czegoś obawiała.

– Chcę cię o coś spytać.

Zachęciłem ją gestem.

– Czy to, co wczoraj... dzisiaj w nocy... czy to w ogóle coś dla ciebie znaczy?

W kuchni było nieznośnie duszno. Podeszedłem do lodówki i wyciągnąłem piwo. Poszperałem w szufladzie, ale nigdzie nie zobaczyłem otwieracza, więc odbiłem kapsel o krawędź stołu. Został mały ślad po odłupanym kawałku forniru.

– Ile ty masz właściwie lat, Marilles?

– Dwadzieścia trzy.

– Aha. Tak właśnie myślałem.

Wlałem do gardła pół butelki. Piwo było bardzo zimne.

– Co myślałeś?

– Cicho! – przerwałem jej.

– Co?

– Której części słowa „cicho” nie rozumiesz?

Poczłapałem korytarzem do jej pokoju. Moja komórka stoczyła się pod łóżko i musiałem wpęznąć pod nie do połowy, żeby

ją wyciągnąć. Przy wychodzeniu wałęsałem się potylicą w ramę. Zakląłem i wcisnąłem zielony przycisk.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem, he, he.

– Powiesz mi, o co chodzi, czy będziesz tak pieprzył o poranku?

– Poranku? – Robert był we wspaniałym humorze. Nie podzielałem jego nastroju. – Poranku? Już po dziewiątej.

– Gdzieś na świecie jest jeszcze noc. O co chodzi?

– Frank chce, żebyś przyjechał..

– Dokąd?

– Na cmentarzysko.

– A po co? Spotkanie pożegnalne z widokiem na morze?

– Prawie, ale nie do końca. Koparka ma dzisiaj robić wykopy pod fundamenty i Frank ma nadzieję, że może uda się jeszcze coś uratować. Więc jak się wyraził: „Skoro on jeszcze tutaj siedzi, to niech weźmie dupę w troki i przyjeżdża”. On, czyli ty.

– Frank na pewno nie powiedział „dupę w troki”.

– To dodałem od siebie – przyznał Robert. – Ale ogólny sens jego wypowiedzi był taki sam. Więc bierz dupę...

– Dobra – powiedziałem i rozłączyłem się.

Wróciłem do kuchni.

– Frank chce, żebyśmy przyjrzeni się wykopom pod fundamenty nad morzem. Zbieraj się.

– Miałam jechać na policję – zaprotestowała.

– Policja nie ucieknie. Wręcz przeciwnie, to oni są od pilnowania, żeby ktoś nie zwał. Taki mały żarcik, cha, cha.

– Mario – zawahała się. – Zadałam ci pytanie. Czy...

– Tak. Wiem. Słyszałem.

– I?

– Pospiesz się. Czekam na ciebie w samochodzie.

Zawołała, kiedy byłem już przy drzwiach.

– Mario!

– Co znowu?

Patrzyła na butelkę w moim ręku. Nie zauważyłem, że ciągle ją trzymam.

- Pięś. Chcesz prowadzić?
- Dam radę – zapewniłem ją.

Na polnej drodze, na której tylko tu i ówdzie łaty asfaltu lśniły w słońcu jak krowie placki, dało się jechać najwyżej na trzecim biegu. Doskonała prędkość, kiedy człowiek chce się nad czymś zastanowić, trzeba tylko uważać, żeby się nie wpieprzyć w jakąś dziurę.

To się nawet nieźle składało, bo musiałem wszystko przemyśleć. Trochę kręciło mi się w głowie od nieuporządkowanych faktów. Trochę pewnie też z upału. Bo przecież nie od jednego małego piwa.

Trzy trupy. Trzy kobiety. Młode. Dwie piękne. Nadia wprowadzi nigdy mi się nie podobąca, ale to nieistotne. W każdym razie była młoda i jak się okazało, niektórym mogła się wydawać pociągająca.

Jedna z poderżniętym gardłem. Jedną trafił szlag, a później ktoś jej poderżnął gardło. I jedna... Nie miałem pojęcia, jak zginęła Gülsün. Niewykluczone, że od ciosów kamieniami, jak w bajce na dobranoc opowiedzianej wczoraj przez Marilles. Bez sekcji trudno cokolwiek powiedzieć, ale wątpiłem, czy któryś z policjantów z Çanakkale zada sobie trud poinformowania nas o wynikach.

Marilles uważa, że morderstwa przypomiwały zbrodnie opisane przez Homera i innych starożytnych przyków. Pewnie ma rację, ale ten pomysł nie bardzo mi się podobał. Był chory, a przede wszystkim skomplikowany. Zbyt skomplikowany.

Wziąłem lekki zakręt, żeby ominąć dziurę w asfalcie, i o mało nie wjechałem w wielkiego, chudego psa, który wskoczył mi prosto pod koła. Skręciłem kierownicą i dałem ostro po hamulcach. Marilles syknęła i zaparła się o deskę. Tył łady zarzuciło i przez kilka sekund auto sunęło bokiem. Zatrzymało się w końcu, kiedy koło walnęło w duży, przydrożny kamień. Pies pobiegł dalej, z wywalonym językiem. Na szyi miał zawiązany kawałek szmaty.

Na drodze było pusto. Wysiadłem. Brzęczały tylko muchy, poza tym było cicho. Ciężkie powietrze falowało nad rozpalonym asfaltem. Pochyliłem się. Na feldze dostrzegłem ślad po uderzeniu, ale nie była skrzywiona. Poza tym wszystko wydawało się w porządku. Marilles patrzyła na mnie przez otwarte okno. Krople potu skapywały jej z czoła na dekol. Wsiadłem i ruszyłem ostrożnie, nad słuchując jakiegoś zgrzytu w podwoziu, ale nie usłyszałem niczego niepokojącego.

Dobra, spróbujmy chronologicznie. Jakiś świr zabija dziewczynę. Podrzyna jej gardło, a później grzebie ją na starożytnym cmentarzysku, na jej ciele kładzie dziewiętnaście złotych blaszek. Które, jeśli wierzyć Arslanowi, są z czystego złota, a jeśli wierzyć Poli, mają odcisnięty motyw motyla z epoki brązu. Wniosek z tego taki, że świr zadał sobie dużo trudu, żeby dziewczyna wyglądała jak starożytna księżniczka złożona w ofierze. Pozostaje guzik, którego pewnie nie zauważył. Poza tym drobiazgiem wszystko zostało perfekcyjnie dopracowane. Gdyby ktoś odkrył zwłoki, no cóż, świetnie wpisywały się w krajobraz.

Właśnie. Pasowały aż za dobrze. Morderca musiał się nieźle namęczyć. Najpierw przygotować złote blaszki. Zorientować się, że jest tam starożytne cmentarzysko... Zaraz, chwila moment! Przecież to dopiero my odkopaliśmy to cmentarzysko. Jak mógł wiedzieć o nim wcześniej?

Zahamowałem gwałtownie. Łada zapiszczała i stanęła, a chmura kurzu wdarła się do środka.

– Co tym razem? – spytała zgryźliwie Marilles.

Nie odpowiedziałem.

Wyciągnąłem z kieszeni komórkę i wybrałem numer Roberta.

– Mam jedno pytanie.

– Jedziesz tu?

– Jadę. Posłuchaj, czy to możliwe, że ktoś wcześniej wiedział, gdzie jest cmentarzysko w Beşik?

– Nie możemy pogadać, jak przyjedziesz? Mam tutaj...

– Muszę wiedzieć teraz.

Milczał chwilę, zanim odpowiedział. W nieruchomym aucie było jak w piekle. Poczułem, że ogarnia mnie otępienie.

– Wszyscy wiedzieli.

– Słuchaj, nie mam teraz czasu na pierdoły. Możesz mi poważnie...

– Poważnie, kurwa. Śmiertelnie poważnie. Wszyscy wiedzieli. Oczywiście nie dam głowy, że wiedziała każda sprzątaczką w Çanak kale. Ale wszyscy archeolodzy, na pewno.

– Jak to?

– Normalnie. Wiesz coś o powierzchniówkach?

Nie odpowiedziałem. Robert całkiem słusznie uznał, że nie wiem.

– To takie badania. Jak to się, kurwa, mówi? Nieinwazyjne. Bez wbijania łopaty. Zapierdalasza po polu, z nieba się leje żar, z ciebie pot tak, że ledwo widzisz na oczy, i zbierasz skorupy. Co znajdziesz, zaznaczasz na planie. A potem w domu, kiedy już zregenerujesz siły przy piwku, siadasz i oglądasz, co znalazłeś. Jeśli jesteś w tym dobry, to możesz się bez trudu zorientować, co to jest i z jakiego okresu.

– I rejon Beşik też był...?

– Też był. W dziewięćdziesiątym siódmym. Publikacja jest w „Archaeological Journal of Field Prehistory” w numerze szóstym albo siódmym, nie pamiętam. Jeśli chcesz, to ci sprawdzę, ale później, bo teraz mam tu w chuj roboty.

– Nie trzeba, dzięki.

– Nie ma sprawy. A następnym razem, jeśli będziesz chciał zawracać mi dupę, to rusz najpierw swoją i sprawdź w bibliotece. Albo zapytaj swoją śliczną byłą. Ona to wie nawet lepiej ode mnie.

– Tak zrobię – zapewniłem go.

– No to świetnie. Czekam na ciebie. Browar wieczorem?

– Pogadamy. Może...

– Jeszcze nigdy nie słyszałem, żebyś się tak zastanawiał jak dziewczyna w noc poślubną.

Rozłączył się.

Marilles spojrzała na mnie z urazą.

– Mogłeś zapytać mnie. Ja też to wiem.

Nie odpowiedziałem.

Wszyscy wiedzieli.

Wiedzieli wszyscy archeolodzy.

– O co chodzi? – spytała.

– Daj mi pomyśleć.

– Ale przecież...

– Daj mi pomyśleć, do cholery!

W kąciach jej oczu zabłyśły łzy, ale się zamknęła.

Więc to nie było takie trudne. Właściwie było całkiem łatwe. Każdy mógł sobie zajrzeć do czasopisma w bibliotece i sprawdzić. Każdy, kto wiedział, gdzie szukać.

Zapaliłem silnik i powoli ruszyłem. Pod czaszką czułem tępy ból. Próbowiałem oblizać spękane wargi, ale nie bardzo mi się to udało.

Dobra, przynajmniej jedno jest jasne. Facet mógł bez trudu zorientować się, gdzie było cmentarzysko, i wykopać grób mniej więcej w jego granicach.

Tylko dlaczego?

Dlaczego jej nie zabił i nie zakopał gdziekolwiek? Pod krzakiem pomidorów albo arbuzów? Nikt by jej nigdy nie znalazł. Pola są ogromne, arbuzów od cholery, szczątki leżałyby tam całe wieki, aż kości zamieniłyby się w proch. Dlaczego ktoś chciał, żeby ją odnaleziono? Musiał się przecież liczyć z tym, że prędzej czy później, za dwa lata lub za dwadzieścia, będę tam wykopaliska. Ktoś odkopie ten grób. Ktoś go nawet opisze i zrobi karierę. Sensacyjne odkrycie archeologiczne w południowo-zachodniej Turcji. Ale też ktoś znajdzie ten cholerny guzik. O którym morderca nie wiedział, bo przecież zgubił go przez przypadek. Pogubiłem się.

Czy z tego samego powodu poderznął Nadii gardło i zawłókł ją na ołtarz? Jeszcze trochę efektów specjalnych? Świeże zwłó-

ki na starożytnym ołtarzu? I to samo z Gülsün. Morderstwo według jakiejś starożytnej vendetty? Facet mógł równie dobrze wywieść transparent: Patrzcie ludziska, te panienki załatwił archeolog.

Chciałem przełknąć ślinę, ale gardło miałem suche.

Po co ten cały cyrk z pozowaniem ciał na starożytne ofiary? Dlaczego temu zboczonemu świrowi zależało, żeby zwrócić uwagę na archeologów? Na zdrowy rozum powinien postępować zupełnie odwrotnie. Na logikę powinien się raczej bardzo postarać, żeby archeolodzy znaleźli się poza wszelkim podejrzeniem.

Archeologów jest mało. Na zwykłą konferencję medyczną przyjeżdża kilka tysięcy osób, a na wielką, międzynarodową konferencję archeologiczną góra dwie setki. A archeologów, którzy kręcili się po okolicy przez ostatnie dwa lata i byli w pobliżu w nocy, kiedy zginęła Nadia, mogłem policzyć na palcach obu rąk.

Zacząłem liczyć.

Mario. Nie byłem archeologiem, nie miałem pojęcia o tych wszystkich archeologicznych bzdetach i nie zabiłem Nadii ani żadnej innej dziewczyny, ale o tym wiedziałem tylko ja. Vasif i Jason. Frank. Robert. Peter. Mervyn. Dijeke. Ten śmieszny Chińczyk z Gwatemali czy skąd tam... jak on miał na imię... Pascual. Nie, on jest nowy, podobnie jak Griffin, który może i bardzo chciałby być archeologiem, ale nie jest. Oczywiście jego, to znaczy Griffina, byłoby stać na każdą ilość złotych blaszek. Jest też możliwość, że przeczytał w tym Journal Coś Tam o zasięgu cmentarzyska i zapragnął odtworzyć sobie ulubioną scenę z Homera w skali jeden do jednego, z żywą aktorką zamiast manekina. Ale gdyby kręcił się tu wcześniej, członkowie ekipy by go znali, bo kto jak kto, ale on naprawdę rzuca się w oczy. Wątpię, żeby Frank był na tyle dobrym aktorem, żeby odgrywać zdziwienie, zachwyt i włożenie w dupę, gdyby poznał Griffina wiele lat wcześniej.

Vasif, Jason, Frank, Robert, Peter, Mervyn i Dijeke. Sami faceci między dwudziestką a pięćdziesiątką, z grubsza licząc. Młodzi, sprawni mężczyźni, przyzwyczajeni do wysiłku fizycznego i pracy na świeżym powietrzu. Kobiet nie brałem pod uwagę. Oczywiście, nie mogłem całkiem wykluczyć, że panienki załatwiła jakaś zazdrosna baba, ale to mi nie pasowało.

Siedmiu facetów, nie licząc mnie. Siedmiu, kurwa, wspaniałych. Mógł to zrobić każdy z nich.

Oderwałem od kierownicy obie ręce i przetałem nimi mokrą twarz i włosy. Ładą lekko zarzuciło. Marilles spojrzała na mnie, ale nie powiedziała nic.

Teoretycznie. Tak naprawdę mogło to zrobić tylko dwóch. Oczywiście przy założeniu, że wszystkie trzy panienki załatwił jeden morderca. Mógł to zrobić Vasif. I Frank.

Obaj pracowali na wykopaliskach od samego początku, czyli od pięciu lat. Spędzali tutaj letnie miesiące, rok w rok. Obaj mówili po turecku. Vasif się tu urodził i mieszkał przez wiele lat w Yeniköy, zanim wyniósł się do Istambułu. Z kolei Frank, jeśli się nie mylę, jeszcze zanim dostał licencję na Troję, prowadził gdzieś niedaleko inne wykopaliska. Mieli w małym palcu topografię okolicy, znali ludzi i ludzie znali ich. Obaj czuli się tu jak w domu. Wiedzieli, którędy biegną polne drogi, jakie panują zwyczaje, gdzie i kiedy ktoś ich zauważy, a gdzie nikt nigdy. Obaj znali dobrze Nazife. Obaj byli z Nadią tamtego wieczoru. Żaden z nich nie lubił Gülsün. Tylko czy wystarczy kogoś nie lubić, żeby rozwalić mu głowę kamieniem?

Dojechałem do większej drogi, która dla odmiany była prawie cała wyasfaltowana. Zatrzymałem się, sprawdziłem, czy nikt nie jedzie, i skręciłem w lewo, w kierunku na Mahmudiye.

Dijeke twierdził, że tamtej nocy, kiedy zginęła Nadia, Frank najpierw wyszedł z domu wykopaliskowego i długo go nie było. Później poszedł sobie Vasif, a następnie Frank wrócił. W którejś z tych minut, które tak się dłużyły napalonemu Dijeke siedzącemu we wnętrzu drewnianego trojańskiego konia dla turystów,

Nadia umarła. Tylko w której? Czy kiedy obaj z nią byli? Czy to się stało już po wyjściu Franka? Czy to znaczy, że Vasif wiedział o jej zgonie, ale to Frank poderżnął jej gardło? Jeśli tak, to dlaczego Vasif nie wezwał karetki, zamiast czekać, aż jego stary profesor wpadnie na taki makabryczny pomysł? A może gardło poderżnął jej Vasif, a Frank o tym wiedział i go kryje? Działali razem?

Przypomniałem sobie krótkie, kwadratowe palce Vasifa, wygarniające ziarenka piasku spomiędzy kartek notatnika. Były dostatecznie mocne, żeby skrócić kark dorosłemu mężczyźnie, a do poderżnięcia gardła nie trzeba wcale dużo siły. Wystarczy tylko dobrze przytrzymać i pociągnąć...

Pulsowanie w skroniach narastało, a wszystko, co do tej pory wymyśliłem, wydało mi się pozbawione sensu. Po co Vasif miałby zabijać Nazife? I jeszcze Gülsün. I taszczyć na ołtarz trupa Nadii? Po co miałby grzebać Nazife na skraju cmentarzyska i obsypywać ją złotymi płytkami? U kogo zamówił te pieprzone blaszki? Kto za nie zapłacił? Niechętnie musiałem przyznać Policję: Vasif nigdy by nie przeznaczył na coś takiego kilkuset euro, nawet gdyby miał taką sumę. Nie ten oszczędny, a w porywach nawet skąpy Vasif, którego znałem. To do niego nie pasowało. Może za złote płytki zapłacił Frank, a Vasif wykonał za niego czarną robotę? Ale po co? Po co? Takich pytań miałem więcej, ale sprowadzały się właściwie do jednego: po jaką cholere. A skąd ja, Mario Ybl, antropolog, pijaczyna i sól w oku tych wszystkich luminarzy miałem to, do kurwy nędzy, wiedzieć? Skąd?

Przesunąłem ręce na kierownicy i zamknąłem oczy. Dałbym dużo, żeby nie siedzieć tutaj, w tym rozpalonym rzęchu, tylko na przykład w barze. Zresztą to wcale nie musiałby być bar. Byle było chłodno, wystarczyłby mi tylko cień. I piwo. Morze zimnego piwa.

Przełknąłem ślinę.

Jakiś kretyn przejechał obok nas co najmniej setką. Pęd powietrza zakołysał ładą. Otworzyłem oczy i natychmiast oślepiły mnie słońce i kurz.

Koparka wyła. Szarpała ziemię i wyrzucała łychy piachu. Powietrze było szare od kurzu. Staliśmy w pełnym słońcu. Oczymnie piekły, gardło miałem zaschnięte, a do piwa było daleko. Nie mogłem zrozumieć, jak Robert może jeszcze gadać w takich warunkach.

– I co o tym myślisz? – wrzasnął mi do ucha.

Odchyliłem się trochę i podłubałem w uchu palcem.

– O czym? – odwrzasnąłem.

– Co?!

– Pytałem, o czym? Co myślę o czym?

– Czekaj, kurwa. Niech ta koparka odjedzie, bo ja nic nie słyszę.

Ośloniłem ramieniem oczy i obejrzałem się na Vasifa, który przy samej hałdzie wypatrywał resztek naczyń i kości, jakie koparka mogła zgarnąć razem z ziemią. Ja z tej odległości nie mogłem nic zobaczyć. Raz mignęło mi coś zielonego, jak skorodowana miedź, ale równie dobrze mogła to być plastikowa butelka. Zresztą wszystko jedno. Ale widocznie Vasif odczuwał potrzebę oglądania dzieła zniszczenia z bliska. Niektórzy tak mają. Sam znam paru takich, którzy lubią się gapić na wypadki drogowe.

Marilles przysunęła się blisko niego, jak najdalej ode mnie. Nie odrywała oczu od wykopu.

Pola stała na szczycie wzgórza, powyżej miejsca, gdzie pracowały maszyny. Tam tak bardzo nie pyliło i hałas był z pewnością mniejszy. Z tamtego miejsca nie bardzo było widać, co jest w wykopie, ale z pewnością nie był to priorytet Griffina, który nie chciał zakurzyć kolejnego garnituru. Melinda tłumaczyła mu coś intensywnie: jej usta poruszały się w tym samym

tempie co ręce. Griffin demonstrował jej tylko swój prawy bok, cała jego uwaga skupiona była na Poli.

Obserwowałem ich.

Koparka objechała hałdę z drugiej strony.

– Co mówisz? – krzyknąłem do Roberta.

– Pola, widzę, już całkiem doszła do siebie po tym szoku z Gülsün. Na pewno dzięki troskliwej opiece Griffina.

– Mówisz mi to w jakimś konkretnym celu? – spytałem.

– Nie, tak sobie.

– To się zamknij.

Posłuchał mnie, ale nie na długo.

– Zastanawiałem się, co teraz będzie.

– Ze stanowiskiem? – Zdziwiłem się. – Chyba sam widzisz. Nic. Będą domki jednorodzinne. Sto pięćdziesiąt domków, białych jak śnieg. Stanowisko już trafił szlag.

– Nie, nie ze stanowiskiem. Z nami.

– Z nami?

– No nie konkretnie z nami, tylko z wykopaliskami, z Troją. Po śmierci Gülsün.

– Aha – odkrzyknąłem.

Łoskot silnika przeszedł w głuchy pomruk i zamarł. Operator wyskoczył z kabiny, oparł się o gąsienicę i zapalił papierosa. Poczęstował dwóch facetów w białych, plastikowych kaskach i we trójkę pochylili się nad jakimiś papierami.

– Nie wiem, czy przedłużą Frankowi pozwolenie! – krzyknął mi Robert prosto w ucho. Chrząknął. – Cholera, przepraszam. Już się przyzwyczaiłem do tego łoskotu.

– Jak to „przedłużą”? Myślałem, że to koniec.

– Na ten sezon tak. Ale Frank myśli o przyszłym roku.

Pokiwałem głową. Przyglądałem się, jak jeden z białych kasków wyciąga z teczki cienki skorowidz i rozkłada go na gąsienicy koparki. Wiatr omal nie wyszarpnął mu papierów. Drugi biały kask przytrzymał kartki z boku. Pierwszy zaciągnął się jeszcze raz i rzucił peta za siebie. Strasznie zachciało mi się palić.

– Frank nie bardzo się zmartwił śmiercią Gülsün, co? – spytałem.

– Żartujesz?

– No co? Nie wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Zmartwionego? Stary, na jakim ty świecie żyjesz? Nawet jakbyś długo myślał, jaki prezent mu sprawić na gwiazdkę, nie wymyśliłbyś nic lepszego.

Popatrzyłem na niego.

– Teraz to chyba ty żartujesz. Przecież Frank musi zamknąć wykopaliska. I o ile, póki Gülsün żyła, mógł mieć jeszcze nadzieję na jakąś interwencję w Ankarze, o tyle teraz nikt przecież nie pozwoli mu tu pracować. Po tym, jak inspektora okręgowego urzędu starożytności zamordowano na samym środku stanowiska archeologicznego. Musi zwolnić studentów. Rozliczyć grant bez zakończenia wykopalisk. W waszym świecie to podobno straszna tragedia.

Robert splunął i podrapał się po zarośniętym policzku.

– Tragedia to jest, i owszem, ale tylko wtedy, jak się ma do zaprezentowania jakichś wyników.

Przyjrzałem mu się.

– No co? Dziwisz się?

– Trochę – przyznałem.

– Frank skacze z radości, że ktoś był tak miły i zechciał wykończyć najpierw Nadie, a potem Gülsün na jego stanowisku. Nie musi ciągnąć tej farsy z wykopaliskami jeszcze przez miesiąc, a potem główkować, jak wytłumaczyć władzom uczelni, że założył wykopy w złym miejscu i zmarnował całkiem sporą kasę.

– Zaraz, zaraz. – Otwartą dłonią starłem z czoła pył zmieszany z potem. – Sekundę. A cmentarzysko? Czy to nie jest wynik? Myślałem...

– Jest. Jasne, że jest. Tylko mało spektakularny. Kilkanaście grobów, urny plus jakieś gówniane naczynia, kilka fajansowych paciorków, bransoletka i trzy noże na krzyż. Musiałbym się upić, żeby nazwać to sensacyjnym odkryciem.

– Ale przecież Pola...

– Pola myślała na początku, że to cmentarzysko Achajów. Zgadzałyby się lokalizacja i w ogóle. Ale gdyby tak było naprawdę, w grobach znajdowałyby się ...ja wiem.... jakieś sztylety. Fragmenty zbroi. Coś ty, to nie byli żadni Achajowie. Gromada wieśniaków, może rybaków... Nikt ważny.

– No dobrze, ale Frank miał też inne wykopy, koło murów Troi. Nic tam nie znalazł?

Robert odgonił muchę brzęczącą mu koło ucha.

– Nic ciekawego – rzucił lekceważąco. – W każdym razie nic, za co można by dostać taki grant, jaki on wycisnął z komisji.

Zamyślił się.

– Pola nic ci nie powiedziała?

– Nie.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, stary, jak to między wami jest. Ale w każdym razie cmentarzysko w Beşik to jedyne ciekawsze odkrycie od trzech lat, ale zdecydowanie za mało ciekawe, żeby dostać fundusze na czwarty rok. A po śmierci Gülsün sytuacja się całkiem zmieniła. Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, że się tak obrazowo wyrażę.

– Ale Pola mówiła... – Nie dawałem za wygraną. – No, wiesz. Wychwalała Franka pod niebiosa. Że to taki wybitny archeolog, i w ogóle.

– I w ogóle. – Robert pokiwał głową. – Z przewagą w ogóle. Frank kiedyś może i był wybitny, w każdym razie napisał niezłą habilitację i zrobiło się o nim głośno. Może miał fuksa, nie wiem. Ale to było dawno temu. Słyszałeś o jego kłopotach z uczelnią w zeszłym roku?

– Coś tam słyszałem. Głównie od ciebie.

– No właśnie. Frank od paru lat próbuje znowu wypłynąć, ale idzie mu kiepsko. Pola nigdy ci o nim nie opowiadała?

– Nie. To znaczy: tak. W samych superlatywach.

Robert wzruszył ramionami.

- To miła dziewczyna, tylko trochę naiwna. Za to nogi ma...
- Ale przecież Frank dostał pieniądze na ten sezon – przerwałem mu.
- Dostał. Ale w drodze wyjątku i przy sporych naciskach ze strony tatusia Melindy. To jest oczywiście tajemnica rodzinna, którą ci powierzam, licząc na twoją słynną dyskrecję.
- Będę milczał jak grób – zapewniłem go.
- Gdyby spieprzył te wykopaliska, nikt nie dałby mu już nigdy złamanego grosza. A tak Frank nie tylko jest kryty i może spokojnie prosić o pieniądze na następny sezon, ale jeszcze ma darmową reklamę.
- Chyba nie mówisz tego poważnie?
- Jak najbardziej. Przecież normalnie nikt już na tym świecie nie interesuje się archeologią i wykopaliskami. To było dobre w dziewiętnastym wieku, teraz w telewizji pokazują ciekawsze rzeczy niż grzebanie w ziemi. Ale wykopaliska z trupem? A jeszcze lepiej z trupem zamordowanym w starożytnej świątyni? I z drugim, któremu jakiś świr poderżnął gardło na archaicznym ołtarzu? Stary, to hicior. Dam głowę, że w przyszłym sezonie będzie się tu roić od dziennikarzy.
- Wiesz co, trochę mi się nie chce wierzyć. Może z Franka taki archeolog, jak z koziej dupy trąba, ale nie wygląda mi na takiego, który chce oglądać swój lewy profil w telewizji.
- Stary, znam go trochę dłużej niż ty. Z całym szacunkiem. Mam cię pocałować w rękę, żebyś mi uwierzył?
- Obejdzie się. – Odruchowo wytarłem wierzch dłoni o spodnie.
- No to tyle – powiedział Robert – w temacie: smutki Franka po śmierci Gülsün.
- Chciał jeszcze coś dodać, ale wiatr sypnął mu w twarz pyłem. Robert rozkaszał się, aż poczerwieniał. Walnąłem go w plecy raz i drugi, ale zamachał rękami, żebym przestał. Stałem obok i czekałem, aż skończy się dusić.
- Jezu! – wykrztusił w końcu. – Jezu!

– Przykro mi, stary, ale nie mogę ci zaofiarować nic do picia. Chyba że chcesz łyka wody, widziałem jakąś butelkę w ładzie.

– Nie, coś ty – wycharczał. – Przecież wiesz, że nie piję wody. Jeszcze złapię jakąś bakterię albo inne świństwo. Już mi lepiej.

Faceci w kaskach zwinęli papiery, a operator wdrapał się do kabiny. Krzyknął coś do odchodzących kasków, jeden z nich pomachał ręką. Silnik koparki zaryczał. Z drugiej strony hałdy nadjechała wywrotka, zwałała na ziemię stertę żółtego piasku, a potem natychmiast wykręciła i odjechała. Kierowca nie zrobił sobie nawet przerwy na papierosa. Praca wrzała.

– Jak myślisz, kto przyjdzie na miejsce Gülsün? – krzyknąłem do Roberta.

– Nie mam pojęcia. Chodzą plotki, że to będzie Osman Bey. Z Bodrum. Znasz go?

– Nie! Ja tu w ogóle nikogo nie znam. Ale wątpię, żeby ktoś się dobrowolnie zdecydował zamienić Bodrum na Çanakkale.

– Teoretycznie tak. Ale żeby nadzorować archeologów tutaj, wcale nie trzeba się ruszać z Bodrum. Albo z Ankary.

– Tak? To przecież z tysiąc kilometrów.

– Oj, Mario, daj żesz, kurwa, spokój – ryknął Robert. Wczoraj się urodziłeś?

Pola, Griffin i Melinda zeszli ze wzgórza i podeszli do nas. Griffin wyciągnął rękę do Roberta, a mnie obrzucił uważnym spojrzeniem. Zdziwiłem się, że w ogóle raczył mnie zauważyć, ale nie dałem tego po sobie poznać. Ująłem Melinę za łokieć. Była tym tak zaskoczona, że bez protestu pozwoliła się odprowadzić kilka kroków w bok, poza zasięg uszu pozostałych.

– Mam do ciebie prośbę, kotku – zwróciłem się do niej.

Nastroszyła się.

– Wolałabym, żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób – fuknęła.

– A to dlaczego? Tak cię przecież nazywa twój własny mąż.

– Właśnie dlatego.

– Ojej. – Puściłem jej łokieć. – Widzę, że nie jesteś w nastroju. Szkoda...

Wzruszyłem ramionami i powoli zabrałem się do odejścia.

– A ja naprawdę miałem nadzieję, że potrafisz mi pomóc.

– Chodzi ci o moją pomoc?

Wyglądała na trochę zaskoczoną i mocno zaniepokojoną.

– Spośród wszystkich tych tumanów tutaj, wliczając twojego męża, bez urazy, ty jedna masz trochę rozsądku. A poza tym niesamowity zmysł obserwacji.

Melinda zerknęła niespokojnie na Griffina. Tamten nigdzie się nie wybierał, więc lekko się odprężyła.

– Jeśli masz sprawę, to szybko – powiedziała. – Jestem bardzo zajęta.

– Oczywiście. – Podrapałem się po czole, że o to się nad czymś głęboko zastanawiam. – Chciałem się tylko dowiedzieć... Jeśli naturalnie zechcesz mi powiedzieć... Po tej imprezie...

– Nie przypominaj mi tego! – parsknęła. – Jak ci nie wstyd! Nie rozumiesz, że przez ciebie mogliśmy stracić...

– Rozumiem, rozumiem – odparłem szybko. – Oczywiście, że mi wstyd. Bardzo. Okropnie.

Przerwałem, żeby zobaczyć, czy moja skrucha wywarła na niej jakieś wrażenie. Raczej niewielkie.

– Ja tylko – mówiłem dalej – strasznie się zmartwiłem tą całą historią z Gülsün...

– Jak my wszyscy – weszła mi w słowo.

– Oczywiście – przytaknąłem. – Bo Robert ci pewnie mówił, że spotkaliśmy Gülsün przy szlabanie.

– Owszem, coś wspominał – mruknęła.

Czyli nic jej nie powiedział. Dobra, kontynuowałem:

– I zaraz po tym Gülsün... No wiesz.

Melinda pociągnęła nosem. Nagle przed oczami stanęła mi scena z sarkofagu Polikseny. Nikt po niej nie płakał. Wszyscy mieli żałobne pozy, a na twarzach archaiczne uśmiechy. Musiałem się skupić.

– Posłuchaj – powiedziałem. – To może być bardzo ważne. Czy udało ci się zapamiętać kolejność, w jakiej ludzie wychodzili z imprezy?

– Dlaczego to jest ważne? – zapytała czujnie.

– No, żeby się dowiedzieć, co naprawdę przydarzyło się Gülsün.

– Nie mów mi tylko, Mario, że bawisz się teraz w detektywa. – Popatrzyła na mnie ironicznie spod przymrużonych powiek.

– Ja? Skąd! – Dla potwierdzenia szczerości moich słów uderzyłem się w pierś. – Tylko pomyślałem, że wszyscy powinniśmy się zastanowić, czy istnieje jakiś szczegół, o którym warto by zawiadomić policję.

– Pewnie masz rację – odparła. Oczami duszy pewnie już widziała, jak odbiera order od burmistrza Çanakkale.

– No więc, wracając... Przypominasz sobie, kto wyszedł zaraz po nas?

– No... niedługo po was wyszedł Griffin. – Obejrzała się niepewnie w jego stronę. – Ale nie poszedł oczywiście sam. Frank go odprowadził aż do parkingu. Długo tam stali i rozmawiali. Chyba nie sądzisz, że Griffin mógłby...?

– Absolutnie nie. – W moim głosie dzwięczała spiżowa pewność. – A po Griffinie?

Zastanowiła się.

– Potem Frank wrócił – powiedziała z wahaniem. – Posiedzieliśmy jeszcze trochę, ale zaraz ludzie zaczęli się rozchodzić. Zepsuliście im nastrój do zabawy. – Znowu popatrzyła na mnie oskarżycielsko.

– A Vasif? – drążyłem.

– Vasif? Czekaj, jak to było? Chyba najpierw pożegnał się Dijeke, a Yasmin zaczęła narzekać, że rozboleła ją głowa...

Westchnąłem.

– Później... Czekaj, już wiem! Później Vasif też chciał już iść, ale okazało się, że jest całkiem pijany. Oni tacy właśnie są, ci Turcy. Niby muzułmanie, niby nie wolno im pić, ale jak tylko postawi się na stole butelkę...

Nie pozwoliłem jej rozwinąć tematu: wiara w Mahometa w dwudziestym pierwszym wieku, teoria i praktyka.

– I co było dalej?

– Peter powiedział, że go zabierze do domu. Ale okazało się, że sam nie da rady, i musiał mu jeszcze pomóc Jason. Vasif tak się schlał, że podobno nie tylko musieli go położyć do łóżka, ale jeszcze obudzić następnego dnia.

– Hm, no tak. – Nie miałem więcej pytań. – Dzięki, Melinda.

Oparła ręce na biodrach.

– To może w rewanzu ty mi teraz powiesz, co robił Robert przez całą noc? Wrócił dopiero rano.

– Chętnie – uśmiechnąłem się do niej najradośniej, jak potrafiłem, – ale nie wiem. Chyba jednak musisz go zapytać. Szczerść w małżeństwie to podstawa.

Koparka znowu podjechała blisko i nie dało się rozmawiać, nawet krzycząc. Wcale się nie zmartwiłem. Podeszedłem do hałdy, żeby się spokojnie pogapić i porozmyślać o niczym.

Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Pola coś krzyczała i biegła w stronę koparki, machając rękami. Trochę trwało, zanim operator ją zauważył i zatrzymał maszynę z łychą w górze. Pola wspięła się do kabiny.

Podeszedłem na skraj wykopu. Koparka przecięła kolejny grób równo w połowie. Niektóre naczynia nawet stały nienaruszone.

Operator wyłączył silnik. Pola podbiegła do mnie.

– Dał nam pół godziny. Mario, chodź ze mną szybko do samochodu po narzędzia i papiery. Vasif! – krzyknęła. – Przynieś niwelator i rozstaw go, ale raz-dwa.

– Nie ma sprawy – zgodziłem się. – Mogę iść. Ale po pierwsze: nie raz-dwa, bo jest na to za gorąco. A po drugie: nie bardzo wiem, po co to robisz. Przecież to nie ma już znaczenia. A w pół godziny i tak się nie...

– Dla mnie ma – ucięła. – Chodź, nie gadaj, czas leci.

Robert poszedł poczęstować kierowcę koparki papierosem i trochę pogadać, żeby tamten nie zerkał za często na zegarek. Zsunąłem się w dół po nierównych brzegach wygryzionej przez ciężki sprzęt dziury. Na dole nie było wiatru. Dotknąłem dłonią ziemi, rozżarzonej i sypkiej jak prochy umarłych.

– Najpierw zdjęcie. – Pola krzyknęła z góry. – Zrobię stąd, bo lepiej widać. Ty tylko rozłóż miarki i dawaj tabliczkę z datą.

Zrzuciłem na ziemię torbę i wygrzebałem to, o co mnie prosiła. Pola majstrowała przy cyfrówce.

– Dobra, gotowe.

Wyłączyła aparat, schowała go do plecaka i zlazła na dół.

– Teraz ja spróbuję to jak najszybciej naszkicować, a ty przejdź się i zobacz, czy gdzieś z ziemi coś jeszcze nie wystaje. Jak tylko skończę z urną, możesz się zabrać za dokumentację kości. Vasif!

Obejrzała się. Vasif rozkładał pomarańczowy trójnóg na skraju wykopu.

– Jak będziesz gotowy, daj znać. Tylko nie ustawiaj za wysoko, bo nie obejmie łaty.

Vasif pokiwał głową. Pola przykucnęła ze szkicownikiem na kolanach.

– Cholera – mruknęła. – Stratygrafię diabli wzięli.

– Nie szkodzi – powiedziałem. – Poziom ci wyjdzie z niwelacji.

Podniosła głowę. Wielkie okulary przeciwsłoneczne zasłaniały jej oczy.

– Sprawdziłeś już teren, jak cię prosiłam?

Odwrociłem się na pięcie i ruszyłem na poszukiwania.

– Go-otowy! – wrzasnął Vasif.

– Daj mi jeszcze chwilę. Tylko naniosę kontury.

Rozejrzałem się. Ziemia była rozjechana gąsienicami i poznaczona zębami koparki. Szanse na to, że coś zauważę były równe zeru, ale dla świętego spokoju zrobiłem małe kółko. Potem stanąłem trochę z boku i przypatrywałem się, jak Pola szybko

nanosi na prowizoryczny plan położenie wszystkich przedmiotów w grobie.

– Dobra – krzyknęła. – Możemy zaczynać.

Otworzyła trzymetrową łatę i zachwiała się, kiedy szarpnął nią podmuch wiatru.

– Pomóc ci? – spytałem.

– Dam sobie radę. Poczekaj, aż zdejmę niwelację z urny, i możesz ją już wyjmować.

Wsadziłem ręce w kieszenie i cofnąłem się parę kroków. Pola zdołała ustawić łatę pionowo na skraju grobu.

– Dawaj!

Vasif pochylił się nad niwelatorem.

– D-dwa! P-pięć! Sześć!

Pola przytrzymała łatę między podbródkiem i ramieniem, oparła o biodro szkicownik i zanotowała. Przesunęła koniec łaty na ziemi o kilkadziesiąt centymetrów i wyprostowała ją z wysiłkiem.

– D-dwa! Cztery! Cztery!

– Ile?

– D-dwa! Cztery! Cz-cztery.

– Poczekaj! Nie zgadza mi się!

Vasif wyprostował się przy niwelatorze.

Pola położyła łatę na ziemi i przykucnęła. Przerzuciła kilka kartek, wyciągnęła czysty kawałek papieru i zsumowała jakieś cyfry. Zmięła papier, wcisnęła go do kieszeni i podniosła łatę.

– Jeszcze raz! – krzyknęła.

Vasif znowu zgiął się wpół.

– D-dwa! Cztery! Cztery!

Pola szarpnęła mnie za ramię.

– Urna gotowa.

– Nie możemy jej po prostu zabrać do pracowni? – marudziłem. – Tutaj niewiele jestem w stanie zrobić.

– Mamy zakaz wydobywania obiektów na tym terenie. Czy jakimś cudem ta wiadomość do ciebie nie dotarła?

– Zakaz, który już raz złamałaś w efektowny sposób, i nawet nie trzeba cię było długo namawiać. A poza tym to był zakaz wydany przez Gülsün. A ona... – Wykonałem ręką szeroki gest, który mógł oznaczać wszystko.

Pola wyciągnęła szybko z kieszeni komórkę i zerknęła na wyświetlacz.

– Dwadzieścia dwie minuty – powiedziała.

Westchnąłem i zabrałem się do roboty. Wyjąłem z torby notatnik z długopisem, szpachelkę, pędzelek, drugi pędzelek, trzeci pędzelek i mnóstwo innych drobiazgów. Poszukałem wzrokiem Marilles.

– A ty na co czekasz? – krzyknąłem. – Podobno zostałaś zatrudniona jako moja asystentka.

Podeszła niechętnie, ale wskoczyła do wykopu.

– Frank już od dłuższego czasu mi nie płaci – mruknęła.

– Wy, młodzi ludzie, powinniście jeszcze od czasu do czasu robić coś dla idei. Bierz ten pędzel i omieć całą urnę u podstawy.

Pola przesunęła się na skraj grobu i oparła koniec łaty o ziemię.

– Dawaj tutaj! – wrzasnęła.

Vasif pochylił się nad trójnogiem. Przykucnąłem i poskrobałem szpachelką bok urny. Wydawała się nieuszkodzona. Szara glina była w jednym miejscu drapnięta zębem koparki, ale nie pękała.

– D-dwa! D-dwa! Cztery! – krzyknął Vasif.

Griffin stanął na brzegu dziury tuż nad moją głową. Oczyszczyłem boki urny z ziemi i szpachelką poruszyłem piasek we wnętrzu naczynia. Tylko jeden mały, przepalony na biało kawałek kości dał się wyciągnąć, pozostałe tkwiły w zbitej masie razem z ziemią. Nie wiedziałem, jak mam się do tego zabrać.

– D-dwa! Sie-edem! D-dwa!

– Czekaj! Jeszcze raz, bo mi się ześlizgnęło! Teraz!

– D-dwa! Sie-edem! Jeden!

– Okej.

Przyklękąłem i obejrzałem urnę ze wszystkich stron. Marilles odsunęła się trochę na bok.

Griffin zasłonił mi słońce.

– To miłe z twojej strony, Howardzie, że chcesz mi zapewnić trochę cienia – podziękowałem. – Ale mam taki kaprys, że lubię widzieć, co robię. Przesuń się.

Nie poruszył się. Podniosłem głowę. Patrzył na mnie z góry.

– Rozumiesz, co mówię? Tutaj się pracuje, kolego.

Pochylił się.

– Zdradzę ci moją tajemnicę, Mario – szepnął. – Ja stoję tam, gdzie chcę, chodzę, gdzie chcę, i robię to, na co mam ochotę. Zawsze. I właśnie dlatego jestem tym, kim chcę być. Panem, a nie niewolnikiem, jak ty, który ciągle musi podporządkowywać się ludziom stojącym wyżej. Tak, Mario, to smutne, ale to ty musisz mi się podporządkować. Bo ja stoję nad tobą i nie tylko w tej chwili.

Postukałem lekko szpachelką w bok urny. Wydała odgłos, jakby była gdzieś pęknięta, ale nie widziałem żadnej szczeliny.

Griffin oparł dłonie na kolanach i pochylił się jeszcze niżej. Zacząłem się zastanawiać, czy zrobi mi tę przyjemność i wpadnie do dziury. Położyłem się na boku i próbowałem zajrzeć pod urnę.

– Co, Mario? Nie rozumiesz, czy nie słyszysz?

Postukałem jeszcze raz. Cholera, gdzie jest to pęknięcie?

– Musi gdzieś tu być – powiedziałem do Marilles. – Omieć jeszcze raz pędzelkiem z tej strony, ale tym razem dokładnie.

– Nic dziwnego, że nawet twoja była narzeczona ma cię już serdecznie dosyć. Wiesz, o czym mówię, Mario?

Dźwignąłem się z ziemi i otrząpiałem spodnie. Podniosłem notatnik, ołówki, które mi wypadły, i składaną miarkę. Położyłem to wszystko na brzegu wykopu. Znalazłem spory kamień i przycisnąłem nim papiery, żeby ich wiatr nie zdmuchnął. Wdrapałem się na górę, popatrzyłem jeszcze raz na urnę z kośćmi i dałem Griffinowi w mordę.

Zabolała mnie pięść. Za moimi plecami ktoś krzyknął, a ktoś inny cienko zapiszczał. Griffinowi rozjechały się nogi, jedna

trafiła w pustkę i zwałił się do dziury. Wskoczyłem za nim. Poczekałem, aż się trochę pozbiera, i wałęsałem go jeszcze raz, w żołądek. Zgiął się i usiadł prosto na urnie.

– Proponuję już skończyć tę zabawę – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Griffin spojrział na mnie spod zmierzwionych włosów.

– Świetny pomysł – powiedział spokojnym głosem i runął na mnie z byka.

Trafił mnie głową prosto w środek klatki piersiowej. Złapałem go za kołnierzyk wykrochmalonej koszuli i obaj upadliśmy na ścianę wykopu. Uderzyłem kręgosłupem o jakiś kamień i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Griffin wykorzystał ten moment, żeby się wyprostować i przyładować mi w szczękę. Poczułem metaliczny smak w ustach i spojrzałem na słońce. Oślepiło mnie i nie zauważyłem drugiego ciosu, w brzuch.

– Masz absolutną rację, Mario. Trzeba skończyć tę zabawę.

Odczołgałem się poza zasięg butów Griffina i powoli podniosłem się na nogi. Stał nade mną w rozkroku. Koszulę miał rozzerwaną i poznaczoną ciemnymi plamami potu i ziemi. Uśmiechał się.

– Nie uśmiechaj się, kurwa – wydyszałem. – Twoje demoniczne uśmiechy nie robią na mnie wrażenia.

Potrząsnąłem głową i rzuciłem się do przodu. Poleciał na plecy, zahaczając nogą o rozwaloną urnę. Runąłem na niego.

Poczułem, że unoszę się do góry. Obejrzałem się. Robert złapał mnie za koszulę, a drugą ręką za ramię i szarpnął mocno do tyłu. Wylądowałem na dnie wykopu.

– Jezu, kurwa, Chryste! – krzyknął. – Odpierdoliło ci, Mario?

Otarłem usta. Niepotrzebnie. Ubabrałem się tylko we krwi.

Robert wyciągnął rękę do Griffina. Ten przyjął pomoc i powoli podniósł się na nogi.

– Przepraszamy, panie Griffin – powiedział. – To znaczy ja osobiście nie mam pana za co przepraszać. Ale przepraszam w imieniu tego idioty.

Griffin splunął między białe odłamki kości. Plwocina załśniła w słońcu i błyskawicznie wsiąkła.

– Nic panu nie jest? – Robert popatrzył na niego uważnie. – Może pan oddychać swobodnie? Może powinien pan pojechać do szpitala?

– Nie, w porządku. – Griffin poprawił rozdartą koszulę. Nie wyglądał już jak cyborg.

Siedziałem na dnie wykopu. Było mi całkiem dobrze i nie planowałem się stamtąd ruszać.

Pola pojawiła się obok nie wiadomo skąd i wzięła Griffina za rękę.

– Pomóc ci, czy dasz radę sam wyjść?

– Nic mi nie jest, naprawdę.

– No to chodźmy.

Wsadziła notatnik pod pachę i wdrapała się na górę, Griffin za nią. Nawet się nie obejrzała. Faceci w kaskach i operator koparki rozstąpili się, żeby ich przepuścić.

– Fanta-kurwa-stycznie. – Robert popatrzył na mnie z góry. Stał pod słońce i nie widziałem go zbyt dobrze. – Gratuluję, Mario.

Pomyślałem, że nie mogę tu siedzieć cały dzień, i zacząłem się podnosić.

– Potrafisz się znaleźć w każdej sytuacji. Serdecznie gratuluję.

Wyprostowałem się i spojrzałem na niego.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedziałem.

– Za to ty, kurwa, rozumiesz wszystko. Naprawdę, Mario. – Pokręcił głową. – Do tej pory dziwiłem się, że twój takt, dyskrekcja i wszechstronne talenty są tak słabo doceniane. Teraz, muszę przyznać, dziwię się trochę mniej.

Zrobiłem dwa kroki. Noga mnie bolała i kłuło mnie w boku. Oparłem się o ścianę wykopu i rozsznurowałem but. Kostkę miałem trochę spuchniętą, ale mogłem nią swobodnie poruszać. Drobne skręcenie. Nic, czego nie wyleczyłoby parę łyków zimnego piwa.

Z urny i tak nie było już co zbierać. Podciągnąłem się na rękach i wylałem z wykopu. Pozbierałem notatki i narzędzia do torby, którą zarzuciłem sobie na ramię. Pokuśtykałem w stronę łądy. Za moimi plecami zawył silnik koparki. Poczułem drżenie ziemi, kiedy maszyna wgryzła się w piasek. Przystanąłem i obróciłem się, żeby jeszcze popatrzeć. Ale tylko przez moment.

Otworzyłem wszystkie drzwi w samochodzie, wrzuciłem torbę na tylne siedzenie i obejrzałem się w bocznym lusterku. Miałem tylko rozciętą wargę i śliwę na kości jarzmowej. I ciągle nie mogłem zrobić głębszego wdechu. Mogło być gorzej.

– I co? – Robert stanął za moimi plecami. – Zamierzasz coś z tym zrobić?

– Daj mi spokój – poprosiłem.

Szczęka bolała mnie, jak cholera, więc wyszło to bardziej jak „daamysookój”.

– Nie wiem, stary, czy ty się czasem nad sobą zastanawiasz.

Oparł się łokciem o okno i natychmiast syknął, odskoczył i obejrzał czerwony placek oparzonej skóry.

– Kurwa! Ciągle zapominam... Posłuchaj, powinniśmy poważnie pogadać.

– Może innym razem – zaproponowałem. – Muszę teraz posiedzieć w cieniu i napić się piwa.

– Nie, kurwa, stary! Nie żadnym innym razem. Po co ty to wszystko robisz?

Usiadłem za kierownicą i pot natychmiast zaczął mi ściekać na oczy i kapać z nosa na podkoszulek.

– Specjalnie to robisz? Czy z głupoty? Bo ja już nie wiem.

Włożyłem kluczyk do stacyjki i przekręciłem. Silnik nie chciał zaskoczyć. Położyłem obie dłonie na rozpalonej kierownicy. Po chwili namysłu oparłem na niej także czoło. Czułem, jak krew pulsuje mi w skroniach. Zacząłem liczyć: jedno uderzenie, drugie, trzecie, czwarte...

– Rozumiem, że każdy musi się trochę zabawić. Ale są granice. Kurwa! A skoro nawet ja ci to mówię...

Pięć-sześć, siedem-osiem... Pulsowanie układało się w takcie na cztery. Coś jak dudum-dudum, dudum-dudum. Zamknąłem oczy. Głos Roberta dochodził teraz z końca długiego korytarza. Poczułem się tak, jakbym zanurzył się w wannie pełnej gorącej wody. To było nawet przyjemne.

Dziewięć-dziesięć, jedenaście-dwanaście. Trzynaście-czternaście, piętnaście-szesnaście. Siedemnaście-osiemnaście, dziewiętnaście-dwadzieścia. Dwadzieścia jeden-dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...

– Mario! – Robert szarpnął mnie za ramię. Walnąłem głową o kierownicę.

Zakłócił mi cały rytm. Oparłem skroń o rozpalony plastik i spróbowałem zacząć od nowa. Jeden-dwa, trzy-cztery..

– Mario, do kurwy nędzy! Dobrze się czujesz? Tylko mi teraz nie zemdlej.

Znowu mnie szarpnął. Powoli wynurzyłem się z rozkosznej, gorącej kąpeli. Znowu zacząłem słyszeć wycie wiatru i nieustający terkot pomp. Poczułem, że kierownica parzy mnie w skroń. Podniosłem głowę i zakaszałem.

– Mam cię odwiedzić? Ha-lo? Pytałem, czy mam cię...

– Nie trzeba. Wszystko... wszystko jest w porządku. Daj mi minutę.

– Ale mnie wystraszyłeś, stary. Zrobiłeś się nagle całkiem biały. Myślałem, że zaraz wykitujesz.

Przekręciłem lusterko, bo chciałem się przejrzeć. To był błąd, oślepiło mnie słońce.

Jeszcze raz przekręciłem kluczyk w stacyjce. Tym razem silnik zaskoczył od razu.

– Jesteś pewny, że dasz radę? Może zawołać Vasifa? Albo Marilles.

– Nie, jest dobrze.

Przechyliłem się i zatrzasnąłem drzwi od strony pasażera, a później moje.

– Zamknij mi z tyłu – powiedziałem. – Pojadę już.

– Jesteś pewien?

Zwolniłem ręczny. Łada potoczyła się w dół pagórka. Wrzuciłem jedynekę. Silnik trochę zakaszłał, ale nie zgasł.

– Weź i umyj te skaleczenia w domu! – krzyknął za mną Robert. – I czymś zdezynfekuj, co? Nie zapomnij, bo w tym pieprzonym upale...

Przestałem go słyszeć. Obejrzałem się, po chwili zniknął w kłębach kurzu.

Snułem się bez celu aż do wieczora. Mój pokój, wąski korytarz, kuchnia, pokój, korytarz, kuchnia. Po kilku godzinach zrobiło się nudno, a powietrze za zamkniętymi okiennicami zatęchło. Na dworze panowało codzienne piekło.

Wypiłem wszystkie piwa z lodówki. Uciałem sobie drzemkę. Ale i tak zostało mi mnóstwo czasu do zabicia.

Kiedy wreszcie usłyszałem kroki na schodach, czerwona kula słońca była widoczna tylko do połowy. Wyglądało to tak poetycznie, że aż się chciało rzygać. Skupiłem się na dźwiękach dochodzących z domu. Skrzypienie, kroki w ciężkich buciorach i głos Poli: „Dzięki Vasif, postaw to tutaj”. Potem zatrzeszczały drzwi, ciężkie kroki zatupały na schodach.

Uchyliłem okiennicę.

– Vasif! – krzyknąłem. – Hej!

Podniósł głowę. Z góry wydawał się jeszcze niższy i bardziej masywny niż normalnie. Na plecach podkoszulka miał ciemną plamę potu.

– Vasif – zawołałem. – Byłem wczoraj w Yeniköy. Ładna wioska, niczego sobie. Meczet niedawno odnowiony. Trochę kolor nie wyszedł, taki różowy wygląda lepiej w kiblu miejskim, ale liczą się intencje, nie?

Patrzył na mnie bez słowa

– Ogólnie mi się podobało. No wiesz, bez rewelacji: betonowe domy i parę kur, podobnie jak tutaj, ale to przyjemnie miejsce.

Milczenie.

– I gościnni ludzie. Porozmawialiśmy sobie trochę.

Podszedł bliżej i zadarł głowę.

– I c-co?

– Nic. Dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy.

Przez chwilę przyglądał się swoim butom, zakurczonym tak, że trudno było się domyślić ich koloru. Potem spojrział na mnie.

– Yeniköy t-to bardzo m-mała wioska, M-mario. A T-t-tevfikiye jeszcze m-mniejsza. Wszyscy się znają. Wiem, że t-tam byłeś. Powiedział mi sąsiad. I wiem, że niczego się nie d-d-dowiedziałeś. Cudzoziemcom ciężko jest się t-t-tutaj p-p-poro-zumieć.

– To może sam mi powiedz. Na przykład: co robiłeś tej nocy, kiedy zginęła Nadia?

Przyjrzał mi się uważnie, jakby chciał mieć pewność, że nigdy nie zapomni, jak wyglądam, a później odwrócił się i odszedł bez słowa.

– Jesteś idiotą, Vasıf! – wrzasnąłem za nim. – Gdybyście wszyscy, zamiast chować swoje brudne sekrety po kątach, normalnie rozmawiali, może Gülsün by jeszcze żyła!

Nie odpowiedział.

Zniknął za rogiem. Zatrzasnąłem z hukiem okiennicę. Wyszedłem na korytarz i zastukałem w drzwi Poli. Otworzyła od razu.

– Zapomniałeś...

Przez ułamek sekundy wpatrywała się we mnie, jakby w głębi serca żywiła nadzieję, że jednak zmienię się w Vasıfa. A później spróbowała zamknąć mi drzwi przed nosem, ale trzymałem w szparze nogę. Zabolało nawet przez but.

– Auć – powiedziałem. – Trochę ostrożniej.

– Nie będę z tobą rozmawiać, Mario. Zostaw...

Pchnąłem drzwi ramieniem. Próbowwała mnie powstrzymać, ale z nas dwojga to ja byłem o dobre trzydzieści kilo cięższy i ponad trzydzieści centymetrów wyższy. Wszedłem do pokoju i zatrzasnąłem drzwi.

– Praca wre. – Pokazałem podbródkiem stertę pudeł koło drzwi. – Widzę, że już całkiem otrząsnęłaś się z szoku, jakim

niewątpliwie było znalezienie ciała zamordowanej Gülsün podczas romantycznej randki w ruinach.

Cofnęła się i skrzyżowała ramiona na piersiach. Wyminąłem ją, odsunąłem krzesło od biurka. Na ścianie, przyklejone taśmą do tynku, wisiało zdjęcie domu w otoczeniu drzew i drugie: siwy facet z brodą. Pochyliłem się, żeby mu się przyjrzeć, ale zdjęcie było małe. Usiadłem i przesunąłem łokciem papiery zawalające blat.

– Nic nie rozumiesz, Mario, ale na szczęście ja nie muszę ci tego tłumaczyć. Spieprzaj stąd.

– A jak się czuje nasz znajomy milioner? – zagailem. – Wystarczył kompres czy trzeba było szyć?

– Nie słyszałeś, co do ciebie...

– Nie drzyj się, nie jestem głuchy. Słyszałem, oczywiście. Stoisz metr ode mnie, a głos masz donośny, jakbyś śpiewała w dzieciństwie w chórze parafialnym. Muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne.

Pola oparła się o ścianę.

– To mój pokój. Chcę, żebyś stąd wyszedł.

– To Vasif.

Milczenie.

– To Vasif jest mordercą. To on poderżnął gardło Nadii. I to on zamordował Nazife. Jestem tego prawie pewny.

Milczała przez dłuższą chwilę, zanim się odezwała:

– Można wiedzieć, na czym opierasz te swoje rewelacje?

– Vasif kochał się w Nazife. Pamiętasz, co powiedziała Gülsün? Całkiem oszalał na jej punkcie. Nazife to na początku pewnie imponowało, że łązi za nią student z Istambułu. Ale później jej się znudziło. Pamiętasz, Gülsün mówiła, że przed zniknięciem Nazife strasznie się pokłócili?

Kiwnęła lekko głową.

– No to słuchaj. Vasif oszalał na punkcie Nazife, tak? Nie mógł tego tak zostawić. To nie ten typ, że panienka mu mówi, że ma dosyć, a on grzecznie idzie do domu. Nie, nasz Vasif owszem,

wraca do domu, ale po nóż. Zabija Nazife, bo chce ją mieć, rozumiesz? Chce ją mieć w taki czy inny sposób.

Polu nie powiedziała nic.

Mówiłem dalej:

– Vasif jest inteligentny. Piekielnie inteligentny, zdolny i oczytany. Zabija Nazife i grzebie ją na cmentarzysku, którego zasięg zna z publikacji. Układa zwłoki tak, żeby wyglądały jak starożytne. Zbrodnia doskonała. Nawet jeśli kiedykolwiek ciało Nazife zostanie znalezione, wszyscy będą przekonani, że to odkrycie archeologiczne. Zaplanował wszystko perfekcyjnie. I gdyby nie ten pieprzony guzik, udałooby mu się. Jeden guzik. Pamiętaj o tym, jeśli będziesz kiedyś chciała kogoś sprzątnąć.

Podniosła głowę.

– Skończyłeś już robić z siebie idiotę?

– Księżniczko, trochę uznania. Nie musisz klaskać, ale przełotny uśmiech byłby mile widziany. Posłuchaj dalej. Plan Vasifa był doskonały, ale się nie powiódł. Gülsün zamyka wykopaliska. Opowiada nam o Nazife. Ja rekonstruuje twarz. Vasif ją rozpoznaje. Szkoda że nie widziałaś jego reakcji, jak mu to pokazałem. Zabija Gülsün, bo Gülsün zaczyna się domyslać.

– Przyjmijmy na moment, że masz rację. Ale dlaczego podciął gardło Nadii?

– Przemyślałem to. Chciał stworzyć atmosferę zagrożenia, bo wtedy nikt nie potrafi myśleć logicznie. Wszystko zgadza się z tym, co powiedział Dijeke. Vasif został z Nadią, kiedy wszyscy już wyszli. Ona wtedy prawdopodobnie dostała udaru. A co robi twój przyjaciel Vasif? Nie wzywa karetki, tylko podrzyna jej gardło nad beczką na śmieci, czeka, aż Nadia się wykrwawi, i składa jej ciało na ołtarzu. Po to, żeby wszyscy myśleli, że w okolicy grasuje jakiś seryjny, maniakałny morderca, który naczytał się Homera i układa zwłoki pańienek w atrakcyjnych pozach w starożytnych ruinach. A jemu chodziło tylko o to, żeby uciszyć Gülsün, rozumiesz?

Popatrzyłem tryumfalnie na Polę.

- Ależ ty pieprzysz, Mario.
- Co?
- Nie widzisz, że to się w ogóle nie trzyma kupy?
- Że Vasif był zazdrosny o Nazife? Że chciał ją zdobyć za wszelką cenę?
- Może i tak, ale co z tego! Co z tego? To nie pierwszy facet na świecie, który zakochał się w dziewczynie, a ona go nie chciała. I nie ostatni. Gdyby każdy brał się do mordowania... Nawet nie chce mi się o tym mówić.
- Opuściła ręce.
- A co do Nazife... nawet nie wiesz na pewno, że to jej szkielet znaleźliśmy w Beşik.
- Wiem – powiedziałem. – Widziałas moją rekonstrukcję?
- Widziałam. I moim zdaniem to mogła być każda dziewczyna z najbliższej okolicy. Z dalszej też.
- Jestem pewien, że to Nazife – upierałem się.
- Zostawmy to. Ale powiedz mi: dlaczego Vasif miałby zabijać Gülsün? Bo widziała, że się pokłócił z dziewczyną? Wiesz, ilu facetów codziennie kłóci się z dziewczynami? A ile osób na to patrzy?
- Gülsün wiedziała, że Nazife zaginęła.
- Wszyscy wiedzieli, że Nazife zaginęła. Wszyscy, Mario.
- Tak? To dlaczego Vasif nie chce powiedzieć, co robił w noc, kiedy zginęła... umarła Nadia? Frank, Nadia i Vasif zostali w domu wykopaliskowym. A później Nadia umiera. Ktoś podrzyna gardło trupowi. A Vasif nie chce powiedzieć, co wtedy robił.
- Nagle Pola zaczęła się śmiać. Chichotała, przykładając dłonie do policzków, aż z oczu popłynęły jej łzy.
- No co? – spytałem. – Co w tym takiego śmiesznego?
- Chcesz wiedzieć, co Vasif robił tamtej nocy? Miał randkę z Ayçą.
- Co?
- Spotkał się z Ayçą i jak sam się tego możesz domyślić, nie bardzo miał ochotę opowiadać o tym publicznie.

– Wcale się nie dziwię. Najpierw jedna siostra, potem druga... A skąd ty o tym wiesz?

– Wszyscy o tym wiedzą, Mario. Żyjemy w małej wiosce koło drugiej małej wioski. Wszyscy wszystko wiedzą.

– Już to dzisiaj słyszałem – burknąłem. – Szkoda, że nikt nic nie chce powiedzieć.

– Sam widzisz, że to wszystko, co wymyśliłeś, nie ma sensu. Jezu! Dlaczego ja tracę czas na rozmowę z tobą o takich pierdołach. I to po tym, co dzisiaj zrobiłeś. Idź już stąd.

Uśmiechnąłem się.

– No dobrze. Chciałem cię przetestować. Sprawdzić, czy jeszcze potrafisz logicznie myśleć. Oczywiście, że to nie był Vasif. On nie mógł zamordować Gülsün, bo tamtej nocy tak się upił, że mógłby się oświadczyć krzakowi pomidorów. I nie miał okazji poderżnąć gardła Nadii. Po pierwsze: jak sama powiedziałaś, był na randce z Ayçą. Więc nie miał czasu wykrwawiać Nadii nad beczką i zawlec jej na ołtarz. A po drugie: jest jeszcze coś, o czym nie powiedziałem. To nie Vasif widział Nadię ostatni tej nocy, kiedy umarła, tylko Frank.

– Jak to?

– Dijeke powiedział, że Frank wyszedł i zostawił Nadię i Vasifa samych. Tamci się pokłócili i Vasif wybiegł, trzaskając drzwiami. A po jakimś czasie Frank wrócił. Moim zdaniem to Frank.

– Najpierw Vasif, potem Frank. Zdecyduj się. Chociaż pewnie to trudne, bo twoje obie teorie są równie idiotyczne.

Wsadziła sobie palec do gardła, żeby pokazać, co myśli o moim rozumowaniu.

– Ale jednak ktoś to zrobił. Ktoś zamordował Gülsün i Nazife oraz poderżnął gardło Nadii. Frank jako jedyny z całej ekipy miał taką możliwość. Nazife? Proszę bardzo: znał mit o Poliksenie, znał zasięg cmentarzyska, zna złotników w Çanakkale, a nawet zarabia dostatecznie dużo, żeby wywalić paręset euro na imitacje starożytnych blaszek z czystego złota. Nadia? Proszę bardzo. Wraca do pracowni i zastaje ciągle jeszcze ciepłe

zwłoki Nadii. Podrzyna jej gardło i umieszcza ciało na ołtarzu. Nikt go nie widzi, bo wszyscy poszli spać, a ci co nie śpią, są na randce, i Frank doskonale o tym wie. A Gülsün? Proszę bardzo. Melinda powiedziała nam, że zaraz po naszym eksodusie z imprezy Frank poszedł odprowadzić Griffina na parking. I długo go nie było. Podobno się zagadali. Ale moim zdaniem wcale się nie zagadali. Frank pożegnał Griffina i przywitał się z Gülsün. Gülsün na pewno od razu wypaplała mu sensacyjną plotkę o naturalnej śmierci Nadii. Frank zaprowadził ją w ruiny, nie było to trudne, mógł to zrobić pod byle pretekstem, w końcu to ona formalnie nadzorowała to stanowisko. I walnął Gülsün w głowę kamieniem. Raz, drugi, trzeci..., żeby wyglądała jak ilustracja mitu o dziewicach lokrydzkich.

– Lokryjskich – poprawiła mnie automatycznie. W świetle zachodzącego słońca twarz Poli płonęła.

– Nawet ty musisz przyznać – mówiłem dalej – że ostatnio nasz Frank miał masę szczęścia. Podrzędny naukowiec z dorobkiem za małym nawet na to, żeby dostać grant, i nagle trafia mu się taki fart. Najpierw ten dorobkiewicz Griffin postanawia się zabawić w dobrego wujka i sypnąć groszem biednym archeologom. A później pani główny inspektor, która zamknęła mu stanowisko, zostaje spektakularnie zamordowana na terenie wykopalisk. Sława i pieniądze, moja droga, sława i pieniądze. Podobno to główne motywy większości zabójstw. To znaczy pieniądze, bo z tą sławą to za bardzo nie wiem.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę.

– Całkiem ci odpierdoliło. – Pokręciła z niesmakiem głową. – Dzwonię po...

Wyrwałem jej telefon z ręki. Przerwałem połączenie, wyciągnąłem baterię i wyrzuciłem przez okno. Części telefonu cisnąłem na łóżko.

Patrzyła na mnie z otwartymi ustami.

– Posłuchaj mnie – poprosiłem.

– Wynoś się stąd!

Złapałem ją za rękę. Mocno.

– Musisz mnie najpierw posłuchać.

Oddychała szybko, płytko. Jej źrenice rozszerzyły się i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, że Pola się mnie boi.

Puściłem ją. Cofała się, aż dotknęła łydkami łóżka. Wzrok miała utkwiony w drzwiach.

– Pola – powiedziałem.

Spojrzała na mnie, potem znowu na drzwi, potem znowu na mnie.

– Pola, uspokój się. Przepraszam.

Odsunąłem się na całą szerokość pokoju. Po chwili jej oddech trochę zwolnił.

– Posłuchaj, to bardzo ważne.

Pola oparła się o biurko. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Przepraszam – powtórzyłem. – Pola, przepraszam, słyszysz? Nie chciałem cię przestraszyć. Chcę ci tylko powiedzieć... Posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze? Dwie minuty.

Popatrzyła jeszcze raz na drzwi, a potem wyjrzała przez okno. Na zewnątrz było już prawie ciemno. Niebo miało zielonkawy odcień butelkowego szkła.

– Słuchaj... przepraszam, że wyrwałem ci telefon. Nie chciałem być... Przepraszam. Dobra?

Zawiesiłem głos.

– Pola. – Mówiłem, patrząc jej prosto w oczy. – Wiem, że mogę się mylić. Ale Frank miał możliwość zamordowania Gülsün i Nazife. I miał motyw.

Wziętem głęboki wdech.

– Robert otworzył mi dzisiaj oczy na kilka faktów, które przede mną zataiłaś. Wiem, że Frank wcale nie jest uważany za taką archeologiczną gwiazdę. Wiem też, że miał poważne kłopoty ze zdobyciem funduszy na wykopaliska. Że wszystko wymykało mu się spod kontroli. Śmierć Gülsün to dla niego prezent – powtórzyłem słowa Roberta. – Dzięki temu nikt nie rozliczy go z niezrealizowanych wykopalisk.

Pola odsunęła krzesło od biurka, usiadła i potarła dłońmi twarz. Pod oczami znowu miała cienie.

– Przychodzisz tutaj nieproszony – powiedziała zmęczonym głosem. – Niszczysz mój telefon. I najpierw próbujesz mi wmówić, że mordercą jest Vasif, a za chwilę, że Frank.

Nagle poczułem się kompletnie wyczerpany. Bolała mnie skaleczona łopatka i szczeka, w którą uderzył mnie Griffin. Nogi się pode mną ugięły. Oparłem się o ścianę.

– Twierdzisz, że Frank zamordował Gülsün, żeby się nie tłumaczyć z braku rezultatów wykopalisk. A Nazife po co? Żeby mieć spektakularne znalezisko na wypadek, gdyby nie odkopał nic innego?

– Nie wiedziałem, że sytuacja Franka jest taka trudna. Dopiero dzisiaj Robert mi to uświadomił. Mogę usiąść? – Pokazałem palcem łóżko.

– Nie. Pieprzysz, Mario.

– Co?

– I daj mi już spokój.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

– Pola – stwierdziłem. – Ty nic nie rozumiesz.

– Przeciwnie, rozumiem aż za dobrze.

– Frank miał okazję, żeby zabić i Nazife, i Gülsün. Mógł zaaranżować te wszystkie morderstwa i mógł poderżnąć gardło Nadii. Nie widzisz tego? I zamknij te cholerne drzwi. Nie chcę, żeby wszyscy wiedzieli, o czym tu rozmawiamy.

– Nie rozmawiamy. A w każdym razie już skończyliśmy.

– Dobra. Chcesz dowodów? Zaraz ci je przedstawię.

Jej pokój był mały. Wystarczyły dwa kroki, żeby dojść do ściany. Mimo to zacząłem chodzić tam i z powrotem.

– Frank kopie Troję od pięciu lat, prawda? Ty pracujesz z nim od początku. W zeszłym roku miał przerwę, ale wcześniej siedział tutaj przez cztery sezony. Ten miał być piąty, tak czy nie?

Nie odpowiedziała.

– Trzy lata temu zatrudnił Nazife. Na tych samych zasadach, co w tym roku Ayçe, jako studentkę, niewykwalifikowaną pomoc na wykopaliskach. A potem Nazife zniknęła.

– Ayça też przestała pracować.

– Ale Nazife zniknęła bez śladu. Ulotniła się. Wyparowała. Jej rodzina nie wie, co się z nią stało.

Popatrzyłem na Polę. Odwzajemniła spojrzenie.

– Frank ją zabił, Pola. Poderżnął jej gardło i zakopał ją na terenie cmentarzyska. Liść w lesie. Zeschły liść w martwym lesie. Ale Frankowi nie chodziło o to, żeby ją ukryć. Wręcz przeciwnie: spreparował fałszywy starożytny grób w samym środku starożytnego cmentarzyska. Sam spreparował sensacyjne odkrycie. Wyposażył szkielet w złote blaszki ze starożytnym wzorem, replikę blaszek znalezionych na innym stanowisku. Pasował okres, pasował kontekst. Wszystko zaaranżował tak, żebyśmy myśleli, że pochowano tam trojańską księżniczkę. A kiedy był już pewien, że ciało się rozłożyło, wysłał ciebie, żebyś ją znalazła. Wolał, żeby to zrobił za niego ktoś inny. Tak było bezpieczniej. I ty przyniosłaś mu na tacy odkrycie, które miało zapewnić mu sławę i złoty deszcz grantów do emerytury. I gdyby nie ten mały guzik, wszystko by się udało. *À propos* guzika, Frank jest jedyną osobą na tych wykopaliskach, która nosi zapinane, białe koszule, zauważyłaś?

– Ale nie jedyną osobą na świecie! – krzyknęła Pola. – Frank to normalny człowiek, a nie jakiś seryjny zabójca! Nigdy w życiu nie mógłby zabić człowieka! To profesor uniwersytetu. Pracujemy razem od lat. Znam go.

– Naprawdę go znasz? Naprawdę możesz powiedzieć, że go dobrze znasz?

– Naprawdę! Nie wierzę, że to on!

– Nie drzyj się – zwróciłem jej uwagę. – Później Nadia umiera prawie na jego rękach. Więc skoro już się wydało, że Nazife to nie Poliksena, tylko ofiara całkiem współczesnego mordery, śmierć Nadii to wspinała okazja, żeby podrasować tę

historyjkę jeszcze jednym trupem. Ale oczywiście zwykły zgon z przyczyn naturalnych mógłby tu bardziej zaszkodzić niż pomoc. Więc mamy nową ofiarę maniakalnego wielbiciela starożytności, zamordowaną na starożytnym ołtarzu. A zabicie Gülsün jest już tylko konsekwencją tego wszystkiego. – Przerwałem, żeby nabrać tchu. – Nie twierdzę, że Frank to wszystko planował od początku. Ale on doskonale umie wykorzystywać sprzyjające okoliczności. Z niezwykłego znaleziska zrobiła się ofiara zbrodni? Tym lepiej. Więc dołożył jeszcze drugą, a potem trzecią, i za jednym zamachem załatwił sobie zainteresowanie mediów, sponsorów i komisji przyznającej granty oraz wyeliminował z gry Gülsün, która lubiła rzucać mu kłody pod nogi.

– Nie wierzę ci – powiedziała cicho Pola. – Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Zobaczyc znaczy uwierzyć. Chodź ze mną.

– Zwariowałeś? Nigdzie nie idę!

– To nie było pytanie. Ani prośba.

Chwyćcie ją za rękę.

– Chodź – powtórzyłem.

Próbowała się wyszarpnąć, ale trzymałem mocno. Pociągnąłem ją w stronę drzwi. Zanim wyszliśmy na korytarz, coś mi przyszło do głowy. Puściłem Polę i otworzyłem szafę. Wisiała tam jedna sukienka. Ściągnąłem ją z wieszaka.

– Załóż to – poleciłem. – Tylko popsikaj się płynem na komary, bo cię zeżrą żywcem.

Pola stała pośrodku pokoju, z rękami skrzyżowanymi na pierśsiach.

– No już, pośpiesz się. Nie mamy czasu.

– Spieprzaj, Mario – powiedziała.

Odwróciła się do mnie plecami i podeszła do biurka.

Położyłem przed nią sukienkę.

– Wkładaj to – powiedziałem. – Albo ja włożę to na ciebie siłą. Ta sukienka nie będzie już potem taka ładna, ale wystarczy.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Gdyby ogień w jej oczach naprawdę mógł wywołać obrażenia, jechałbym już do szpitala z poparzeniami trzeciego stopnia.

– Nie odważysz się – warknęła.

– Chcesz się założyć?

Mierzyliśmy się spojrzeniem. W końcu wyszarpnęła sukienkę z moich rąk.

– Odwróć się.

Zrobiłem to posłusznie. Ściągana przez głowę koszulka zaszeleściła i owionął mnie zapach kobiecego ciała. Zaciągnąłem się nim jak papierosem.

Świst zasuwanego zamka. Szmer podkoszulka i szortów spadających na podłogę. Klekot sandałów na kamiennej posadzce.

– Mogę już patrzeć?

Nie odpowiedziała. Spojrzałem przez ramię. Pochylona nad małym lusterkiem zawieszonym na gwoździu obok łóżka szcztokowała włosy.

– Może być? – spytała. – Nadaje się, kurwa?

– Super.

– A teraz, zechcesz mi łaskawie powiedzieć, o co ci chodzi. Mam występować w kabarecie? Zatańczyć na rurze?

– Nie, księżniczko. – Pociągnąłem ją do drzwi. – Może innym razem.

– Więc co?

– Znasz ten dowcip? Co powiedział generał MacArthur, kiedy się dowiedział, że kura przekroczyła ulicę? „Kura przeszła po to, żeby odwrócić uwagę od podstępu nieprzyjaciela”. Dzisiaj w nocy ty będziesz robić za kurę.

Popełniłem błąd. Zrozumiałem to od razu, kiedy przestąpiłem próg domu. Niewiele brakowało, żebym wrócił. Marzyłem, żeby pójść prosto do pokoju, zapalić wszystkie światła i zaszyć się tam do rana. A przedtem jeszcze skołować skrzynkę piwa i butelkę czegoś mocniejszego. Może mógłbym wysłać Marilles do którejś z knajp, bo sklep na pewno jest już zamknięty. Taki plan wydawał mi się niezły, ale nie mogłem go zrealizować.

Na dworze było ciemno jak w grobie. Jedyna latarnia przy wejściu do sklepiku rzucała siny blask tylko na kilka metrów dziurawego asfaltu. Wylot uliczki, gdzie zaparkowałem ładę, spowiadały cienie gęste jak całun. Były czarne. Czarne jak noc.

Popatrzyłem w górę, szukałem księżyca, który mógł mnie ocalić, ale nie dzisiaj. Tej nocy był już bardzo cienki. Niedługo nastanie nów i zniknie całkiem. A wtedy cienie podpełzną pod moje stopy i oplotą mi kostki lodowatymi palcami. Potem zaczną się wspinać, aż dotrą do kolan i ud, i chwycą mnie za jaja. Wpełzną mi na brzuch, przykucną na klacie piersiowej i będą mnie gniesć, całym swoim ciężarem, aż stracę oddech. A potem podejdą jeszcze wyżej, pełznąć powoli do szyi, aż poczuję na wargach wilgotny, zimny pocałunek. I wtedy umrę.

Złapałem spojrzenie Poli. Stała na progu z założonymi rękami i przytupywała sandałkiem. Światło z korytarza tworzyło aureolę wokół jej głowy. W białej sukience wyglądała jak zjawą.

– Dobra – powiedziałem.

Słowa nie chciały przechodzić przez zaciśnięte gardło. Zmusiłem się, żeby mówić dalej.

– Samochód stoi tam. Chodź.

Nie wiem, jak przeszedłem tych kilkanaście metrów. Wiem tylko, że kiedy wreszcie otworzyłem drzwi, pstryknąłem lampkę w podsufitce, włączyłem silnik i zapaliłem światła, nogi miałem miękkie jak z waty, a ręce mi się trzęsły. Położyłem je na kierownicy i starałem się nie zwracać na nie uwagi, aż się same uspokoją. Pola przyglądała mi się z fotela obok.

– Zdradzisz mi szczegóły swojego genialnego planu?

Wciągnąłem głęboko powietrze, potrzymałem je w płucach i wypuściłem. Powtórzyłem to jeszcze dwa razy, ale nic nie pomogło.

– Chcę – powiedziałem na wdechu, ale okazało się to złym pomysłem. Wypuściłem powietrze, wciągnąłem je znowu i spróbowałem jeszcze raz. – Chcę się dostać do biura Franka w domu wykopaliskowym.

– Aż tak bardzo pragniesz mieć raporty z poprzednich lat? Trzeba mi było powiedzieć, mam je u siebie w komputerze.

– Nie musisz się wyzłośliwiać. Dobrze wiesz, że nie chodzi mi o raporty.

Podrapała się po nosie. Wielki żuk zwabiony światłem stuknął o przednią szybę.

– Nie zapytasz, o co chodzi?

– Nie interesuje mnie to.

– Ani dlaczego kazałem ci założyć sukienkę?

Odwróciła się do mnie, uśmiechając się złośliwie.

– Bo chciałeś się pogapić na moje nogi.

– Widzę, że wrócił ci humor. Trochę, ale nie do końca. Bo jakby nas ktoś nakrył...

– To co, mam go uwieść?

– Coś w tym stylu.

– Świetny plan. Genialny. Jedź już, bo komary mnie gryzą.

– Mówiłem przecież.

– Zamknij się i jedź.

Po drodze nie myślałem o niczym. Ani o zabitych kobietach. Ani o Poli, której biała sukienka lśniła w mroku. Nie myślałem o Robercie ani o Griffinie, ani o tym, że mnie boli szczęka. I nie myślałem o ciemności.

Na parkingu budka telefoniczna migotała jak fluorescencyjna latarnia morska. Pomacałem się po kieszeniach. Latarka: jest, zapasowe baterie: są, dwa komplety. Wysiadłem i trzasnąłem drzwiami.

Pola szła w milczeniu, pół kroku za mną. Słyszałem jej oddech. Zszedłem z asfaltu i pod stopami zaczął mi chrzęścić żwir. Mój cień z każdym krokiem stawał się coraz dłuższy i bledszy. A potem przechwyciła go druga latarnia i przesunął się za plecy. Spojrzałem w niebo. Księżycza nie było widać.

Za drewnianą makiętą konia, smutną i opuszczoną, bez turystów czekających na swoją kolejkę do zdjęcia, żwir zamienił się w nierówno wylany beton. Tam nie było już żadnej latarni. Gałęzie drzewa wchłaniały odrobinę światła, która docierała ze ścieżki. Ściana domu promieniowała ciepłem. Wyjąłem latarkę, jej blask rozpraszał się w ciemności. W wątłym świetle wymacałem haczyk w niskiej furtce. Zawiasy cicho skrzypnęły.

Potknąłem się o coś na ścieżce. Zatrzymałem się i oświetliłem betonowy chodnik, ale nie zobaczyłem nic. Latarka ślizgała mi się w spoczonej dłoni, więc przełożyłem ją do drugiej i wytarłem rękę w spodnie. Krople potu, gęste jak syrop, kapwały mi z czoła do oczu. Otarłem je. Zaszczypało.

Serce waliło mi w piersi, jakby się domagało, żeby je wypuścić na zewnątrz, a kolana zmiękły i nie mogły utrzymać ciężaru ciała. Oparłem się o mur. Nierówny tynk drapał mi plecy przez wilgotną koszulkę.

– Pola? – Chrząknąłem raz i drugi i splunąłem na chodnik czymś gorzkim, co nagle pojawiło mi się w ustach.

– Boisz się? – Stanęła naprzeciwko mnie, tyłem do światła, duch bez twarzy w białej szacie.

– Nie, ja tylko...

– Mario ma cykora! Mario ma cykora!

– Zamknij się – warknąłem. – Tu może ktoś być.

Oderwałem się od muru, namacałem w ciemności rękę Poli i pociągnąłem ją za sobą w stronę ciężkich metalowych drzwi. Łomot serca zagłuszał dźwięk naszych kroków na betonie. Wcisnąłem jej latarkę.

– Świeć. Tylko ostrożnie.

Wyciągnąłem z kieszeni klucz.

– Skąd to masz?

– Ukradłem. Z twojego biurka. Myślałaś, że potrafię otworzyć zamek siłą woli? Trzymaj prosto tę cholerną latarkę.

Nie usłyszałem kliknięcia zapadki, ale poczułem lekkie stuknięcie i drzwi odskoczyły.

Wyciągnąłem latarkę z ręki Poli.

– Lepiej ja będę ją trzymał. Włóż do środka, szybko.

Przestąpiła przez próg. Delikatnie zamknąłem za nami drzwi i włączyłem światło. Pola strąciła moją rękę z włącznika i błyskawicznie zgasła lampy.

– Oszalałeś do reszty? Ktoś może zobaczyć blask w oknie.

Coś zacisnęło się na moim gardle i przestałem oddychać. Pot zalał mi oczy, nie widziałem już nawet jasnego kręgu latarki. Schyliłem się. Poczułem, jak krew napływa mi do głowy, a skronie łomoczą w tym samym rytmie co serce. Ukląknąłem przy drzwiach na zimnej kamiennej podłodze, oparłem się czołem o ścianę i spróbowałem wciągnąć powietrze w płuca. Przy czwartej próbie obręcz ściskająca mi żebra trochę się rozluźniła. Przy dziesiątym wdechu zaczęło mi się kręcić w głowie. Chciałem coś powiedzieć, ale usta miałem pełne śliny. Przełknąłem ją.

– Zasłoń okna – wyszeptałem.

– Nie wiem czym. Poczekaj.

Usłyszałem jej kroki, oddalające się ode mnie. Obręcz zacisnęła się mocniej i w płucach znowu zabrakło miejsca na powietrze.

– Tutaj jest jakaś stara zasłona. – Machnęła mi czymś przed twarzą. – Faj, obrzydliwa.

– Pospiesz się. – Staralem się wypowiadać słowa wolno i wyraźnie, ale kiepsko mi to wyszło.

– Przecież się nie pali. – Głos miała spokojny, jakbyśmy toczyli miłą pogawędkę w piękne letnie popołudnie. Sandałki zastukały w odległym kącie. – Dobra, jedno jest. A drugie...

Znowu odgłos kroków. Szelest. Cisza.

– Pola.

– Nic nie mogę znaleźć. Przestań mnie poganiać.

Podniosłem głowę do góry i poświeciłem przed siebie.

– Weź Schliemanna – wyrzuciłem.

– Co?

– Weź tego pieprzonego Schliemanna! I nie każ mi jeszcze raz tego powtarzać.

Podeszła bliżej do ściany, na którą padał błady blask latarki. Zdjęła portret Schliemanna w surducie i podniosła do góry.

– On ma w brzuchu dziurę. Światło będzie przebijać.

– To ją czymś zatkać, do cholery! Rusz się!

Przestałem mówić i skupiłem się na oddychaniu. Wdech i wydech. Wdech i wydech. To było nawet proste, jeśli się nie zapomniało o kolejności. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

– Po co mnie tu właściwie zaciągnąłeś?

– Co?

Wdech i wydech. Jeśli się skupię i nie będę się rozpraszał, powinno się udać.

– Dlatego chciałeś, żebym tu z tobą przyszła? Bo się boisz?

Podniosłem głowę. Stała tam w białej sukience, z portretem w rękach.

– Jak tu jesteś, to też się boję – wyszeptalem. – Zasłoń okno.

– Zasłonię, jeśli mi powiesz. Po co ci jestem potrzebna?

Oparłem się o krzesło i dźwignąłem na nogi. Drżały i nie miałem do nich zaufania.

– Zawsze taka byłaś. – Zrobiłem krok w jej kierunku. Nie poszło najlepiej, ale przynajmniej nie przewróciłem się jak długi. – Cholerna, złośliwa suka. Wredna, zawistna...

Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. Ciemność wirowała mi w głowie.

– ...suka – dokończyłem. – Albo jeszcze gorzej.

Wsadziłem sobie latarkę w zęby, wyszarpnąłem Schliemanna z jej rąk i wpasowałem go w okno. Potknąłem się, złapałem krawędzi stołu, obiliem sobie goleń o metalowe krzesło, potknąłem się po raz drugi. Dotarłem do drzwi i pstryknąłem przełącznikiem. Zmrużyłem oczy przed powodzią światła. Nogi całkiem się pode mną ugięły. Opadłem na podłogę i dotknąłem czołem krawędzi stołu.

Pola bez słowa podeszła do zlewu, wzięła stary ręcznik, zwinęła go w kulę i wetknęła Schliemannowi w brzuch.

– Idiota – powiedziała, nie patrząc na mnie.

– Prze... przepraszam. – Oddychało mi się już lepiej, ale jeszcze nie całkiem normalnie. – Przecież wiesz.

Wzruszyła ramionami. Przysiadła bokiem na jednym z biurek i zaczęła kiwać nogą.

– Lepiej się pospiesz. Jestem zmęczona i nie będę tutaj siedzieć całą noc.

– Dobrze – wysapałem. – Dobrze.

Nabrałem powietrza w płuca jeszcze parę razy, żeby sprawdzić, czy działają. Później powoli wstałem. Zakręciło mi się w głowie, ale świat przed oczami nie zamienił się w ciemność. Odetchnąłem głęboko jeszcze raz i podszedłem do ostatniego biurka stojącego pod ścianą. Szeroki blat, obwiedziony metalową listwą, był zawalony papierami, na samym środku pusty prostokąt oznaczał miejsce, gdzie w ciągu dnia znajdował się laptop.

– Tutaj pracuje Frank, prawda?

Pola patrzyła na brudną ścianę przed sobą.

– Jeśli mi pomożesz, będzie szybciej.

Zero reakcji.

Zacząłem od prawej. Brałem do ręki teczkę po teczce, przeglądałem i odkładałem na miejsce. Papier był zakurzony, niektóre strony pożółkły i wydawały się bardzo kruche. Kserokopie artykułów, odbite niewyraźnie i ze smugami, brudziły mi palce.

– Czego ty właściwie szukasz?

– Czegoś. – Kichnąłem. – Czegoś konkretnego.

– Czegoś, co pozwoli ci samemu uwierzyć w twoją paranoiczną teorię, że Frank zabił jedną dziewczynę, jedną młodą kobietę i poderznął gardło trupowi?

Podniosłem głowę i spojrzałem na nią. Siedziała na stole koło okna, pochylona lekko, i machała nogami.

– Tak.

– I myślisz, że coś takiego znajdziesz? Krwawe odciski palców? Nagranie wideo? Napisane odręcznie przyznanie się do winy?

– Mniej więcej.

Zeskoczyła z biurka i podeszła bliżej.

– Mario – spytała cicho. – Co się z tobą dzieje?

Stos papierów, który ułożyłem, zaczął się niebezpiecznie chwiać. Musiałem go zmniejszyć. Przełożyłem połowę teczek na miejsce po laptopie. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, więc nie mogłem jej odpowiedzieć.

– Nie byłeś taki. Kiedyś. Jeszcze niedawno. Co się stało, Mario? Dlaczego nagle zrobiłeś się taki... taki... – Szukała słowa. – Trudny.

Urwała.

– Znam cię od lat. – Potarła czoło. – Na początku wykopalisk myślałam, że chcesz się na mnie odegrać. Wiedziałaś, że mi zależy na tej pracy, na tych ludziach, i dlatego robiłeś wszystko, żeby cię znienawidzili. I uznali za wariata.

– Nie przesadzaj – mruknąłem. – Aż tak się nie starałem.

– Ale teraz? Po śmierci Nadii zachowujesz się, jakbyś nagle wpadł w paranoję. Śledzisz ludzi, nikomu nie wierzysz, wszystkich podejrzewasz.

– Ktoś zamordował te dziewczyny. Same się raczej nie zabiły, nie sądzisz?

– Śmierć Nadii to był wypadek. Może Poliksena... – Pochyliła się bardziej – Nazife... może to też był wypadek.

– To musiał być naprawdę bardzo nieszczęśliwy wypadek, skoro zostały ślady po nożu na wewnętrznej powierzchni kręgów szyjnych. A Nadii też ciężko byłoby po śmierci samej poderżnąć sobie gardło. I dowiec się stąd do ołtarza. To kawałek drogi.

– Musisz być taki cholernie cyniczny?

– Nie muszę. No i proszę! Szukajcie a znajdziecie!

Podniosłem do światła plik kartek spiętych metalowym klipsem.

– Co to jest?

– To jest... dokładnie... – Odchyliłem pierwszą stronę. – Pełna nazwa brzmi „Raport pedologiczny, Troada”. Datowany na... o, to ciekawe.

Pola zeskoczyła ze stołu, podeszła bliżej i spróbowała zajrzeć mi przez ramię. Przesunąłem kartki tak, żeby nie mogła ich zobaczyć.

– Data sprzed dwóch lat. Zobaczmy dalej.

Odwróciłem się do niej tyłem i przerzucałem strony.

– No i proszę. Naszego Franka najbardziej zainteresował fragment dotyczący właściwości kwasowych gleby. Zobacz, co sobie zaznaczył żółtym markerem.

Odwróciłem się i pokazałem jej kartki.

– ...reakcje rozpadu minerałów charakteryzują się dużą dynamiką wymiany składników ze środowiskiem wietrzenia... – zaczęła czytać półgłosem. Podniosła głowę. – Nic z tego nie rozumiem.

– No wiesz, ja też nie jestem geologiem, ale w skrócie chodzi o to...

– Rozumiem, co tu jest napisane – powiedziała zniecierpliwiona. – Ale nie rozumiem, dlaczego raport geologiczny opisujący właściwości gleby w Troadzie stanowi dla ciebie dowód

popęśnienia morderstwa. Może lepiej weź ten długopis. Równie dobry dowód, a przynajmniej znajdziesz na nim odciski palców.

– Cha, cha, ale śmieszne. Ale jeszcze mamy tutaj notatkę na marginesie: $y=1285/x$. No to mamy cię, Frank.

Wycelowałem w Polę dwa palce, powiedziałem „pif-paf”, a potem udałem, że zdmuchuję dymek z lufy.

– Wiesz, co oznacza ten wzór?

– Nie mam pojęcia. I wcale nie mam ochoty...

– To jest równanie używane przez nas, antropologów, czyli twoim zdaniem pośledniejszą część ludzkości, do określenia czasu pełnego zeszkieletowania zwłok. Y to liczba dni potrzebnych, żeby szanowny nieboszczyk zamienił się w szkielet, a X to temperatura otoczenia. Jeśli nie zapomniałaś jeszcze arytmetyki ze szkoły, to możesz się sama przekonać, że im temperatura wyższa, tym szybsze zeszkieletowanie.

Pomachałem jej kartką przed nosem. Cofnęła się o krok.

– Biedaczek Frank nie wiedział tylko, że ten wzór stosuje się do zwłok rozkładających się na powierzchni ziemi. Zakopane mają inne tempo dekompozycji. A może zresztą wiedział, bo raport został sporządzony specjalnie na zamówienie... zobaczmy... – Odwróciłem kilka kartek. – Profesor Frank Huber, Kensington Gardens University. Nadal nie rozumiesz?

– Nie.

– Frank zamówił ten raport dwa lata temu, dwa i pół roku, tu jest data styczniowa. Kilka miesięcy po zaginięciu Nazife. Chciał się dowiedzieć, jak długo jej zwłoki powinny leżeć w ziemi, zanim bezpiecznie będzie mógł wystąpić o pozwolenie na badania cmentarzyska. Potrzebował dokładnych informacji na temat właściwości gleby, bo musiał obliczyć, z bezpiecznym zapasem, kiedy tkanki miękkie się rozłożą. To proste jak konstrukcja gumki-myszki, albo nawet jeszcze prostsze. Ciągłe jeszcze nie rozumiesz?

Pokręciła głową.

– Mario. Posłuchaj. Spójrz mi w oczy. Taki raport należy do standardowego zestawu dokumentów przygotowywanych do publikacji.

– Tak? To dlaczego Frank go jeszcze nie opublikował?

– O rany, dlaczego. Tysiące stron leżą i czekają na opublikowanie, a ty się czepiasz jednego raportu? Moje raporty z poprzednich lat też się jeszcze nie ukazały. A poza tym, skąd wiesz, że nie został opublikowany.

– Nie wiedziałem. Właśnie teraz się dowiedziałem. Od ciebie.

– Jesteś idiotą, Mario. – Przeszła na drugą stronę biurka, usiadła na krześle i złożyła dłonie na kolanach. – A ja jestem zmęczona. Możemy już wracać do domu?

– Jeszcze chwileczkę. Jeden moment, nie więcej – poprosiłem. Westchnęła.

W papierach nie było już nic ciekawego. A może było, ale ja nie potrafiłem tego znaleźć. Ułożyłem teczki z grubsza tak, jak leżały wcześniej, i wysunąłem górną szufladę biurka. Zacięła się w połowie, szarpnąłem, blacha zazgrzytała. Pola zatkała sobie uszy.

– Nie wiem, czego się spodziewasz – powiedziała. – Myślisz, że Frank ma tutaj schowane pornosy?

– E, chyba nie. Wtedy zamykałby szufladę na klucz. Ale ma coś innego. Sama zobacz.

Nie ruszyła się z miejsca.

– No, chodź – poprosiłem. – To ciekawe.

– Nie chce mi się. Jestem zmęczona i nie mam siły dalej śledzić objawów twojej choroby psychicznej. Kiedy wrócisz do kraju, powinienś dać się zbadać jakiemuś specjaliście.

Nie słuchałem tego, co mówiła. Pochyliłem się nad szufladą. W tylnej części pod stertą luźnych kartek papieru leżało kilka mniejszych i większych pudełek z przezroczystego plastiku. Podniosłem jedno do góry. W środku zagrzechotał kawałek metalu, pokryty zieloną patyną.

– Co tam masz? – spytała Pola.

– Objawy mojej choroby psychicznej. Chyba z miedzi albo z brązu. Wyglądają na starożytne. – Podałem jej pudełko. – Miło się dowiedzieć, że nie tylko ja kradnę zabytki.

Pola wyjęła to zielone coś z pudełka i położyła sobie na dłoni.

– Ciekawe – mruknęła. – Wygląda jak jakieś ostrze. Może brzytwa? Ładnie zachowane, zobacz są nawet dwa otwory, w których była zamocowana rękojeść.

– Fascynujące – powiedziałem.

Delikatnie zamknęła pudełko i położyła na stole.

– Co tam jeszcze jest?

– Sama zobacz.

Pochyliła się nad szufladą.

– Paciorki z karneolu, paciorki z fajansu... o, to jest ciekawe.

Otworzyła większe pudełko i wyjęła wypolerowany kawałek kamienia.

– Rękojeść sztyletu, z marmuru. To rzadkość. O! I jeszcze zobacz! Plakietka z kła, prawdopodobnie dzika, z motywem roze-ty. Ciekawe. I pieczęć, też z karneolu.

– To z waszych wykopalisk?

– Chyba tak. – Zamknęła pudełko i obróciła je do góry nogami. – Dziwne. Tu jest naklejona metryczka, ale to nie są nasze numery. U nas notuje się kwadrat i miejsce jednostki stratygraficznej, E9.129.13, coś takiego. A tu są same cyfry.

– Pokaż. – Wyjąłem pudełko z jej ręki i przyjrzałem się metryczce. – Nic mi to nie mówi.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Oddaj mi to.

– Poczekaj, zapiszę. – Wyjąłem z szuflady ołówki i czystą kartkę papieru.

– To musi być z Troi – stwierdziła Pola. – Nie ma możliwości, żeby Frank trzymał tutaj rzeczy z jakichś innych wykopalisk. Zresztą z jakich? To na pewno są jakieś zabytki, których jeszcze nie opracował.

– Na pewno – zgodziłem się z nią.

Wziąłem pudełko, razem z innymi ułożyłem na dnie szuflady i przykryłem papierami. Próbowałem ją zasunąć, ale to ciężkie cholerstwo zacięło się dwa centymetry przed końcem. Kopnąłem kolanem, ale tylko rozbolała mnie noga. Kopnąłem jeszcze raz. Przez zasłaniającą okna brudną płachtę aksamitu usłyszałem kroki na betonie i głos:

– Kto tutaj jest? Proszę wyjść.

Spojrzałem na Polę. Stała bez ruchu. Oczy miała rozszerzone z przerażenia.

– To Frank – wyszeptała.

Złapałem Polę i jedną ręką nacisnąłem głowę tak, jak to robią w amerykańskich serialach policyjnych, kiedy pakują delikwenta do radiowozu. Wepchnąłem ją pod biurko. Jęknęła, kiedy upadła gołymi kolanami na kamienną podłogę.

– Siedź cicho – szepnąłem.

– Ale Mario...

– Zamknij się!

Frank przekręcił w zamku klucz. Zatrząsk odskoczył, a on pchnął ramieniem ciężkie drzwi.

– Mario? To ty?

– Nie, to tylko materializacja mojej intensywnej osobowości. Dobry wieczór, Frank. Ty też nie możesz spać? Za gorąco ci?

– Co ty tutaj robisz?

Rozejrzał się, podszedł do okna, wyjął z framugi portret Schliemann'a i parsknął z oburzeniem. Dwoma palcami wyciągnął z dziury w brzuchu kłęb szmaty, delikatnie powiesił obraz na gwoździu, zrobił krok do tyłu i przekrzywił głowę, żeby ocenić swoje dzieło. Jeszcze raz poprawił ramę, pogładził ją i przez chwilę wyglądał, jakby z największym wysiłkiem powstrzymywał się, żeby jej nie pocałować. Potem odwrócił się do mnie.

– Co ty tutaj robisz? – powtórzył. – Skąd masz klucze? Nie wiesz, że wstęp na teren pomieszczeń wykopaliskowych jest w nocy zakazany? Przepisy...

– Pilna robota. Wypadło w ostatniej chwili. – Rozłożyłem ręce, żeby go zapewnić o szczerości moich intencji. – A przepisy można trochę nagiąć. Tak jak ty to robisz.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Przeszedł wielkimi krokami przez pokój. – To oburzające, Mario. Obowiązują nas rygorystyczne zasady, które ustaliśmy nie my, ale ministerstwo w Ankarze. Nie możesz robić, co ci się podoba, chodzić, gdzie ci się podoba i kiedy ci się podoba. Wszyscy musimy się podporządkować.

– Nie wątpię. Nadii też pewnie poderżnięto gardło zgodnie z przepisami.

– O czym ty mówisz? – Poczzerwieniał. Fałdy policzków uniosły mu się, kiedy wziął głęboki wdech. Podeszedł do swojego stołu. Spojrzał na niedomkniętą szufladę.

– Grzebałeś w moim biurku? – Odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

– Szukałem ołówka. Był mi potrzebny do zanotowania kilku bardzo ważnych informacji.

– To oburzające, to oburzające. – Przez chwilę sapał w milczeniu. – Tak dalej być nie może, Mario. Twoje osiągnięcia naukowe nie usprawiedliwiają takiego zachowania. Niszczysz nam reputację. To, co dzisiaj zrobiłeś Griffinowi...

Przerwał. Widocznie w jego słowniku nie było odpowiedniego określenia na „skopać dupę”.

– Wszystkich nas obowiązują tutaj te same reguły, a ty je łamiesz cały czas, od początku wykopalisk. Nie będę tego dłużej tolerował. Proszę cię, żebyś natychmiast opuścił to miejsce.

– Z przyjemnością – powiedziałem. – Na tej kamiennej podłodze nie byłoby mi wygodnie spać.

– Masz natychmiast opuścić te wykopaliska! – zagrmiał Frank. – Dostyc już tych błazeństw. Masz stąd wyjechać, rozumiesz?

– Nie mogę. – Wzruszyłem ramionami. – Policja kazała nam siedzieć na tyłkach i czekać.

– Nic mnie to nie obchodzi. To twoja sprawa i policji. Ja nie chcę cię więcej widzieć na terenie Troi. Jutro rano masz się spakować i wyprowadzić z domu w Tevfikiye. Jeśli policja kazała ci czekać, możesz to robić w hotelu. Za własne pieniądze, nie za pieniądze misji. Rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem, Frank – zapewniłem go. – Oczywiście. To, co mówisz, nie jest bardzo skomplikowane, nawet trzylatek by zrozumiał. A czterolatek, gdyby się trochę wysilił, zrozumiałby też, dlaczego chcesz się mnie pozbyć. Po prostu zaburzam ci sielankę. Wybitny profesor, twoi wierzni uczniowie, milioner, który je ci z ręki. A kto jest niewygodny... no cóż. Dobrze już, dobrze. – Podniosłem do góry ręce, bo Frank znowu zaczął sapać i wyglądał, jakby miał go za chwilę trafić szlag. – Już się zbieram. Obejdę się bez tego ołówka.

– Wynoś się – wyszczał Frank. – Wynoś się z moich wykopalisk, Mario.

– Jasne, już idę. – Uśmiechnąłem się uprzejmie. Podszedłem do drzwi. – Słuchaj, a może przeslibyśmy się kawalek razem? Przynajmniej do parkingu? A może gdzieś cię podrzucić?

Zanim Frank zdążył odpowiedzieć, krzesło koło biurka przesunęło się i Pola podniosła się powoli. Obciągnęła sukienkę i zdjęła nitkę pajęczyny, która zaczęła jej się na włosach.

– Frank... – zaczęła.

– Pola? Co ty tu robisz?

– Jezu, Frank. – Skrzywiłem się z niesmakiem. – Proszę, poczytaj coś, żeby sobie rozszerzyć słownictwo. Strasznie się powtarzasz.

– Frank – Pola dała krok w jego kierunku. Przechyliła na bok głowę, ciemne włosy spływały jej na ramię. Przesunęła palcami po dekolcie i odpięła górny guzik sukienki.

– Strasznie tu gorąco – powiedziała prawie szeptem.

Frank wpatrywał się w nią oniemiały. Nawet ja zaniemówiłem.

– Może masz ochotę na spacer? – ciągnęła dalej Pola. – Na dworze na pewno jest przyjemniej.

– Pola, daj spokój – odzyskałem mowę. – To nie ma sensu. I tak już za późno.

Pola zatrzymała się wpół kroku, z palcami na drugim guziku.

Frank przez dłuższą chwilę spoglądał na przemian na nią i na mnie.

– O co tutaj chodzi? – spytał słabym głosem.

– Frank, posłuchaj – powiedziała Pola, już normalnym głosem. – Wszystko ci wytłumaczę. Tylko daj mi powiedzieć.

Potrzasnął głową kilka razy, policzki mu załopotwały.

– Nie chcę słuchać żadnych twoich tłumaczeń! Wiedziałem. Wiedziałem, że to się tak skończy. Melinda miała rację. Ostrzegła mnie. Od pierwszego dnia. Mówiła, że Pola zmienia się pod twoim wpływem, Mario. I miała rację.

– Pola stoi obok – przypominałem mu. – Nie musisz o niej mówić w trzeciej osobie.

– Te wykopaliska... – zaczął. Potarł mocno oczy i zagapił się nieobecny wzrokiem na portret Schliemanna. Potem zamrugnął, jakby dotarło do niego, że jeszcze tam jesteście.

– Macie się oboje wynieść z wykopalisk – rozkazał. – Jutro rano ma was tutaj nie być.

– Nie możesz jej wyrzucić – zaprotestowałem. – Ja mam to w dupie, mogę się wynieść w każdej chwili. Ale nie możesz wyrzucić Poli.

– Macie się wynieść jutro rano – powtórzył.

– Frank. – Podeszedłem do niego i popatrzyłem mu prosto w oczy. – To ty zabiłeś Nazife. Wiem o tym i Pola też.

– Co? – Zamrugnął. – Jaką Nazife? O co ci chodzi?

– Siostrę Ayçy, Nazife Jakąstam, nie mam pojęcia, jak ona miała na nazwisko. Zabiłeś ją i pochowałeś na prehistorycznym cmentarzysku, trzy lata temu. Ukryłeś zeschły liść w umarłym lesie.

– Jaki liść? W jakim lesie? Co ty bredzisz, Mario! Nie znam żadnej Nazife.

– Nie pamiętasz siostry Ayçy, która kiedyś u ciebie pracowała?

– U mnie pracuje wiele osób.

– Trzy lata temu. Porzuciła pracę w połowie sezonu. Bez uprzedzenia.

Pokręcił głową.

– Zdarza się, że miejscowi odchodzą w trakcie sezonu. Na ludziach stąd w ogóle nie można polegać. Nic nie planują, żyją tylko od wypłaty do wypłaty. Ta jakaś tam Nazife nie była pierwsza. I na pewno nie ostatnia. Ayça...

Pomasował palcami *os nasale*.

– Co ty powiedziałeś? Że co? Że ja ją zabiłem?

– No, to chyba ty sam powinienes wiedzieć najlepiej. – Lekko się skłoniłem w jego stronę.

Skrzywił się z niesmakiem.

– Mam już dosyć tych idiotyzmów. Słyszałeś, co powiedziałem, Mario. Rano masz się wynieść z Tevfikiye. Od tej chwili masz zakaz wstępu na teren wykopalisk i domu wykopaliskowego. Jutro poinformuję o mojej decyzji całą ekipę, żeby nikt nie popełnił jakiegoś głupiego błędu...

– ...i nie był dla mnie zbyt miły? – dokończyłem za niego. – Nie martw się, to na pewno się nie zdarzy, nawet jeśli nic im nie powiesz.

Otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, ale zamiast tego pochylił głowę w stronę Poli.

– A z tobą chcę jutro odbyć poważną rozmowę. Tutaj, o dziewiątej. To jest polecenie służbowe.

Myślałem, że powie coś jeszcze, ale pokręcił tylko głową. Podszedł do drzwi i, nie czekając, aż wyjdziemy, zgasił światło.

Nie miałem dużo do pakowania. Pozbierałem z podłogi t-shirty, schyliłem się pod łóżko, żeby sprawdzić, czy nie ma tam skarpet, a do bocznej kieszeni plecaka wcisnąłem tablice Gierasi-mowa i kryminał w wytartej okładce, który pożyczyłem od Roberta i którego nie miałem zamiaru oddawać. Bardzo się tym zmęczyłem, więc zajrzałem do lodówki, ale półki były puste, nie licząc pudełka z kiścią pomarszczonych winogron i spleśniałej kanapki. W sklepie obok nie sprzedawali piwa, musiałbym iść do Urana, a to oznaczało długi spacer krętymi uliczkami między ścianami domów, które promieniowały upałem. Włożyłem głowę pod kran i trzymałem ją tam długo. Chociaż odkręciłem niebieski kurek, woda była ciepła. Jak krew.

– Mario.

Zderzyłem się z Marilles przy drzwiach do kuchni.

– Tak mi strasznie przykro.

Spróbowałem ją wyminąć.

– Zaczekaj, proszę. Chciałam ci tylko powiedzieć... Frank źle zrobił. Nie powinien tak ostro reagować.

Kropla słonego potu wpadła mi do oka. Potarłem je ze złością.

– Czy ty nie masz nic do roboty? – spytałem.

Spuściła wzrok. Przełknęła ślinę.

– Będzie mi ciebie brakowało, Mario.

– I *vice versa* czy jak to się tam mówi. Ale nie potrafię spełnić twoich oczekiwań.

– Jakich oczekiwań? Nie możesz mnie po prostu pocałować?

– Pocałować mogę. Mogę nawet iść z tobą jeszcze raz do łóżka. Ale nie mogę przynosić ci kwiatów, telefonować, żeby

spytać, jak ci minął dzień, chodzić w niedziele na obiady do swoich rodziców, wybierać wzorów zaproszeń ślubnych ani składać dla dziecka łóżeczka kupionego w Ikei.

Na jej policzkach zalśniły łzy.

– To na razie.

Przeszedłem obok i zatrzasnąłem za sobą drzwi, aż zadygotały. Przypomniałem sobie, że w Troi na stole w pracowni zostały moje szklane protezy gałek ocznych i suwmiarka. I głowa Polikseny, Nazife. Jakkolwiek naprawdę miała na imię. Stała tam, na zakurzonej stole. Nie dokończę jej. Nie udowodnię, że to Frank ją zabił. A potem jeszcze Gülsün. I zbezczeszczył zwłoki Nadii. Znalazłem wiele dowodów na to, że jest skurwysynem, ale nie potrafiłem czarno na białym wykazać, że jest też mordercą. Może zresztą tak było lepiej, to nie moja sprawa. Tutaj każdy robi, co chce. Troja, miasto, kurwa, wolności!

Wyjeżdżam. Jak to mówią: na każdej imprezie trzeba wiedzieć, gdzie są drzwi. Bo inaczej można przez pomyłkę trafić do piwnicy, w której gospodarz trzyma gadzety sado-maso.

Zarzuciłem plecak na ramię i powlokłem się w stronę Troi. Fale drgającego powietrza unosiły się spod moich stóp. Podezwzy przylepiały mi się do miękkiego asfaltu. W uszach czułem pulsowanie krwi, a oczy przesłaniał mi cień, być może od potu, a może zapowiadał zbliżający się udar. Strażnik przy szlabanie apatycznie podniósł rękę na powitanie i schylił się, żeby nacisnąć guzik. Obok przemknął klimatyzowany autobus, wiozący turystów na przebieżkę po ruinach starożytnego miasta, nie dłuższą niż to konieczne do zrobienia paru zdjęć.

Na parkingu stały jeszcze cztery inne autokary. Ludzka masa kłębiła się przy drewnianej makiecie konia, jak muchy na świeżych zwłokach. Troja znowu była otwarta dla turystów i strumień nowych tureckich lirów znów mógł nieprzerwanie płynąć.

Przedarłem się przez spocony tłum, do furtki oddzielającej teren wokół domu wykopaliskowego, bez słowa zatrzasnąłem ją

przed nosem czerwonego grubasa, który próbował zagaić *are you an archaeologist?*, i po spękany beton poczłapałem do pracowni. Drzwi były uchylone. W środku panował zaduch. Wentylator obracał się leniwie pod sufitem, powietrze, które meł było wilgotne i rozpalone.

Minąłem stół, przy którym Vasif i Pascual wpatrywali się w rzędy cyfr na ekranie komputera. Pascual się uśmiechnął, Vasif spojrział na mnie, ale nic nie powiedział. Podeszedłem do Poliksenny i pogładziłem ją po skończonym policzku. Orzechowe oczy popatrzyły na mnie uważnie. Pochyliłem się i delikatnie wyłuskałem szkiełka z oczodołów. Brzegiem podkoszulka otarłem je z resztek modeliny i starannie ułożyłem na czerwonym aksamicie.

– Frank zabronił ci wstępu tutaj!

Podskoczyłem, pudełko stuknęło o stół.

– Melinda, kobieto! Uważaj trochę. Wiesz, ile kosztują takie szkiełka? Frank na pewno nie chciałby za nie bulić ze swojego budżetu.

Podeszła tak blisko, że prawie dotykała mnie pierśiami i zadarła głowę.

– Nie wycieraj sobie Frankiem gęby, ty pijaku! – syknęła. Kropelka śliny wylądowała na moim policzku. Otarłem ją. – Przy-nosisz nam wszystkim wstyd! To wszystko przez ciebie!

– No to powinnaś dziękować Bogu za to, że tu jestem. Przy-najmniej masz na kogo rzucić winę za wszystkie nieszczęścia. Tylko błagam, nie puszczaj tej nowiny w świat. Bo jak się zaczną zjeżdżać chłopci po odszkodowania za nieurodzaj i padłe bydło, to nie wyrobię finansowo.

Jej oddech przeszedł w sapanie, a plamy na twarzy pociemniały. Jeśli miał ją trafić szlag, to na pewno za chwilę.

– Ty... ty... Wynos się stąd! Ty wstrętna kreaturo! Ty...

Opluła mi cały przód koszulki. Kąciki ust uniosły jej się jak u wściekłego psa i zacząłem się bać, że jeszcze naprawdę mnie ugryzie.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła znowu. – Nie chcemy cię tu więcej widzieć!

– Dobra, ja też mam już dosyć tego cyrku – warknąłem. – Zabierz swoje cycki z przejścia, to będę mógł szybciej wyjść.

Chwyciłem ją za ramiona i przestawiłem na bok. Wrzuciłem do plecaka suwmiarkę i kasetkę z soczewkami. Zgarnąłem ze stołu plik notatek. Melinda chwyciła mnie za rękę.

– Zostaw to!

– Nie tak ostro, proszę szanownej pani, bo będę zmuszony pani przykopać. Puść mnie. To moje notatki.

– Nie pozwolę ci zabrać stąd żadnych papierów! To własność intelektualna wykopalisk. Nie pozwolę, żebyś publikował to potem za naszymi plecami.

– Melinda – powiedziałem powoli. – Uspokój się. To są moje notatki. Zobacz.

Podstawiłem jej papiery pod nos.

Odrzuciła moją rękę.

– Nie obchodzi mnie, co to jest. Nie zabierzesz stąd niczego z wyjątkiem własnych brudnych gaci. Wszystkiego można się spodziewać po człowieku, który kradnie zabytki z muzeum. Nawet tego, że potem sprzedasz to na czarnym rynku.

– Aha, więc Robert się już wygadał. Twój mąż to naprawdę ma długi...

Urwałem. Zamyśliłem się głęboko.

– ...język – dokończyłem mechanicznie.

Wyminąłem Melindę i podszedłem do Vasifa. Dałem mu uniwersalny znak „spadaj stąd”. Popatrzył na mnie, zaskoczony.

– Muszę się dostać do internetu – poinformowałem go.

– M-mamy p-pilną robotę.

– Ja mam pilniejszą. Spadajcie stąd, obaj.

Zerknął na mnie spode łba i podniósł się powoli. Pascual z uśmiechem pokiwał głową i przesiadł się do sąsiedniego stołu. Usadowiłem się przed ekranem. Pogrzebałem w kieszeni i wyjąłem zmięty kawałek papieru. Rozprostowałem go na blacie,

włączyłem wyszukiwarkę i starannie, jedną po drugiej, wstukałem dwanaście cyfr.

Melinda coś krzyczała za moimi plecami, ale nie słuchałem.

Na ekranie wyskoczył napis. Wgapiłem się w niego, a później wcisnąłem podany link.

„Pieczęć. Karneol. Późna epoka brązu, ok. 1300 p.n.e. Pochodzenie: północno-zachodnia Anatolia”, przeczytałem. „Cena początkowa: 100 dolarów. Aktualna cena: 234 dolary. Licytujących: 14. Do końca aukcji: 4 dni, 16 godzin, 51 minut”.

Wróciłem do wyszukiwarki i wstukałem drugą sekwencję dwunastu cyfr. Wynik był podobny. Aktualna cena za „brzytwę, miedź, koniec epoki brązu” wynosiła sto siedemdziesiąt sześć dolarów. Sprawdziłem jeszcze pozostałe numery. Najtańsze były fajansowe paciorki, tandeta, tylko pięćdziesiąt siedem dolarów za sztukę.

Vasif stał za moimi plecami i najwyraźniej wpatrywał się w ekran.

– Co o tym sądzisz? – Odwróciłem się do niego. – Może to nie jest wielka kasa, ale jak się zbierze grosik do grosza, to może z tego wyjść spora suma.

Pochylił się i przyjrzał się bacznie przedmiotom na ekranie komputera.

– C-co t-t-to jest?

Wstałem, podeszedłem do biurka Franka i szarpnąłem szufladę. Była zamknięta na klucz.

– Powinien był wpaść na to wcześniej – mruknąłem. – To – powiedziałem do Vasifa – są zabytki z Troi wystawione na ebayu. Kiedy je widziałem ostatnio, były tutaj, w szufladzie. Sądząc z tego, że Frank najwyraźniej zmądrzał i zamknął biurko, nadal tam są.

Vasif się wyprostował.

– T-t-t-to niemożliwe – powiedział.

– Ale prawdziwe – wzruszyłem ramionami.

Podniosłem plecak i zarzuciłem go sobie na ramię. Minąłem Melinę, która chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co ma powiedzieć.

– Zamknij usta, kochanie – poradziłem jej – bo ci obwiśnie podbródek.

Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Ściana parzącego powietrza zwała mi się na głowę.

– No to miłej zabawy. – Odwróciłem się jeszcze. – Szczegóły już sobie sami wyjaśnijcie, między sobą. Tylko powiedzcie koniecznie Frankowi, żeby nie zapomniał odprowadzić podatku od dochodu. To bardzo nieładnie oszukiwać urząd skarbowy.

– Mario, cz-czekaj – krzyknął Vasif, ale nie interesowało mnie, co miał mi do powiedzenia. Pochyliłem się pod gałęziami drzewa, przeszedłem po popękany betonowy chodnik i przez skrzypiącą furtkę wyszedłem na parking.

Przysiadłem na ławce naprzeciw konia i zacząłem się przyglądać kłębiącej się ludzkiej masie. Było za gorąco, żeby myśleć. Dałbym wszystko za możliwość ściągnięcia łachów, które parzyły skórę, i zanurzenia się w chłodnej wodzie. Próbowałem przełknąć ślinę, ale w ustach miałem sucho. Przejechałem językiem po spierzchniętych, popękanych wargach. Nic to nie pomogło.

Jakiś palant, z brzuchem tak obwisłym, że mogła to być równie dobrze ogromna przepuklina, próbował mnie nakłonić, żebym zrobił zdjęcie jemu i równie brzuchatej małżonce, ale szybko zrozumiał swój błąd.

Gapilem się tępo przed siebie. Turyści wysiadali z autokarów, wspinali się na konia, krzycząc z radości fotografowali co się da, a potem z rezygnacją przyjmowali do wiadomości fakt, że muszą jeszcze w upale zwiedzać starożytne ruiny.

Muchy nie próżnowały. Podrywały się ze śmietnika zawieszono obok ławki na przekrzywionym słupku i z powrotem lądowały na swoim żerowisku. Kilka z nich nieustannie próbowało odbyć rekreacyjną przechadzkę na moim lewym przedramieniu. Odpędzałem je co chwila, ale odlatywały tylko na kilka centymetrów i zaraz siadały w to samo miejsce. Niegłupie stworzenia. Wiedziały dobrze, że nie mam siły, żeby je pozabijać.

Muchy. Codziennie na świecie wykluwa się populacja much równa liczbie całej ludzkości, a większość z nich zapewne lata tu po okolicy. Były wszędzie, atakowały każdy kawałek spoconej, spalonej słońcem skóry, gryzły, szczypały, albo po prostu łążyły, co jest najgorsze. Setki, tysiące, miliony much, siadających na każdej, nawet najmniejszej ranie, wyczuwających z odległości

kilku kilometrów pojedyncze molekuly potu i krwi w powietrzu. Muchy szukające pożywienia i miejsca, gdzie mogły złożyć jaja, z których natychmiast wylęgały się larwy i przepoczwarzały się w muchy. Coraz więcej much.

Wpatrywałem się w owady spacerujące po moim ramieniu, ale przed oczami cały czas miałem pełzającą maskę na twarzy Gülsün. Była zdziwiona, to jasne. Ale czy zasłużyła na to, żeby muchy żywiły się jej martwym ciałem?

Podniosłem się powoli, jak we śnie. Potrąciłem plecak oparty o nogę ławki. Przewrócił się w pył.

Zrobiłem krok do przodu, potem drugi.

A później zacząłem biec.

Do buta wpadł mi kawałek żwiru i przy każdym kroku ranił stopę, ale nie zwolniłem. Potknąłem się przy furtce. Byłem mokry, piekły mnie oczy, a podkoszulek przykleił się do rany na plecach. Oderwałem go i syknąłem z bólu. Przed samymi drzwiami otarłem twarz przedramieniem i próbowałem uspokoić oddech. Pochyliłem się, oparłem ręce na udach i dyszałem, aż ciemne płaty przestały latać mi przed oczami. A potem wszedłem do pracowni.

– Gdzie jest Frank?

Vasif się odwrócił. Frank też się odwrócił. Siedział przy swoim biurku, jedną dłoń przyciskał rozłożone symetrycznie na blacie kartki papieru, a drugą przytrzymywał przy uchu komórkę.

– Wyjdź, Vasif – poleciłem.

Nie drgnął.

– Idź stąd, Vasif. Muszę z nim porozmawiać sam na sam.

Vasif wzruszył ramionami, zatrzaskał laptopa i wstał zza biurka.

Ruszyłem w głąb pomieszczenia. Żwir, który wbił się w podeszwy moich butów, zgrzytał na kamiennej posadzce.

Frank powiedział coś cicho do telefonu i odłożył go na biurko. Poczterwieniiał.

– Wczoraj wyraźnie zabroniłem ci tu przychodzić. Miałeś się wynieść. W tej chwili przebywasz nielegalnie na terenie wykopalisk. Zaraz zadzwonię po policję.

Rozejrzał się.

– Vasif!

– Nie wołaj go – powiedziałem. – Nie chcesz, żeby usłyszał to, co mam ci do powiedzenia.

– Vasif! – krzyknął znowu.

– Wierz mi. – Cofnąłem się do metalowych drzwi i zatrzasnąłem je.

W pracowni panował zaduch i smród niezbyt często mytych ciał. Przez zamknięte okiennice wpadały słabe poddmuchy gorącego wiatru i poruszały sztywną od brudu zasłoną. Jarzeniówka pod sufitem migotała.

– Usiądźmy – zaproponowałem. – To może trochę potrwać.

Przysunąłem sobie krzesło. Frank się nie ruszył.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości: dobrą i złą. Od której zacząć?

Patrzył na mnie bez słowa.

– Widzę, że ciężko ci się zdecydować. To może od tej dobrej, co? Nie zabiłeś Nazife.

Odchyliłem się do tyłu i położyłem nogi na blacie jego biurka. Nie zareagował.

– Nie zabiłeś Nazife i nie pogrzebałeś jej w grobie ze złotymi blaszkami na cmentarzysku. Nie mogłeś tego zrobić. Cieszysz się?

Potał palcami czoło.

– Nic nie powiesz? – Spojrzałem na niego z wyrzutem. – Myślałem, że się ucieszysz.

– Skąd... skąd wiesz, że ja nie...?

Rozłożyłem ręce.

– Ludzie tak długo nie żyją. Ten szkielet, który odkopaliśmy na cmentarzysku, ma naprawdę co najmniej kilkaset lat. To na pewno nie jest Nazife. Ale chyba to też nie jest prawdziwa Poliksena, co?

Frank oparł się ciężko o biurko.

– Pozwól – powiedziałem. – Że podzielę się z tobą kilkoma naukowymi faktami, które są powszechnie znane, ale tobie najwyraźniej nie. Owady z rodziny muchówek, zwane po łacinie *Calliphoridae* mają bardzo czuły węch. Połóż w ciepły dzień na ziemi świeżego, zakrwawionego trupa, a w ciągu kilku minut

powietrze wokół będzie czarne od much. Każda żeńska przedstawicielka tych uroczych żyjatek może złożyć naraz kilkaset jajeczek. Wystarczy kilka godzin, żeby wszystkie otwory ciała: nozdrza, usta, oczy, uszy oraz te, których nazw nie wymienię, żeby nie urazić twoich delikatnych uszu, zostały dosłownie zakłajstrowane żółto-białą, ziarnistą masą. W cieple, w ciągu kolejnych kilkunastu godzin wykluwają się z nich tysiące larw. To samo dotyczy ran. Pamiętasz, jak wyglądała Nadia, kiedy ją znaleźliśmy?

Jego grdyka gwałtownie poruszyła się, przełknął kilkakrotnie ślinę.

– Po co mi o tym opowiadasz?

Jego głos brzmiał głucho, jakby dochodził z głębi studni.

– Słuchaj, zamiast mi przerywać, to się dowiesz – pouczyłem go. – Młode larwy poruszają się na martwym ciele, roznosząc bakterie, enzymy trawienne i rozdzierając tkankę. Przyspieszają dekompozycję zwłok i przyciągają jeszcze więcej much, a także żuki, które żywią się larwami. Dołączają do nich osy, składające jaja wewnątrz larw i później wewnątrz poczwarek. A potem larwy czują, że nadchodzi ich czas, zakopują się w ziemi i przeobrażają się w poczwarki. A jeszcze później z poczwarek wykluwają się dorosłe osobniki i cały cykl zaczyna się od nowa.

Przysunąłem się bliżej biurka.

– Okolica Troi roi się od much. Gdybyś miał świeżego trupa, owady zdążyłyby złożyć jaja we wszystkich otworach ciała, zanim jeszcze wbiłbyś łopatę w ziemię, żeby wykopać grób.

Zbladł.

– Powinienem był wpaść na to wcześniej. Właściwie powinienem był to sobie przypomnieć już w momencie, kiedy zobaczyłem trupa Nadii, z tymi muchami rojącymi się w we wnętrzu otwartej rany na jej gardle. W tym momencie najpóźniej powinienem był już zrozumieć, co mnie tak męczyło, kiedy odkopywaliśmy Poliksenę. Ale nie zrozumiałem: niektórzy mogą

powiedzieć, że w moim wieku mózg nie pracuje już tak sprawnie, chociaż osobiście wolę zwalić moją umysłową ociążałość na ten cholerny upał. Szkoda, chociaż nie wiem, czy to by cokolwiek pomogło. Nic nie rozumiesz, co? – Popatrzyłem na jego niewyrażającą niczego twarz. – Już tłumaczę. Muchy nie lubią zimna, przestają latać, kiedy temperatura spada poniżej jedenastu stopni. Ale na brak ciepła tutaj akurat nie można narzekać. A Nazife zaginęła w sierpniu, kiedy temperatura pewnie, podobnie jak dzisiaj, przekraczała czterdzieści stopni. Gdyby zwłoki zakopane na cmentarzysku były, że się tak wyrażę, świeże, w grobie powinniśmy znaleźć tak zwane fałszywe kokony, cienkie, ale bardzo wytrzymałe skorupki, z których larwy much wynurzają się już jako poczwarki po trzecim stadium przeobrażenia. Te kokony zachowują się doskonale, nawet kiedy po tkanekach miękkich nie ma już śladu. Ale ich nie znaleźliśmy. Ani jednego. Wniosek: trup, kiedy go zakopywałeś, nie był świeży. Właściwie był nawet bardzo nieświeży.

Zdjąłem nogi z blatu i oparłem łokcie o biurko.

– Skąd wzięłeś szkielet?

Milczał. Wpatrywał się w przymknięte okiennice. Może czekał, aż wśród oblażącej farby objawi mu się Matka Boska.

Wyjąłem jeden z ołówków w glinianym dzbanku i zacząłem go turlać po stole.

– Skombinowałeś szkielet młodej kobiety. Zakopałeś go w ziemi na skraju cmentarzyska. Nie było to specjalnie skomplikowane, zasięg występowania grobów mogłeś określić dość dokładnie, na podstawie raportów z badań powierzchniowych. Jeszcze zanim go zakopałeś, jakimś ostrym narzędziem, podejrzewam, że nożem, naciąłeś kręgi szyjne od wewnątrz. Potem położyłeś na wierzchu kilka złotych blaszek, które wcześniej zamówiłeś u złotnika w Çanakkale. I tym sposobem spreparowałeś sensację archeologiczną stulecia. A później posłużyłeś się Polą, żeby ją za ciebie odkopała. Tak było bezpieczniej, i tak chwała miała spłynąć na ciebie, kierownika wykopalisk.

To twoje nazwisko miało się pojawiać w telewizyjnych wiadomościach i do ciebie dziennikarze ustawiliby się w kolejce po wywiad. Prawie ci się to udało, Frank. Interesuje mnie tylko, skąd wzięłeś szkielet.

Nadal patrzył w okiennice. Fałda na jego podbródku falowała w górę i w dół, jakby mówił sam do siebie.

Pchnąłem kubek z ołówkami. Spadł i roztrzaskał się na drobne kawałki. Frank drgnął. Spojrzał na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– Pytam: skąd wzięłeś szkielet? – powiedziałem uprzejmie.

– Z wykopalisk – odparł cicho Frank. – Z innych wykopalisk. Hellenistycznych. Prowadziliśmy kilka lat temu badania ratunkowe, tu niedaleko, w kierunku na Lapseki. Mieli tam budować nową drogę. Doskonale zachowane hellenistyczne cmentarzysko, masa pochówków szkieletowych.

– Nieźle pomyślane. – Pokręciłem głową z uznaniem. – Starożytny szkielet. Oczywiście. Dlatego nie było larw. Ani much. To się nazywa czysta robota, Frank.

Wpatrywał się w swoje ręce, jak kiepska wersja Lady Makbet.

– Znakomity plan, Frank. Gratulacje. Prawie ci się udało. Wszystko przygotowane perfekcyjnie. Złote blaszki skopiowane według starożytnego wzoru. Poczekaleś, aż buldożer na tyle zniszczy stratygrafię, że nie da się określić dokładnego wieku grobu. Doskonale wiedziałeś, że nikt nie będzie sobie zawracał głowy c14. Naprawdę by ci się udało, gdyby nie jeden drobiazg. Mały guzik.

Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Guzik był częścią planu – powiedział.

Chwilę trwało, zanim dotarło do mnie to, co usłyszałem.

– No jasne. – Klepnąłem się otwartą dłońią w czoło. – Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? Jest tylko jedna rzecz lepsza od starożytnego trupa obłożonego złotem – nowożytny trup obłożony złotem. Maniak, który zabija i pozuje ofiary na starożytny

ne. To mogło przyciągnąć uwagę wszystkich mediów, nie tylko ambitnych czasopism naukowych, których i tak nikt nie czyta, prawda Frank?

Odwrócił wzrok. Śledził muchę, która łąziła bez celu, po blacie stołu.

– A co jest lepsze od jednego nowożytnego trupa? Dwa nowożytnie trupy. Okazja, jeśli można tak powiedzieć, sama wpadła ci w ręce, prawda? Nadii to i tak już nie zaszkodziło, a tobie mogło bardzo pomóc. Znalazłeś ją na podłodze, serce już nie biło, może nawet próbowałeś ją reanimować, ale od razu wiedziałeś, że to nic nie pomoże. Udar to udar, ona była martwa w ciągu kilku sekund. Więc poderżnąłeś jej gardło, wykrwawiłeś nad beczką, żeby się po drodze za bardzo nie upaprać krwią, zawlokłeś do sanktuarium i ułożyłeś zwłoki na ołtarzu. Morderca grasuje. Seryjny, maniakalny i do tego naczytał się odpowiednich książek. Miód, malina.

Frank podszedł do okna. Oparł na parapecie swoje wielkie dłonie. Skóra na jego palcach była pofałdowana, przypominała rękawiczki za duże o dwa numery.

– Tylko że później przesadziłeś. Poniosło cię, stary. Doszedłeś do wniosku, że od dwóch nowożytnych trupów lepsze będą trzy nowożytnie trupy. Znowu pomógł ci zbieg okoliczności. Wtedy po imprezie akurat pożegnałeś się z Griffinem, kiedy przyjechała Gülsün. Zrozumiałeś, że nadarza się okazja, która się więcej nie powtórzy. I tak kolejną ofiarą zafascynowanego starożytnymi zbrodniami psychopaty zupełnie przez przypadek została pani inspektor, która robiła, co mogła, żeby utrudnić ci życie.

– Mario, o czym ty mówisz? – Frank był bladym, można by pomyśleć, że prowadzi wykopaliska w Reykjavíku, i to zimą, a nie w Troi, w środku lata.

– No, stary, teraz to już za późno, żeby się tak krygować. Jak się już powiedziało „a” i „b”, to możesz się też przyznać do „c”.

– Ale ja... ale ja... ja...

– Ty... – podpowiedziałem mu.

– Ja nie zabiłem Gülsün. – Zrobił krok w moją stronę i natargywie spojrzał mi w oczy. – Ja nikogo nie zabiłem. Nigdy. Nie mógłbym.

– Ech, Frank. Nie musisz mnie tak hipnotyzować wzrokiem.

– Mario. Ja nikogo nie zabiłem. – Jego głos był tak stanowczy, że musiałem zamrużyć, żeby się upewnić, czy na pewno rozmawiam właśnie z Frankiem.

– Ktoś ją jednak zabił.

– To prawda. – Przygarbił się lekko. – Ale to nie ja. Tamtej nocy... odprowadziłem Griffina do samochodu, pogadaliśmy jeszcze chwilę, potem on odjechał, a ja wróciłem do stołu. W ogóle nie widziałem Gülsün. Ani jej samochodu.

– Przyjechała taksówką – mruknąłem.

– Tym bardziej. Nie wiem, kiedy się pojawiła i co robiła w ruinach. Może się z kimś umówiła. A może poszła coś sprawdzić. Żeby później wykorzystać przeciwko mnie – dodał gorzko. – Za moimi plecami.

– Mógłbyś już sobie odpuścić – powiedziałem cicho. – Gülsün nie żyje.

– Ale ona taka była! Nie znałeś jej tak dobrze, jak ja. Mściwa mała żmija, potrafiła wślizgnąć się w najmniejszą szczelinę i ukąsić, kiedy człowiek się tego nie spodziewał. Pewnie nie powinienem tego mówić – roztarł fałdę na czole, między brwiami – ale z ulgą przyjąłem fakt, że już jej tu nie ma. Mimo to – znowu popatrzył mi prosto w oczy – nie ja ją zabiłem.

– Może i tak – wymamrotałem. – Skoro nie zabiłeś Nazife...

– Mówię prawdę, Mario.

– Dobra. – Zaplotłem dłonie na karku. – Założmy, że było, jak mówisz. Ale masz oczywiście świadomość, że ten cały cyrk z panienką z cmentarzyska i Nadią na ołtarzu przemawia na twoją niekorzyść.

– Ty nie wiesz, jak to jest. – Nie patrzył już na mnie. – Całe lata bezowocnego kopania. Lata żebrania o granty. Lata zabawiania z uśmiechem na ustach takich bufonów jak Griffin. Błagania o pozwolenie. Błagania o pieniądze.

Odkasznął.

– Nie wiesz, jak to jest, kiedy twoja kariera zależy od gromady nadętych pajaców, którzy dochrapali się tytułu profesora zwyczajnego i zasiadają we wszystkich komisjach. Gdy musisz się ze wszystkiego tłumaczyć. Pisać ciągle wnioski. Rozliczać się z każdego grosza wydanego na ołówki i spinacze.

Pokiwałem głową.

– Postanowiłeś z tym skończyć. Od tej pory to oni mieli ciebie prosić, żebyś zechciał łaskawie przyjąć ich pieniądze, tytuły naukowe i co tam jeszcze w waszym świecie jest dowodem uznania. Rozumiem cię.

Odwrocił się gwałtownie.

– Nic nie rozumiesz. Ja tak żyję od trzydziestu lat. Jeszcze chwila i te stare pryki, które interesują się już tylko tym, czy pojawił się na rynku nowy klej do protez, dojdą do wniosku, że jestem za stary. Wyślą mnie na wcześniejszą, zasłużoną emeryturę. „Frank się już wypalił”, powiedzą. „Czas ustąpić miejsca nowej generacji”, powiedzą. I granty dostaną jacyś gówniarze, którzy mają więcej szczęścia i tatusiów w radach nadzorczych instytucji przyznających pieniądze. Trzydzieści lat harówki, trzydzieści lat płaszczenia się przed rektorami, dziekanami i Bóg wie jeszcze kim, i nikt, pies z kulawą nogą, nie zapamięta mojego imienia. Tak samo jak imion tysięcy innych frajerów przede mną i po mnie!

Głos mu się załamał.

– Poświęciłem trzydzieści lat, całe moje życie czemuś, co nikogo nie interesuje. Rozumiesz? Minęły już czasy, kiedy odkrycia archeologiczne dokonywane przez dżentelmenów w białych surdutach trafiały na pierwsze strony gazet. Dzisiaj ludzi interesują tylko pieniądze, seks i przemoc.

– I to chciałeś im dać – pokiwałem głową. – Złoto, seks i przemoc. Tajemnicza zbrodnia w starożytnych ruinach. Brukowce by cię pokochały, Frank.

– Brukowce dałyby mi to, czego nie mogłem zdobyć przez trzydzieści lat pracy: sławę. Gwarancję, że moje imię jest rozpoznawane. Gwarancję, że ktoś w ogóle przeczyta raporty z wykopalisk. Że ludzie będą chcieli czytać o Troi, słuchać o Troi, będą rozmawiać o Troi, ze swoimi tępyimi żonami, po wieczornych wiadomościach, i z kumplami przy piwie. A wtedy żadna komisja nie odmówi mi grantu. Nieograniczony dostęp do finansowania dalszych badań, oto, co mi dadzą brukowce.

– Niezły plan – powiedziałem. – Szkoda że się nie powiedzie.

– Już się powiodł. Dzwonili z „National Geographic”. Chcą zrobić o nas duży program.

– To fajnie – stwierdziłem. – Może nie zniechęci ich fakt, że kierownik wykopalisk jest oszustem, który fabrykuje archeologiczne znaleziska, bezcześci zwłoki...

Ołówek wyleciał mi z ręki na podłogę. Schyliłem się, żeby go podnieść.

– ...i kradnie zabytki – dokończyłem. – To jest ta zła wiadomość, Frank. Znalazłem w twojej szufladzie obiekty bez metryczek, za to z numerami, pod którymi wystawiłeś je na ebayu.

– Te zabytki... – powiedział głucho Frank. – Wszystkie pieniądze, jakie na nich zarobiłem, ładowałem z powrotem w wykopaliska. Nie zatrzymałem dla siebie ani grosza. Myślisz, że byłoby lepiej, gdyby pokrywały się kurzem w muzealnych piwnicach, gdzie nikt ich nigdy nie zobaczy?

– To, co myślę, nie ma najmniejszego znaczenia – odparłem. – Powinieneś się bardziej interesować tym, co sobie pomyśla władza twojego uniwersytetu. I oczywiście redaktor naczelny „National Geographic”.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Ja za to mogę ci powiedzieć z grubsza – dodałem – co sobie pomyślą rozmaite brukowce. Sławę masz zapewnioną. Na lata. Będzie trwała znacznie dłużej niż twoja kariera, której nie wróżę przyszłości.

– Nie masz żadnych dowodów.

– Brukowce rzadko potrzebują dowodów. Natomiast tobie mogą się przydać jakieś dowody, że jesteś niewinny, więc zamiast gadać, zabierz się lepiej do ich fabrykowania.

– Nie zrobisz tego, Mario.

Wstałem, podszedłem do okna i uchyliłem okiennicę. Gorące powietrze oblepiło mi twarz.

– Jakoś ostatnio wszyscy we mnie wątpią – mruknąłem. – To przez tę pieprzoną pogodę.

Odwróciłem się do niego.

– Oczywiście, że to zrobię.

Frank zeszytniał.

– Czego chcesz?

Milczałem.

– Co chcesz w zamian? Co cię interesuje, Mario? Pieniądze? Zatrudnienie na stałe? Zawsze istnieje możliwość przeznaczenia dużej części grantu na specjalne honorarium dla antropologa.

– Jesteś pewien, że cię na mnie stać, Frank?

– Chcesz być sławny? Chcesz występować razem ze mną w telewizji? Chcesz, żeby reporterzy robili ci zdjęcia, kiedy odsłaniasz kolejny szkielet? Powiedz, czego chcesz. Ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to dla ciebie załatwić.

Zamyśliłem się.

– Powiedz, Mario. Czego chcesz?

Podrapałem się po wilgotnym karku. Rana na plecach piekła coraz bardziej.

– Jeśli ktoś ci kiedyś zaproponuje rolę węża kusiciela w szkolnym przedstawieniu, Frank, powinieneś się zgodzić bez wahania. Zrobisz furorę.

Nie odrywał ode mnie oczu.

– To jest gra o dużą stawkę. Powiedz, czego chcesz.

– Chcę, żebyś przyjął z powrotem Polę.

Odchylił się do tyłu zdumiony.

– Tylko tyle?

– To nie tak mało, zważywszy na jej paskudny charakter. Ale jest niezła w tym, co robi, więc powinna ci się przydać. I jeszcze jedno: ona nie może się nigdy dowiedzieć, że cię o to prosiłem. Najlepiej będzie, jeśli zapomnisz, że ją wyrzuciłeś. Jeśli powiesz chociaż słowo, Frank, ja idę do gazet, a zaraz potem dzwonię do twojego dziekana.

– Nie powiem. – W jego głosie pojawiła się chrypka.

– Jedno słowo.

Usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach.

Podszedłem do drzwi.

– Nie mogę tu dłużej z tobą gawędzić, bo mi ucieknie *dolmuş*. Jedno słowo, pamiętasz?

– Byłbym idiotą...

– A, jeszcze coś – przerwałem mu. – Melinda i Vasif też wiedzą. Byli tu dzisiaj, jak wyszukiwałem zabytki na ebayu. Pascual też to widział, ale pewnie i tak nic nie skumał.

– Melinda zrozumie – mruknął. – Ona mnie rozumie. A Vasif...

– A Vasif chce napisać doktorat – dokończyłem za niego. – I nie takie rzeczy gotów jest zrozumieć. Nie mam wątpliwości, że sobie poradzisz, Frank.

Uchyliłem drzwi. Zawiasy skrzypnęły. Na dworze było chłodnie duszno. Jak codziennie. Jak każdego pieprzonego dnia.

– Miło było cię poznać, Frank. Gdybyś jeszcze kiedyś potrzebował antropologa, to znajdź sobie jakiegoś studenta. Jest większa szansa, że się na tobie nie pozna.

– Mario.

Odwróciłem głowę.

– Dziękuję.

Powiedział to cicho i niewyraźnie, nie dam głowy, czy się nie przesłyszałem. Może to było na przykład „ty chuju”, albo coś podobnego.

Wyszedłem na dwór. Musiałem osłonić oczy przed blaskiem słońca. Pot zaczął spływać mi po karku i natychmiast przysiadło tam kilka much.

Szedłem ciężko, a paski plecaka ocierały mi poranione plecy. Śmierdziałem i w niczym nie pomagał fakt, że mój stary podkoszulek był mokry od potu. W plecaku miałem na pewno jakiś w lepszym stanie, mógłbym zatrzymać się i przebrać, ale wysiłek z tym związany wydawał mi się zbyt ogromny. Słońce waliło mnie w głowę, przed oczami łątały mi czerwone plamy, a w uszach słyszałem miarowy, jednostajny łomot.

Znalazłem liść ukryty w lesie. Mogłem sobie pogratulować dedukcji. Tylko że liść był martwy i Frank wcale go nie ukrył, a wręcz przeciwnie, umieścił go tam, żeby był dobrze widoczny. Chciał mieć odkrycie, o którym będą pisać gazety na pierwszych stronach, ale nikogo nie zabił. Nie wezwał pogotowia do Nadii, poświęcił całą noc na obrzydliwą czynność wykrwawienia jej zwłok i upozowania ich na ołtarzu, ale nikogo nie zabił. Nie było żadnej Nazife. To znaczy była, może jeszcze żyje, ale to nie jej zwłoki ozdobione złotymi blaszkami zostały znalezione na wzgórzu Beşik. Na moim biurku w trojańskiej pracowni uśmiechała się leciutko głowa pięknej kobiety, która umarła dwa tysiące trzysta lat temu. Mniej więcej.

A Gülsün? Może naprawdę dopadł ją jakiś rabuś albo gwałciciel. Nie miałem już ochoty o tym myśleć. Zabawiłem się w detektywa i skutki były opłakane. Na przyszłość powinienem wyłącznie wykonywać swoją pracę, przynajmniej w tym jestem dobry.

Na parkingu w cieniu drzewa postanowiłem złapać oddech przed czekającą mnie rozpaloną do białości drogą do Tevfikiye. Na kwadracie asfaltu panował ruch i gwar jak co dzień, a turyści nawet nie wiedzieli, że jeszcze wczoraj mogli być świadkami

tragedii i śmierci. A gdyby dobrze poszło, to nawet pstryknęliby jakieś zdjęcie.

Ruszyłem dalej. Nie obchodziło mnie, o której odjeżdża najbliższy *dolmuş* do Çanakkale, teraz już nigdzie nie musiałem się spieszyć. Chciałem tylko przed odjazdem jeszcze raz zobaczyć Polę i powiedzieć jej na pożegnanie, że może się nie martwić o swoją archeologiczną przyszłość. Chciałem jej jeszcze powiedzieć... Zresztą nieważne.

Robert podkradł się bezszelestnie i wałnął mnie w plecy, zanim zdążyłem się obrócić. Trafił w zranioną łopatkę. Zatoczyłem się.

– Co jest? – spytał. – Dopiero jedenasta, a ty już taki słaby?

– Daj mi spokój.

– A, rozumiem. Ty jeszcze jesteś słaby, nie już. To jak, po łufce?

– Ucieknie mi *dolmuş*.

– Tak bardzo się spieszysz? Może powinieneś spróbować porozmawiać z Frankiem.

Wyprostowałem się.

– Właśnie z nim rozmawiałem i wierz mi, teraz dopiero mam ochotę szybko się stąd wynieść.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz, Robert, więc przestań się wygłupiać. Sam pogadaj z Frankiem, może ci coś wyjaśni. A gdybyś się przełamał i dla odmiany przespał z Melindą, może w przypiływie dobrego humoru zdradziłaby ci kilka ciekawych tajemnic.

Pokręcił głową.

– Sam nie wiem.

– Nie namawiam cię, stary. To już sprawa między tobą, twoją żoną i tymi wszystkimi studentkami, które...

– No to się nie wtrącaj. Lepiej, żeby wszystko zostało po staremu.

– Nic już nie będzie po staremu.

Wycelował we mnie palec.

– A, tu cię mam. Mówisz o Poli. Znam ten ból. Griffin jest cholernym dupkiem, ale ma w sobie coś takiego, że dziewczyny na niego lecą.

– Jasne. Wiem nawet, jak to coś się nazwa. Kasa.

Robert podrapał się po obwisłym brzuchu.

– E, chyba nie. Nie Pola. Nie wygląda na taką, której imponuje samochód i kolacja w luksusowym hotelu. Może on naprawdę coś w sobie ma. Coś, czego my akurat nie potrafimy zobaczyć. Ani docenić.

– Miło było znów cię zobaczyć, Robert.

– Nie ma sprawy. – Podniósł rękę, żeby poklepać mnie jeszcze raz, ale odsunąłem się na bezpieczną odległość. – Gdybyś kiedyś czegoś potrzebował, to wiesz...

– Tak, tak.

– Masz mój numer i w ogóle?

– I w ogóle – zgodziłem się.

– No to trzymaj się. – Poklepał mnie jeszcze raz po rozoranej łopatce. – A jakbyś chciał się z nią pożegnać, to przypadkiem wiem, gdzie możesz ją znaleźć.

– Nie rozumiem, o kim mówisz.

– Jak zrozumiesz, to zadzwoń. Oczywiście, jeśli naprawdę będziesz chciał, bo czasami łatwiej jest...

– Dobra, dobra.

Odwrociłem się i ruszyłem w kierunku Tevfikiye. Wlokłem się i przeklinałem w myślach wszystkich bez wyjątku, a najbardziej tego, kto wymyślił wykopaliska archeologiczne w samym środku lata.

Przeszedłem może dziesięć kroków, chociaż niewykluczone, że aż dwanaście. Później powoli zawróciłem. Robert stał jeszcze na parkingu, nonszalancko oparty łokciem o budkę telefoniczną, i gawędził z jednym ze strażników.

– Gdzie ona jest? – wychrypiałem przez zaschnięte gardło.

Robert zachichotał.

– Wiedziałem, że nie wytrzymasz.

– Powiedz i nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, bo jest za gorąco na pieprzenie o niczym.

– Okej. – Pochylił się w moją stronę. – Powiem ci, ale tylko dlatego, że naprawdę jesteś dobrym kumplem. Pamiętasz KASKAL.KUR?

– Tę jaskinię? – przypominałem sobie po dłuższej chwili.

– No. – Idiotyczny uśmieszek nie schodził mu z warg. – Widziałem samochód Griffina parkujący niedaleko przed... – Zerknął na zegarek. – Nie będzie jeszcze dwudziestu minut. Bez kierowcy.

Popatrzył na mnie znacząco.

– Pewnie chce ją pocieszyć. Pola bardzo przeżywa to wyrzucenie z wykopalisk. Może nie zapomnieli koca. Jeśli chcesz się pożegnać, to lepiej się pośpiesz, bo potem możesz im przeszkodzić.

Puścił do mnie oko.

Zrzuciłem plecak na ziemię tak, żeby przygniótł mu stopę.

– Auć! Uważaj!

– Popilnuj mi bagażu – powiedziałem. – Zaraz wracam.

– Tylko szybko! – krzyknął za mną. – Nie mam czasu sterczeć tutaj pół dnia.

Przebiełem się przez zatłoczony parking. Gwar rozmów i warkot silników zagłuszyły to, co Robert miał jeszcze do powiedzenia.

Szedłem szybkim krokiem, gdybym jeszcze trochę przyspieszył, byłby to już bieg. Pot płynął ze mnie strumieniami. Podkoszulek był już tak mokry, że nic nie mogło w niego wsiąknąć i palące strużki spływały mi po plecach. Krople potu skapywały mi do oczu i piekły, kiedy próbowałem je otrzeć. Zaciśnąłem powieki, zostawiając tylko niewielkie szparki, bo czułem, że zaraz oślepnę. Słońce stało w zenicie i jego blask był wszędzie, a ja nie wiedziałem, gdzie podziąłem okulary.

Wąską ścieżką, wydeptaną w suchej, sięgającej mi do kolan trawie, przedostałem się na dwupasmową drogę, wygniecioną

kołami samochodu. Każdy krok wzbijał kłęb kurzu, od którego paliło mnie w gardle. Drobny pył oblepiał wilgotną skórę i zasychał w obrzydliwą skorupę. Roztarłem go na czole, ale nic to nie pomogło.

Droga wznosiła się łagodnie po stoku niskiego pagórka, ale mnie się wydawało, że nigdy nie zdołam się wspiąć na samą górę. Sapałem jak lokomotywa i nie widziałem nic. Zatrzymałem się w cieniu rachitycznego krzewu, ściągnąłem podkoszułek i spróbowałem znaleźć skrawek suchego materiału, którym mógłbym obetrzeć twarz. Ale podkoszułek był już tylko kawałkiem mokrej, śmierdzącej szmaty. Wciągnąłem go z powrotem, wzdragając się ze wstrętem.

Ośloniłem oczy i rozejrzałem się dokoła. Tam, gdzie powinno być morze, leżało pasmo szarej mgły. W jaskrawym świetle pola pomidorów, arbuzów i cholera jeszcze wie czego wydawały się białe. Trudno było uwierzyć, że mordercze słońce nie zabiło jeszcze wszystkiego w okolicy. Ale pompy nawadniające terkotały jak oszalałe, palący wiatr poruszał liśćmi, a ryk traktorów przybliżał się i oddalał. Życie toczyło się pełną parą, czy mi się to podobało, czy nie. Pola randkowała z Griffinem, Frank zabiegał o swoją karierę, Robert korzystał z życia, póki jeszcze mógł. Wszyscy pracowali, kłamali, uprawiali seks i szli dalej. Wszyscy oprócz Gülsün i Nadii. I może Nazife. Ale hej, bez przesady. Codziennie na świecie umierają setki tysięcy ludzi (może nawet miliony, nie jestem pewien), a w samej Afryce to ho, ho. A podczas wojen? A w minionych wiekach?

Ziemia jest pełna trupów. Kiedyś dla zabawy policzyłem, ilu ludzi pochowano od początku świata. Jeśli całą powierzchnię lądów na kuli ziemskiej podzielić na fragmenty o powierzchni metr na dwa, odpowiadające mniej więcej wymiarom grobu, w każdym takim prostokącie zakopano już siedemdziesiąt dwa ciała. To oczywiście bardzo niedokładne wyliczenia, ta liczba jest z pewnością o wiele większa, trzeba przecież odliczyć niedostępne amazońskie dżungle, góry, tereny miast i podmokłe

depresje. Dużo, dużo większa, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że nie wszyscy nieboszczycy trafiają do piachu. Zwłoki są regularnie palone, wrzucane do morza, wystawiane na pastwę sępów, rozpuszczane w kwasie, wypychane i ustawiane w gablotach, zamrażane w ciekłym azocie w oczekiwaniu na przepowiedzianą rezurekcję i wyrzucane w przestrzeń kosmiczną.

Na tej planecie umarło już tylu ludzi, że trzy dziewczyny, trzy młode kobiety to nie była nawet kropla w morzu, nawet pyłek na drodze. To było nic.

Na miękkich nogach podszedłem do otworu groty i zwałem się na ławkę w cieniu figowca. Zaparkowana przy ścieżce limuzyna Griffina słała w moją stronę figlarne błyski, od których oczy zapiekły mnie jeszcze bardziej. Pochyliłem się nad stojącą w zagłębieniu skały wodą, ale odór fermentujących fig był tak silny, że nie zdobyłem się na to, żeby zanurzyć w niej rękę. Zamiast tego posiedziałem chwilę ze spuszczoną głową, a później podniosłem się chwiejnie i pokuśtykałem do ciemnej dziury w wapiennej ścianie.

– Pola! – wrzasnąłem, kiedy już nabrałem trochę zaufania do swoich strun głosowych. – Pola!

Nikt nie odpowiedział. Oparłem się o kamień, jego chłód był lepki i nieprzyjemny. Jeszcze raz zajrzałem w głąb.

– Pola!

Cisza.

– Jeśli tam jesteś, to wyjdź! Mam dla ciebie dobrą wiadomość!

Cisza.

Potem jakiś szelest i jakby cichy szept.

– Pola! – wrzasnąłem jeszcze raz. – Wyłaź, do cholery!

– Zostaw mnie w spokoju, Mario.

Jej głos był tak wyraźny, jakby stała obok mnie. Musiała mnie słyszeć, tylko nie odpowiadała, pieprzona idiotka. Mieli pewnie z Griffinem niezły ubaw, kiedy się tak darłem.

Poczułem, jak wzbiera we mnie czerwona fala gniewu. Spróbowałem się opanować. Dwa głębokie wdechy.

– Wyjdź – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko potrafiłem. – Mam ci coś do powiedzenia.

– Spadaj, Mario.

Tym razem to był Griffin.

Nie, to nie. Przestałem się kontrolować i pozwoliłem czerwonej fali zatopić mój mózg. Nie widziałem niczego, nie czułem uporczywego pulsowania w skroniach, chciałem tylko jednego: dorwać skurwysyna i zamknąć na zawsze jego wredną gębę.

Wcisnąłem się bokiem w wąski otwór. Szorstka skała szorowała moje poranione plecy, ale nic mnie to nie obchodziło. Serce, napędzane adrenaliną, waliło ze strachu, jestem pewien, że puls skoczył mi powyżej dwustu, na piersiach czułem znajomą obręcz, ale nic mnie to nie obchodziło. Przede mną była tylko ciemność, ale to też miałem gdzieś. W sumie chciało mi się nawet z tego śmiać. Miałem tylko jeden cel: nauczyć rozumu tę głupią cipę i jej forsiastego przydupasa.

Przecisnąłem się przez wąskie przejście i prawie wpadłem do wnętrza jaskini; potknąłem się o jakiś występ, straciłem równowagę i byłbym runął na ziemię, ale udało mi się zrobić trzy szybkie kroki i jakoś się nie wywrócić. Nie czekałem, aż zabraknie mi tchu, tylko od razu ruszyłem w ich stronę. Siedzieli nad brzegiem basenu, bardzo blisko siebie. Na kamieniach stało kilkadziesiąt świec, a w wiaderku chłodziła się butelka szampana. Griffin pamiętał o wszystkim. Robert miał rację, facet zabrał nawet koc.

Poszperałem w kieszeni, trzęsącą się dłonią wyciągnąłem latarkę i zepsułem im romantyczny nastrój.

Griffin zerwał się na równe nogi. Wyminąłem go i stanąłem przed Polą. Złapałem ją za nadgarstek i pociągnąłem do góry. Zachwiała się.

– Chodź stąd – zaproponowałem.

Wyrwała się z mojego uścisku. Griffin zrobił krok w moim kierunku i pewnie by mi przywalił, gdyby nie stanęła między nami.

– Daj spokój – powiedziała. Głos miała lodowaty jak woda w skalnym basenie. – Nie warto.

– Nie pozwolę, żeby... – zaczął Griffin.

Dotknęła delikatnie jego ramienia i zajrzała mu w oczy.

– Nie pozwól, żeby zepsuł nam to spotkanie – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej i odprężył. Przygarnął ją ramieniem. Podała mu się miękko.

Uśmiechnął się też do mnie, ale tym razem jego uśmiech, przynajmniej na ile mogłem stwierdzić w mdłym świetle świec, wyglądał mniej przyjemnie.

– Trzeba było mnie słuchać, kiedy ci tłumaczyłem, co pociąga w mężczyznach kobiety, Mario.

Chciałem mu odpowiedzieć coś błyskotliwego i zjadliwego zarazem, ale poczułem, że nie mogę zaczerpnąć tchu. Osunąłem się powoli na kolana. Jedno z nich trafiło na ostry kamień. Chwyciłem się za gardło, które nagle zwęziło się do rozmiarów cieniutkiej słomki, stanowczo za małych, żeby przepuścić powietrze potrzebne do wypełnienia płuc.

– Po... – wycharczałem. – Pola. Pomóż mi.

Zawahała się, ale wyswobodziła się z ramion Griffina i podparła mnie z lewej strony. Dźwignąłem się i, wisząc na niej, zrobiłem trzy kroki w stronę świec ustawionych na kamieniach nad brzegiem basenu. Potem zwałem się na ziemię. Pola nie próbowała mnie podnieść, tylko odsunęła się w stronę Griffina. Przekręciłem się tak, żeby mieć płomyki przed samą twarzą. Zamknąłem oczy, ale czym prędzej je otworzyłem. Ciało miałem mokre od potu, nie potrafiłem powiedzieć, czy jest mi zimno, czy gorąco. Jeszcze chwila, pomyślałem, a ześlizgnę się do basenu jak wielka ryba. I tak się to wszystko zakończy.

Pola odsunęła się jeszcze dalej i objęła się ramionami, jakby nagle ogarnął ją chłód. Za to Griffin podszedł bliżej, podciągnął lekko swoje spodnie w kancik i nie bacząc, jakie to może mieć

konsekwencje dla jego garderoby, przyklęknął. Oparł się na dłoniach i pochylił głowę do samej ziemi, żeby jego twarz znalazła się dokładnie naprzeciwko mojej. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a na jego wargach igrał uśmiezek, którego znaczenia nie mogłem rozszyfrować. Nie żebym bardzo próbował. Wdychanie i wydychanie powietrza zajmowało mnie bez reszty.

– Trzeba go stąd zabrać – powiedziała Pola. Jej głos dobiegał z oddali.

– Zaraz. – Griffin już się napatrzył, bo odepchnął się od ziemi i przykucnął. Widziałem teraz jego twarz od dołu, z zarysem mandibuli podświetlonej świeczkami na pierwszym planie.

– No i co? – Nie patrzył na mnie, ale mówił do mnie. – Znowu się spotykamy panie profesorze Nie-Mogę-Sobie-Za-Cholerę-Przypomnieć-Twojego-Nazwiska. Szkoda że to już ostatni raz. Ale za to okoliczności są ciekawe, nieprawdaż?

Chciałem coś wyrzucić w odpowiedzi. Spróbowałem, ale mi nie wyszło, więc dałem spokój.

– To fascynujące miejsce. – Griffin rozejrzał się. – Pola właśnie opowiadała mi o nim, kiedy nam przerwałeś. – W jego głosie zabrzmiał wyrzut, ale tylko lekki, ot, jakby łąał krawca za niestaranne przyszyć guzika do klubowej marynarki. Chociaż nie, w świecie Griffina na pewno nie istniało coś takiego jak niestaranie krawcy.

Poderwał się i zaczął chodzić w kółko, dotykając ręką ścian.

– I pomyśleć tylko, w jaki sposób dzieło człowieka uzupełnia naturę.

Zniknął mi z oczu, kiedy znalazł się za moimi plecami, ale nie byłem w stanie się przekręcić, próbowałem więc tylko ustalić, z której strony dobiega jego głos.

– Czy wiesz, że tutaj też składano ofiary z ludzi? Tysiące lat temu, ale to nadal fascynujące, nie uważasz?

Zatrzymał się przede mną. Widziałem czubki jego wyglansowanych butów i oświetlone świeczkami kanty spodni. Wszystko wyżej zasłaniał mi mrok.

Zacząłem drżeć na całym ciele.

– Howardzie, trzeba go stąd zabrać. On może doznać zapaści.

– Już niedługo, moja miła. Jeszcze tylko chwilę.

Znowu pochylił się nade mną, znowu mogłem zobaczyć cień jego twarzy.

– Muszę się z tobą podzielić kilkoma moimi przemyśleniami, Mario. Jestem pewien, że zrozumiesz mnie, jak mało kto. Bo przyznajmy szczerze, ci ludzie tutaj to nie jest zbiorowisko orłów. Nie, nie musisz nic odpowiadać. Wiem, że się ze mną zgadzasz.

Oddychanie stało się jakby ciut łatwiejsze, ale w końcu praktyka czyni mistrza. Za to miałem kłopoty ze zrozumieniem niektórych słów Griffina, bo zagłuszało je walenie mojego serca.

– Kiedyś powiedziałeś, że jesteśmy do siebie podobni, Mario. Nie chciałem ci wtedy przyznać racji, ale po przemyśleniu sprawy zmieniłem zdanie. Tylko ty i ja robimy tutaj to, na co mamy ochotę i co przyjdzie nam do głowy. Co prawda, trzeba przyznać, nie robimy tych samych rzeczy. Ty głównie zalewasz się w trupa, obrażasz innych i próbujesz do reszty zrazić do siebie jedną z najbardziej fascynujących kobiet, jakie kiedykolwiek poznałem.

Wykonał lekki ukłon w stronę Poli.

– Ja natomiast staram się mieć umysł otwarty. Zawsze kiedy jestem w nowym miejscu, gdy spotykam nowych ludzi i mam do czynienia z nowymi dla siebie rzeczami, staram się przestrzegać tej zasady. Tylko w ten sposób można doświadczyć w życiu czegoś ciekawego. Nie wolno się zamykać, a wtedy człowiek poznaje nowe idee. Rzeczy, które nawet nie przyszyby mu do głowy. To się nazywa inspiracja.

Przekręciłem się powoli na plecy. Patrzyłem teraz na niego od dołu.

– Można by pomyśleć, że wykopaliska, do tego w tak słynnym miejscu jak Troja, będą źródłem inspiracji od rana do wieczora – ciągnął Griffin. – Ale trochę się rozczarowałem.

Pochylił się nieco nade mną.

– Zamiast wybitnych luminarzy zastałem tutaj dość ciasne umysły – wyszeptał. – Oczywiście nie wszystkie, ale w przewadze. Tylko jej nie mów, że ci to powiedziałem, bo będzie jej przykro.

Jęknąłem. Pola poruszyła się niespokojnie.

– Howardzie...

– Powiedziałem: zaraz! Mam mu jeszcze coś do powiedzenia.

Cofnęła się o krok.

– Ale ty, Mario, byłeś dla mnie bezcennym źródłem inspiracji. I należą ci się za to podziękowania. Twoje bezsensowne, ale jakże ciekawe teorie, twoje chaotyczne próby odkrycia nieistniejącego mordercy... Ale najbardziej chciałbym podziękować Marilles. Szkoda że jej tu nie ma, ale myślę, że będę miał jeszcze okazję. Wtedy, podczas tego miłego, chociaż trochę nudnego wieczoru, powiedziała coś, co bardzo mnie zainspirowało.

Spróbowałem sobie przypomnieć, co Marilles wtedy mówiła. Nie przychodziło mi do głowy nic poza tym, że była zalana i pieprzyła od rzeczy.

– Byliście wspaniali – powiedział, prostując się. – Razem dostarczyliście mi wiele przyjemności. A przede wszystkim to dzięki wam nabrałem ochoty, żeby sam spróbować nowych rzeczy. I to od razu tamtego wieczoru.

Nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Było to wrażenie tak silne, że nieomal usłyszałem w mózgu kliknięcie jakiejś zapadki odpowiedzialnej za kojarzenie faktów. Zobaczyłem twarz Marilles, jej zamglone alkoholem oczy i monotony głos, wieszczący jak Kasandra czy jak się tam nazywała ta starożytna świruska. „Poliksena była pierwsza. Nadia była druga. Która będzie trzecia?”.

Musiałem chyba mieć to wypisane na twarzy, bo Griffin się uśmiechnął.

– Nareszcie zajarzyłeś, Mario. No cóż, lepiej późno, niż wcale.

– „Która będzie trzecia?” – wycharczałem.

Wzruszył ramionami.

– Gülsün była trzecia, tak się złożyło. Ale nie martw się. Będzie też czwarta. I piąta.

– To ty... wtedy, po imprezie.

– Tak, tak, widzę, że już wszystko rozumiesz, nie męcz się tłumaczeniem. Oczywiście, że ja. A ty myślałeś, że kto?

Nie odpowiedziałem. Próbowiałem opanować łomoczące serce, ale w ogóle mnie nie słuchało. Ręce i nogi stały się nagle tak miękkie i bezwładne, że ledwo mogłem poruszyć palcami.

– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy, gdyby nie ty i Marilles. Ale ten jej pomysł z morderstwami, które naśladują starożytne zbrodnie, wydał mi się fantastyczny. Reszta była już prosta. Podziękowania należą się wam: tobie i tej małej z dredami. Bo ja, nie wiem, czy pamiętasz, że ci mówiłem, zawsze robię to, na co mam ochotę. A dzięki wam nabrałem na to nieprzepartej ochoty.

– O czym wy mówicie? – Pola podeszła bliżej. – Ja nic z tego nie rozumiem.

– Zrozumiesz, moja miła. – Głos Griffina nabrał ciepłej barwy. – Już niedługo.

Chciałem coś do niej krzyknąć, ale znowu zacharczałem, a potem zacząłem się dusić od kaszlu. Griffin przyglądał mi się jak robakowi wijącemu się na haczyku.

Nie spieszył się. On się nigdy nie spieszył, byłem tego pewien. Wręcz przeciwnie. Pragnął, żeby to się działo powoli. Taka długa gra wstępna, ale na jego warunkach.

Coś w mojej głowie znowu zrobiło maleńkie klik. Nagle w jednym ułamku sekundy zrozumiałem go. Zacząłem myśleć tak jak on.

Najpierw ją zauważam. Widzę ją i wiem, że to właśnie ona. Nie mam pojęcia, dlaczego wybieram właśnie ją. Podoba mi się. Ale to nie wszystko. Podobają mi się dziesiątki innych kobiet, setki. Ona ma w sobie coś więcej. Może uśmiech, może sposób, w jaki odgarnia włosy z czoła, siada, wstaje, pochyla się. Jej piersi poruszają się pod bluzką, kiedy idzie. Ramiączko stanika widoczne w dekolcie. Wybieram ją spośród innych kobiet i nie pytajcie mnie dlaczego. Po prostu wybieram.

Potem zaczynam moją grę. Obserwuję ją. Chcę wiedzieć o niej wszystko, poznać jej zwyczaje. O której kładzie się spać i o której wstaje, nad czym pracuje, co czyta w wolnych chwilach. Kiedy jeździ do miasta na zakupy. Gdzie wiesza mokrą bieliznę, żeby wyschła.

Szybko przestaje mi to wystarczać. Chcę decydować. O tym, gdzie chodzi i z kim się spotyka. Co je. Co robi. Co mówi. Z kim się kocha. Chcę, żeby to wszystko zależało ode mnie.

Muszę się trochę postarać. Potrafię być czarujący. I bardzo szybko ona odkrywa, że spędzanie ze mną czasu jest przyjemne. Fascynujące. Ekscytujące.

Czekam. Nie zmuszam jej do niczego. Ona zaczyna mi ufać. Powoli zdradza mi swoje sekrety. Niektóre opowiada mi sama, inne mówią jej ciało i oczy. Nie jestem już przechodniem z ulicy, jakimś facetem z miasta.

Wtedy wybieram ten dzień. Ona sama pomaga mi wybrać miejsce. Przed wyjściem wkładam do kieszeni nóż.

Potem siedzimy obok siebie w blasku świec. Ona kładzie mi głowę na ramieniu. Jest rozluźniona, ufna. Jej włosy opadają

na szyję i widzę miękkie miejsce tuż koło załamania szczęki, gdzie pulsuje małeńka żyłka.

Wciągam powietrze w płuca, głęboko. Cały świat należy do mnie. Jestem rozpaloną od słońca ziemią i czarnym, rozgwieżdżonym niebem. Jestem trawą szumiącą na polach i morzem, które tłucze się gdzieś na horyzoncie. Jestem wszystkim. Wciągam jeszcze raz w nozdrza woń wilgoci i zimnego kamienia. Nigdy jej nie zapomnę.

Wkładam rękę do kieszeni. Wyjmuję nóż prawą dłonią. Nie wiem, czy o tym wcześniej wspomniałem: jestem praworęczny. Zwalniam blokadę i ostrze bezdźwięcznie odskakuje. Lewą ręką gładzę ją po policzku, a potem obejmuję i mocno przytulam. Nie broni się. Patrzy na mnie z bliska, widzę jej ogromne, piękne oczy, dostrzegam w nich wahanie, ale nie strach. Dopiero wtedy zbliżam nóż. Lewą ręką przytulam ją jeszcze mocniej, a prawą przykładam ostrze do jej szyi.

Jej oczy nagle się rozszerzają. Zaczyna drżeć. Próbuje coś powiedzieć, otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Patrzy na mnie. Próbuje zrozumieć. Nic nie rozumie. Nagle nie rozumie zupełnie nic...

*

A wiesz, co jest w tym najlepsze? – spytał. Drgnąłem na dźwięk jego głosu. – To, że ona nie będzie się bronić. Aż do ostatniej chwili nie będzie miała nic przeciwko temu. Aż do momentu, kiedy będzie za późno. – *Pójdźcie, pięknie przystrojone panny frygijskie, chwalcie śpiewem męża, co z losu ma wejść w moje łóżę* – wyrecytował rytmicznie. – To z *Trojanek* Eurypidesa. Mówię ci, bo każda okazja jest dobra, żeby zdobywać wiedzę – umilkł.

Znowu się nade mną pochylił.

– Na razie myśli, że sama tego chce – mruknął. – Wiesz, jakie są kobiety. A jak się zorientuje, że nie o to jej chodziło, będzie po wszystkim.

– Jak... – jęknąłem.

– Och, zawsze noszę przy sobie szwajcarski szczyroryk. – Poklepał się po prawej kieszeni spodni. – Na wypadek, gdyby trzeba było otworzyć butelkę szampana albo... Sam rozumiesz.

– Jak... Gülsün...

– To było proste – mruknął tuż nad moim uchem. – Niewiele kobiet odmówiłoby sobie romantycznego spaceru po starożytnych ruinach przy księżycu, z przystojnym i zamożnym człowiekiem o dobrej reputacji. Poprosiłem ją, żeby mi coś pokazała. A później... – Wyprostował się i wzruszył ramionami. – Czego jak czego, ale kamieni na archeologicznych wykopaliskach raczej nie brakuje.

– Pola. – Podniosłem głowę na kilka centymetrów i udało mi się wydusić z gardła żalosny szept. – Uciekaj.

– Co? – Podeszła jeszcze bliżej i stanęła koło Griffina.

– Spieprzaj stąd – wyszeptalem.

Obręcz zacisnęła mi się na piersiach, wyciskając z nich resztkę powietrza. Głowa opadła mi na kamień. Zrobiło mi się mdło.

Zamknąłem oczy. Usłyszałem ją, odległą, jakby ktoś napchał mi waty do uszu.

– Howardzie, nie możemy go tak zostawić. Boję się...

Słowo, którego nie zrozumiałem. Chrzęst podeszew o podłogę. Westchnięcie. Jego szept. Jej odpowiedź, półszepetem, ale nadal zbyt cicho. Otworzyłem oczy. Zobaczyłem, jak obejmuje ją ramieniem. Mocno. Nie broniła się, przyłgnęła do niego całym ciałem. Pochylił się, żeby ją pocałować. Jego ręka, jak wąż, sunęła w zwolnionym tempie do prawej kieszeni.

Zacisnąłem pięści. Do dzisiaj we wnętrzu dłoni mam osiem blizn w kształcie półksiężyców tam, gdzie paznokcie rozorały mi skórę. Napiąłem wszystkie mięśnie. Serce przestało mi bić, a kiedy pomyślałem, że to już koniec, ruszyło znowu, w dziwnym, chaotycznym rytmie. Nie mogłem zaczerpnąć powietrza. Dyszałem jak pies. Podciągnąłem jedną nogę bliżej tułowia. Griffin usłyszał szelest i odwrócił głowę, spojrzał na mnie i zno-

wu zajął się wargami Poli. Jego prawa dłoń była już w kieszeni. Podkurczyłem drugą nogę i jeszcze raz próbowałem nabrać powietrza w płuca. Nie odrywałem wzroku od ręki Griffina. Najciszej jak mogłem uniosłem tułów i przykucnąłem, z pochyloną głową i ramionami opartymi o ziemię.

– Hej, Griffin – wydyszałem.

Obejrzał się znowu. Tym razem na jego twarzy odmalował się wyraz lekkiego zdziwienia. Opuścił ramię, którym obejmował Polę, i odsunął się od niej o kilka centymetrów.

Runąłem na niego. Trafiłem go barkiem pod kolano. Nogi się pod nim ugięły i poleciał mi na plecy, wyciskając z moich płuc tę odrobinę tlenu, o którą tak walczyłem. Przez ułamek sekundy myślałem, że jednak się nie uda, że wszystko na nic. A później namacałem nogą występ skalny i odbiłem się od niego tak mocno, jak tylko potrafiłem. Obaj wpadliśmy do basenu.

Nie zarejestrowałem krzyku Poli, bo lodowata woda wdarła się do moich uszu. Czaszkę przeszył mi potworny ból. Parskając, wynurzyłem się na powierzchnię, ale nie mogłem otworzyć oczu, przez uchylone powieki widziałem tylko blask świec i tęczowe halo na rzęsach. Czarna sylwetka Poli poruszała się gwałtownie gdzieś w górze.

Griffina raczej wyczułem, niż zobaczyłem, szarpał się obok. Kopnął mnie kolaniem w żebra. Zakrztusiłem się i poszedłem pod wodę. Wynurzyłem się, parskając.

Zanurzenie w wodzie o temperaturze trochę tylko wyższej od temperatury topnienia lodu działa jak zastrzyk adrenaliny: serce pompuje krew w szalonym tempie. I podobnie jak po zastrzyku, natychmiast opada się z sił. Czułem, jak moje nogi i ręce poruszają się niemrawo gdzieś bardzo daleko, całe kilometry ode mnie. Skóra już mnie nie bolała, straciłem kompletnie czucie.

Otworzyłem oczy najszerzej jak mogłem. Zobaczyłem, że czarna sylwetka Poli pochyla się nad basenem i wyciąga przed siebie ręce. Jej usta się poruszają, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy w ogóle słyszałem jej głos. Spróbowałem kopnąć

wodę nogą i zbliżyć się trochę do krawędzi basenu. Czułem, jak obok szamocze się Griffin. Jego kolejny cios trafił mnie w ucho. Znowu się zachłysnąłem i zanurzyłem.

Kiedy wydostałem się na powierzchnię, zobaczyłem go tuż przed sobą. Pola pochyliła się jeszcze niżej, a jej wyciągnięta dłoń prawie dotykała ręki Griffina. Wykonałem rozpaczliwy zamach, złapałem z tyłu kołnierzyk jego koszuli i szarpnąłem z całej siły. Wciągnąłem go pod wodę. Próbowąłem go kopnąć, ale woda spowalniała ruchy i moja noga tylko musnęła jego plecy. Wynurzył się i odwrócił twarzą do mnie. W jego oczach nie było lęku, tylko wściekłość.

Rzucił się na mnie gwałtownie, odpychając się nogami od ściany basenu. Nie byłem w stanie uniknąć jego ciosu. Zanurzyłem się najgłębiej jak potrafiłem. Trzymałem powieki szeroko rozwarte, chociaż gałki oczne piekły mnie, jakbym pochylił się nad ogniem. Woda była ciemna jak grób, tylko na samej górze migotały pomarańczowe płomyki. Na ich tle widziałem czarną postać Griffina. Jego ręce były coraz bliżej.

Wypuściłem z płuc reszkę powietrza i zanurzyłem się niżej, w ciemność. Czułem, jak ogarnia mnie chłodna noc. Patrzyłem w górę, na wątłe promienie światła, i było mi wszystko jedno. Czułem, jak opadam. Zimno przestało boleć, przestałem czuć cokolwiek, myśleć cokolwiek.

Zamknąłem oczy. A potem gwałtownie skrzyłem tułów i posłałem do mózgu rozkaz machnięcia nogami, chociaż nie byłem pewny, czy jeszcze je mam.

Wyrznąłem w coś głową, z całej siły, i dopiero ten nowy ból mnie ocucił. Przede mną była kamienna ściana. Przesunąłem dłońmi po jej powierzchni, szukając jakiegoś występu, którego mógłbym się chwycić, ale na próżno. Ściana była gładka jak butelka wyciągnięta z lodówki, pieprzony cud rzymskiej techniki.

Wykonałem jeszcze próbę przypomnienia sobie, jak się rusza nogami i rękami, i nagle moja głowa jak korek wystrzeliła na

powierzchnię. Złapałem gwałtownie haust powietrza. Próbowalem przytrzymać się ściany, ale moje palce ześlizgiwały się po gładkiej powierzchni, a fale, które wzbudzałem, szamocząc się, zalewały mi nos i gardło.

Nad sobą zobaczyłem ciemne oczy Poli na tle jej białej twarzy. Chciałem coś powiedzieć, ale z mojego gardła nie wydobył się nawet szept. Wyciągnęła rękę i złapała moją dłoń. Próbowalem zacisnąć palce na jej nadgarstku, ale nie byłem w stanie nawet nimi poruszyć.

Nagle odblokował się świat dźwięków wokół mnie, a na ruchy warg Poli nałożył się jej głos.

– Złap mnie za rękę, Mario! – krzyczała. – Trzymaj mocno!

Próbowalem zacisnąć palce, ale skostniały z zimna i nie słuchały mnie. Chciałem pokręcić głową, żeby jej pokazać, że nie dam rady i że to już koniec, ale mięśnie szyi odmówiły mi posłuszeństwa. Próbowalem dać jej znak oczami. A potem przestałem i dryfowałem, czując, jak jej dłonie ześlizgują się z moich. Jak w *Titanicu*. To była moja ostatnia myśl.

Poczułem uderzenie w plecy i woda wypełniła mi usta. Zakrztusiłem się i udało mi się odwrócić głowę. Griffin był tuż za mną.

Wczepiłem się w palce Poli ze wszystkich sił.

– Ciągnij! – ryknąłem, a w każdym razie chciałem ryknąć. Z moich ust wydobył się jedynie skrzek, ale ona zrozumiała. Pociągnęła. Mocno. Dzielna dziewczyna, zawsze twierdziłem, że ma krzepę. Kopnąłem Griffina w klatkę piersiową i odepchnąłem się od niego. Zdążyłem zobaczyć zdziwienie w jego oczach, a później fala zalała mu twarz. Pola szarpnęła mnie w tym samym momencie. Poczułem, jak mój tułów podjeżdża gwałtownie do góry i staje się ciężki, traci tę rozkoszną lekkość, która pozwalała mi się unosić w zimnym, ciemnym basenie.

Pola przewróciła się na plecy, ale nie puściła mnie. Podjechałem do przodu, uderzając nosem w kość jej miednicy. Kość wewnątrz czaszki trzasnęła i po mojej twarzy pociekło coś, co

pałiło, jak ogień. Pola zaparła się nogami i pociągnęła jeszcze raz. Wrzasnąłem z bólu i wylądowałem na niej. Nie czułem jej dotyku.

Zepchnęła z siebie moje sztywne, lodowate ciało. Ukłękła na kolanach i podczołgała się do mojej twarzy.

– Żyjesz? – spytała. – Wszystko w porządku?

– N-nnie wiem – szepnąłem. Szczęki miałem zaciśnięte i nie mogłem dotknąć językiem podniebienia.

Odciągnęła palcem moją powiekę, potem drugą. Nie wiem, co spodziewała się tam zobaczyć, ale wyglądała, jakby ten widok ją uspokoił. Przyłożyła dwa palce do mojej szyi i zastygła w bezruchu.

– Bije – stwierdziła po chwili. – To teraz mi pomóż.

Nadal na kolanach, podczołgała się do krawędzi basenu. Wychyliła się do przodu.

– Howardzie! – krzyknęła. – Złap mnie za ręce!

Usiadłem i zakaszlałem. Ciało mnie pałiło, jakby ktoś oblał mnie wrzącą smołą. Złapałem Polę za nogę. Palce nie chciały się zacisnąć, ale pomogłem sobie drugą ręką. Szarpnąłem ją do tyłu. Jej dłonie minęły o milimetr ręce Griffina.

Wyrwała mi się.

– Zwariowałeś? Puść mnie, ty idioto! Trzeba go wyciągnąć.

Uniosłem się do góry i złapałem ją wpół. Przygniotłem jej ciało do skalnego podłoża całym ciężarem. Kopnęła mnie w kolano i prawie je złamała. Jej łokieć wylądował w moim oku. Ale nie zwolniłem uchwytu.

– Zostaw mnie! – darła się. – Puść mnie natychmiast!

Nie zrobiłem tego. Nie puściłem jej, kiedy krzyczała, aż w jaskini wibrowało powietrze. Ani wtedy, kiedy ugryzła mnie w przedramię tak mocno, że jej zęby zatrzymały się na kości promieniowej. Nie puściłem jej też, kiedy podrapała mi policzek paznokciami, ani wtedy, kiedy zaczęła przeraźliwie szlochać. Nie puściłem jej nawet na moment, chociaż doskonale wiedziałem, że trzymam ją w ramionach po raz ostatni i że nigdy mi

tego nie wybaczy. Nie wiedziałem, czy moje serce nadal bije, nie czułem, czy oddycham. Ale trzymałem ją i nie pozwoliłem jej się podnieść, dopóki nie zobaczyłem w oczach Griffina rezygnacji, a później pustki i ciemności.

Epilog

Obserwowanie chmur to zajęcie przyjemne, tylko potwornie nudne. Ale ja nie miałem nic lepszego do roboty, więc leżałem na wznak na piaszczystym brzegu Skamandra i gapiałem się w niebo. Wiatr zmienił kierunek i przeganiał pierzaste strzępy z południa na północ. Niebo się zasnuło, ale nie jak przed deszczem, wyglądało tak, jakby je ktoś pomazał grubą kredką. Słońce na zachodzie nadawało tym maziom kolor wściekłego pomarańcza i krwi.

Przyszła do mnie, kiedy już zmierzchało. Wiatr ucichł i pierwsze komary krążyły leniwie wokół mojej głowy. Podeszła cicho i usiadła obok na piasku. Pochyliła się, rozpięła sprzączki sandałów i zanurzyła stopy w chłodnym nurcie Skamandra. Wesschnęła z rozkoszy.

– Uważaj – powiedziałem. – Tutaj żyją różne dziwne stworzenia, co to nikt nawet nie wie, jak się nazywają.

Zlekceważyła moje ostrzeżenie i popluskowała stopami jak małe dziecko, wpuszczone do sadzawki w pierwszy dzień lata. Pod wodą jej skóra wydawała się bielsza.

– Wyjeżdżasz – stwierdziła.

– To nie jest pytanie – zauważyłem. – Ale jeśli masz jakieś, mogę próbować na nie odpowiedzieć. Chociaż tyle ci się ode mnie należy.

Zawahała się.

– Właściwie to przyszłam się pożegnać...

– ...ale?

Popatrzyła na mnie poważnie. Jej ciemne włosy były teraz schowane pod chustą. Oczy nadal kryły tajemnicę.

– Pomyślałam sobie, że chciałbyś usłyszeć jakieś wyjaśnienie.

Spróbowałem złapać jej spojrzenie, ale wpatrywała się w szaleństwo kolorów na zachodzie.

– Od ciebie? – zdziwiłem się. – A co ty mi chcesz wyjaśniać, Ayça. Dlaczego wychodzisz za męża za jakiegoś wioskowego macho? Nie trudź się, ja i tak tego nie rozumiem.

Skrzywiła się.

– Mój przyszły mąż pracuje w Çanakkale, w urzędzie miasta. To dobry człowiek.

– Nie wątpię.

– Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz. Ale pomyślałam sobie, że przed wyjazdem chciałbyś dowiedzieć się czegoś więcej o Nazife.

Chwyliłem ją za rękę. Palce ciągle miałem sztywne, bolały mnie przy każdym ruchu.

– Ty wiesz, co się z nią stało?

Delikatnie uwolniła rękę z mojego uścisku.

– Mario, nie dotykaj mnie. – Uśmiechnęła się. – To nie jest dobrze widziane w tych stronach. Oczywiście, że wiem. Przecież to moja siostra.

Odsunąłem się lekko. Kolana mnie łupały, zimna kąpiel im nie posłużyła. Milczałem.

– To chcesz wiedzieć czy nie?

– Zamieniam się w słuch.

– Ale musisz mi najpierw obiecać... – Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy jesteśmy sami, zupełnie jakby można było prze-gapić ryk nadjeżdżającego traktora.

– Tak, tak, że nikomu nie powiem. Obiecuję.

Westchnęła.

– Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa. Nazife jest w Niemczech. Wyjechała, kiedy rodzice dowiedzieli się o Vasifie i chcieli ją zmusić do małżeństwa, tak jak... – zawahała się.

– Jak ciebie – dokończyłem za nią. – To interesujące. Tak sobie wyjechała i nikt o tym nie wie? A skąd wzięła wizę, paszport? Pieniądze na bilet?

– Rodzice wiedzą. Mamy tam ciotkę, kuzynkę matki, w Stuttgarcie. Załatwiła jej pracę, pożyczyła trochę pieniędzy, resztę dołożył ojciec. Nie mógł patrzeć, jak Nazife ciągle płacze. To dobry człowiek, tylko zależy mu na opinii. Mieszkamy w wiosce. Nie chciał, żeby ludzie się dowiedzieli i gadali. I tak już gadają... Sam widzisz, taka nasza mała, rodzinna tajemnica.

– A ty? – spytałem. – Czy dobremu człowiekowi nie przeszkadza, że ty płaczesz? Nie chciałabyś też wyjechać? Mógłbym... Są stypendia, programy naukowe. Gdybyś potrzebowała opinii, mogę ci napisać.

– Ja nie płaczę. – Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały smutne. – Ktoś musi zostać. Zresztą teraz jest już za późno.

– Pewnie tak – powiedziałem. – Pewnie tak.

Siedzieliśmy w milczeniu. Delikatnie poruszała stopami, a opływająca je woda tworzyła wąskie, długie fale. W oczach Ayçy odbijało się krwawe niebo.

– Nie rozumiem, dlaczego on to zrobił – powiedziała.

Podniosłem patyk i zacząłem kreślić na piasku równoległe linie.

– Sami stworzyliśmy potwora – mruknąłem. – Tak się nam strasznie spodobał pomysł, że morderstwa mają starożytne korzenie, tak bardzo chcieliśmy, żeby to była prawda, że ktoś nam w końcu zrobił przyjemność i spełnił nasze życzenie.

Znowu zapadła między nami cisza.

– A Pola? – zapytała nagle.

– Co Pola? – Podniosłem płaski kamień i rzuciłem go w nurt rzeki. Nie odbił się, od razu poszedł na dno.

– Jak ona się czuje?

Zastanowiłem się, co odpowiedzieć.

– Fizycznie dobrze. Dojdzie do siebie. Nic jej się nie stało.

Dotknąłem ostrożnie czubka nosa. Lekarz w Çanakkale wsadził mi głowę w rentgen, po czym oznajmił, że nos już taki pozostanie, lekko skrzywiony, i lepiej byłoby, gdybym przez parę miesięcy nie nabawił się kataru. Tyle to sam wiedziałem.

– Marilles mi powiedziała – Ayça starannie dobierała słowa – że Pola i Griffin... no wiesz. Że to był dla niej straszny szok. Do końca nie wierzyła, że to on...

– Słuchaj – przerwałem jej. – Ja nie mam wpływu na to, w co ludzie wierzą. Niektórzy są przekonani, że żyjemy wewnątrz wielkiej sfery ze słońcem pośrodku, a inni, że Darwin był idiotą, a ludzie dawno temu polowali na dinozaury. Nie wiem, w co wierzy Pola. Może uważa, że Griffin naprawdę zabrał ją do jaskini na romantyczną randkę, a Gülsün sama przywaliła sobie kamieniem tak mocno, że pękła jej czaszka. Nie obchodzi mnie to, rozumiesz?

– Nie musisz podnosić głosu.

– Przepraszam – mruknąłem.

– Marilles mówiła, że Pola też jutro wyjeżdża. Czy ty...? Czy wy...?

– To już nie twoja sprawa.

Pochyliła się do przodu i oparła brodę o kolana.

– Szkoda, że nie chcesz ze mną o tym porozmawiać – powiedziała niewyraźnie. – Byłoby ci lżej. Ja potrafię być życzliwym słuchaczem. I jestem twoim przyjacielem, Mario.

Milczałem.

– Oboje potrzebujecie trochę czasu. To był straszny wypadek i wszystko stało się na waszych oczach. – Wyprostowała się i przełknęła ślinę. – Wiesz, myślę, że nawet on nie zasługiwał na taką śmierć. Może gdybyś sam wtedy nie był w szoku... może dałbyś radę... dalibyście radę... Może wtedy by nie zginął. Wszystko skończyłoby się inaczej.

– Z całą pewnością – zgodziłem się uprzejmie. – A co dalej?

– Jak to co? – Była naprawdę zdziwiona, że pytam. – Policja w Çanakkale by go aresztowała, a potem... My chyba mamy podpisane jakieś umowy o ekstradycji albo coś takiego.

– Aha. – Pokiwałem głową. – Ty wierzysz w wymiar sprawiedliwości?

– A ty nie? – Przyłożyła dłoń do ust.

Nie chciało mi się rozmawiać.

Po tej ziemi wciąż jeszcze chodzą ludzie czyści i naiwni, którzy wierzą w sprawiedliwość i porządek, w kosmiczny ład i uniwersalne prawa, którzy myją zęby codziennie, rano i wieczorem, segregują śmieci, uprawiają z małżonkiem seks raz w tygodniu, żeby nie czuł się niekochany, nie prowadzą po lampce wina i spóźniają się na umówione spotkanie nie więcej niż piętnaście minut. Którzy nie hałasują po dziesiątej wieczorem, pamiętają o podlewaniu kwiatów, głosują w wyborach, nie kupują jajek z hodowli bateryjnej i od czasu do czasu wpłacają na schronisko dla bezdomnych zwierząt. Którzy oszukują urząd podatkowy wyłącznie na drobne sumy, przyjmują księdza po kolędzie, trzymają pornosy w szufladzie zamkniętej na klucz, a żony bliźniego swego pożądamy tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Ale to jeszcze nie znaczy, że ja muszę gadać z każdym z nich.

– Mario – spytała nagle – czy mógłbyś zabić człowieka?

Piasek, na którym siedziała, był wilgotny, ale jej to chyba nie przeszkadzało. Palce jej stóp, zanurzone w wodzie, wydawały się nieskazitelnie białe. Jak wyrzeźbione z marmuru.

styczeń 2009–czerwiec 2010

Postłowie

Najlepiej będzie, jeśli przyznam się od razu: popełniłam wiele nadużyć. Chociaż podstawowe dane archeologiczne w powieści się zgadzają, niektóre z nich przekręciłam, żeby zachować spójność akcji, albo po prostu, bo tak mi się podobało.

To prawda, że niedaleko murów Troi znajduje się archaiczny okrąg świątynny razem z ołtarzem, gdzie w okresie archaicznym czczono najpewniej *Megaloí Theoi* z Samotraki. O ile mi jednak wiadomo, nigdy nie składano tam ofiar z ludzi. Ch. Brian Rose opisał okrąg i ołtarz w artykule opublikowanym w „Studia Troica” z 1997 roku, ale słowem się nie zająknął o tym, żeby kiedykolwiek zabijano w tym miejscu ludzi lub zwierzęta (*sorry*, Brian).

Niedaleko Troi znajduje się podziemny tunel, odsłonięty przez archeologów w 1997 i 1998 roku, i być może ma on związek z heytyckim bóstwem świata podziemnego Kaskalkur. Jednak nie ma tam żadnej jaskini, ani tym bardziej basenu o gładkich ścianach, z którego nie można się wydostać. Poza tym wejście do tunelu zasłania żelazna krata; archeolodzy nie mogą ryzykować, że w środku utknie jakiś żądny wrażeń turysta.

Do trojańskiej Bramy Wschodniej nie może podjechać ambulans: żeby się do niej dostać, trzeba najpierw pokonać kilkanaście schodków w dół. Tego, o ile mi wiadomo, nie potrafi żadna karetka pogotowia, nawet w Turcji.

Uważny Czytelnik, który miał okazję odwiedzić Troję, znajdzie zapewne w tej książce jeszcze więcej drobnych nieścisłości. Jeszcze bardziej uważny Czytelnik mógłby się doszukiwać podobieństw między bohaterami książki a żyjącymi osobami. Muszę zapewnić, że takie podobieństwa, o ile istnieją,

są przypadkowe i niezamierzone. Ale Troja – rozpalona słońcem i owiana gorącym wiatrem – przeżyła już niejedną opowiedzianą o niej historię, przeżyje więc i tę, a także jej autorkę.

Bez pomocy innych osób moja powieść miałaby o wiele mniej sensu. Dr Wiesław Więckowski z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego cierpliwie odpowiadał na moje wszystkie pytania związane z antropologią, nawet kiedy było już późno, a on miał dosyć po całym dniu wykopalisk. Nadkomisarz Dariusz Zajdel z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego skorygował moje wyobrażenie na temat rekonstrukcji wyglądu przyżyciowego człowieka metodą plastyczną (czyli tego, co Mario za pomocą plasteliny robi z czaszką „Polikseny”), a przede wszystkim wybił mnie z przekonania, że da się to zrobić w jeden dzień. Piotr „Pochuro” Matysiak oraz – za jego pośrednictwem – Rafał Musiał, Radosław Nowicki i Pabz wzbogacili moją wiedzę na temat rozkładu zwłok. Pani Renata Olszewska z Antique & Art opowiedziała, jak używa się cieczy probierczych i jak można odróżnić złoto od niezłota. Alisa Masiejczyk podpowiedziała, jak Amerykanin (z Kalifornii) wymówiłby nazwisko Ybl, gdyby nie znał (lub nie chciał znać) jego prawidłowej wymowy. Jeśli w tej książce nadal są błędy, to już tylko i wyłącznie moja wina.

Panu Filipowi Modrzejewskiemu z Wydawnictwa w.A.B. należą się specjalne podziękowania za skrupulatną lekturę książki oraz za rygorystyczne przestrzeganie zasady „mniej znaczy więcej”.

Joasia Guzowska, Ewa Opalińska, Aga Krawczyk, Adela Michalewska i Krysia Meglicka przez kilkanaście miesięcy dzielnie znosiły moje niekończące się trucie na temat pisania. Dziękuję Wam, Dziewczyny.

Dziękuję też Kostasowi Paschalidisowi za to, że we mnie wierzy.

Na specjalne podziękowania zasługuje Farkas Pintér, który nigdy nie wątpił, że powieść powstanie, chociaż do dziś jej nie przeczytał. Usprawiedliwia go trochę fakt, że nie zna słowa po polsku.

Ale najgorętsze podziękowania są dla Ciebie, Czytelniku. Przecież ta książka jest dla Ciebie. Baw się dobrze!

Marta Guzowska

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Joanna Habiera

Korekta: Zuzanna Kowalska, Katarzyna Humeniuk

Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Projekt okładki i stron tytułowych oraz zdjęcie: Anna Sadowska

na podstawie koncepcji graficznej Marka Goebła

Fotografia autorki: © Farkas Pintér

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7A

Wydawnictwo W.A.B.


02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7747-338-2



*Kryminał Marty Guzowskiej
to prawdziwy złodziej czasu,
nie daje zasnąć do rana.
Szczególnie powinny uważać panie:
istnieje niebezpieczeństwo,
że zakochają się bez pamięci
w głównym bohaterze – Mariu Yblu!*

Agnieszka Krawczyk
autorka **Morderstwa niedoskonałego**

*Archeologia w XXI wieku:
stanowisko w pobliżu antycznej
Troi – teraz jednak na wzgórzu
Hissarlik w zachodniej Turcji.
Sezon wykopaliskowy, ze znanstwem
opisany przez archeologa, Martę
Guzowską, byłby podobny do innych,
gdyby nie okrutny mord popełniony
na jednej z uczestniczek
ekspedycji. Ten mord przywołać
musi nie tylko wspomnienie
starożytnych rytuałów ofiarnych,
ale i całkiem już współczesne
problemy zarówno archeologów,
jak ich tureckiego otoczenia.*

prof. Tadeusz Cegielski

Brutalne zabójstwa, starożytny rytuał
i zagadka archeologiczna. Kolejny
debiut w „mrocznej” serii!

Praca archeologa jeszcze nigdy
nie była tak niebezpieczna. Przekonują
się o tym Pola Mor i jej ekipa podczas
wykopalisk w starożytnej Troi.
Kłopoty zaczynają się tuż po odkryciu
tajemniczego szkieletu, najprawdopodobniej
szczątków mitycznej Polikseny. Naukowcy
nie zdążą nacieszyć się sensacyjnym
znaleziskiem, gdyż Mario Ybl,
antropolog, natrafia na inne zwłoki,
tym razem... współczesne.

Jak to możliwe, że grecka mitologia
nieoczekiwanie staje się rzeczywistością?
Czy ktoś z naukowców jest zarazem
wyrafinowanym mordercą? Upał, trupy
i sporo humoru – **Ofiara Polikseny**
to wciągający kryminał archeologiczny!